



OJCIEC BROWN

NAJGORSZA ZBRODNIA NA ŚWIECIE



G. K. Chesterton


Replika

OJCIEC BROWN



G. K. Chesterton

OJCIEC BROWN

NAJGORSZA ZBRODNIA NA ŚWIECIE

Tłumaczyła
Martyna Plisenko


Replika

Tytuł oryginału
THE FATHER BROWN STORIES. Volume 2

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Replika, 2017
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja
Joanna Pawłowska

Korekta
Elwira Dębowska

Skład i łamanie
Dariusz Nowacki

Projekt okładki
Mikołaj Piotrowicz

Grafika na okładce
Copyright © depositphoto/norsob
Copyright © depositphoto/boroda
Copyright © depositphoto/daneziv
Copyright © depositphoto/bitontawan02

Wydanie elektroniczne 2016

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej
Dariusz Nowacki

ISBN 978-83-7674-829-0

Wydawnictwo Replika
ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo
tel./faks 061 868 25 37
replika@replika.eu
www.replika.eu

NIEWINNOŚĆ OJCA BROWNA

BŁĘKITNY KRZYŻ

Pomiędzy srebrzystą wstęgą poranka a zielonkawo połyskującą wstęgą morza do nadbrzeża Harwich dobiła łódź, z której jak pchły wyroili się ludzie, a pośród nich człowiek, za którym musimy podążyć. Nie wzbudzał najmniejszych podejrzeń ani nie miał takiego zamiaru. Nie wyróżniał się niczym poza lekkim kontrastem pomiędzy wakacyjną lekkością odzieży, którą miał na sobie, i oficjalną powagą na twarzy. Miał na sobie lekką, jasnoszarą marynarkę, białą kamizelkę i srebrzysty kapelusz słomkowy ozdobiony szaroniebieską wstążką. Pociągła twarz wyglądała przez tę oprawę na ciemną, a kończyła się niewielką, czarną brodą, która przypominała hiszpańską i sugerowała elżbietańską kryzę. Z powagą próżniaka palił cygaro. Nic w nim nie pozwalało domyślać się, że pod popielatą marynarką ukrywał się naładowany rewolwer, że biała kamizelka skrywa odznakę policyjną, ani że pod słomkowym kapeluszem mieści się jeden z największych intelektów w Europie. Był to sam Valentin, szef paryskiej policji i najśłynniejszy detektyw świata. Przybywał z Brukseli do Londynu, aby dokonać najważniejszego aresztowania stulecia.

Flambeau był w Anglii. Policja trzech krajów śledziła wielkiego

przestępcę od Gandawy do Brukseli, od Brukseli do Holandii. Istniało przypuszczenie, że wykorzysta dezorientację i zamieszanie związane z Kongresem Eucharystycznym, który właśnie odbywał się w Londynie. Prawdopodobnie będzie podróżował jako pomniejszy duchowny albo sekretarz mający związek z tym wydarzeniem – tego jednak Valentin nie był pewien. W odniesieniu do Flambeau nic nie było pewne.

Minęło wiele lat, odkąd ten kolos zbrodni nagle dał światu odetchnąć od wywoływanego przez siebie zamieszania, a gdy zamilkł, jak powiedziano po śmierci Rolanda, nad ziemią zapadła wielka cisza. Ale w swoich najlepszych czasach (oczywiście mam na myśli najgorsze) Flambeau był postacią równie znaczącą i znaną na świecie jak sam kajzer. Niemal co dnia dzienniki donosiły, że uniknął konsekwencji nadzwyczajnej zbrodni i popełniał kolejną. Był Gaskończykiem o potężnej budowie i śmiałości. Krążyły najdziwsze opowieści o przejawach jego atletycznego humoru; o tym, jak odwrócił sędziego do góry nogami i postawił go na głowie, żeby „rozjaśnić mu myśli”; o tym, jak biegł w dół Rue de Rivoli, pod każdą pachą trzymając policjanta. Trzeba było powiedzieć, że jego fantastyczna siła fizyczna objawiała się generalnie w takich bezkrwawych, ale niegodnych scenach – jego prawdziwe zbrodnie były głównie pomysłowymi i spektakularnymi napadami. Każda z jego kradzieży była niemalże nowym grzechem i sama w sobie stanowiła opowieść. To właśnie on prowadził w Londynie Tyrolską Spółdzielnię Mleczarską, nie mając żadnego nabiału, krów ani mleka, za to tysiące subskrybentów. Tych zaś obsługiwał w bardzo prosty sposób, zabierał butelki z mlekiem spod drzwi Bogu ducha winnych obywateli i stawiał je pod drzwiami własnych klientów. To właśnie on utrzymywał bogatą i zażyłą korespondencję z młodą damą, której wszystkie listy zostały przechwycone dzięki niezwyklej sztuczce fotografowania jego wiadomości na nieskończenie małych kliszach, możliwych do odczytania pod mikroskopem. Mówiło się, że pod osłoną nocy zamalował

wszystkie numery domów na ulicy po to tylko, aby zwabić w pułapkę pewnego podróżnika. Jest raczej pewne, że to on właśnie wynalazł przenośną skrzynkę pocztową w kształcie słupka, którą stawiał na rogach ulic spokojnych przedmieść w nadziei, że ludzie będą do niej wrzucać przekazy pieniężne. Wreszcie znany był z zapierających dech umiejętności akrobatycznych – pomimo potężnej postury potrafił skakać jak pasikonik i znikać w koronach drzew jak małpa. Stąd wielki Valentin, gdy został wyznaczony do schwytania Flambeau, był doskonale świadom, iż jego przygoda bynajmniej nie zakończy się w chwili odnalezienia tego łotra.

Ale jak miał go znaleźć? W tej kwestii wielki Valentin nie miał jeszcze określonego planu.

Była jedna rzecz we Flambeau, której przy całej swojej zdolności kamuflażu nie był w stanie zamaskować, a był nią jego szczególny wzrost. Gdyby Valentin zauważył wysoką straganiarkę, wysokiego grenadiera czy nawet w miarę wysoką księżnę, mógł ich z miejsca aresztować. Jednak podczas podróży nie spotkał nikogo, kto mógłby być przebrany Flambeau. Co do ludzi na łodzi już wyrobił sobie zdanie, zaś ludzie podjęci w Harwich albo ruszający w dalszą podróż ograniczyli się do sześciu osób. Pośród nich był niski urzędnik kolejowy płynący aż do końca trasy, trzech raczej niewysokich ogrodników, którzy wsiedli dwie stacje dalej, jedna bardzo niska wdowa, która wyruszyła z małej miejsciny w Essex i równie niski ksiądz katolicki, także pochodzący z wioseczki w Essex. Jeśli chodzi o ten ostatni przypadek, Valentin omal nie parsknął śmiechem. Ten mały księżulo był niemal czystą esencją wschodnich równin; twarz miał równie okrągłą i nijaką jak knedel z Norfolk, oczy puste jak Morze Północne, a do tego dźwigał kilka pakunków zawiniętych w brązowy papier, które bez przerwy mu wypadały. Kongres Eucharystyczny z pewnością wielu takich osobników wyrwał z ich stagnacji i miotali się teraz oślepieni i bezradni jak wyciągnięte spod ziemi krety. Valentin sceptycznie podchodził do surowego stylu

Francji i nie kochał księży. Było mu ich jednak żal, a ten konkretny ksiądz wywołałby litość w każdym. Miał wielki, obszarpany parasol, który wciąż upadał na podłogę. Nie wiedział chyba, który koniec jego biletu powrotnego jest właściwy. Z prostotą idioty tłumaczył wszystkim w powozie, że musi być ostrożny, bo w jednej ze swoich opakowanych w brązowy papier paczek wiezie coś zrobionego z prawdziwego srebra „z niebieskimi kamieniami”. Jego osobliwe pomieszanie płaskości Essex ze świętą prostotą cały czas wprawiały Francuza w rozbawienie, póki ksiądz razem ze swoimi pakunkami jakimś cudem nie dotarł do Tottenham i nie zawrócił po swój parasol. Kiedy do tego doszło, Valentin ostrzegł go nawet dobrodusznie, by nie rozpowiadał wszystkim o wiezionym srebrze. Rozmawiając jednak z ludźmi, Valentin nie tracił czujności – wciąż rozglądał się za kimkolwiek, bogatym czy biednym, mężczyzną czy kobietą, kto miał dobrze powyżej sześciu stóp wzrostu. Flambeau liczył sobie sześć stóp i cztery cale.

Na Liverpool Street wysiadł raczej przekonany, że jak dotąd nie przeoczył tego kryminalisty. Od razu skierował się do Scotland Yardu, żeby ustalić swój status i zapewnić sobie pomoc w razie potrzeby, następnie zapalił kolejne cygaro i udał się na długą przechadzkę ulicami Londynu. Gdy spacerował po uliczkach i skwerach, za stacją Victorii zatrzymał się raptownie. Znalazł się na urokliwym, cichym placyku, bardzo typowym dla Londynu, przypadkowo zupełnie spokojnym. Okalające go wysokie domy o płaskich dachach wyglądały jednocześnie na zadbane i niezamieszkałe. Kwadratowa kępa krzewów na środku była jak bezludna, zielona wysepka na Pacyfiku. Jeden z czterech jej boków był znacznie wyższy od pozostałych, jak podest, a linia tego boku była przełamana przez charakterystyczną dla zabudowy Londynu restaurację, jakby żywcem wyrwaną z Soho. Był to zaskakująco ładny obiekt z karłowatymi roślinami w donicach i długimi markizami w cytrynowożółte i białe pasy. Restauracja wznosiła się wysoko

ponad ulicą, a schodki wiodące do drzwi frontowych, co było typowe dla Londynu, sięgały niemal na wysokość drogi pożarowej prowadzącej do okna na pierwszym piętrze. Valentin stał przed żółto-białą markizą, palił i długo rozmyślał.

Rzeczą najbardziej niewiarygodną w cudach jest to, że się zdarzają. Kilka chmur na niebie schodzi się w kształt rozwartego, ludzkiego oka. Drzewo rosnące samotnie przybiera zarys znaku zapytania. W ciągu ostatnich kilku dni sam to widziałem. Nelson umiera w chwili zwycięstwa, a człowiek o nazwisku Williams dość przypadkowo zabija człowieka o nazwisku Williamson^[1], co zakrawa na swego rodzaju dzieciobójstwo. W skrócie, w życiu występuje element baśniowych zbiegów okoliczności, który ludziom skoncentrowanym na jego prozie ustawicznie umyka. Jak to doskonale wyraził Poe w swoim paradoksie, mądrość powinna spodziewać się niespodziewanego.

Aristide Valentin był na wskroś Francuzem, a francuska inteligencja jest inteligencją wyjątkową. Nie był „myślącą maszyną” – to jedynie bezmózgie określenie wykreowane przez współczesny fatalizm i materializm. Maszyna z tego właśnie względu jest maszyną, że nie potrafi myśleć. Tymczasem on był jednocześnie człowiekiem myślącym i prostym. Wszystkie jego wspaniałe sukcesy, które wyglądały jak czary, zostały osiągnięte dzięki niezłomnej logice, dzięki jasnemu i banalnemu francuskiemu myśleniu. Francuzi zelektryfikowali świat nie dzięki wykorzystaniu jakiegoś paradoksu, zelektryfikowali go dzięki urzeczywistnieniu truizmu. Byli bardzo przywiązani do truizmu – jak podczas rewolucji francuskiej. Ale właśnie dlatego, że Valentin rozumiał rozsądek, rozumiał też jego ograniczenia. Jedynie ten człowiek, który nie wie niczego o silnikach, mówi o zasilaniu bez paliwa; jedynie ten człowiek, który nie wie niczego o rozumowaniu, wypowiada się bez poszanowania dla niepodlegających dyskusji, podstawowych zasad. On sam nie miał jakichś zakorzenionych przekonań. Ślad Flambeau zniknął w Harwich – o ile w ogóle przebywał

w Londynie, mógł być każdym, od wysokiego włóczęgi w Wimbledon Common do wodzireja w hotelu Metropole. Przy tak ewidentnej niewiedzy Valentin miał własne poglądy i metody.

W takich przypadkach spodziewał się niespodziewanego. W takich przypadkach, gdy nie mógł posługiwać się zdrowym rozsądkiem, na chłodno i ze spokojem podążał za tym, co nierozsądne. Zamiast chodzić tam, gdzie powinien – do banków, na posterunki policji, odpowiednie spotkania – regularnie bywał tam, gdzie nie powinien. Pukał do każdego pustego domu, skręcał w każdy zaułek, przeciskał się przez każdą pełną śmieci alejkę, wchodził za każdy róg, który prowadził go w bezsensowną stronę. Bronił takiego sposobu postępowania w całkiem logiczny sposób. Powiadał, że gdyby miał jakieś poszlaki, byłby to najgorszy możliwy sposób, ale skoro ich nie miał, był to sposób najlepszy, ponieważ przynajmniej istniała szansa, że to dziwaczne zachowanie, które przyciągnęłoby uwagę ścigającego, może przyciągnąć uwagę ściganego. Skądś trzeba zacząć i dobrze, żeby było to miejsce, w którym ktoś inny może skończyć. Coś w tym ciągu schodków prowadzących do budynku, coś w spokoju i uroku tej restauracji pobudziło rzadkie u detektywa romantyczne uczucia i skłoniło do podjęcia decyzji o przypadkowym działaniu. Wszedł po schodach, usiadł przy stoliku pod oknem i poprosił o filiżankę czarnej kawy.

Był późny ranek, a on nie jadł jeszcze śniadania. Na stoliku obok stały pozostałości po innym śniadaniu, przypominając mu o jego własnym głodzie. Do zamówienia dodał jajko na miękko i w zadumie dosypał nieco cukru do kawy, cały czas rozmyślając o Flambeau. Pamiętał, w jaki sposób Flambeau uciekł – raz przy pomocy nożyczek do paznokci, raz podpalając budynek, raz musząc zapłacić za list bez znaczka i raz skłaniając ludzi, by przez teleskop wypatrywali komety, która mogła zniszczyć świat. Uważał, że jego mózg detektywa jest równie sprawny, jak mózg tego rzezimieszka – co było prawdą.

W pełni jednak uświadamiał sobie swą niekorzystną sytuację.

– Przesępca to twórczy artysta, detektyw jest tylko krytykiem
– powiedział z kwaśnym uśmiechem i powoli uniósł filiżankę z kawą do ust. Odstawił ją bardzo szybko. Dodał do niej soli.

Spojrzał na pojemnik, z którego pochodził srebrzysty proszek – z całą pewnością była to cukiernica, z równą pewnością przeznaczona na cukier, jak butelka od szampana na szampana. Zastanawiał się, dlaczego ktoś wsypał do niego sól. Rozejrzał się w poszukiwaniu bardziej konwencjonalnych pojemników. Wypatrzył dwie pełne solniczki. Być może były w nich jakiejś szczególne przyprawy. Skosztował ich zawartości – był to cukier. Potem ze świeżym zainteresowaniem rozejrzał się po restauracji, by sprawdzić, czy znajdzie w niej inne przejawy tego szczególnego gustu artystycznego, który umieścił sól w cukiernicy, a cukier w solniczkach. Poza dziwnym rozbryzgiem jakiegoś ciemnego płynu na jednej ze ścian pokrytych białą tapetą, całe to miejsce wyglądało schludnie, pogodnie i zwyczajnie. Zadzwoił na kelnera.

Gdy ten się pojawił, rozczochrany i o tej wczesnej godzinie o nieco zaspanych oczach, detektyw (który potrafił docenić prostsze formy humoru) poprosił go, by spróbował cukru i powiedział, czy to pasuje do reputacji lokalu. Rezultat był taki, że kelner ziewnął nagle i rozbudził się.

– Czy co rano robicie swoim klientom ten żarcik? – dopytywał Valentin. – Czy zamiana soli z cukrem nie przykrzy się wam jako dowcip?

Kelner, gdy uświadomił sobie ironię, jękając się, zapewnił, że wydarzenie to z całą pewnością nie miało takich intencji, to musiała być niezwykła pomyłka. Podniósł cukiernicę i zajrzał do niej. Potem podniósł solniczkę i zajrzał także do niej, a na jego twarzy wykwiatało coraz większe zdumienie. Wreszcie gwałtownie przeprosił i odszedł pospiesznie, po kilku sekundach wrócił z właścicielem. Właściciel również zbadał cukiernicę oraz solniczkę i wydawał się tak samo zaskoczony.

Nagle kelner z nadmiaru słów aż zaczął seplenić.

– Wydaje mi się – jąkał się żarliwie – że to ci dwaj księża.
– Jacy dwaj księża?
– No, ci dwaj księża – powiedział kelner – którzy rzucili zupą o ścianę.
– Rzucili zupą o ścianę? – powtórzył Valentin, sądząc, że to jakaś niezwykła włoska metafora.
– Tak, tak – z podnieceniem powiedział kelner i wskazał na ciemną plamę na białej tapecie. – Rzucili nią tam o ścianę.
Valentin spojrzał pytająco na właściciela, który zaczął się sumitować.

– Zgadza się, sir – przyznał. – To w istocie prawda, choć nie wydaje mi się, żeby miało to coś wspólnego z cukrem i solą. Wczesnie rano, gdy tylko otworzyliśmy, przyszło tu dwóch księży i bardzo szybko wypilo zupę. Obaj byli bardzo cichymi, szacownymi ludźmi. Jeden uiścił rachunek i wyszedł, drugi, który wyglądał na guzdrałę, potrzebował kilku chwil, żeby pozbierać swoje rzeczy. Ale w końcu poszedł. Tylko na chwilę przed tym, jak wyszedł na ulicę, z rozmysłem podniósł swój kubek, który opróżnił tylko częściowo, i wychlusnął zupę na ścianę. Sam byłem na zapleczu, tak samo kelner. Wyszedłem i zobaczyłem jedynie zalaną ścianę i pustą salę. To niewielka strata, ale nieprzyjemny policzek, dlatego próbowałem dogonić tych mężczyzn na ulicy. Jednak byli już za daleko, zauważyłem tylko, że zniknęli za rogiem na Carstairs Street.

Detektyw poderwał się, nałożył kapelusz i ujął w dłoń laskę. Zdecydował już, że w tej uniwersalnej ciemności swego umysłu może podążać wyłącznie w kierunku, który wskazał palec dziwności – a to było wystarczająco dziwne. Zapłacił rachunek, zatrzasnął za sobą przeszklone drzwi i szybko dotarł do rogu ulicy.

Całe szczęście, że nawet w tak gorączkowych chwilach oko miał chłodne i uważne. Jego wzrok przyciągnęło coś w witrynie sklepowej. Cofnął się, żeby się temu przyjrzeć. Sklep należał do popularnego sprzedawcy warzyw i owoców, całe mnóstwo towarów wystawiono na powietrzu i starannie oznaczono

tabliczkami z nazwami i cenami. Najwięcej miejsca zajmowały skrzynki mandarynek i orzechów. Na stercie orzechów leżał kawałek kartonu, na którym niebieską kredą napisano „Najlepsze mandarynki, dwie za pensa”. Na mandarynkach spoczywał równie staranny i czytelny napis „Najlepsze orzechy brazylijskie, 4 pensy za funta”. Valentin spojrzął na te dwie etykiety i uznał, że już spotkał się z tą subtelną formą humoru, i to całkiem niedawno. Zwrócił na tę niespójność uwagę sprzedawcy o zaczerwienionej twarzy, który dość ponuro rozglądał się po ulicy. Sprzedawca nic na to nie odpowiedział, ale gwałtownymi ruchami przełożył tabliczki na swoje miejsca. Detektyw, opierając się elegancko na swojej laseczce do chodzenia, kontynuował przegląd sklepu.

– Mój dobry człowieku, proszę wybaczyć moje pozornie niezasadne nagabywanie – powiedział wreszcie – ale chciałbym wam zadać pytanie dotyczące psychologii eksperymentalnej i łączenia faktów.

Czerwony sklepikarz spojrzął na niego groźnie, ale Valentin kontynuował pogodnie, wymachując swoją laseczką:

– Dlaczego te dwie tabliczki są umieszczone w złych miejscach, jak ksiądz, który przyjechał do Londynu na wakacje? Na wypadek, gdybym nie wyrażał się jasno, jaki jest mistyczny związek, który łączy ideę orzechów oznaczonych jako mandarynki z dwoma księżmi, jednym wysokim, a drugim niskim?

Handlarz wytrzeszczył oczy. Przez chwilę naprawdę sprawiał wrażenie, jakby miał się rzucić na tego obcego.

– Nie wiem, co waść masz z tym wspólnego – wyjąkał wreszcie z gniewem – ale jeśli jesteś pan jakimś ich przyjacielem, to możesz im pan ode mnie przekazać, że porozwalam im te durne łby, księża czy nie, jeśli jeszcze raz dotkną moich jabłek.

– Doprawdy? – z wielkim współczuciem odparł detektyw. – Zniszczyli pańskie jabłka?

– Jeden z nich – potwierdził rozeźlony sklepikarz – zwalił wszystkie na ulicę. Złapałbym tego durnia, ale musiałem je

pozierać.

– W którą stronę poszli ci duchowni? – zapytał Valentin.

– W drugą ulicę po lewej, a potem przez plac – padła szybka odpowiedź.

– Dzięki – odparł Valentin i zniknął jak sen.

Po drugiej stronie placu natknął się na policjanta.

– Konstablu, to pilne – powiedział. – Czy widział pan dwóch duchownych w kapeluszach z podwiniętym rondem?

Policjant zaśmiał się ciężko.

– Owszem, sir, widziałem. A gdyby mnie ktoś pytał, jeden z nich był pijany. Stanął na środku drogi zdziwiony, jakby...

– W którą stronę poszli? – przerwał mu Valentin.

– Wsiedli do jednego z tamtych żółtych autobusów – odpowiedział mundurowy. – Jadą w stronę Hampstead.

Valentin wyciągnął oficjalną legitymację.

– Wezwij dwóch swoich ludzi, żeby towarzyszyli mi w pościgu – powiedział szybko i przeciął jezdnię z tak zaraźliwą energią, że o ciężkości policjant ruszył z niemal skwapliwą żwawością. Po półtoręj minucie na przeciwległym chodniku znalazł się francuski detektyw, a wraz z nim inspektor i mężczyzna w prostym ubraniu.

– Cóż, sir – odezwał się z ważnym uśmiechem – i co niby...?

Valentin niespodziewanie wyciągnął swoją laskę.

– Powiem panom na szczycie tego omnibusu – oświadczył i pognał, klucząc pomiędzy pojazdami. Gdy wszyscy znaleźli się, dysząc, na górnych siedzeniach tego żółtego wehikułu, inspektor powiedział: – Pojedziemy cztery razy szybciej niż taksówką.

– W sumie racja – spokojnie odpowiedział ich dowódca – gdybyśmy tylko wiedzieli, dokąd właściwie jedziemy.

– No właśnie, dokąd jedziemy? – zapytał drugi, wytrzeszczając oczy.

Valentin przez kilka minut palił, marszcząc brwi. W końcu odłożył cygaro i powiedział:

– Jeśli wiesz, co ktoś robi, wyprzedź go, ale jeśli nie wiesz,

trzymaj się za nim. Skręcaj, gdy on skręca, zatrzymuj się, gdy on się zatrzymuje, przemieszczaj się równie wolno jak on. Wówczas możesz dostrzec to, co on widział i co zrobił. Możemy jedynie wypatrywać dziwnych rzeczy.

– Jakiego rodzaju dziwnych rzeczy? – spytał inspektor.

– Wszelkiego – odparł Valentin i zapadł w uparte milczenie.

Żółty omnibus włókł się na północ tak, że wydawało się, jakby do końca trasy były całe godziny. Wielki detektyw nie udzielił dalszych wyjaśnień, a jego asystenci być może wyczuli jego ciche i narastające wątpliwości co do takiego postępowania. Być może czuli również ciche i narastające pragnienie spożycia lunchu, jako że godzina była już późna w stosunku do normalnej pory obiadowej, a długie drogi północnego Londynu wydawały się rozciągać bez końca jak w jakimś piekielnym teleskopie. Była to jedna z tych podróży, podczas których człowiek cały czas czuje, że teraz już musiał wreszcie dotrzeć do końca wszechświata, tymczasem okazuje się, że to dopiero początek Tufnell Park. Londyn zniknął w obskurnych tawernach i wyłysiałych krzakach, po czym rodził się na nowo na głównych ulicach i w jaskrawych hotelach. To było jak przejazd przez trzynaście stykających się ze sobą, choć oddzielnych, pospolitych miast. Jednakże, choć drogę przed nimi zaczynał już okrywać zimowy zmierzch, paryski detektyw wciąż siedział milczący i czujny, wzrok kierując prosto przed siebie, na drogę, która przesuwiała się po bokach. Do czasu, gdy zostawili za sobą Camden Town, policjant prawie spał, wszyscy jednak podskoczyli lekko, kiedy Valentin wyprostował się gwałtownie, uderzył obu mężczyzn w ramiona i krzyknął na kierowcę, by ten się zatrzymał.

Zbiegli po schodkach na ziemię, nie uświadamiając sobie nawet, dlaczego wysiadają. Gdy rozejrzeli się w nadziei na oświecenie, zastali Valentina, który triumfalnie wskazywał palcem w stronę okna po lewej stronie drogi. Było to duże okno, pomyślane jako część długiej fasady pełnego złocień, iście pałacowego zajazdu – część zarezerwowana na eleganckie

posiłki i oznaczona tabliczką „Restauracja”. To okno, podobnie jak pozostałe na froncie hotelu, było ze szronionego i zdobionego szkła, ale na samym jego środku znajdował się wielki, czarny zaciek jak gwiazda w lodzie.

– Nareszcie nasza wskazówka! – wykrzyknął Valentin, wymachując laską. – Miejsce ze stłuczonym oknem.

– Jakim oknem? Jaka wskazówka? – zapytał jego wyższy funkcją towarzysz. – Gdzie tu dowód, że ma to jakiś związek z nimi?

Valentin z wściekłości niemal połamał swoją bambusową laseczkę.

– Dowód! – wrzasnął. – Dobry Boże! Ten człowiek szuka dowodu! No oczywiście, szansa, że to nie ma z nimi nic wspólnego, jest jak jeden do dwudziestu. Ale co innego możemy zrobić? Czy wy nie rozumiecie, że albo podążymy za jakąś wariacką możliwością, albo możemy wracać do domu, do łóżka?

Pomaszerował w stronę restauracji, ciągnąc za sobą swoich towarzyszy, i wkrótce zasiedli przy niewielkim stoliku do późnego lunchu, od środka patrząc na gwiazdę z pękniętego szkła. Nawet wówczas niewiele im to mówiło.

– Widzę, że macie pęknięte okno – zwrócił się Valentin do kelnera, uiszczając rachunek.

– Zgadza się, sir – przyznał tamten, kłaniając się nisko nad resztą, do której Valentin dyskretnie dołożył sowity napiwek.

Kelner wyprostował się z lekkim, ale wyraźnym ożywieniem.

– Owszem, tak, sir – powiedział. – To było bardzo dziwne.

– Doprawdy? Proszę nam o tym opowiedzieć – zachęcił go detektyw z beztroską ciekawością.

– Cóż, do środka weszło dwóch dżentelmenów w czerni – zaczął kelner. – Dwóch cudzoziemskich księży, którzy się tu teraz kręcą. Zamówili tani, niewielki lunch, potem jeden z nich za niego zapłacił i wyszedł. Ten drugi właśnie wychodził, żeby do niego dołączyć, gdy spojrzałem raz jeszcze na pieniądze i odkryłem, że zapłacił mi ponad trzy razy za dużo. „Przepraszam”, powiedziałem do tego jegomościa, który był już

prawie za drzwiami, „za dużo panowie zapłacili”. „Och”, powiedział bardzo spokojnie, „naprawdę?”. „Tak”, potwierdziłem i wziąłem rachunek, żeby mu pokazać. No i to był istny nokaut.

– Co pan ma na myśli? – spytał detektyw.

– Cóż, przysięgłbym na Biblię, że na tym rachunku zapisałem cztery szylingi. Ale wtedy zobaczyłem, że napisałem 14, dużymi literami.

– No i? – wykrzyknął Valentin, poruszając się wolno, jednak z płonącymi oczami. – I co dalej?

– Ten ksiądz przy drzwiach powiedział zupełnie spokojnie: „Przepraszam, że wprowadziłem zamęt w pańskich obliczeniach, ale to pokryje koszty wymiany okna”. „Jakiego okna?”, zapytałem. „Tego, które mam zamiar wybić”, powiedział i uderzył w szybę parasolem.

Wszyscy trzej słuchacze wydali okrzyk.

– Czy my gonimy jakichś szaleńców? – bez tchu zapytał inspektor.

Kelner z wyraźną przyjemnością opowiadał dalej.

– Przez chwilę tak mnie zamurowało, że nie byłem w stanie nic z siebie wykrztusić. Ten człowiek wyszedł z sali i tuż za rogiem dołączył do przyjaciela. Potem poszli w górę Bullock Street, ale tak szybko, że nie zdołałem ich dogonić.

– Bullock Street – powtórzył detektyw i ruszył w tę arterię równie szybko jak poszukiwana parka.

Teraz pościg poprowadził ich przez ceglane uliczki przypominające tunele, słabo oświetlone i z nielicznymi oknami, uliczki, na które wydawały się wychodzić wyłącznie gołe ściany. Zapadał coraz głębszy mrok i nawet londyńskiemu policjantowi trudno było określić dokładny kierunek. Jednakże inspektor był raczej pewien, że ostatecznie wyjdą gdzieś w Hampstead Heath. Znienacka jedno z wypukłych, oświetlonych latarnią gazową okien rozbłysło jaskrawo, a Valentin zatrzymał się natychmiast przed małą, krzykliwą wystawą sklepu ze słodyczami. Po krótkim wahaniu wszedł do środka. Stał pośród radosnych kolorowych towarów i nabył

trzydzieście czekoladowych cygar. Wyraźnie chciał zagaić, ale nie było to potrzebne.

Koścista, ni to stara, ni młoda kobieta w sklepie z niemal automatycznym zainteresowaniem zarejestrowała jego elegancką powierzchowność, a gdy ujrzała, że drzwi za nim blokuje niebieski mundur inspektora, jej oczy rozbłysły.

– Och – powiedziała – jeśli przyszli panowie po paczkę, to już wysłałam.

– Paczkę? – powtórzył Valentin. Teraz to on miał zaciekawioną minę.

– Paczkę, którą zostawili ci dżentelmeni. Ci duchowni.

– Na litość boską – powiedział Valentin, pochylając się i po raz pierwszy zdradzając zniecierpliwienie – na litość boską, niech nam pani wszystko dokładnie opowie.

– Cóż – mruknęła kobieta z niejakim powątpiewaniem – jakieś pół godziny temu weszli tutaj ci księża, kupili trochę miętówek i porozmawiali chwilę, a potem poszli w kierunku Heath. Ale zaraz jeden z nich wbiegł z powrotem do sklepu, wołając: „Czy zostawiłem tutaj paczkę?”. Cóż, rozejrzałam się wszędzie i żadnej nie dostrzegłam, a on powiedział: „Nieważne, ale gdyby się znalazła, proszę ją nadać na ten adres” i zostawił mi adres i szylinga za fatygę. I faktycznie, chociaż wydawało mi się, że zajrzałam wszędzie, odkryłam, że jednak zostawił tu paczkę owiniętą w brązowy papier, więc nadałam ją na tamten adres, jak mówił. Nie pamiętam go już, to było gdzieś w Westminster. A ponieważ to wydawało się takie ważne, pomyślałam, że może będzie o to pytać policja.

– No i tak jest – krótko odpowiedział Valentin. – Czy Hampstead Heath to gdzieś w pobliżu?

– Prosto przez piętnaście minut – odparła kobieta – i wyjdą panowie prosto na miejsce.

Valentin wypadł ze sklepu i zaczął biec. Pozostali detektywi podążali za nim niechętnym truchtem.

Uliczka, którą podążali, była tak wąska i ciemna, że gdy niespodziewanie wyszli na rozległą przestrzeń pod niebem,

zaskoczyło ich, że wieczór był jasny i czysty. Doskonała kopuła pawiej zieleni zapadała się złoto pośród czerniejących drzew i ciemnofioletowych dali. Lśniący zielony kolor był dosyć głęboki, by na jego tle widać było kryształki jednej czy dwóch gwiazd. Wszystkie te pozostałości po świetle dziennym leżały, błyszcząc złoto, na skraju Hampstead i tej popularnej doliny zwanej Vale of Health. Wczasowicze włączający się po tym terenie jeszcze się nie rozeszli, na ławkach siedziało kilka par, tu i ówdzie jakaś dziewczyna wciąż podśpiewywała popularny swing. Chwała niebios pogłębiała się i ciemniała wokół szczególnej wulgarności człowieka, a Valentin, stojąc na zboczu i patrząc na drugą stronę doliny, ujrzał to, czego szukał.

Pośród ciemnych i rozpraszających się grupiek była jedna, szczególnie ciemna, która się nie rozpadała – grupa dwóch postaci odzianych w księżę sutanny. Chociaż wydawały się małe jak owady, Valentin dostrzegął, że jedna z nich jest znacznie mniejsza od drugiej. Wprawdzie ten drugi garbił się jak student i nie rzucał w oczy, to widać było, że miał dobrze ponad sześć stóp wzrostu. Detektyw zacisnął zęby i ruszył przed siebie, niecierpliwie wywijając laseczką. Kiedy już znacząco zmniejszył odległość, a dwie czarne postacie powiększyły się jak pod mikroskopem, zauważył coś jeszcze – coś, co go zaskoczyło, czego się jednak w pewien sposób spodziewał. Kimkolwiek był ten wysoki ksiądz, nie było wątpliwości co do tożsamości tego niskiego. Był to jego przyjaciel ze statku do Harwich, ten przysadzisty, mały księżulo z Essex, któremu udzielił ostrzeżenia co do jego owiniętych w brązowy papier pakunków.

Teraz, gdy sprawy zaszły tak daleko, wszystko wreszcie zaczęło pasować. Tego ranka, rozmawiając z ojcem Brownem, Valentin dowiedział się, że ksiądz wiozł z Essex srebrny krucyfiks wysadzany szafirami, relikwię znacznej wartości, by pokazać ją zagranicznym księżom podczas kongresu. Tym właśnie bez wątpienia było to „srebro z niebieskimi kamieniami”, a ojciec Brown bez wątpienia był małym

żółtodziobem, gdy szło o łodzie. Nic więc dziwnego, że tego, czego dowiedział się Valentin, dowiedział się również Flambeau. Flambeau wiedział o wszystkim. Nic nie było też dziwnego w fakcie, że gdy Flambeau usłyszał o szafirowym krzyżu, postanowił go ukraść – to była najbardziej naturalna rzecz na świecie. Jednak z całą pewnością nie było nic wspaniałego w tym, że Flambeau robi co chce z tak naiwną owieczką jak ten mężczyzna z parasolem i pakunkami. Był tego rodzaju człowiekiem, którego każdy mógł poprowadzić na sznurku choćby na Biegun Północny, nic więc zaskakującego, że aktor taki jak Flambeau, przebrany za księdza, zdołał wyprowadzić go do Hampstead Heath. Jak dotąd przedmiot przestępstwa wydawał się jasny, a detektyw jednocześnie żałował księdza za jego bezradność i niemal pogardzał Flambeau za protekcyjnalne podejście do tak łatwowiernej ofiary. Ale gdy Valentin pomyślał o wszystkim, co zdarzyło się w międzyczasie, o wszystkim, co doprowadziło go do jego triumfu, łamał sobie głowę, próbując dojść z tym do ładu i składu. Co kradzież srebrnego krzyża miała wspólnego z zupą wychluśniętą na ścianę? Co to miało wspólnego z nazwaniem mandarynek orzechami albo z zapłaceniem za okno, które stłukło się dopiero potem? Dotarł do końca swojego pościgu, jednak w jakiś sposób umknął mu jego środek. Gdy ponosił porażkę (co rzadko się zdarzało), zwykle chwycił trop, ale nie udawało mu się schwytać przestępcy. Tym razem miał przestępcę, ale nie miał tropu.

Dwie postaci, za którymi podążali, pełzły po wielkim, zielonym konturze wzgórza jak dwie czarne muchy. Ewidentnie były pogrążone w rozmowie i być może nie zwracały uwagi, dokąd idą, ale z pewnością zmierzały w stronę dzikszych i cichszych wzniesień Heath. W miarę gdy ścigający się do nich zbliżali, musieli korzystać z niegodnych sposobów łowców jeleni, przekradając się za kępami drzew, a nawet czołgając się w głębokiej trawie. Przez te niezdarne działania łowcy zdołali podejść na tyle blisko zwierzyny, by słyszeć pomruk dyskusji, choć nie byli w stanie rozróżnić żadnych słów poza

„rozsądkiem”, które to słowo pojawiało się często, wypowiedane wysokim, niemal dziecięcym głosem. Po pokonaniu gwałtownego spadku terenu i gęstych krzaków detektywi w końcu zgubili dwie postaci, za którymi podążali. Przez dziesięć upiornych minut szukali śladów, które wreszcie doprowadziły ich do skraju wielkiej kopuły wzgórza wznoszącego się nad amfiteatrem opustoszałej scenerii. Pod drzewem w tym wyniosłym, choć opuszczonym miejscu, znajdowało się stare, zdezelowane, drewniane siedzisko. Na nim spoczywało dwóch księży, nadal pochłoniętych poważną rozmową. Olśniewająca zieleń i złoto wciąż znaczyły ciemniejący horyzont, jednak kopuła ponad głowami przechodziła powoli z pawiej zieleni do pawiego granatu i pojawiało się coraz więcej gwiazd przypominających masywne klejnoty. Valentin bezgłośnie skinął na swoich towarzyszy i przekradł się za wielkim, rozgałęzionym drzewem, i stojąc tam w grobowej ciszy, po raz pierwszy usłyszał słowa dziwnych księży.

Po półtorej minuty podsłuchiwania naszły go diabelskie wątpliwości. Może włókł po nocy tych dwóch angielskich policjantów kompletnie bezpodstawnie. Ci księża rozmawiali dokładnie jak księża, świątobliwie, ze znanstwem tematu i niespiesznie, o najbardziej ulotnych tajemnicach teologii. Mały ksiądz z Essex wypowiadał się prościej, z okrągłą twarzą zwróconą ku gwiazdom, drugi mówił z pochyloną głową, jakby nie był godzien, żeby na nie spoglądać. Równie niewinną rozmowę można by usłyszeć w jakimkolwiek włoskim klasztorze czy hiszpańskiej katedrze.

Najpierw usłyszał koniec jednej z wypowiedzi ojca Browna:

– ... co w przypadku średniowiecza oznaczało, że niebo jest nieprzekupne.

Wyższy ksiądz skinął głową.

– Ach tak, ci współcześni niewierni odwołują się do swojego rozsądku. Ale któż może spoglądać na te miliony światów i nie odczuwać, że nad nami mogą równie dobrze być cudowne wszechświaty, gdzie rozsądek jest głęboko nieracjonalny?

– Nie – odparł drugi ksiądz. – Rozsądek zawsze jest racjonalny, nawet w najgłębszej otchłani, nawet na najdalszej granicy rzeczy. Wiem, że ludzie oskarżają Kościół z błahszych powodów, ale to tylko inny sposób. Sam na ziemi Kościół sprawia, że rozsądek góruje. Kościół twierdzi, że sam Bóg związany jest z rozsądkiem.

Drugi ksiądz uniósł surową twarz na połyskujące niebo.

– Jednak kto wie, czy w tym nieskończonym wszechświecie...?

– Jedynie nieskończonym fizycznie – powiedział mały ksiądz, odwracając się gwałtownie na swoim miejscu. – Nie nieskończonym w sensie ucieczki przed prawem czy prawdą.

Valentin za drzewem wyłamywał palce w milczącej furii. Niemal słyszał szyderczy śmiech angielskich detektywów, których na podstawie jakichś fantastycznych domniemań zaprowadził tak daleko tylko po to, żeby posłuchać metafizycznych pogwarek dwóch poczciwych, starych księży. Ze zniecierpliwienia nie dosłyszał rozbudowanej odpowiedzi wysokiego kapłana, a gdy znowu się skupił, ponownie perorował ojciec Brown:

– Rozsądek i sprawiedliwość obejmują najodleglejszą i najbardziej samotną gwiazdę. Proszę popatrzeć na te gwiazdy. Czyż nie wyglądają jak pojedyncze diamenty i szafiry? Można sobie wyobrazić wszelką szaloną botanikę albo geologię, jaką się chce. Proszę pomyśleć o diamentowych lasach z liśćmi z brylantów. Proszę pomyśleć, że księżyc to niebieski kamień, pojedynczy, ogromny szafir. Ale nie ma co sobie wyobrażać, że cała ta obłąkana astronomia robi jakąkolwiek różnicę, jeśli chodzi o rozsądek i sprawiedliwość postępowania. Na opalowych równinach, pod klifami wyciętymi z pereł, nadal znajduje się tablica z przykazaniem „nie kradnij”.

Valentin właśnie podnosił się ze swojej przykucniętej pozycji i miał zamiar odejść w ciszy, pokonany przez jedno ze swoich wielkich życiowych niepowodzeń. Jednak coś w samym milczeniu wysokiego księdza kazało mu zaczekać, póki ten się nie odezwie. Gdy wreszcie to zrobił, powiedział zwyczajnie

z pochyloną głową i dłońmi na kolanach:

– Cóż, sądzę, że te inne światy mogą się wznosić ponad nasz rozsądek. Tajemnica nieba jest niezgłębiona i w jej obliczu można jedynie pochylić głowę.

Następnie, unosząc brew i bez najmniejszej zmiany postawy czy tonu, dodał:

– Proszę mi podać ten pański szafirowy krucyfiks, dobrze? Jesteśmy tu całkiem sami, a ja mogę pana rozszarpać jak szmacianą lalkę.

Ten całkowicie niezmieniony głos i pozycja sprawiły, że owe szokujące słowa wydały się jeszcze bardziej brutalne. Tymczasem strażnik relikwii jedynie odrobinę przekręcił głowę. Wydawało się, że nadal ma cokolwiek niemądrą twarz skierowaną ku gwiazdom. Być może nie zrozumiał. A być może zrozumiał i skamieniał z przerażenia.

– Tak – powiedział wysoki ksiądz tym samym spokojnym głosem – tak, jestem Flambeau. To co, poda mi pan ten krzyż?

– Nie – odpowiedział tamten, a ta monosylaba miała dziwaczny wydźwięk.

Flambeau odrzucił nagle wszystkie swoje świętoszkowate pozory. Wielki złodziej odchylił się na siedzisku i roześmiał głośno.

– Nie! – wykrzyknął. – Nie dasz mi go, ty dumny prałacie! Nie dasz mi go, ty mały, cnotliwy prostaczku! Mam ci powiedzieć, dlaczego mi go nie dasz? Ponieważ już go mam w kieszeni na piersi.

Niewielki mężczyzna z Essex zwrócił ku ciemności jakby oszołomioną twarz.

– Jest pan... jest pan pewien? – spytał z gorliwością prywatnego sekretarza.

Flambeau zapiał z zachwytem.

– No naprawdę, jest pan równie paradny co trzyaktowa farsa – wykrzyknął. – Tak, ty buraku, jestem tego pewien. Zrobiłem duplikat właściwej paczki, a teraz, mój przyjacielu, ty masz duplikat, a ja mam klejnoty. Stara sztuczka, ojciec Brown,

bardzo stara sztuczka.

– W istocie – przyznał ojciec Brown i przesunął dłonią po włosach. – W istocie, już o tym słyszałem.

Gigant zbrodni pochylił się ku małemu, wiejskiemu księdzu, zdradzając niejaki zainteresowanie.

– Już pan o tym słyszał? – zapytał. – Gdzie pan o tym słyszał?

– Cóż, oczywiście nie wolno mi zdradzić panu jego nazwiska – z prostotą odrzekł mały człowieczek. – Tajemnica spowiedzi, rozumie pan. Żył dostatnio przez jakichś dwadzieścia lat tylko dzięki podmienianiu paczek owiniętych w brązowy papier. I tak, rozumie pan, gdy zacząłem pana podejrzewać, od razu pomyślałem, że tak właśnie robił ten biedny gość.

– Zaczął mnie pan podejrzewać? – powtórzył przestępca z rosnącym zaciekawieniem. – Naprawdę miał pan tyle oleju w głowie, żeby mnie podejrzewać tylko na tej podstawie, że przyprowadziłem pana na ten pusty kawałek wrzosowiska?

– Nie – przyznał ojciec Brown jakby przepraszająco. – Rozumie pan, zacząłem go podejrzewać od samego początku. Chodzi o to małe wyrzucenie w górze rękawa, gdzie ma pan kolczastą bransoletę.

– Jakim cudem, na Tartar – zawołał Flambeau – dowiedział się pan o kolczastej bransolecie?

– Och, wie pan, taka mała trzódka! – powiedział ojciec Brown, unosząc lekko brwi. – Gdy byłem wikariuszem w Hartlepool było tam trzech z takimi bransoletami. Nie rozumie pan? Podejrzewałem pana od samego początku i dlatego dołożyłem starań, by krzyż był bezpieczny. Widzi pan, obawiam się, że pana obserwowałem. W końcu więc zauważyłem, jak podmienia pan paczki. I wtedy, wie pan, zamieniłem je z powrotem. A potem tę właściwą zostawiłem po drodze.

– Zostawił pan po drodze? – powtórzył Flambeau, a w jego głosie po raz pierwszy pojawił się ton inny niż triumfalny.

– Cóż, to było tak... – powiedział mały ksiądz spokojnie. – Wróciłem do tamtego sklepu ze słodyczami, powiedziałem, że chyba zostawiłem tam paczkę i poprosiłem, żeby w razie jej

znalezienia odesłali ją na konkretny adres. Cóż, wiedziałem, że jej tam nie zostawiłem, ale gdy wychodziłem kolejny raz, już tak. Tak więc, zamiast gonić za mną z tym cennym pakunkiem, odesłali go przez gońca do mojego przyjaciela w Westminster. Tego także nauczyłem się od tego biednego chłopiska z Hartlepool – dodał dość smutno. – Robił tak z torbami, które kradł na stacjach kolejowych, ale obecnie przebywa w klasztorze. Wie pan, przyszedł mi o tym opowiedzieć – westchnął, znowu pocierając głowę tym jakby przeproszającym gestem. – Nic nie poradzimy na to, że jesteśmy księżmi. Ludzie przychodzą do nas i opowiadają nam takie rzeczy.

Flambeau wyrwał z wewnętrznej kieszeni opakowaną w papier paczkę i rozerwał ją na kawałki. Nie było tam niczego poza papierem i kilkoma patykami. Dramatycznym gestem cisnął je na ziemię.

– Nie wierzę panu – zawołał. – Nie wierzę, że taki prostaczek jak pan zdołałby coś takiego przeprowadzić. Uważam, że nadal ma pan ten przedmiot przy sobie, a jeśli mi go pan nie odda – cóż, jesteśmy tutaj całkiem sami, więc zabiorę go siłą!

– Nie – z prostotą odparł ojciec Brown. – Nie zabierze go pan siłą. Po pierwsze dlatego, że naprawdę go nie mam. A po drugie, nie jesteśmy sami.

Flambeau zatrzymał się wpół kroku.

– Za tym drzewem – powiedział ojciec Brown, wskazując kierunek – stoi dwóch silnych policjantów i największy żyjący detektyw. Zapyta pan, jak tutaj trafili? Oczywiście to ja ich sprowadziłem! W jaki sposób to zrobiłem? Cóż, powiem panu, jeśli pan sobie życzy! Łaska boska, że pracując pośród klas przestępczych, musimy znać mnóstwo takich sztuczek! Nie byłem pewien, czy jest pan złodziejem, a nigdy nie wywołałbym skandalu związanego z jednym z własnych kapłanów. Zatem testowałem pana, żeby się przekonać, czy w jakiś sposób się pan obnaży. Człowiek, kiedy odkrywa sól w swojej kawie, generalnie robi małą scenę – jeżeli nie, to znaczy, że ma jakiś powód, aby to przemilczeć. Zamieniłem sól z cukrem, a pan nic

nie powiedział. Człowiek przeważnie sprzeciwia się, gdy dostaje rachunek trzykrotnie za wysoki. Jeżeli go płaci, to ma jakąś motywację, żeby nie zwracać na to uwagi. Podmieniłem pański rachunek, a pan go zapłacił.

Wydawało się, że cały świat czeka, aż Flambeau skoczy niczym tygrys. Ale on trwał w bezruchu jakby pod wpływem zaklęcia. Był ogromnie zaniepokojony.

– Cóż – z ociężałą klarownością kontynuował ojciec Brown – ponieważ pan nie zostawiłby żadnych śladów dla policji, to oczywiście ktoś musiał. W każdym miejscu, w którym byliśmy, zadbałem, o to, by zrobić coś, przez co będzie się o nas mówić przez cały dzień. Nie wyrządziłem dużych szkód – poplamiona ściana, rozrzucone jabłka, pęknięte okno. Ale ważne jest, że ocalałem krzyż. Do teraz jest już w Westminster. Dziwię się raczej, że nie powstrzymał go pan oślim gwizdkiem.

– Czym? – zdziwił się Flambeau.

– Cieszę się, że nigdy pan o tym nie słyszał – krzywiąc się, przyznał ksiądz. – To niemądra rzecz. Jestem przekonany, że jest pan zbyt dobrym człowiekiem, żeby być Świstakiem. W żaden sposób nie mógłbym się mierzyć z Pyszcami – nie jestem zbyt silny w nogach.

– Na litość boską, o czym pan mówi?! – wykrzyknął Flambeau.

– Cóż, sądziłem, że zna pan Pyszcze – powiedział ojciec Brown, przyjemnie zaskoczony. – Och, a więc nie jest pan jeszcze tak przeżarty złem!

– Skąd pan zna wszystkie te okropieństwa? – zapytał Flambeau.

Przez okrągłą, prostą twarz jego oponenta przemknął cień uśmiechu.

– Och, pewnie przez to, że jestem prostaczkiem żyjącym w celibacie – odparł. – Nigdy nie przyszło panu do głowy, że człowiek, który nie robi praktycznie nic poza wysłuchiowaniem prawdziwych grzechów, nie może być nieświadomy ludzkiego zła? To zresztą była kolejna część mojego sprawdzianu, dzięki której upewniłem się, że nie jest pan księdzem.

– Jak to? – spytał złodziej, ledwie łapiąc powietrze.
– Zaatakował pan przyczyny – odparł ojciec Brown. – To niewłaściwa teologia.

A gdy zaczął zbierać swoje rzeczy, spod ukrytych w ciemności drzew wyszło trzech policjantów. Flambeau był artystą i sportsmenem. Cofnął się i złożył przed Valentinem głęboki ukłon.

– Nie kłaniaj się przede mną, *mon ami* – jasnym głosem powiedział Valentin. – Pokłonimy się przed naszym władcą.

I obaj stanęli z odkrytymi głowami, podczas gdy mały ksiądz z Essex rozglądał się za swoim parasolem.

[1] Williamson – ang. syn Williama.

TAJEMNICZY OGRÓD

Aristide Valentin, szef policji paryskiej, był spóźniony na kolację i niektórzy z jego gości przybyli przed nim. Tych jednak podjął jego zaufany służący, Iwan, stary człowiek z blizną i twarzą niemal tak szarą jak jego wąsy, który zawsze siedział przy stoliku w holu wejściowym – holu obwieszonym bronią. Dom Valentina był chyba równie osobliwy i podziwiany, jak jego właściciel. Było to stare domostwo, z wysokimi ścianami i wysokimi topolami, które niemal dochodziły do Sekwany, ale osobliwość – i być może wartość dla policjanta – jego architektury była następująca: nie było z niego innego wyjścia, niż przez drzwi frontowe strzeżone przez Iwana i uzbrojenie. Ogród był duży i zadbane, a z domu prowadziło do niego wiele drzwi. Jednak nie było żadnego wyjścia z ogrodu na świat zewnętrzny – w całości otoczony był wysokim, gładkim murem ze szpikulcami na szczycie. Nie był to chyba zły ogród dla kogoś, kogo zamordować poprzysięgła jakaś setka kryminalistów.

Gdy Iwan przyjmował gości, ich gospodarz zatelefonował, że należy się go spodziewać za dziesięć minut. Prawda była taka, że zajmował się ostatnimi ustaleniami dotyczącymi egzekucji i temu podobnymi okropnymi sprawami, a choć te obowiązki

głęboko go brzydziły, zawsze wykonywał je dokładnie. Bezwzględnie ścigał przestępców, za to był bardzo łagodny w przypadku ich karania. Ponieważ w pracy policyjnej górował nad francuskimi – i w dużej mierze europejskimi – kolegami, miał wielki wpływ na łagodzenie wyroków i oczyszczanie więzień. Był jednym z największych humanitarnych francuskich wolnomyślicieli, a ich jedyną złą cechą jest to, że ich łaska jest jeszcze zimniejsza od sprawiedliwości.

Gdy Valentin przybył, miał już na sobie ciemne ubranie i czerwoną rozetkę – była z niego elegancka postać, z ciemną brodą przetykaną szarością. Przeszedł przez dom prosto do swojego gabinetu, który wychodził na teren za budynkiem. Drzwi do ogrodu były otwarte, a gdy już starannie zamknął swoje służbowe dokumenty w przeznaczonym dla nich miejscu, przez kilka sekund stał w otwartych drzwiach, spoglądając na ogród. Ostry księżyc walczył z burzowymi chmurami, a Valentin przypatrywał się temu z zadumą niezwykłą dla tak naukowej natury jak jego. Być może takie naukowe charaktery mają jakąś zdolność przewidywania czekających ich ogromnych, życiowych problemów. Szybko otrząsnął się z tego tajemniczego nastroju, wiedział bowiem, że jest spóźniony, i że jego goście zaczęli już się pojawiać. Rzut oka do salonu wystarczył, by się przekonać, iż jego najważniejszy gość jeszcze nie przybył. Zobaczył wszystkie pozostałe podpory tego małego przyjęcia. Lorda Gallowaya, ambasadora Anglii – cholerycznego starca z ogorzałą twarzą jak jabłuszko, noszącego błękitną wstęgę Orderu Podwiązki. Zobaczył lady Galloway, chudą i patykowatą, ze srebrnymi włosami oraz twarzą wrażliwą i dumną. Zobaczył jej córkę, lady Margaret Graham, bladą, ładną dziewczynę o elfiej twarzyczce i włosach miedzianej barwy. Zobaczył księżnę Mont St. Michel, czarnooką i bujną, a wraz z nią jej dwie córki, również czarnookie i bujne. Zobaczył doktora Simona, typowego francuskiego naukowca w okularach, z ostrą, brązową brodą i czołem poznaczonym tymi równoległymi bruzdami, które są karą za wyniosłość,

ponieważ powstają na skutek ciągłego unoszenia brwi. Zobaczył ojca Browna z Cobhole w Essex, którego niedawno poznał w Anglii. Zobaczył – być może z większym zainteresowaniem niż w innych przypadkach – wysokiego mężczyznę w mundurze, który kłaniając się państwu Galloway, nie wzbudził jakiejś serdeczniejszej reakcji, i który właśnie zmierzał samotnie, by złożyć wyrazy uszanowania gospodarzowi. Był to komendant O'Brien z Francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Miał szczupłą, choć cokolwiek zawadiacką postać, był gładko ogolony, ciemnowłosy, niebieskooki i, co w przypadku oficera tej słynnej jednostki znanej ze zwycięskich porażek i skutecznych samobójstw wydawało się naturalne, rozłączał aurę jednocześnie awanturniczą i melancholijną. Z urodzenia był irlandzkim dżentelmenem, a w dzieciństwie znał Gallowayów – szczególnie Margaret Graham. Opuścił swój kraj ze względu na długi, a teraz wyrażał swą całkowitą wolność od brytyjskiej etykiety, kołysząc się w mundurze, przy szabli i ostrogach. Gdy ukłonił się przed rodziną ambasadora, lord i lady Galloway skinęli mu sztywno, a lady Margaret odwróciła wzrok.

Jakie by nie były dawne powody, dla których ci młodzi ludzie mogliby być sobą zainteresowani, ich wybitny gospodarz nie był nimi szczególnie zaintrygowany. W każdym razie żadne z nich nie było w jego oczach gościem wieczoru. Valentin ze szczególnych względów oczekiwał człowieka światowej sławy, którego przyjaźń zapewnił sobie podczas jednej ze swoich wielkich detektywistycznych tras i triumfów w Stanach Zjednoczonych. Oczekiwał Juliusa K. Brayne'a, tego multimilionera, którego ogromne darowizny na rzecz małych wspólnot religijnych wywołały tyle podekscytowania w amerykańskich i angielskich gazetach. Nikt nie potrafił ustalić, czy pan Brayne był ateistą, mormonem czy może członkiem Stowarzyszenia Chrześcijańskiej Nauki, był jednak gotów wspomóc gotówką każde przedsięwzięcie naukowe, pod warunkiem, że było to coś absolutnie nowego. Jednym z jego hobby było czekanie na amerykańskiego Szekspira – było to

zajęcie wymagające większej cierpliwości niż wędkowanie. Podziwiał Walta Whitmana, ale uważał, że Luke P. Tanner, z miasta Paris w Pensylwanii, był bardziej „postępowy” niż Whitman kiedykolwiek. Lubił wszystko, co uważał za „postępowe”. Za „postępowego” uważał też Valentina, tym samym wyrządzając mu ponurą niesprawiedliwość.

Wyraźna obecność Juliusa K. Brayne’a w pokoju była tak samo stanowcza jak dzwonek na kolację. Miał taką cechę, którą bardzo niewielu z nas może się pochwalić jego obecność była równie ewidentna, jak nieobecność. Był potężnym mężczyzną, jednakowo grubym jak wysokim, ubranym w smoking, pozbawionym takich kontrastów jak łańcuszek od zegarka albo pierścień. Włosy miał białe i starannie zaczesane do tyłu jak Niemiec; twarz czerwoną, żywą i cherubinkową, z jednym czarnym kosmykiem pod dolną wargą, który zakłócał ten skądinąd dziecięcy wygląd w sposób teatralny i nieledwie szatański. Jednakże goście niedługo ograniczali się do obserwowania fetowanego Amerykanina – jego spóźnienie stało się już problemem domu i pospiesznie został poproszony do jadalni, do której przeszedł, służąc ramieniem lady Galloway.

Z wyjątkiem jednego Gallowayowie byli serdeczni i zwyczajni. Dopóki lady Margaret nie przyjęła ramienia tego awanturnika O’Briena, dopóty jej ojciec był zupełnie zadowolony – a nie zrobiła tego, przyzwyczajona wyszła wraz z doktorem Simonem. Tym niemniej lord Galloway był nerwowy i niemal niegrzeczny. Podczas kolacji był w miarę uprzejmy, ale gdy przy cygarach trzech młodszych mężczyzn – doktor Simon, ksiądz Brown i nieznośny O’Brien, wyrzutek w obcym mundurze – oddaliło się, by porozmawiać z paniami albo zapalić w oranżerii – wówczas ten angielski dyplomata zrobił się wielce niedyplomatyczny. Co chwilę nawiedzała go myśl, że ten drań O’Brien może coś sygnalizować Margaret. Nie pofatygował się wymyślić, w jaki sposób. Przy kawie znalazł się w towarzystwie Brayne’a, tego siwego Jankesa, który wierzył we wszystkie religie, i Valentina, szpakowatego Francuza, który nie wierzył

w żadną. Mogli się spierać ze sobą, ale nic z tego nie odnosiło się do niego. Po jakimś czasie to „postępowe” łapanie za słówka zrobiło się nudne, więc lord Galloway również wstał i zaczął szukać salonu. Przez jakieś sześć czy osiem minut błądził w długich korytarzach, aż usłyszał przenikliwy, pouczający głos doktora, a potem przytłumiony głos księdza, po którym nastąpił wybuch śmiechu. Oni pewnie także spierają się o „naukę i religię”, pomyślał z wściekłością. Ale w chwili gdy otworzył drzwi salonu, zobaczył tylko jedno – to, czego tam nie było. Zobaczył, że komendant O'Brien jest nieobecny i że nieobecna jest też lady Margaret.

Wyszedłszy z salonu tak samo niecierpliwie jak z jadalni, raz jeszcze pomaszerował wzdłuż korytarza. Pragnienie uchronienia córki przed tym irlandzko-algierskim ladaco w jego umyśle zajęło miejsce centralne i doprowadzało go niemal do obłądu. Gdy doszedł na tyły domu, gdzie mieścił się gabinet Valentina, z zaskoczeniem natknął się na swoją córkę, która minęła go z białą, obojętną twarzą, stanowiącą kolejną enigmę. Jeżeli była z O'Brienem, to gdzie był O'Brien? Jeżeli nie była z O'Brienem, to gdzie była? Ze starczą, gorącą podejrzliwością ruszył w stronę ciemnych, tylnych części posiadłości, aż wreszcie natknął się na drzwi dla służby, które wychodziły na ogród. Szabla księżycyca rozerwała już na kawałki i rozpędziła chmury burzowe. Srebrzyste światło zalewało wszystkie zakamarki ogrodu. Przez trawnik w stronę wejścia do gabinetu zmierzała wysoka postać w niebieskim stroju – smuga księżycowego srebra pozwoliła ją rozpoznać jako komendanta O'Briena.

Zniknął za francuskimi drzwiami prowadzącymi do domu. Lord Galloway był w niemożliwym do opisanego nastroju, jednocześnie wściekły i niepewny. Niebiesko-srebrny ogród, jak scena w teatrze, wydawał się szydzić z niego z całą tą tyraniczną czułością, przeciwko której walczył, wykorzystując całą swoją ziemską władzę. Długość i wdzięk kroku Irlandczyka rozwścieczyła go tak, jakby był rywalem, a nie ojcem. Blask księżycyca doprowadzał go do szaleństwa. Był jakby uwięziony za

sprawą magii w ogrodzie trubadurów, w krainie wrózek Watteau^[2], a chcąc otrząsnąć się z tych miłosnych bredni przy pomocy rozmowy, podążył energicznie za swoim wrogiem. Po drodze potknął się o jakiś korzeń czy kamień w trawie. Zerknął pod nogi najpierw z irytacją, a potem z zaciekawieniem. W następnej chwili księżyc i topole były świadkami niezwyklej rzeczy – stary angielski dyplomata gnał przed siebie i wrzeszczał.

Jego ochryple okrzyki przyciągnęły do drzwi gabinetu bladą twarz, lśniąco okulary i zatroskane brwi doktora Simona, który dosłyszał pierwsze słowa szlachcica. Lord Galloway krzychał: „Ciało w trawie – zakrwawione ciało!”. O'Brien całkowicie wywietrzył mu z głowy.

– Musimy zaraz powiedzieć Valentinowi – uznał doktor, gdy Galloway urywanym głosem opisał mu swoje znalezisko. – Całe szczęście, że jest tutaj.

W tej chwili wielki detektyw, przyciągnięty krzykami, wszedł do gabinetu. To było niemal zabawne obserwować jego typową transformację. Wszedł, okazując zwyczajowe zatroskanie gospodarza i dżentelmena, bojąc się, że któryś z jego gości albo służących zachorował. Gdy przekazano mu makabryczną wiadomość, natychmiast stał się ożywiony i rzeczowy. Jakże by to nie było okropne, była to jego praca.

– Dziwne, panowie – rzekł, gdy pośpiesznie wyszli do ogrodu. – Powinienem tropić zagadki po całym świecie, tymczasem jedna pojawia się akurat na moim podwórku. Gdzie to jest?

Tym razem nie pokonali trawnika tak łatwo, jako że znad rzeki zaczęła się unosić lekka mgła, ale pod przewodnictwem roztrzęsionego Gallowaya znaleźli ciało zanurzone w gęstej trawie – ciało bardzo wysokiego mężczyzny o szerokich ramionach. Leżał twarzą w dół, widzieli więc tylko, że poza dwoma brązowymi kosmykami, które zwisały z jego czaszki jak pasma wodorostów, był łysy. Spod twarzy sączył się strumyczek szkarłatnej krwi.

– Przynajmniej – powiedział Simon głębokim i osobliwym

tonem – to nikt z naszego towarzystwa.

– Proszę go zbadać, doktorze – dość ostro zażądał Valentin. – Być może nie jest martwy.

Doktor przykucnął.

– Nie jest całkiem zimny, ale obawiam się, że zdecydowanie nie żyje – odparł. – Proszę mi pomóc go podnieść.

Ostrożnie unieśli go o cal nad ziemią i wszystkie wątpliwości co do tego, czy faktycznie nie żył, rozwiały się natychmiast w przerażający sposób. Głowa odpadła. Była całkowicie oddzielona od ciała. Ktokolwiek poderżnął mu gardło, zdołał również przeciąć mu kark. Nawet Valentin był lekko zaszokowany.

– Musiał być silny jak goryl – mruknął.

Doktor Simon, choć był przyzwyczajony do okazów anatomicznych, z lekkim wzdrygnięciem podniósł głowę. Została odcięta poniżej żuchwy, ale twarz była zasadniczo nietknięta. Była to nalana, żółta twarz, opuchnięta, z orlim nosem i ciężkimi powiekami – twarz nikczemnego rzymskiego cesarza, może z lekką domieszką cesarza Chin. Wszyscy obecni wpatrywali się w nią bez najmniejszego znaku rozpoznania. Niczego więcej nie dało się powiedzieć o tym człowieku poza tym, że gdy unieśli jego ciało, zobaczyli, że na białym gorsie jego koszuli widnieją czerwone ślady krwi. Jak powiedział doktor Simon, nie był to nikt z ich towarzystwa. Ale jako że przybył odziany stosownie do okazji, równie dobrze mógł próbować do niego dołączyć.

Valentin opadł na czworaki i najstaranniej zbadał trawę i ziemię w promieniu około dwudziestu jardów wokół ciała, w czym niezbyt wprawnie pomagali mu doktor oraz angielski lord – ten drugi dość nieprzytomnie. Niczego nie znaleźli, poza kilkoma gałązkami, połamanymi albo pociętymi na bardzo drobne kawałeczki, które Valentin podniósł, by się im bliżej przyjrzeć, a potem wyrzucił.

– Gałązki – powiedział ponuro. – Gałązki i zupełnie obcy człowiek z odciętą głową. To wszystko, co można znaleźć na tym

trawniku.

Panował niemal złowrogi spokój, aż wreszcie odezwał się wytrącony z równowagi Galloway.

– Kto to jest?! Kto tam jest nad murem?!

Niewielka postać z idiotycznie wielką głową rysowała się w księżycowym blasku. Przez chwilę wyglądała jak goblin, ale okazała się być nieszkodliwym małym księdzem, którego zostawili w salonie.

– Mówię – powiedział potulnie – że do tego ogrodu nie ma jak wejść.

Valentin ściągnął czarne brwi, co zresztą na widok sutanny zrobili wszyscy. Ale nie był człowiekiem tego rodzaju, który zaprzeczyłby trafnej uwadze.

– Ma pan rację – przyznał. – Zanim odkryjemy, jak doszło do tego, że ten człowiek został zabity, będziemy musieli ustalić, skąd się tutaj wziął. Panowie, proszę mnie posłuchać. Jeśli można to zrobić bez uszczerbku dla mojej pozycji i obowiązków, zgodzimy się chyba wszyscy, że lepiej, by pewne szacowne nazwiska nie były z tym łączone. Są tutaj damy, szlachcice oraz ambasador obcego państwa. Jeśli trzeba będzie to zgłosić jako przestępstwo, to trudno. Jednak do tego czasu zamierzam zachować dyskrecję. Jestem szefem policji – osobą tak publiczną, że mogę sobie pozwolić na działania prywatne. Jak Bóg da, oczyszczę z podejrzeń wszystkich moich gości i dopiero wezwę swoich ludzi, by szukali winnego. Panowie, zaklinam was na honor, by do południa jutrzejszego dnia nikt nie opuszczał tego domostwa. Są tutaj sypialnie dla wszystkich. Simon, przypuszczam, że wie pan, gdzie znaleźć mojego służącego, Iwana. W holu wejściowym. To zaufany człowiek. Proszę mu powiedzieć, aby postawił na straży innego sługę i zaraz do mnie przyszedł. Lordzie Galloway, pan z pewnością jest najbardziej odpowiednią osobą, by przekazać damom, co się stało, i zapobiec wybuchowi paniki. One również muszą zostać. Ojciec Brown i ja przypilnujemy zwłok.

Gdy w Valentinie budził się ten duch przywództwa, podrywał

ludzi do działania jak trąbka sygnałowa. Doktor Simon poszedł do zbrojowni i przysłał Iwana, prywatnego detektywa detektywa zawodowego. Galloway poszedł do salonu i przekazał okropne wieści w sposób dość taktowny, więc do czasu, gdy towarzystwo tam dotarło, panie były podekscytowane, ale już spokojne. Tymczasem dobry ksiądz oraz dobry ateista stanęli u stóp i przy głowie martwego mężczyzny i czekali nieporuszeni w świetle księżyca, jak symboliczne posągi dwóch filozofów śmierci.

Iwan, zaufany człowiek z blizną i wąsami, wypadł z domu jak kula armatnia i podbiegł przez trawnik do Valentina jak pies do swojego pana. Jego żywa twarz była poruszona tą domową sprawą detektywistyczną i z niemal nieprzyjemną gorliwością spytał swojego pracodawcę o pozwolenie na zbadanie ciała.

– Tak, Iwanie, spójrz, jeśli masz ochotę – powiedział Valentin.
– Ale nie guzdraj się. Musimy pozbyć się tego z domu.

Iwan podniósł głowę, a potem prawie pozwolił jej upaść.

– Ależ... – sapnął. – To jest... nie, nie jest... to nie może być. Sir, czy zna pan tego człowieka?

– Nie – obojętnie odparł Valentin. – Lepiej chodźmy do środka.

Wspólnymi siłami przenieśli ciało na sofę w gabinecie, a potem wszyscy udali się do salonu.

Detektyw cicho i bez wahania usiadł za biurkiem, jednak jego wzrok był stalowym wzrokiem sędziego podczas rozprawy. Zrobił kilka szybkich notatek na leżącej przed nim kartce papieru.

– Wszyscy są tutaj? – zapytał krótko.

– Nie ma pana Brayne'a – powiedziała księżna Mont St. Michel, rozglądając się dookoła.

– Nie – potwierdził lord Galloway ochrypniętym głosem. – Ani pana Neila O'Briena. Tego dżentelmena widziałem, jak chodził po ogrodzie, gdy ciało było jeszcze ciepłe.

– Iwanie – powiedział detektyw. – Idź i poszukaj komendanta O'Briena i pana Brayne'a. Pan Brayne kończy cygaro w jadalni. Komendant O'Brien, jak przypuszczam, spaceruje po cieplarni.

Nie jestem pewien.

Wierny pomocnik wyszedł szybkim krokiem z pomieszczenia, a zanim ktokolwiek się ruszył albo odezwał, Valentin kontynuował z tą samą wojskową pewnością siebie:

– Wszyscy tu państwo wiedzą, że w ogrodzie zostały znalezione zwłoki mężczyzny, któremu odcięto głowę. Doktorze Simon, pan je zbadał. Jak pan sądzi, czy do tego, by w taki sposób poderżnąć człowiekowi gardło, trzeba wielkiej siły? Czy może tylko bardzo ostrego noża?

– Powiedziałbym, że nie da się tego zrobić nożem – odparł poblady doktor.

– Ma pan jakieś przypuszczenia – podjął Valentin – jakie narzędzie mogło zostać użyte?

– Trzymając się w obrębie współczesnych możliwości, naprawdę nie wiem – przyznał doktor, unosząc gęste brwi. – Nie jest łatwo przeciąć kark nawet niechlujnie, a to było bardzo czyste cięcie. Dałoby się to zrobić toporem bojowym albo toporem katowskim, albo starym, dwuręcznym mieczem.

– Ależ, na Boga! – wykrzyknęła księżna bliska hysterii. – Przecież tu nie ma żadnych dwuręcznych mieczy ani toporów bojowych!

Valentin wciąż coś notował.

– Proszę mi powiedzieć – rzekł, nadal pisząc pospiesznie – czy dałoby się to zrobić długą, francuską szablą kawaleryjską?

Od drzwi dobiegło powolne stukanie, które z jakiegoś niejasnego powodu zmroziło wszystkim krew w żyłach.

– Szabla... Tak, przypuszczam, że to możliwe – pośród martwej ciszy zdołał wydusić doktor Simon.

– Dziękuję – powiedział Valentin. – Wejdz, Iwanie.

Zaufany Iwan otworzył drzwi i wpuścił komendanta Neila O'Briena, którego w końcu znalazł, jak znowu spacerował po ogrodzie.

Irlandzki oficer stał w progu, rozchełstany i wyzywający.

– Proszę spocząć – powiedział Valentin uprzejmym, łagodnym tonem. – O, nie ma pan swojej szabli. Co się z nią stało?

– Zostawiłem ją na stole w bibliotece – wyjaśnił O'Brien. Jego regionalny akcent pogłębił się z niepokojem. – Zawadzała mi, ciągle...

– Iwanie – przerwał mu Valentin – idź, proszę, do biblioteki i przynieś szablę komendanta.

Sługa wyszedł.

– Lord Galloway mówi, że widział pana, jak wychodził pan z ogrodu tuż przed znalezieniem ciała – powiedział Valentin. – Co pan tam robił?

Komendant opadł niedbale na fotel.

– Och! Żem podziwiał księżyc! Łączył żem się z naturą, jak rany! – wykrzyknął w czystym irlandzkim.

Zapadła ciężka, przedłużająca się cisza, aż wreszcie znowu rozległo się trywialne i okropne pukanie. Ponownie pojawił się Iwan, niosąc pustą, metalową pochwę.

– Tylko to znalazłem – oświadczył.

– Połóż ją na stole – polecił Valentin, nie podnosząc wzroku.

W pomieszczeniu panowała nieludzka cisza, rozlewając się jak morze wokół doku przeklętego mordercy. Słabe okrzyki księżnej dawno już ucichły. Lord Galloway, puchnący z nienawiści, był zadowolony, a nawet wytrzeźwiał. Głos, który się rozległ, był więc raczej nieoczekiwany.

– Chyba mogę państwu powiedzieć – odezwała się lady Margaret tym czystym, drżącym głosem, którym odważne kobiety przemawiają publicznie – co komendant O'Brien robił w ogrodzie, skoro on zobowiązany jest do milczenia. Prosił mnie o rękę. Odmówiłam. Wyjaśniłam, że w mojej sytuacji rodzinnej mogę mu zaoferować wyłącznie swój szacunek. Był nieco rozgniewany z tego powodu; raczej nie przejmował się szczególnie moim szacunkiem. Zastanawiam się – dodała z raczej słabym uśmiechem – czy teraz w ogóle się nim przejmuje. Ponieważ teraz mu go oferuję. Przysięgnę, że tego nie zrobił.

Lord Galloway pochylił się nad córką i łajał ją tonem, który zdaje się uważał za półgłos:

– Licz się ze słowami, Maggie – powiedział grzmiącym szeptem. – Dlaczego miałybyś chronić tego osobnika? Gdzie jest jego szabla? Gdzie ta jego przeklęta, kawaleryjska...

Przerwał, ponieważ szczególne spojrzenie, jakie wbijała w niego córka, stanowiło wręcz magnes dla spojrzeń całej grupy.

– Ty stary durniu! – odparła cichym głosem pozbawionym choćby cienia pokory. – Czego niby próbujesz dowieść? Mówię ci, że ten człowiek jest niewinny, ponieważ był wtedy ze mną. A jeśli jednak jest winny, cóż, i tak był wtedy ze mną. Jeżeli zamordował w ogrodzie człowieka, któż musiał to widzieć, któż musiał być świadom...? Czy nienawidzisz Neila do tego stopnia, że jesteś gotów poświęcić własną córkę...

Lady Galloway wrzasnęła. Wszyscy inni siedzieli przejęci dreszczem w obliczu tej diabelskiej tragedii, która pojawiła się między kochankami. Ujrzeni dumną, białą twarz szkockiej arystokratki i jej ukochanego, irlandzkiego awanturnika, jak stare portrety w ciemnym domu. Długa cisza pełna była bezkształtnych, historycznych wspomnień o zamordowanych mężach i otrutych kochankach.

W centrum tej zabójczej ciszy rozległ się niewinny głos.

– Czy to było bardzo długie cygaro?

Zmiana tematu była tak gwałtowna, że musieli się rozejrzeć za tym, kto to powiedział.

– To znaczy... – z rogu pokoju powiedział ojciec Brown. – To znaczy to cygaro, które kończy pan Brayne. Wygląda na to, że jest praktycznie długości laski.

Valentin uniósł głowę, a pomimo nieistotności tej uwagi na jego zirytowanej twarzy malowała się zgoda.

– Racja – przyznał zdecydowanie. – Iwanie, idź i zajrzyj raz jeszcze do pana Brayne'a. Przyrowadź go tu natychmiast.

W chwili, gdy za służącym zamknęły się drzwi, Valentin z nowym zainteresowaniem zwrócił się do dziewczyny:

– Lady Margaret – powiedział – jestem pewien, że wszyscy czujemy zarówno wdzięczność, jak i podziw dla pani, jako że

zdołała pani wznieść się ponad własną godność i wytłumaczyć zachowanie komendanta. Jednakże tu nadal jest luka. Jak rozumiem, lord Galloway natknął się na panią, gdy szła pani z gabinetu do salonu, i tylko kilka minut później znalazł się w ogrodzie i zastał tam pana komendanta.

– Musi pan pamiętać – odpowiedziała Margaret z lekką ironią w głosie – że właśnie mu odmówiłam, więc raczej nie można było oczekiwać, że wrócimy ramię w ramię. Pan O'Brien jest dżentelmenem – zaczekał z tyłu i w ten sposób został zamieszany w morderstwo.

– Przez tych kilka chwil – posępnie powiedział Valentin – naprawdę mógłby...

Znowu rozległo się pukanie i pojawiła się pocięta twarz Iwana.

– Proszę o wybaczenie, sir – powiedział – ale pan Brayne opuścił dom.

– Opuścił! – krzyknął Valentin i po raz pierwszy się poderwał.

– Wszedł. Czmychnął. Zniknął – odparł Iwan w zabawnej francuszczyźnie. – Nie ma też jego kapelusza i płaszcza, i powiem panu coś jeszcze. Wybiegłem z domu, by poszukać jakichś jego śladów i znalazłem jeden. I to wyraźny.

– Co masz na myśli? – zapytał Valentin.

– Pokażę panu – odpowiedział służący i pojawił się ponownie z połyskującą, nagą szablą kawaleryjską, na ostrzu i czubku pomazaną krwią. Wszyscy w pomieszczeniu wpatrywali się w nią, jakby to był grom Zeusowy, ale doświadczony Iwan mówił dalej, dość cicho:

– Znalazłem ją – powiedział – ciśniętą w krzaki pięćdziesiąt jardów w górę drogi do Paryża. Innymi słowy znalazłem ją dokładnie tam, gdzie szacowny pan Brayne rzucił ją, uciekając.

Znowu zapadła cisza, ale innego rodzaju. Valentin ujął szablę, obejrzał ją, zadumał się głęboko, a potem zwrócił pełną szacunku twarz w stronę O'Briena.

– Komendancie – powiedział – ufamy, że w razie konieczności w każdej chwili okaże pan tę broń policji w celu oględzin. Tymczasem – dodał, wsuwając ostrze na powrót

w podzwaniającą pochwę – pozwolę sobie zwrócić panu pańską szablę.

Militarny symbolizm tego gestu był tak wymowny, że zgromadzeni z trudem powstrzymali się od oklasków.

Dla Neila O'Briena ten gest w istocie był życiowym punktem zwrotnym. Do chwili, gdy w świetle budzącego się świtu krążył znów po tajemniczym ogrodzie, opadła z niego tragiczna bezcelowość jego życia. Był człowiekiem mającym wiele powodów, aby czuć się szczęśliwym. Lord Galloway był dżentelmenem i przeprosił go. Lady Margaret była kimś lepszym od arystokratki, a przynajmniej kobiety, i gdy przed śniadaniem spacerowali pośród starych klombów, ofiarowała mu być może coś lepszego od przeprosin. Całe towarzystwo było bardziej radosne i ludzkie, a choć nadal wisiała nad nimi zagadkowa śmierć, zostali całkowicie oczyszczeni z podejrzeń, które przeniosły się do Paryża wraz z pewnym dziwnym milionerem – człowiekiem, którego ledwie znał. Diabeł został wyrzucony z tego domu – wyrzucił się sam.

Zagadka jednak pozostała. Gdy O'Brien przysiadł na ławce ogrodowej obok doktora Simona, ten wielce oddany nauce człowiek od razu do niej wrócił. W O'Brienie nie miał najlepszego partnera do rozmowy, ten zajęty był bowiem przyjemniejszymi myślami.

– Nie powiem, żeby mnie to szczególnie interesowało – szczerze przyznał się Irlandczyk – zwłaszcza, że w tej chwili wygląda to na dość oczywiste. Najwyraźniej Brayne z jakiegoś powodu nienawidził tego człowieka, zwabił go do ogrodu i zabił moją szablą. Potem uciekł do miasta, po drodze wyrzucając ostrze. Przy okazji, Iwan mówi, że ten zamordowany mężczyzna miał w kieszeni jankeskiego dolara. Był więc ziomkiem Brayne'a i to chyba pasuje. Nie widzę w tym nic trudnego.

– Tu są kolosalne trudności – cicho odpowiedział doktor. – Jak choćby wysokie mury. Niech mi pan nie myli. Nie wątpię, że Brayne to zrobił – uważam, że jego ucieczka tego dowodzi. Ale co do tego, w jaki sposób to zrobił... Pierwsza trudność: po

co ktokolwiek miałby zabijać człowieka przy użyciu wielkiej i nieporęcznej szabli, skoro mógłby go zabić nożem i schować go do kieszeni? Druga trudność: dlaczego nie było żadnego hałasu ani krzyku? Czy często widuje się człowieka wymachującego bułatem i nie zwraca na to uwagi? Trzecia trudność: przez cały wieczór służący pilnował frontowych drzwi, a do ogrodu Valentina nie wślizgnęłaby się nawet mysz. W jaki sposób ten zamordowany człowiek dostał się do tego ogrodu? Czwarta trudność: biorąc pod uwagę te same kwestie, w jaki sposób Brayne wydostał się z ogrodu?

– I piąta – powiedział Neil, wpatrując się w angielskiego księdza, który powoli nadchodził ścieżką.

– To chyba żart – powiedział doktor – ale uważam, że raczej dziwny. Gdy zobaczyłem, w jaki sposób ta głowa została odcięta, założyłem, że zabójca musiał uderzyć więcej niż raz. Ale podczas badania znalazłem wiele nacięć na przeciętej części. Innymi słowy, znalazły się tam już po tym, jak głowa została odcięta. Czy Brayne nienawidził swego przeciwnika tak żywo, że stał w świetle księżyca i szatkował jego ciało?

– Potworne! – przyznał O'Brien i wzdrygnął się.

Gdy rozmawiali, pojawił się ten mały ksiądz, Brown, który z charakterystyczną nieśmiałością zaczekał, aż skończą.

– Bardzo przepraszam, że przeszkadzam – powiedział niezręcznie – jednak wysłano mnie z nowinami!

– Nowinami? – powtórzył Simon i popatrzył na niego uważnie przez szkła okularów.

– Tak, bardzo mi przykro – łagodnie powiedział ojciec Brown.

– Rozumieją panowie, było kolejne morderstwo.

Obaj mężczyźni poderwali się, wprawiając ławkę w dygot.

– A co jeszcze dziwniejsze – kontynuował ksiądz, pochmurnie wpatrując się w rododendrony – równie paskudne. Kolejna dekapitacja. Gdy znaleziono tę drugą głowę na brzegu rzeki, kilka jardów od drogi Brayne'a do Paryża, jeszcze krwawiła. Przypuszczają więc, że on...

– Wielkie nieba! – wykrzyknął O'Brien. – Czyżby Brayne był

monomaniakiem?

– Istnieje coś takiego jak amerykańskie vendetty – niewzruszenie powiedział ksiądz. – Chcą, żeby panowie przyszli do biblioteki i spojrzeli na to – dodał.

Komendant O'Brien podążył za innymi na oględziny zwłok, choć było mu zdecydowanie niedobrze. Jako żołnierz skrycie brzydził się tą tajemniczą rzezią. Kiedy skończą się te ekstrawaganckie dekapitacje? Najpierw jedna odcięta głowa, potem druga... W tym przypadku (powiedział gorzko do siebie) nieprawdą było, że co dwie głowy, to nie jedna. Gdy przeszedł przez gabinet, niemal się zatoczył. Na biurku Valentina leżała pokolorowana podobizna już trzeciej krwawiącej głowy, a była to głowa samego Valentina. Kolejny rzut oka powiedział mu, że to tylko nacjonalistyczna gazeta o tytule „Gilotyna”, która co tydzień pokazywała kogoś ze swoich politycznych oponentów z wywróconymi oczami i rysami wykrzywionymi po niedawnej egzekucji. Valentin był swego rodzaju antyklerykałem. Ale O'Brien był Irlandczykiem i była w nim pewna czystość nawet pomimo jego grzechów. Gardło zaciskało mu się na myśl o tak wielkiej brutalności intelektu przynależnego wyłącznie Francji. Odbierał Paryż jako całość – od groteskowości gotyckich kościołów po grubiańskie karykatury w gazetach. Pamiętał gigantyczne kpiny Rewolucji. Całe miasto postrzegał jako jedną, obrzydliwą energię, od krwiożerczego szkicu leżącego na biurku Valentina aż po niebo, gdzie ponad górami i lasami gargulców na katedrze Notre Dame wykrzywiał się wielki diabeł.

Biblioteka była długim, niskim i ciemnym pomieszczeniem. Światło wpadało do niej przez przymknięte okiennice i wciąż miało czerwonawe zabarwienie poranka. Valentin i jego sługa Iwan czekali na nich u górnego brzegu długiego, lekko pochylego pulpitu, na którym spoczywały doczesne szczątki, w półmroku zdające się być olbrzymie. Wielka, czarna postać i żółta twarz człowieka znalezionego w ogrodzie wydawała im się zasadniczo niezmienna. Druga głowa, która tego ranka została wyłowiona z nadržecznego sitowia, ociekała, leżąc obok.

Ludzie Valentina nadal szukali reszty ciała, które przypuszczalnie zatoneło. Ojciec Brown nie wyglądał na tak wrażliwego jak O'Brien, podszedł do drugiej głowy i mrugając, obejrzał ją dokładnie. Zwieńczona była pękiem białych włosów, które w czerwonym i stonowanym świetle poranka płonęły srebrzyście. Twarz, która wydawała się należeć do paskudnego, zaczerwienionego i być może przestępczego typu, unosząc się w wodzie, mocno poobijała się o gałęzie i kamienie.

– Dzień dobry, komendancie O'Brien – powiedział Valentin z cichą serdecznością. – Zapewne słyszał pan o ostatnim rzeźnickim eksperymencie Brayne'a?

Ojciec Brown nadal pochylał się nad białowłosą głową.

– Sądzę, że uznaje się za pewnik, że tę głowę również obciął Brayne – powiedział, nie unosząc wzroku.

– Cóż, tak się wydaje – przyznał Valentin z rękami w kieszeniach. – Zamordowany w taki sam sposób jak ten drugi. Znaleziony kilka jardów dalej. I ścięty tym samym narzędziem, o którym wiemy, że je miał.

– Tak, tak, wiem – odparł pokornie ojciec Brown. – Jednakże, rozumie pan, wątpię, czy to Brayne obciął również tę głowę.

– Dlaczegoż by nie? – spytał rozsądnie doktor Simon.

– Cóż, doktorze – powiedział ksiądz, unosząc wzrok i mrugając – czy człowiek jest w stanie odciąć własną głowę? Nie jestem przekonany.

O'Brien poczuł się tak, jakby niebo spadło mu na głowę. Doktor skoczył naprzód z impetem i odsunął białe, mokre włosy.

– Och, to bez wątpienia Brayne – cicho powiedział ksiądz. – Ma ten charakterystyczny wżer na lewym uchu.

Detektyw przyglądał się księdzu spokojnymi i błyszczącymi oczami.

– Zdaje się, że wiele pan o nim wie, ojciec Brown – powiedział ostro.

– Owszem – z prostotą odparł mały ksiądz. – Spędziłem z nim kilka tygodni. Myślał o wstąpieniu do naszego kościoła.

W oczach Valentina pojawił się fanatyczny błysk. Z zaciśniętymi pięściami ruszył w stronę księdza.

– A może – krzyknął napastliwie – myślał jeszcze o tym, żeby pańskiemu kościołowi zostawić wszystkie swoje pieniądze?

– Może i tak – niewzruszenie odpowiedział ksiądz Brown. – To możliwe.

– W takim razie – z okropnym uśmiechem wycodził Valentin – istotnie może pan wiele o nim wiedzieć. O jego życiu i o jego...

Komendant O'Brien położył Valentinowi rękę na ramieniu.

– Valentin, proszę porzucić te oszczercze brednie – powiedział.
– Bo szabla znowu będzie w robocie.

Ale Valentin (pod spokojnym, szczerym spojrzeniem księdza) już odzyskał panowanie nad sobą.

– Cóż – powiedział krótko – prywatne opinie mogą zaczekać. Panowie nadal są zobowiązani do pozostania na miejscu – muszą to panowie przeforsować na sobie i innych. Obecny tutaj Iwan powie panom wszystko, czego zechcecie się dowiedzieć. Ja muszę wracać do pracy i napisać do władz. Nie możemy dłużej trzymać tego w tajemnicy. Gdyby nadeszły jakieś wieści, będę w swoim gabinecie.

– Iwanie, są jakieś dalsze wieści? – zapytał doktor Simon, gdy szef policji wymaszerował z pokoju.

– Chyba tylko jedna, sir – odparł Iwan, marszcząc swoją szarą, starą twarz – ale na swój sposób równie ważna. Ten stary grzyb, którego znaleźli panowie na trawniku... – Bez odrobiny szacunku wskazał na wielkie, czarne ciało z żółtą głową. – Dowiedzieliśmy się, kto to taki.

– Coś takiego! – zakrzyknął zaskoczony doktor. – I kto to jest?

– Nazywa się Arnold Becker – powiedział pomocnik detektywa – choć znany był pod wieloma pseudonimami. Szwendał się tu i tam i wiadomo, że był w Ameryce – tam właśnie Brayne wraził w niego nóż. Sami niewiele mieliśmy z nim do czynienia, bo działał głównie w Niemczech. Oczywiście komunikowaliśmy się z niemiecką policją. Ale, co ciekawe, miał brata bliźniaka, Louisa Beckera, z którym do czynienia mieliśmy całkiem sporo.

W gruncie rzeczy wczoraj trafił na gilotynę. Cóż, panowie, to dziwaczne, ale gdy zobaczyłem tego gościa na trawniku, o mało nie wyskoczyłem ze skóry. Gdybym na własne oczy nie widział Louisa Beckera na gilotynie, przysięgłbym, że to właśnie on leży na trawie. Potem oczywiście przypomniałem sobie o jego bliźniaczym bracie w Niemczech i poszedłem za tą wskazówką...

Iwan przerwał wyjaśnienia z tego oczywistego powodu, że nikt go nie słuchał. Komendant i doktor wpatrywali się w ojca Browna, który poderwał się sztywno i palce przyciskał do skroni jak człowiek, którego dotknął nagły i przemożny ból.

– Stop, stop, stop! – zawołał. – Proszę na chwilę przestać mówić, bo nie mogę dostrzec całości. Czy Bóg da mi siłę? Czy mój mózg zaskoczy i pojmę wszystko? Niebiosa, pomocy! Byłem całkiem niezły w myśleniu. Potrafiłem od razu sparafrazować dowolną stronę z Tomasza z Akwinu. Czy głowa mi eksploduje – czy zrozumieć? Rozumiem tylko część... Rozumiem tylko część.

Ukrył głowę w dłoniach i stał pogrążony w jakiejś ciężkiej torturze myśli czy modlitwy, podczas gdy pozostała trójka mogła tylko patrzeć na ten ostatni cud w ciągu obłąkanych dwunastu godzin.

Gdy ojciec Brown opuścił ręce, ujrzeli twarz odświeżoną i poważną jak twarz dziecka. Ksiądz westchnął potężnie.

– Załatwmy to możliwie szybko – powiedział. – Proszę, to będzie najszybszy sposób, żeby przekonać panów do prawdy. – Odwrócił się do doktora. – Doktorze Simon – powiedział – pan ma zdrowy rozum, a dziś rano słyszałem, jak zadał pan pięć bardzo konkretnych pytań odnośnie do tej sprawy. Cóż, jeżeli zada je pan raz jeszcze, odpowiem na nie.

Pince-nez Simona spadły mu z nosa – tak się zdziwił, ale odpowiedział natychmiast.

– Cóż, pierwsze pytanie brzmiało, jak pan wie, dlaczego ktoś miałby zabijać człowieka szablą, skoro można go zabić nożem?

– Nie da się odciąć ludzkiej głowy nożem – spokojnie odparł Brown – a w przypadku tego morderstwa odcięcie głowy było absolutnie niezbędne.

- Dlaczego? – zapytał zaintrygowany O'Brien.
- A następne pytanie? – Ojciec Brown go zignorował.
- Cóż, dlaczego ten człowiek nie krzyknął ani nic? – spytał doktor. – Szable są raczej niespotykane w ogrodach.
- Gałązki – markotnie odparł ksiądz i odwrócił się do okna, które wychodziło na scenę zbrodni. – Nikt nie dostrzegł sensu w tych gałązkach. Dlaczego leżały na trawniku, tak daleko od jakiegokolwiek drzewa? Nie były połamane – były pocięte. Morderca zajmował przeciwnika jakimiś sztuczkami z szablą, pokazując, jak można przeciąć gałąź w powietrzu. Potem, gdy przeciwnik pochylił się, żeby obejrzeć rezultat, ciche cięcie i głowa spada.
- Cóż – powoli rzekł doktor – to się wydaje wcale prawdopodobne. Ale moje dwa następne pytania zbiją z tropu każdego.
- Ksiądz nadal stał, krytycznie wyglądając przez okno, i czekał.
- Wie pan, że cały ogród jest szczelnie ogrodzony jak komora hermetyczna – mówił doktor. – W jaki więc sposób dostałby się do niego ktoś obcy?
- W ogrodzie nigdy nie było nikogo obcego – odpowiedział mały ksiądz, nie odwracając się.
- Zapadła cisza, którą przerwał nagły wybuch niemal dziecinnego śmiechu. Absurdalność uwagi Browna skłoniła Iwana do otwartej drwiny.
- Och! – wykrzyknął. – Czyli że poprzedniej nocy nie zawlekliśmy na sofę wielkiego, tłustego cielska? Pewnie wcale nie było go w ogrodzie?
- W ogrodzie? – z namysłem powtórzył ojciec Brown. – Nie, niezupełnie.
- A niech to! – zawołał Simon. – Człowiek albo jest w ogrodzie, albo go nie ma.
- Niekoniecznie – odparł ksiądz ze słabym uśmiechem. – Jakie jest pańskie następne pytanie, doktorze?
- Pan się chyba źle czuje – ostro powiedział doktor Simon. – Ale zadam kolejne pytanie, skoro pan sobie życzy. W jaki

sposób Brayne wydostał się z ogrodu?

– Nie wyszedł z ogrodu – odpowiedział ksiądz, wciąż patrząc przez okno.

– Nie wyszedł z ogrodu? – wybuchł Simon.

– Niezupełnie – potwierdził ojciec Brown.

Simon potrząsnął pięściami, doprowadzony do szału francuską logiką.

– Człowiek albo wychodzi z ogrodu, albo nie – wrzasnął.

– Nie zawsze – zaproponował ojciec Brown.

Doktor Simon zniecierpliwiony poderwał się na nogi.

– Nie mam czasu na tak pozbawione sensu rozmowy – wykrzyknął rozgniewany. – Jeżeli nie potrafi pan pojąć, że człowiek może być albo z jednej, albo z drugiej strony muru, nie będę pana dłużej kłopotał.

– Doktorze – bardzo łagodnie powiedział ksiądz – zawsze bardzo przyjemnie nam się rozmawiało. Przez wzgląd na naszą starą przyjaźń, proszę przestać i zadać mi pańskie piąte pytanie.

Miotający się ze zniecierpliwienia Simon opadł na fotel przy drzwiach.

– Głowa i ramiona były pocięte w dziwny sposób – powiedział krótko. – Jakby już po śmierci.

– Tak – przyznał ksiądz, stojąc bez ruchu. – Zrobiono to po to, by doprowadzić właśnie do tych fałszywych wniosków. Zrobiono to po to, by założyć bez cienia wątpliwości, że ta głowa należała do tego właśnie ciała.

Puste połączenie umysłu, w których czały się potwory, poruszyły się okropnie w Irlandczyku O'Brienie. Poczłł chaotyczną obecność wszystkich tych ludzi-koni i kobiet-ryb, zrodzonych w ludzkiej wyobraźni. Do ucha zdawał się szeptać mu głos starszy niż głos jego pierwszych ojców: „Trzymaj się z dala od tego potwornego ogrodu, gdzie rośnie drzewo wiadomości dobrego i złego. Unikaj diabelskiego ogrodu, gdzie zginął człowiek o dwóch głowach”. Jednakże gdy te żałosne, symboliczne kształty przemykały przez starożytne zwierciadło

jego irlandzkiej duszy, jego zromanizowany intelekt był mocno pobudzony i obserwował dziwnego księdza równie uważnie i niedowierzająco jak pozostali.

Ojciec Brown wreszcie się odwrócił i stanął przy oknie z twarzą ukrytą w głębokim cieniu – ale nawet w tym cieniu widzieli, że była blada jak popiół. Tym niemniej odezwał się całkiem rozsądnie, jakby na ziemi nie było żadnych gaelickich dusz.

– Panowie – powiedział – w ogrodzie nie znaleźliście ciała Beckera. W ogrodzie nie znaleźliście ciała nikogo obcego. W obliczu racjonalizmu doktora Simona wciąż twierdzę, że Becker był obecny tylko częściowo. Spójrzcie tylko! – Pokazał na czarny korpus tajemniczego ciała. – Nigdy w życiu nie widzieliście tego człowieka. Widzieliście go kiedykolwiek?

Gwałtownie odciągnął łysą, żółtą głowę obcego, a na jej miejsce przytknął głowę z białymi włosami. Patrzyli na całe, kompletne, nie do pomylenia z nikiem ciało Juliusa K. Brayne'a.

– Morderca – cicho kontynuował Brown – odciął swojemu przeciwnikowi głowę i przerzucił szablę nad murem. Był jednak zbyt sprytny, by przerzucić samą szablę. Ponad murem cisnął także głowę. Potem musiał tylko dołożyć do ciała inną głowę i (ponieważ nalegał na prywatne dochodzenie) wszyscy wyobraziliście sobie całkiem nowego człowieka.

– Dołożył inną głowę! – wykrzyknął O'Brien, wytrzeszczając oczy. – Jaką inną głowę? Głowy nie rosną na drzewach, zgadza się?

– Nie – szorstko przyznał ojciec Brown i spojrzał na swoje buty. – Rosną tylko w jednym miejscu. W koszu pod gilotyną, przy której szef policji, Aristide Valentin, stał ledwie na godzinę przed morderstwem. Och, przyjaciele, wysłuchajcie mnie, zanim rozedrziecie mnie na strzępy. Valentin to uczciwy człowiek, o ile bycie szaleńcem w imię słusznej sprawy jest uczciwością. Ale czy nigdy nie dostrzegliście w tych jego zimnych, szarych oczach, że jest szaleńcem?! Zrobi wszystko – wszystko! – by przełamać to, co nazywa przesądem Krzyża.

Walczył za to i głodował, a teraz za tę sprawę popełnił morderstwo. Brayne jak dotąd swoje miliony rozdzielił pomiędzy tyle sekt, że było to bez znaczenia dla równowagi rzeczy. Jednak do Valentina dotarła wieść, że Brayne, podobnie jak wielu zagubionych sceptyków, ciąży w naszą stronę, a to już była inna sprawa. Brayne wspomógłby zubożały i wojowniczy Kościół Francji, wspomógłby sześć nacjonalistycznych gazet pokroju „Gilotyny”. Bitwa już balansowała na granicy, a ten fanatyk zaryzykował wzniecenie płomienia. Postanowił zniszczyć tego milionera i zrobił to tak, jak można by się spodziewać po największym z detektywów popełniającym swoją jedyną zbrodnię. Zabrał odciętą głowę Beckera pod jakimś kryminologicznym pretekstem i przyniósł ją do domu. Miał tę swoją ostatnią kłótnię z Brayne’em, której zakończenia nie dosłyszał lord Galloway. Wyprowadził go do zamkniętego ogrodu, rozmawiał o szermierce, używając szabli i gałązek do ilustracji, i...

Iwan poderwał się.

– Ty obłąkańcu – ryknął. – Marsz do mojego pana albo sam cię...

– Ależ nie trzeba, właśnie do niego szedłem – ciężko odparł Brown. – Muszę go prosić, by się przyznał, to wszystko.

Prowadzili przed sobą nieszczęśliwego Browna jak zakładnika albo ofiarę, po czym weszli w nagłą martwotę gabinetu Valentina.

Wielki detektyw siedział przy swoim biurku najwyraźniej zbyt zajęty, żeby usłyszeć ich wzburzone wejście. Zatrzymali się na chwilę, a potem coś w spojrzeniu tego wyprostowanego i eleganckiego człowieka sprawiło, że doktor nagle do niego podbiegł. Natychmiast odkrył obecność przy łokciu Valentina małego pudełka z pigułkami i zrozumiał, że Valentin zmarł w swoim fotelu. Na niewidzącej twarzy samobójcy widniała duma większa niż Katona^[3].

[2] Jean-Antoine Watteau (1684–1721) – francuski malarz, rysownik i rytownik, prekursor i czołowy przedstawiciel francuskiego rokoka, twórca nowego gatunku malarskiego *fête galante*.

[3] Przepuszczalnie chodzi tu o Katona Młodszeo (95–46 p.n.e.), polityka i filozofa rzymskiego, znanego z prawości i uczciwości. Po klęsce pod Tapsus, gdzie współdowodził wojskami senackimi, popełnił w Utyce samobójstwo, gdyż nie chciał być świadkiem upadku republiki, której był nieprzejednanym orędownikiem.

NIEWIDZIALNY CZŁOWIEK

W chłodnym, błękitnym mroku dwóch stromych uliczek w Camden Town sklep na rogu, cukiernia, jarzył się jak czubek cygara. Ktoś powiedziałby może, że jak fajerwerk, bo światło było wielobarwne i całkiem złożone, rozbite przez wiele lusterek, tańczące na złocistych i kolorowych ciastach oraz słodyczach. Do tej rozświetlonej witryny przyklejali nosy ulicznicy, bo wszystkie czekoladki były owinięte w czerwone, złote i zielone metaliczne papierki, które były prawie lepsze od samych czekoladek, a ogromny biały tort weselny w oknie był w jakiś sposób jednocześnie niedostępny i satysfakcjonujący, jakby cały biegun północny nadawał się do jedzenia. Takie tęcze prowokacje naturalnie przyciągały młodzików z całej okolicy, aż po dziesięcio- i dwunastolatków. Jednak ten róg był atrakcyjny także dla starszej młodzieży. Pewien młodzieniec, co najmniej dwudziestoczteroletni, wpatrywał się w tę samą sklepową witrynę. Dla niego również sklep miał nieodparty wdzięk, jednak tego przyciągania nie tłumaczyły same czekoladki.

Był to wysoki, mocnej budowy, rudowłosy młody człowiek o zdecydowanej twarzy, ale apatycznym sposobie bycia. Pod pachą trzymał płaską szarą teczkę czarno-białych szkiców,

które z mniejszym bądź większym powodzeniem sprzedawał wydawcom, odkąd jego wuj (który był admirałem) wydziedziczył go za socjalizm, a konkretnie za wykład przeciwko tej teorii ekonomicznej, który wygłosił. Nazywał się John Turnbull Angus.

Wreszcie wszedł do środka i przeszedł przez cukiernię na zaplecze, gdzie mieściła się swego rodzaju kawiarnia. Uchylił kapelusza przed młodą damą, która tam obsługiwała. Była śniadą, elegancką, żywą dziewczyną w czerni, z silnymi rumieńcami i bystrymi, ciemnymi oczami. Po zwyczajowej chwili podążyła za nim do drugiego pomieszczenia, aby przyjąć jego zamówienie.

Złożone przez niego zamówienie było ewidentnie typowe.

– Poproszę – powiedział precyzyjnie – bułeczkę za pół pensa i małą filiżankę czarnej kawy. – I zaraz potem, zanim dziewczyna zdążyła się odwrócić: – A także proszę, by pani mnie poślubiła.

Młoda dama zeszywniała natychmiast.

– Na takie żarty sobie nie pozwalałam.

Rudowłosy młodzieniec uniósł szare oczy o niespodziewanej sile przyciągania.

– Prawdziwie i szczerze – powiedział. – To równie poważne jak... jak bułeczka za pół pensa. To kosztuje, jak bułeczka – trzeba za to zapłacić. I jak bułeczka, jeśli jest niestrawne – sprawia ból.

Śniada, młoda dama nie była w stanie oderwać od niego wzroku, ale wydawała się go badać z niemal tragiczną starannością. Pod koniec tego przeglądu na jej twarzy pojawił się jakby cień uśmiechu. Przysiadła na krześle.

– Nie sądzi pani – zauważył Angus nieprzytomnie – że jedzenie bułeczek za pół pensa to prawie okrucieństwo? Mogłyby wyrosnąć na bułeczki za pensa. Gdy się pobierzemy, zrezygnuję z tych brutalnych sportów.

Młoda dama wstała z krzesła i podeszła do okna, wyraźnie w stanie silnego, choć nie niechętnego namysłu. Kiedy wreszcie

się odwróciła w aurze postanowienia, ze zdumieniem ujrzała, że ów młody człowiek starannie przekłada na stół rozmaite przedmioty zabrane z witryny. Stworzył piramidę z kolorowych słodczy, kilku tac kanapek i dwóch karafek zawierających to tajemnicze porto i sherry, tak charakterystyczne dla ciastkarni. Na samym środku tej schludnej kompozycji ostrożnie postawił ogromny, biały tort obsypany cukrem, który stanowił największą atrakcję wystawy.

– Na Boga, co pan robi? – spytała.

– Spełniam swój obowiązek, moja droga Lauro – zaczął.

– Och, na litość boską, proszę przestać na minutę – zawołała – i nie mówić do mnie w taki sposób. Chcę wiedzieć, po co to wszystko?

– Uroczysty posiłek, panno Hope.

– A to co takiego? – spytała zniecierpliwiona, wskazując na górę cukru.

– Tort weselny, pani Angus – powiedział.

Dziewczyna podeszła do tego wyrobu, podniosła go i z lekkim stuknięciem odłożyła na wystawę. Potem wróciła, oparła eleganckie łokcie na stoliku i spojrzała na młodzieńca nie tyle nieprzychylnie, ile z wyraźną irytacją.

– Nie daję mi pan czasu do namysłu – powiedziała.

– Nie jestem takim głupcem – odparł. – To moja chrześcijańska pokora.

Nadal na niego patrzyła. Jej uśmiech skrywał wyraźny smutek.

– Panie Angus – powiedziała stanowczo. – Zanim wróci pan do tych nonsensów, muszę powiedzieć panu w skrócie coś o sobie.

– Cudownie – ponuro odpowiedział Angus. – O mnie też może pani coś powiedzieć, skoro już przy tym jesteśmy.

– Och, proszę zamilknąć i posłuchać – powiedziała. – To nie jest nic, czego bym się wstydziła, ani nawet nic, z powodu czego byłoby mi szczególnie przykro. Ale co by pan powiedział, jeśli byłoby coś, co nie jest moją sprawą, a jednak jest moim koszmarem?

– W takim przypadku – poważnie odparł mężczyzna – sugeruję, aby przyniosła pani tort z powrotem.

– Cóż, najpierw musi pan wysłuchać tej opowieści – z naciskiem oświadczyła Laura. – Na początek muszę panu powiedzieć, że ojciec mój jest właścicielem zajazdu o nazwie Red Fish w Ludbury, a ja obsługiwałam ludzi w barze.

– Często się zastanawiam – powiedział – dlaczego właśnie w tej cukierni panuje swego rodzaju chrześcijańska atmosfera.

– Ludbury to senna, trawiasta mała dziura we wschodnich hrabstwach, a jedynymi ludźmi, którzy pojawiali się w Red Fish byli przypadkowi komiwojażerowie, a co do reszty, byli to najokropniejsi ludzie, jakich można spotkać, tylko że nigdy się ich nie spotyka. Mam na myśli łapserdaków, którzy mają dość środków na życie i nic do roboty poza szwendaniem się po barach i stawianiem na wyścigach koni, w kiepskich ubraniach, które dla nich są aż za dobre. Nawet te nędzne łachudry nie trafiały się u nas często – poza dwiema, które bywały u nas bez przerwy. Obaj mężczyźni żyli z własnych pieniędzy i byli nużącymi próżniakami w przesadnych strojach. Jednak było mi ich trochę żal, bo po części wierzyłam, że kryją się w naszym małym pustym barze, gdyż każdy z nich miał jakąś małą deformację, coś, z czego mogliby się nabijać dowcipnisie. W zasadzie nie była to dokładnie deformacja, bardziej odmienność. Jeden z nich był zadziwiająco niskim człowiekiem, niemal karłem, a przynajmniej wzrostu dżokeja. Tymczasem w najmniejszym stopniu nie wyglądał na dżokeja – miał okrągłą, czarną głowę i starannie przystrzyżoną czarną brodę, oczy jasne jak u ptaka. Podzwaniał pieniędzmi w kieszeniach, obnosił się z wielkim złotym łańcuchem od zegarka i zawsze pokazywał się ubrany aż za bardzo jak dżentelmen, żeby naprawdę nim był. Jednak nie był głupcem, a jałowym obibokiem. Ciekawiły go wszystkie rzeczy, których nie można było w żaden sposób użyć, coś jakby improwizowane sztuczki magiczne – zapalał piętnaście zapalek od siebie, tak że wyglądały jak fajerwerk, albo kroił banana czy coś takiego tak,

że wyglądał jak tańcząca lalka. Nazywał się Isidore Smythe. Wciąż mam go przed oczami, z tą jego małą, ciemną twarzą, jak podchodzi do kontuaru i z pięciu cygar robi skaczącego kangura.

Ten drugi był bardziej milczący i bardziej zwyczajny, ale z jakiegoś powodu niepokoił mnie znacznie bardziej niż biedny mały Smythe. Był bardzo wysoki i chudy, miał jasne włosy, nos orli i mógł niemal uchodzić za przystojnego w taki widmowy sposób. Miał jednak najbardziej przerażające spojrzenie, z jakim się kiedykolwiek spotkałam. Gdy patrzył wprost na ciebie, nie wiedziałeś, gdzie jesteś, nie mówiąc już o tym, że nie wiadomo było, na co właściwie patrzył. Wyobrażam sobie, że ten rodzaj zniekształcenia budził w tym małym faceciku niejakie rozgoryczenie – podczas gdy Smythe gotów był w każdej chwili zademonstrować te swoje małe sztuczki, James Welkin (tak brzmiało nazwisko tego wysokiego) nigdy nie robił nic poza piciem w naszej sali barowej i chodzeniem na długie spacerunki po płaskiej, szarej okolicy. Tak samo wydaje mi się, że mały Smythe również był nieco wrażliwy na to, że był taki mały, choć lepiej sobie z tym radził. I dlatego byłam naprawdę zmieszana i zdumiona, i było mi bardzo przykro, gdy w tym samym tygodniu obaj zaproponowali mi małżeństwo.

Cóż, zrobiłam coś, co po czasie uznaję za głupią rzecz. Ale mimo wszystko ci dziwacy w jakiś sposób byli moimi przyjaciółmi i z przerażeniem myślałam o tym, że mogliby myśleć, iż odmówiłam im z prawdziwego powodu, czyli dlatego, że obaj byli niemożliwie paskudni. Zatem wybrnęłam z tego inaczej, mówiąc, że wyjdę wyłącznie za kogoś, kto pozostawił swój ślad w świecie. Powiedziałam, że jest dla mnie podstawą, by nie żyć z pieniędzy, które zostały odziedziczone, tak jak żyją oni. Dwa dni po tym, jak to powiedziałam, zaczęły się wszystkie kłopoty. Pierwszą rzeczą, której się dowiedziałam, było to, że obaj zniknęli w poszukiwaniu swojej fortuny, jakby byli bohaterami jakiejś naiwnej bajeczki dla dzieci.

Cóż, od tamtego dnia nie widziałam żadnego z nich. Ale od

tęgo małego, Smythe'a, dostałam dwa listy, pełne ekscytacji.

– A miała pani jakieś wieści od tego drugiego? – spytał Angus.

– Nie, nigdy do mnie nie napisał – po króciutkim wahaniu odpowiedziała dziewczyna. – W swoim pierwszym liście Smythe pisał po prostu, że wyruszył wraz z Welkinem do Londynu, na piechotę, ale Welkin był tak dobrym piechurem, że mały człowiek został z tyłu i resztę drogi pokonał traktami. Podwieźli go wędrowni artyści i częściowo dlatego, że był niemal karłem, a częściowo dlatego, że był naprawdę sprytnym małym draniem, miał się całkiem nieźle w show-businesie i wkrótce został posłany do Aquarium, żeby pokazać jakieś sztuczki, których nie pamiętam. To był jego pierwszy list. Drugi był raczej przerażający, a dostałam go ledwie w zeszłym tygodniu.

Mężczyzna zwany Angusem opróżnił swoją filiżankę kawy i spojrzał na nią łagodnymi, cierpliwymi oczami.

– Pewnie widział pan na parkanach ogłoszenia „Dyskretnych Usług Smythe'a”? – powiedziała, tłumiąc lekki śmiech. – Jeśli nie, to byłby pan jedyny. Och, nie wiem o nich za dużo, to jakiś mechaniczny wynalazek, żeby prace domowe wykonywały maszyny. Zna pan te rzeczy: „Naciśnij przycisk – Kamerdyner, który nie pije”. „Pociągnij dźwignię – Dziesięć Pokojówek, które Nie Flirtują”. Musiał pan widzieć reklamy. Cóż, czymkolwiek są te maszyny, zarabiają masę pieniędzy – a wszystkie idą na konto tego małego diablika, którego znałam w Ludbury. Nic na to nie poradzę, że cieszę się, że ten biedak stanął na nogi, ale fakty są takie, że jestem przerażona, bo może się tu pojawić w każdej chwili i powiedzieć mi, że zaznaczył swój ślad w świecie – jak to z pewnością zrobił.

– A ten drugi mężczyzna? – powtórzył Angus z cichym uporem.

Laura Hope nagle wstała.

– Mój przyjacielu – rzekła. – Pan jest chyba czarownikiem. Tak, ma pan całkowitą rację. Nie dostałam ani słowa od tego człowieka i nie mam najmniejszego pojęcia, co porabia ani gdzie jest. Ale to właśnie jego się obawiam. To właśnie on cały czas

stoi mi na drodze. To właśnie on doprowadza mnie niemal do obłądu, bo czuję jego obecność tam, gdzie nie może go być, i słyszę jego głos, gdy to niemożliwe.

– Cóż, moja droga – pogodnie powiedział młodzieniec. – Gdyby to był szatan we własnej osobie, to uzyskał na razie tylko tyle, że komuś pani o nim powiedziała. To my sami doprowadzamy się do szaleństwa. Ale gdzie wydawało się pani, że czuła i słyszała tego człowieka?

– Słyszałam śmiech Jamesa Welkina tak wyraźnie, jak słyszę pana – spokojnie odparła dziewczyna. – Nikogo tam nie było, a ja stałam tuż przy sklepie, na rogu, i widziałam obie ulice. Zapomniałam jego śmiech, choć był równie dziwny jak jego spojrzenie. Nie myślałam o nim od niemal roku. Ale to szczerą prawdą, że kilka sekund później nadszedł list od jego rywala.

– Słyszała pani kiedykolwiek jakieś słowa znikąd? – z niejakim zainteresowaniem zapytał Angus.

Laura nagle zadrżała.

– Tak – odpowiedziała spokojnym głosem. – Ledwie skończyłam czytać drugi list od Isidore’a Smythe’a, w którym chwalił się swoim sukcesem. Właśnie wtedy usłyszałam, jak Welkin mówi: „I tak nie będzie cię miał”. To było zupełnie wyraźne, jakby był w tym samym pomieszczeniu. To okropne, myślę, że zaczynam tracić rozum.

– Gdyby istotnie była pani szalona – powiedział młody mężczyzna – sądziłaby pani, że jest przy zdrowych zmysłach. Jednak z pewnością odnoszę wrażenie, iż w tym niewidzialnym dżentelmenie jest coś dziwnego. Co dwie głowy, to nie jedna – zbywam pani aluzje do innych organów i doprawdy, jeśli mi pani pozwoli, jako konkretnemu, praktycznemu człowiekowi, przynieść z powrotem ten tort weselny z witryny...

Gdy mówił, na ulicy rozległ się metaliczny zgrzyt i mały pojazd motorowy, prowadzony z piekielną prędkością, wpadł pod drzwi cukierni i zatrzymał się przy nich. Niemal jednocześnie w pierwszym pomieszczeniu pojawił się mały człowiek w błyszczącym cylindrze.

Angus, który dla higieny mentalnej traktował dotąd tę opowieść z przymrużeniem oka, objawił siłę ducha i wypadł nagle z wewnętrznego pomieszczenia, by skonfrontować się z przybyszem. Wystarczył rzut oka, aby potwierdzić dzikie domysły człowieka zakochanego. Ta wielce elegancka, ale karła postać, ze szpicem czarnej brody skierowanym niezłomnie naprzód, bystre, czujne oczy, zgrabne, ale bardzo nerwowe palce nie mogły należeć do nikogo innego jak do opisanego mu człowieka: Isidore'a Smythe'a, który robił lalki ze skórek od bananów i pudełek po zapałkach. Isidore'a Smythe'a, który zarobił miliony na niepijących kamerdynerach i nieflirtujących pokojówkach z metalu. Przez chwilę obaj mężczyźni, instynktownie rozpoznając atmosferę konkurów, przyglądali się sobie z tą ciekawą, zimną hojnością, która jest sednem rywalizacji.

Jednakże pan Smythe nie poczynił żadnej aluzji do zasadniczego powodu ich antagonizmu.

– Czy panna Hope widziała tę rzecz w oknie? – spytał zwyczajnie, lecz gwałtownie.

– W oknie? – powtórzył zdziwiony Angus.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia – krótko oświadczył mały milioner. – Odbywa się tu jakaś błazenada, którą należy wyjaśnić.

Błyszczącą laską wskazał na wystawę w witrynie, niedawno opróżnioną przez ślubne przygotowania pana Angusa, a ów dżentelmen ze zdumieniem ujrzał, że wzdłuż szyby ciągnie się długa, sklejona wstęgą papieru, której z pewnością tam nie było, gdy kilka chwil wcześniej przez nią zaglądał. Wraz z energicznym Smythem wyszedł na ulicę i odkrył, że jakieś półtora jarda papieru zostało starannie przyklejone do szyby od zewnątrz, a na nim niechlujnymi literami napisano: „Jeżeli poślubisz Smythe'a, on umrze”.

– Lauro – powiedział Angus, wsuwając do cukierni swoją dużą, rudą głowę. – Nie jest pani szalona.

– To pismo tego całego Welkina – szorstko powiedział Smythe.

– Nie widziałem go od lat, ale zawsze mnie niepokoił. W ciągu ostatnich dwóch tygodni podrzucił mi do mieszkania listy z pogrózkami, a mnie nie udało się nawet ustalić, kto je zostawia, może i sam Welkin. Portier przysięga, że nie widział żadnych podejrzanych indywiduów, a tu proszę, nakleił coś w rodzaju lamperii w witrynie sklepu, podczas gdy w środku byli ludzie...

– Pewnie wtedy – skromnie wtrącił się Angus – gdy ludzie w cukierni pili herbatę. Cóż, sir, zapewniam pana, że doceniam pański rozsądek co do bezpośredniego podejścia do tej sprawy. O innych sprawach możemy porozmawiać później. Ten człowiek nie mógł odejść jeszcze zbyt daleko, bo przysięgam, gdy ostatnio poszedłem do witryny, dziesięć lub piętnaście minut temu, tego papieru jeszcze nie było. Z drugiej strony jest już za daleko, żeby go ścigać, skoro nie znamy nawet kierunku. Panie Smythe, jeśli przyjmie pan radę ode mnie, niech pan to natychmiast przekaże w ręce jakiegoś energicznego detektywa, raczej prywatnego niż państwowego. Znam szalenie bystrego gościa, który prowadzi interes pięć minut jazdy pańskim wozem stąd. Nazywa się Flambeau, a choć za młodu nieco rozrabiał, obecnie jest całkowicie uczciwym człowiekiem, a jego mózg wart jest wszelkich pieniędzy. Mieszka w Lucknow Mansions, w Hampstead.

– A to dziwne – odparł mały człowieczek, unosząc czarne brwi.
– Sam mieszkam w Himalaya Mansions, tuż za rogiem. Może miałby pan chęć pojechać ze mną? Mógłbym pójść do siebie, zabrać te dziwne listy Welkina, podczas gdy pan poszedłby i sprowadził tego pańskiego zaprzyjaźnionego detektywa.

– Jest pan wielce uprzejmy – grzecznie odparł Angus. – Cóż, im szybciej zaczniemy działać, tym lepiej.

Obaj mężczyźni, w poczuciu dziwnego, improwizowanego porozumienia, pożegnali się formalnie z damą i obaj wskoczyli do sprytnego, małego wozu. Gdy Smythe ujął dźwignię i skręcił za róg ulicy, Angus z rozbawieniem ujrzał gigantyczny plakat „Dyskretnych Usług Smythe’a” z obrazem ogromnej, bezgłowej,

żelaznej lalki niosącej wazę na zupe, z podpisem „Kucharz, który Nigdy Nie Biega”.

– Korzystam z nich u siebie – ze śmiechem powiedział czarnobrody człowieczek – częściowo dla reklamy, częściowo z prawdziwej wygody. Naprawdę i zupełnie szczerze, te moje wielkie zegarowe lalki przynoszą węgiel, wino czy plan zajęć szybciej niż jacykolwiek znani mi żywi służący, jeśli tylko wiesz, w jaki sposób pokręcić gałką. Jednak, tak między nami, nigdy nie przeczę, że tacy służący mają również swoje wady.

– Istotnie? – powiedział Angus. – Jest coś, czego nie potrafią?

– Tak – chłodno odparł Smythe. – Nie potrafią mi powiedzieć, kto podrzucił mi do mieszkania te listy z pogrózkami.

Wóz małego człowieczka był mały i zwinny jak on sam; w istocie, jak jego służba domowa, był to jego wynalazek. Jeśli był on szalbierzem reklamy, to takim, który wierzył we własne wytwory.

Wkrótce zakręty stały się ostrzejsze i przyprawiające o zawrót głowy – byli na wznoszącej się spirali, jak można by powiedzieć słowami nowoczesnych religii. Bo w istocie wspinali się po narożniku Londynu, który jest niemal tak ostry jak w Edynburgu, choć z pewnością nie tak malowniczy. Taras wznosił się nad tarasem, a wieża mieszkalna, której szukali, uniosła się nad nimi niemal na egipską wysokość, ozłocona zachodzącym słońcem. Zmiana, gdy skręcili na rogu i wkroczyli w półksiężyc zwany Himalaya Mansions, była równie gwałtowna jak otwarcie okna – wyjechali bowiem na tę górę mieszkań usadowioną ponad Londynem jakby nad zielonym morzem dachówki. Naprzeciwko posiadłości, po drugiej stronie żwirowego półksiężyca, znajdował się porośnięty krzewami teren, bardziej przypominający wysoki żywopłot lub groblę niż ogród, a nieco poniżej biegła strużka sztucznie poprowadzonej wody, swego rodzaju kanał, jak fosa tej cienistej fortecy. Gdy wóz przesunął się przez podjazd, minął na rogu przypadkowy kramik człowieka sprzedającego gorące kasztany, a na drugim końcu wygięcia Angus widział przechadzającego się

niespieszenie policjanta w granatowym mundurze. W tej samotności przedmieścia były to jedyne ludzkie postacie, towarzyszyło mu jednak irracjonalne uczucie, że wyrażają one bezsłowną poezję Londynu. Miał wrażenie, jakby były postaciami z opowieści.

Mały wóz podjechał pod właściwy dom jak pocisk i wyrzucił swojego właściciela jak bombę. Smythe natychmiast zaczął wypytywać posługacza z błyszczącymi galonami i drobnego portiera w zarękawkach, czy ktoś lub coś szukało jego mieszkania. Został zapewniony, że od ostatniego wypytywania nikt i nic nie przeszło obok tych dwóch strażników, po czym on i nieco zdezorientowany Angus wystrzelili windą w górę jak rakietą, aż dojechali na najwyższe piętro.

– Proszę wejść na chwilę – powiedział Smythe bez tchu. – Chcę panu pokazać listy Welkina. Potem mógłby pan zajść za róg i przyprowadzić pańskiego przyjaciela.

Nacisnął przycisk ukryty na ścianie i drzwi otworzyły się same.

Otworzyły się na przestronny hol, gdzie wzrok przyciągały tylko rzędy wysokich, na wpół ludzkich mechanicznych postaci, które stały po obu stronach jak manekiny krawieckie. Jak manekiny krawieckie nie miały głów i jak manekiny krawieckie charakteryzowały się postawnymi, choć niekoniecznymi wybrzuszeniami na ramionach i ptasią wypukłością piersi; ale wyjąwszy to, nie przypominały postaci ludzkich bardziej niż dowolny automat na dworcu, który jest wysokości człowieka. Miały po dwa wielkie haki jak ramiona, do noszenia tac, i pomalowane były na groszkową zielen, cynober albo czerń dla ułatwienia rozróżniania. Pod każdym względem były to tylko maszyny i nikt nie spojrzałby na nie po raz drugi. Przynajmniej przy tej okazji nikt tego nie zrobił, ponieważ pomiędzy tymi dwoma rzędami domowych manekinów leżało coś znacznie bardziej interesującego niż jakikolwiek mechanizm na świecie. Był to biały, pognieciony skrawek papieru pomazany czerwonym atramentem. Zwinny wynalazca pochwycił go

niemal natychmiast po otwarciu drzwi. Bez słowa podał go Angusowi. Czerwony atrament nie wysechł jeszcze, a wiadomość głosiła: „Jeśli byłeś dziś się z nią zobaczyć, zabiję cię”.

Zapadła chwila ciszy, którą przerwał Isidore Smythe.

– Ma pan ochotę na małą whisky? – zapytał cicho. – Mnie z pewnością się przyda.

– Dziękuję, powinienem raczej pójść po Flambeau – ponuro odpowiedział Angus. – Ta cała sprawa wydaje mi się coraz bardziej nieprzyjemna. Zaraz po niego pójde.

– Ma pan rację – z godną podziwu pogodą powiedział tamten. – Proszę go jak najszybciej przyprowadzić.

Ale gdy Angus zamykał za sobą drzwi frontowe, zobaczył, jak Smythe naciska przycisk i jeden z zegarowych mechanizmów rusza ze swojego miejsca i przesuwa się po rowku w podłodze, niosąc tacę z syfonem i karafką. Było coś dziwnego w zostawieniu tego małego człowieka samego pośród martwych służących, którzy wracali do życia z chwilą zamknięcia drzwi.

Sześć stopni poniżej klatki Smythe'a człowiek w zarękawkach robił coś z wiadrem. Angus przystanął, by uzyskać obietnicę, popartą przyszłą łapówką, że zostanie on tam, póki nie wróca wraz z detektywem, i będzie liczył każdego obcego wchodzącego po tych schodach. Zszedłszy na dół, w taki sam sposób umówił się z portierem przy drzwiach frontowych, od którego dowiedział się, że sprawa była ułatwiona przez brak tylnego wejścia. Bardzo z tego zadowolony, podszedł do przechadzającego się policjanta i nakłonił go, aby stanął naprzeciwko drzwi i je obserwował. Wreszcie zatrzymał się na moment, żeby kupić trochę kasztanów i podpytać, jak długo sprzedawca zamierza zostać w okolicy.

Sprzedawca kasztanów, stawiając kołnierz płaszcza, powiedział mu, że pewnie niedługo będzie się zwijał, bo według niego zanoszą się na śnieg. Istotnie, wieczór robił się coraz bardziej szary i gorzki, ale Angus, z całą swoją elokwencją, nadal namawiał przekupnia, by ten został na miejscu.

– Ogrzeje się pan od swoich kasztanów – powiedział żarliwie. – Proszę zjeść wszystko; zadbam, żeby się to panu opłaciło. Dam panu suwerena, jeśli poczeka pan do mojego powrotu i powie mi, czy w tym czasie do tego budynku, gdzie jest portier, wchodził ktokolwiek, mężczyzna, kobieta czy dziecko.

Potem oddalił się żwawo, po raz ostatni spoglądając na obleżoną wieżę.

– Tak czy inaczej mieszkanie jest dzięki mnie otoczone – powiedział sobie. – Cała ta czwórka nie może być pomagierami pana Welkina.

Lucknow Mansions znajdowały się, można powiedzieć, na niższej platformie tego wzgórza zabudowanego domami, za którego wierzchołek można było uznać Himalaya Mansions. Na w pół oficjalne mieszkanie pana Flambeau mieściło się na parterze i pod każdym względem stanowiło kontrast dla amerykańskiej maszyny i zimnego, przypominającego hotelowy, luksusu mieszkania Smythe'a. Flambeau, który był przyjacielem Angusa, przyjął go w rokokowym, artystycznym pokoju wypoczynkowym za swoim biurkiem, udekorowanym szablami, arkebuzami, orientalnymi ciekawostkami, flaszami włoskiego wina, pogiętymi rondlami, kudłatym perskim kotem i małym, sprawiającym wrażenie zakurzonego, księdzem rzymskokatolickim, który wyglądał tu wyjątkowo nie na miejscu.

– To mój przyjaciel, ojciec Brown – powiedział Flambeau. – Często chciałem was sobie przedstawić. Cudowna pogoda, czyż nie? Odrobina chłodu dla takiego południowca jak ja.

– Tak, zapewne się przejaśni – przyznał Angus, siadając na wschodniej otomanie obitej materią w fioletowe pasy.

– Nie – cicho zaoponował ksiądz. – Zaczyna padać śnieg.

I w istocie, gdy to powiedział, kilka pierwszych płatków, przewidzianych przez sprzedawcę kasztanów, zaczęło spływać za ciemniejącą szybą.

– Cóż – ciężko powiedział Angus. – Obawiam się, że przyszedłem w interesach, i to raczej pilnych. Rzecz w tym,

Flambeau, że rzut kamieniem od twojego domu mieszka człowiek, który bardzo potrzebuje twojej pomocy. Jest stale prześladowany i zastraszany przez wroga – łajdaka, którego nikt nie widział.

Gdy Angus zaczął opowiadać całą historię Smythe'a i Welkina, począwszy od opowieści Laury, a potem swojej, o nadnaturalnym śmiechu na rogu dwóch pustych ulic i dziwnych, znaczących słowach wypowiedzianych w pustym pokoju, Flambeau słuchał z coraz większą uwagą, a mały ksiądz siedział nieruchomo obok jak element umeblowania. Gdy doszło do papierowej wstęgi przyklejonej do okna, Flambeau wstał, niemal wypełniając pomieszczenie swoimi potężnymi ramionami.

– Jeśli nie masz nic przeciwko – powiedział – lepiej opowiedz mi resztę po drodze do domu tego człowieka. Z jakiegoś powodu mam wrażenie, że nie ma czasu do stracenia.

– Doskonale – zgodził się Angus, również się podnosząc. – Choć w tej chwili jest raczej bezpieczny, bo zapewniłem czterech ludzi do obserwacji tego budynku.

Wyszli na ulicę. Mały ksiądz dreptał za nimi z potulnością małego pieska.

– Jak szybko grubieje pokrywa śniegu na ziemi – powiedział tylko pogodnie konwersacyjnym tonem.

Gdy przemierzali strome uliczki przysypane już srebrnym puchem, Angus dokończył opowiadanie. Gdy dotarli do półksiężycowatego podjazdu przed wieżowcem, miał czas, żeby porozmawiać z czterema wartownikami. Sprzedawca kasztanów zarówno przed dostaniem suwerena, jak i po jego otrzymaniu upierał się, że obserwował drzwi i nie widział, żeby ktokolwiek wchodził do środka. Policjant był jeszcze bardziej stanowczy. Powiedział, że ma doświadczenie z kanciarzami wszelkiego sortu, w cylindrach i w łachmanach – nie był taki zielony, żeby oczekiwać, że podejrzone osoby będą wyglądały na podejrzone. Rozglądał się za kimkolwiek, ale nikt się nie pojawił. A gdy wszyscy trzej mężczyźni zebrali się przy umundurowanym

portierze, który wciąż z uśmiechem stał na ganku, jego odpowiedź była równie kategoryczna.

– Mam prawo zapytać każdego człowieka, czy to księżę, czy żebrak, czego tutaj szuka – powiedział ten sympatyczny olbrzym w złoconym uniformie – i przysięgam, że odkąd ten tutaj dżentelmen wyszedł, nie było tu nikogo.

Ojciec Brown, który stał z tyłu, skromnie wpatrując się w chodnik, odezwał się nagle:

– Czyli odkąd zaczął padać śnieg – spytał łagodnie – nikt nie wchodził ani nie schodził po schodach? Zaczęło padać, gdy wszyscy byliśmy u Flambeau.

– Sir, nie było tu nikogo, może mi pan wierzyć – odpowiedział portier stanowczo.

– No to ciekaw jestem, co to takiego? – rzekł ksiądz, gapiąc się na ziemię bezmyślnie jak ryba.

Pozostali również spojrzeli pod nogi. Flambeau zaklął po francusku i wykonał jakiś gest. W żaden sposób nie dało się ukryć, że dokładnie przez środek wejścia strzeżonego przez mężczyznę w mundurze, właściwie dokładnie pomiędzy aroganckimi, naprężonymi nogami tego giganta, prowadził prosty szlak szarych odcisków stóp na białym śniegu.

– Boże! – nieumyślnie wykrzyknął Angus. – Niewidzialny Człowiek!

Nie mówiąc nic więcej, odwrócił się i pognął po schodach, a za nim Flambeau, ale ojciec Brown nadal stał, rozglądając się po przysypanej śniegiem ulicy, jakby stracił zainteresowanie swoim pytaniem.

Flambeau wyraźnie miał chęć wyważyć drzwi ramieniem, jednak Szkot, bardziej rozsądnie, choć mniej intuicyjnie, macał futrynę drzwiową, aż znalazł ukryty przycisk. Drzwi otworzyły się powoli.

Ukazało się to samo uporządkowane wnętrze. W holu było ciemniej, choć tu i ówdzie widać było ostatni, szkarłatny błysk zachodzącego słońca, a jedna czy dwie bezgłowe maszyny zniknęły ze swoich miejsc i stały to tu, to tam w mrocznym

pomieszczeniu. Zieleń i czerwień ich malowań ciemniały wraz ze znikającym światłem, a ich podobieństwo do ludzkich kształtów odrobinę wzrosło dzięki ich własnej bezkształtności. W samym ich środku, dokładnie tam, gdzie leżała kartka pokryta czerwonym atramentem, widniało coś, co wyglądało jak kleks czerwonego atramentu wychluśniętego z kałamarza. Ale to nie był czerwony atrament.

– Morderstwo! – powiedział po prostu Flambeau z iście francuską mieszaniną rozsądku i gwałtowności, po czym wsunął się do mieszkania i w ciągu pięciu minut przeszukał każdy kąt i każdą szafę. Ale jeśli spodziewał się znaleźć zwłoki, to srogo się zawiódł. Isidore’a Smythe’a tam nie było ani żywego, ani martwego. Po najstaranniejszym przeszukaniu obaj mężczyźni spotkali się w zewnętrznym korytarzu z przejętymi twarzami i czujnymi oczami.

– Mój przyjacielu – powiedział Flambeau, w podekscytowaniu przechodząc na francuski – nie tylko twój morderca jest niewidzialny, lecz także uczynił niewidzialnym tego zamordowanego człowieka.

Angus rozejrzał się po ciemnym pomieszczeniu pełnym manekinów i w jakimś celtyckim zakątku jego szkockiej duszy zaczęło coś drgać. Jedna z lalek wielkości człowieka stała, zacieniając ślad krwi, rozlanej być może przez zamordowanego mężczyznę tuż przed tym, jak upadł. Jeden z wysoko osadzonych haków, które służyły tej rzeczy jako ramiona, był nieco uniesiony, a Angusa nagle ogarnęło okropne wrażenie, że Smythe’a powaliło jedno z jego własnych żelaznych dzieci. Materia się zbuntowała, a te maszyny zabiły swojego pana. Ale jeśli nawet, to co z nim zrobiły?

„Zjadły go?”, podpowiedział koszmar w jego uchu. Zrobiło mu się słabo na samą myśl, że ludzkie szczątki mogłyby zostać pochłonięte i zmiażdżone przez te bezgłowe mechanizmy.

Otrząsnął się z dużym wysiłkiem.

– No i proszę – powiedział do Flambeau. – Ten nieszczęśnik wyparował jak mgła i zostawił czerwoną plamę na podłodze. To

nie jest historia z tego świata.

– Można tu zrobić tylko jedno – odparł Flambeau – nieważne, do którego świata to należy. Muszę zejść na dół i porozmawiać ze swoim przyjacielem.

Zeszli, mijając mężczyznę z wiadrem, który po raz kolejny zapewnił, że nie widział żadnego intruza, do portiera i przytupującego sprzedawcy kasztanów, który ponownie stanowczo potwierdził swoją czujność. Ale gdy Angus rozejrzał się w poszukiwaniu swojego czwartego potwierdzenia, nie mógł go znaleźć.

– A gdzie jest ten policjant? – zawołał z niejaką nerwowością.

– Proszę o wybaczenie – odezwał się ojciec Brown. – To moja wina. Właśnie odesłałem go w dół drogi, żeby coś sprawdził – coś, co uznałem za warte zbadania.

– Cóż, lepiej, żeby jak najszybciej wrócił – gwałtownie powiedział Angus – bo ten nieszczęsny człowiek z góry nie tylko został zamordowany, lecz także zniknął.

– Jak to? – zapytał ksiądz.

– Ojciec – po chwili powiedział Flambeau – z całej duszy wierzę, że to bardziej działka ojca niż moja. Do budynku nie wszedł ani swój, ani wróg, ale Smythe zniknął, jakby porwany przez wróżki. Jeśli to nie jest nadnaturalne, to ja...

Gdy mówił, wszystkich ich zaskoczył niezwykle widok – wielki policjant w niebieskim mundurze biegiem wyłonił się zza narożnika podjazdu. Podbiegł prosto do Browna.

– Miał pan rację, sir – wysapał. – Ciało biednego pana Smythe'a właśnie znaleziono w kanale poniżej.

Angus gwałtownie przyłożył dłoń do głowy.

– Pobiegnął i sam się utopił? – zapytał.

– Przysięgam, że nie było go na dole – odparł konstabl – ani nie został utopiony, bo nad sercem ma wielki ślad po uderzeniu nożem.

– A jednak nie widział pan, żeby ktokolwiek wchodził? – grobowym głosem spytał Flambeau.

– Może zejdźmy kawałek w dół drogi – zaproponował ksiądz.

Dotarli do drugiego końca półksiężycowatego podjazdu.

– Co za głupiec ze mnie! – wykrzyknął nagle. – Zapomniałem o coś spytać tego policjanta. Ciekaw jestem, czy znaleźli jasnobrązowy worek.

– Dlaczego jasnobrązowy worek? – ze zdumieniem zapytał Angus.

– Bo gdyby był to worek w jakimkolwiek innym kolorze, trzeba by tę sprawę zacząć od nowa – odpowiedział ojciec Brown. – Ale jeśli worek był jasnobrązowy, to sprawa jest rozwiązana.

– Miło mi to słyszeć – z uszczypliwą ironią odparł Angus. – Z tego, co się orientuję, nawet się nie zaczęła.

– Musisz nam o tym opowiedzieć – powiedział Flambeau z dziwną, ciężką prostotą jak dziecko.

Nieświadomie przyspieszali kroku w dół długiego łuku drogi po drugiej stronie półksiężyca. Ojciec Brown prowadził stanowczo, chociaż w ciszy.

– Cóż, obawiam się, że uznacie to za bardzo prozaiczne – odezwał się wreszcie niemal wzruszająco ogólnikowo. – Zawsze zaczynamy sprawę od końca, a tej historii nie da się zacząć inaczej. Zauważyliście pewną rzecz – że ludzie nigdy nie odpowiadają na wasze słowa? Ludzie odpowiadają na to, co macie na myśli – albo to, co wydaje im się, że macie na myśli. Załóżmy, że jedna dama, będąc w wiejskiej posiadłości, pyta drugą: „Czy ktoś tu z tobą jest?”. Owa dama nie odpowiada: „Tak; kamerdyner, trzech lokajów, pokojówka i tak dalej”, chociaż pokojówka może znajdować się w salonie, a kamerdyner za krzesłem. Mówi: „Nikogo z nami nie ma”, mając na myśli ludzi, o których owej damie chodzi. Ale załóżmy, że wybuchnie epidemia, a lekarz, który się nią zajmuje, zapyta: „Kto jest w domu?”, a wówczas będzie ona pamiętać o kamerdynerze, pokojówce i całej reszcie. Tak działają wszystkie umysły – nie odpowiada się na pytania dosłownie, nawet jeśli odpowiedź jest zgodna z prawdą. Kiedy tych dwóch naprawdę uczciwych ludzi mówi, że do budynku nie wszedł żaden człowiek, tak w istocie nie mają na myśli, że

nikt do niego nie wszedł. Mają na myśli, że nie wszedł tam nikt, kogo mogliby podejrzewać, że jest pańskim człowiekiem. Ludzie wchodzili do budynku i wychodzili z niego, ale jego nie zauważyli.

– Niewidzialny człowiek? – spytał Angus, unosząc brwi.

– Niewidzialny mentalnie – odparł ojciec Brown.

Minutę czy dwie później podjął opowieść tym samym spokojnym głosem jak zastanawiający się człowiek.

– Oczywiście nikt nie pomyśli nawet o takim człowieku, dopóki o nim nie pomyśli. To stąd bierze się jego przebiegłość. Ale ja zacząłem o nim myśleć przez dwa czy trzy drobiazgi w historii, którą opowiedział nam pan Angus. Po pierwsze, fakt, że ten Welkin chadzał na długie spacery. A potem ta długa wstęga papieru w witrynie. I jeszcze, przede wszystkim, dwie rzeczy, które powiedziała owa młoda dama – rzeczy, które nie mogą być prawdziwe. Proszę się nie denerwować – dodał pośpiesznie, zauważając nagły ruch głowy Szkota. – Sądziała, że są prawdziwe. Nie mogła być na ulicy sama na sekundę przed tym, jak otrzymała list. Nie mogła być sama na ulicy, gdy zaczęła czytać właśnie odebrany list. Ktoś musiał być blisko niej, był jednak mentalnie niewidzialny.

– Dlaczego ktoś musiał być blisko niej? – zapytał Angus.

– Ponieważ – odparł ojciec Brown – jeśli nie użyto gołębi pocztowych, to ktoś musiał ten list dostarczyć.

– Naprawdę chcesz powiedzieć – energicznie spytał Flambeau – że Welkin dostarczał tej damie listy od rywala?

– Tak – potwierdził ksiądz. – Właśnie Welkin je dostarczał. Rozumiecie, musiał to robić.

– Och, nie mogę już tego znieść – wybuchnął Flambeau. – Co to za gość? Jak wygląda? Jak zwykle wygląda ktoś mentalnie niewidzialny?

– Ubrany jest raczej elegancko w czerwień, błękit i złoto – szybko i precyzyjnie określił ksiądz. – A w tym jaskrawym, a nawet rzucającym się w oczy stroju pod spojrzeniem ośmiorga ludzkich oczu wszedł do Himalaya Mansions, z zimną krwią

zabił Smythe'a i zszedł z powrotem na ulicę, z ciałem w ramionach...

– Wielebny – wykrzyknął Angus, zatrzymując się – czy to pan oszalał, czy ja?

– Nie jest pan szaleńcem – odpowiedział Brown – a jedynie nieco nieuważnym obserwatorem. Nie zauważa pan, na przykład, takiego człowieka.

Zrobił trzy szybkie kroki do przodu i położył dłoń na ramieniu przechodzącego listonosza, który niezauważenie minął ich w cieniu drzew.

– Z jakiegoś powodu nikt nigdy nie dostrzega listonoszy – powiedział z zadumą – choć mają pasje jak inni ludzie, a nawet noszą wielkie torby, w których dość łatwo można by zmieścić niewielkie zwłoki.

Listonosz, zamiast obrócić się naturalnie, przykucnął i rzucił się na ogrodzenie. Był szczupłym, jasnobrodym mężczyzną o bardzo zwyczajnym wyglądzie, ale gdy odwrócił ożywioną twarz przez ramię, wszystkimi trzema mężczyznami wstrząsnęło jego niemal nieludzkie spojrzenie.

* * *

Flambeau wrócił do swoich szabli, purpurowych dywanów i perskiego kota. Miał wiele rzeczy, którymi musiał się zająć. John Turnbull Angus wrócił do damy w cukierni, w towarzystwie której ten nierozważny młody człowiek czuł się wyjątkowo swobodnie. Ale ojciec Brown jeszcze przez wiele godzin spacerował z mordercą pod gwiazdami po tych oprószonych śniegiem wzgórzach, a co sobie powiedzieli, tego nikt nigdy się nie dowie.

MĄDROŚĆ OJCA BROWNA

NIEOBECNOŚĆ PANA GLASSA

Gabinety doktora Oriona Hooda, wpływowego kryminologa i specjalisty od szczególnych niedomagań moralnych, znajdowały się w Scarborough, skierowane w stronę brzegu morza, mieszcząc się za ciągiem bardzo dużych i dobrze oświetlonych francuskich okien, przez które Morze Północne widać było jako niekończącą się, zewnętrzną ścianę błękitnego marmuru. W takim miejscu morze miało w sobie coś z monotonii niebiesko-zielonej lamperii, jako że pokoje urządzone były w sposób upiornie uporządkowany, podobnie jak upiornie uporządkowane było morze. Nie należy zakładać, że w pomieszczeniach zajmowanych przez doktora Hooda brak było luksusów czy nawet poezji. Te rzeczy tam były, na swoich miejscach – ale czuło się, że nigdy nie pozwalano im ich opuścić. Widać tam było zbytek: na specjalnym stoliku stało osiem czy dziesięć pudełek najlepszych cygar, ale ułożono je zgodnie z planem, gdzie najmocniejsze zawsze znajdowały się najbliżej ściany, a najśłabsze przy oknie. Na tym stoliku luksusu zawsze stał przeszklony barek zawierający trzy rodzaje alkoholu, wszystkie doskonałe – ciekawe jednak, że poziom whisky, brandy i rumu wydawał się być cały czas taki sam. Była tam i poezja: w narożniku po lewej stronie pokoju

ustawiono półki z kompletnym zbiorem angielskich klasyków, podczas gdy po prawej widać było dzieła angielskich i zagranicznych fizjologów. Jednak jeśli zabrać z półki tom Chaucera albo Shelleya, jego brak drażnił umysł jak przerwa w przednich zębach. Nie można było powiedzieć, żeby te książki nigdy nie były czytane – przypuszczalnie były, ale miało się poczucie, że zostały łańcuchami przykute do swoich miejsc jak Biblie w starych kościołach. Doktor Hood traktował swoje prywatne półki z książkami tak, jakby to była biblioteka publiczna. A jeśli ta sztywna naukowa nienamacalność zanurzyła się nawet w półkach zastawionych wierszami i balladami, i w stoliku wypełnionym alkoholami i tytoniem, było rzeczą oczywistą, że bardziej jeszcze od tych pogańskich świętości chronione były pozostałe półki, na których mieściła się biblioteka specjalistyczna, oraz inne stoły, na których spoczywały kruche i niemal czarodziejskie urządzenia chemiczne czy mechaniczne.

Doktor Hood przechadzał się po swoich pokojach obramowanych – jak by to ujęła dziecięca geografia – Morzem Północnym od wschodu i zwartymi szeregami jego socjologicznej i kryminologicznej biblioteki od zachodu. Odziany był w welwet jak artysta, jednakże nie miał w sobie nic z artystycznego niedbalstwa: włosy miał silnie przyprószone siwizną, ale grube i zdrowe, twarz szczupłą, lecz rumianą i pełną wyczekiwania. Wszystko w nim i w jego pokoju wskazywało na coś nieomylnie stanowczego i nieustrudzonego jak to wielkie północne morze, nad którym (ze względów czysto higienicznych) zbudował swój dom.

Los, będący w figlarnym nastroju, pchnął drzwi i wprowadził do tych długich, uporządkowanych, oflankowanych morzem pokoiów kogoś, kto był być może najjaskrawszym przeciwieństwem ich i ich pana. W odpowiedzi na lakoniczne, ale uprzejme wezwanie drzwi otworzyły się do środka i do pokoju wlała bezkształtna, niewielka postać, dla której porządnie sobie z własnym kapeluszem i parasolem wydawało

się tak trudne, jakby to była cała góra bagażu. Parasol był czarny i nosił ślady napraw; czarny kapelusz o szerokim rondzie był typowy dla duchownych, choć nieczęsto widywany w Anglii. Człowiek ten był ucieleśnieniem serdeczności i bezradności.

Doktor spojrzął na przybysza z umiarkowanym zdziwieniem, jakby ujrzał jakieś wielkie, ale ewidentnie niegroźne morskie stworzenie, które wczołgało mu się do domu. Przybysz spojrzął na doktora z tą rozpromienioną, ale pozbawioną tchu dobroduszością, charakteryzującą korpulentną sprzątaczkę, która zdołała właśnie wepchnąć się do omnibusu. To wyraźne pomieszanie społecznego samozadowolenia i cielesnej dezorganizacji. Kapelusz upadł mu na podłogę, ciężki parasol z łupnięciem zsunął się między kolana. Sięgnął po jeden i kucnął po drugi, ale na twarzy miał niegasnący uśmiech.

– Nazywam się Brown – powiedział gość, próbując się ogarnąć.
– Błagam o wybaczenie. Przychodzę w sprawie pań MacNab. Słyszałem, że często pomaga pan ludziom mającym tego rodzaju kłopoty. Błagam o wybaczenie, jeśli jestem w błędzie.

Tymczasem udało mu się wreszcie podnieść kapelusz i wykonać nad nim jakiś dziwny, kołyszący ruch, jakby go poprawiał.

– Nie do końca pana rozumiem – z chłodną uprzejmością odparł naukowiec. – Obawiam się, że zaszła pomyłka. Nazywam się doktor Hood, a moja praca dotyczy niemal wyłącznie literatury i edukacji. To prawda, że czasami udzielam konsultacji policji w sprawach szczególnej trudności i ważności, ale...

– Och, to jest sprawa wielkiej ważności – przerwał mu mały Brown. – Jej matka nie pozwala im się zaręczyć.

I z promienistą racjonalnością rozparł się w fotelu.

Doktor Hood zmarszczył brwi, ale oczy miał rozjaśnione przez coś, co mogło być gniewem lub rozbawieniem.

– Nadal jednak – powiedział – nie do końca rozumiem.

– Rozumie pan, oni chcą się pobrać – powiedział człowiek

z kapeluszem duchownego. – Maggie MacNab i młody Todhunter chcą się pobrać. Cóż może być ważniejsze od tego?

Wielkie naukowe triumfy Oriona Hooda pozbawiły go wielu rzeczy – jedni mówili, że zdrowia, inni, że Boga; nie odmawiali mu jednak poczucia absurdu. Przy ostatnim okrzyku prostodusznego księdza wyrwał mu się chichot. Opadł na fotel w ironicznej pozie lekarza udzielającego konsultacji.

– Panie Brown – powiedział ponuro – minęło czternaście i pół roku odkąd poproszono mnie, bym zbadał problem natury osobistej: chodziło wówczas o próbę otrucia prezydenta Francji podczas bankietu wydawanego przez lorda burmistrza. Teraz, jak rozumiem, pojawiło się pytanie, czy pewna pańska znajoma zwana Maggie jest odpowiednią narzeczoną dla jakiegoś jej przyjaciela, Todhuntera. Cóż, panie Brown, jestem sportowcem. Zgadzam się. Dam rodzinie MacNab moją najlepszą radę, równie dobrą, jak było to w przypadku Republiki Francuskiej i króla Anglii – nie, lepszą; o czternaście lat lepszą. Akurat dziś po południu nie mam nic innego do zrobienia. Proszę mi opowiedzieć swoją historię.

Mały ksiądz Brown podziękował mu gorąco, ale wciąż z pewną osobliwą prostotą. Jakby raczej dziękował obcemu człowiekowi w palarni za kłopot związany z podaniem zapalek, niż jakby dziękował (co robił) kuratorowi Kew Gardens za to, że przyszedł z nim na łąkę poszukać czterolistnej koniczyny. Ledwie zrobił przerwę po swoich serdecznych podziękowaniach, po czym mały człowiek zaczął mówić:

– Jak panu powiedziałem, nazywam się Brown i jestem księdzem w małym kościele katolickim, który zapewne mógł pan widzieć za tymi bezładnymi uliczkami, gdzie miasto kończy się na północy. Na ostatniej i najbardziej krętej z tych uliczek, która jak falochron prowadzi wzdłuż morskiego brzegu, mieszka ogromnie uczciwa, ale raczej krewka owieczka z mojego stadka, wdowa o nazwisku MacNab. Ma jedną córkę, wynajmuje pokoje, a o relacjach pomiędzy nią a jej córką i między nią a lokatorami – cóż, ośmielę się powiedzieć, że wiele można by

mówić. Obecnie ma tylko jednego lokatora, młodego człowieka o nazwisku Todhunter, ale ten przysparza więcej kłopotów niż cała reszta, ponieważ chce się ożenić z młodą damą z tego domostwa.

– A owa młoda dama... – zapytał doktor Hood z ogromnym, ale cichym rozbawieniem – czego ona chce?

– Ależ wyjść za niego! – wykrzyknął ojciec Brown, prostując się gwałtownie. – To właśnie jest ta okropna komplikacja.

– To w istocie okropna tajemnica – powiedział doktor Hood.

– Ten młodzieniec, James Todhunter – kontynuował ksiądz – z tego, co wiem, jest bardzo rozsądnym młodym człowiekiem, jednak w sumie nikt dużo o nim nie wie. To pogodny, śniady, niewielki gość, zwinny jak małpa, gładko ogolony jak aktor i o manierach urodzonego dworzanina. Wydaje się, że nie brakuje mu pieniędzy, ale nikt nie wie, czym się zajmuje. Z tego względu pani MacNab (mająca raczej pesymistyczne usposobienie) jest przekonana, że musi to być coś strasznego i prawdopodobnie mającego związek z dynamitem. Ten dynamit musi być jakiegoś wielce dyskretnego i cichego rodzaju, ten nieszczęsny człowiek bowiem zamyka się na kilka godzin w trakcie dnia i za zamkniętymi drzwiami coś studiuje. Twierdzi, że jego prywatność jest tymczasowa i usprawiedliwiona oraz obiecuje, że przed ślubem ją wytłumaczy. To jest wszystko, co wiadomo na pewno, jakkolwiek pani MacNab powie panu o wiele więcej rzeczy, których jest pewna. Wie pan, że na bazie takiej niewiedzy wyrastają najdziwniejsze historie. Są opowieści o dwóch głosach w pokoju, mimo że po otwarciu drzwi Todhunter zawsze jest sam. Są opowieści o tajemniczym, wysokim człowieku w jedwabnym kapeluszu, który raz wyszedł z morskiej mgły, najwyraźniej prosto z morza, o zmroku delikatnie przeszedł przez piasek i przez mały ogródek na tyłach, aż słyszano go, jak rozmawiał z jej lokatorem przez otwarte okno. Rozmowa wydawała się zakończona kłótnią. Todhunter gwałtownie zatrzęsnał okiennice, a ów człowiek w cylindrze znowu

rozpłynął się w morskiej mgle. Rodzina opowiada o tym z najwyższym zdumieniem, ja jednak jestem zdania, że pani MacNab woli własną, oryginalną historię: że Tamten Człowiek (czy cokolwiek to jest) każdej nocy wypełza z wielkiego kufra w rogu pokoju pana Todhuntera, który przez cały dzień jest zamknięty na klucz. Rozumie pan, że z tego względu zamknięte drzwi do kwatery Todhuntera traktowane są jak wrota do wszystkich cudów i potworności rodem z baśni. A jednak mowa tu o małym człowieku w dobrej, czarnej marynarce, punktualnym i niewinnym jak zegarek. Płaci czynsz bez ponagień, jest praktycznie abstynentem, jest nieskończenie cierpliwy wobec małych dzieci i potrafi je zabawiać przez cały dzień, i – rzecz ostatnia i najbardziej niepokojąca – zyskał sobie sympatię córki, która gotowa jest przyjść z nim jutro do kościoła.

Człowiek gorąco skoncentrowany na wielkich teoriach zawsze z ulgą zmieni je na coś trywialnego. Wielki specjalista, który zechciał zniżyć się do prostoty księdza, zrobił to wylewnie. Rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu i zaczął mówić tonem nieco roztargnionego wykładowcy:

– Nawet w przypadku drobiazgu najlepiej najpierw przyjrzyć się ogólnym tendencjom Natury. Jeden kwiat może nie uschnie wczesną zimą, ale ogólnie kwiaty usychają; pojedynczy kamień może nigdy nie zostać zmoczony przez przypyływ, ale przypyływ istnieje. Dla naukowego oka cała ludzka historia to seria kolektywnych poruszeń, zniszczeń albo migracji jak masakra pcheł w zimie albo wiosenny powrót ptaków. Teraz zasadniczym faktem całej historii jest Rasa. Rasa tworzy religię, Rasa wywołuje prawne i etyczne wojny. Nie ma wyraźniejszego przykładu na to niż dzicy, dziwaczni i wymierający ludzie, których powszechnie zwiemy Celtami, a których przedstawicielkami są pana znajome panie MacNab. Mali, śniadzi, ze względu na swoją wyobrażoną i prawdziwą krew łatwo przyjmują zabobonne wytłumaczenia wszelkich wypadków, które reprezentuje pan i pański kościół. Nic

dziwnego, że tacy ludzie, mając za plecami szepczące morze, a przed sobą kościół (ponownie proszę o wybaczenie), który im brzęczy do uszu, dostrzegają fantastyczne cechy w prawdopodobnie zwykłych wydarzeniach. Pan, z pańskimi małymi, parafialnymi obowiązkami, dostrzega tylko tę konkretną panią MacNab, przerażoną tą konkretną opowieścią o dwóch głosach i wysokim mężczyźnie z morza. Ale człowiek obdarzony wyobraźnią naukową widzi wszystkie klany MacNabów rozproszone po świecie, w swojej ostatecznej przeciętności tak podobne jak stada ptaków. Widzi tysiące pań MacNab, w tysiącach domów, dolewające krople chorobliwości do filiżanek swoich przyjaciół. Widzi...

Zanim naukowcowi dane było dokończyć zdanie, z zewnątrz dobiegło kolejne i bardziej niecierpliwe wezwanie. Ktoś w szeleszczących spódnicach przemaszerował pospiesznie korytarzem i drzwi otworzyły się przed młodą dziewczyną, ubraną skromnie, ale rozchełstaną i zaczerwienioną z pośpiechu. Jasne włosy miała rozwiane wiatrem od morza i byłaby przepiękna, gdyby jej kości policzkowe nie były, jak to u Szkotów, nieco za wysokie i zbyt czerwone. Jej przeprosiny były niemal tak gwałtowne jak rozkaz.

– Sir, przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała – ale musiałam jak najszybciej znaleźć ojca Browna. To sprawa życia i śmierci.

Zakłopotany nieco ojciec Brown zaczął się podnosić z fotela.

– Maggie, co się stało? – spytał.

– Z tego, co rozumiem, James został zamordowany! – odpowiedziała dziewczyna, nadal oddychając ciężko z pośpiechu. – Znowu był z nim ten człowiek, Glass! Wyraźnie słyszałam przez drzwi, jak rozmawiają. Dwa oddzielne głosy: James mówił niskim, gardłowym głosem, a tamten wysokim i wibrującym.

– Ten człowiek, Glass? – powtórzył skonsternowany ksiądz.

– Wiem, że nazywa się Glass – z wyraźnym zniecierpliwieniem odparła dziewczyna. – Słyszałam to przez drzwi. Klócili się –

wydaje mi się, że o pieniądze – bo słyszałam, jak James powtarza raz po raz: „Zgadza się, panie Glass” albo „Nie, panie Glass”, a potem „Dwa lub trzy, panie Glass”. Ale za dużo gadamy! Musi ksiądz zaraz przyjść, może jest jeszcze czas!

– Ale czas na co? – zapytał doktor Hood, który z wyraźnym zainteresowaniem przyglądał się młodej damie. – O co chodzi z tym panem Glassem i jego kłopotami finansowymi, że konieczny jest taki pośpiech?

– Próbowałam wyważyć drzwi i nie dałam rady – krótko odparła dziewczyna. – Potem pobiegłam na podwórze i udało mi się wdrapać na parapet przy jego pokoju. Było tam ciemnawo i chyba pusto, ale przysięgam, że widziałam Jamesa, jak leżał w kącie, odurzony albo uduszony.

– To jest bardzo poważne – powiedział ojciec Brown, zabrał swój nieposłuszny kapelusz oraz parasol i wstał. – Zwłaszcza że właśnie wykladałem temu dżentelmenowi twoją sprawę, a jego pogląd...

– Ewidentnie się zmienił – grobowym tonem wtrącił się naukowiec. – Nie sądzę, aby ta młoda dama była tak celtycka, jak sądziłem. Jako że nie mam nic innego do roboty, wezmę kapelusz i pójdę z państwem.

W ciągu kilku minut znaleźli się na szarym końcu uliczki, przy której wyrastał dom MacNabów; dziewczyna z uporem i zadyszka wspinała, kryminolog z leniwym wdziękiem (który miał w sobie coś z gładkości ruchów lamparta), a ksiądz energicznym truchtem całkowicie pozbawionym dystynkcji. Rozproszone domy stały wzdłuż morskiego brzegu w sporych odległościach od siebie. Popołudnie zaciągało się przedwczesnym i nieco upiornym mrokiem, morze było barwy purpurowego atramentu i mrucało złowrogo. W nieporządnym ogrodzie MacNabów, który ciągnął się aż do piasków, rosły dwa czarne, nagie drzewa, jak ręce demonów uniesione w zdumieniu, a gdy pani MacNab zbiegła w dół uliczki, by się z nimi spotkać, ze szczupłymi rękami podobnie wyciągniętymi i ostrą twarzą w cieniu, sama nieco przypominała demona.

Doktor i ksiądz odpowiadali skąpo na jej piskliwe powtórzenie opowieści córki, do której dodała własne, sensacyjne szczegóły, wliczając w to naprzemienne obietnice zemsty na panu Glassie za morderstwo i na panu Todhunterze za to, że został zamordowany, i za to, że śmiał pragnąć ożenić się z jej córką, i za to, że nie żył, aby to zrobić. Przeszli przez wąski korytarzyk i dotarli do drzwi lokatora na tyłach, gdzie doktor Hood, dzięki sztuczce starego detektywa, przyłożył ramię do drewna i wyważył drzwi.

Otworzyły się na scenę cichej katastrofy. Nikt, kto by ją zobaczył, nawet przez moment nie miałby wątpliwości, że w tym pomieszczeniu nastąpiło jakieś starcie pomiędzy dwiema, albo być może większą liczbą osób. Na stole i podłodze porozrzucone były karty do gry, jakby gra została przerwana. Na stoliku z boku stały przygotowane dwa kieliszki do wina, ale trzeci leżał na dywanie jak roztrzaskana kryształowa gwiazda. Kilka stóp od niego znajdowało się coś, co wyglądało jak długi nóż albo krótki miecz, prosty, ale z rękojeścią pokrytą ornamentem, w jego matowym ostrzu odbijało się szare światło z ponurego okna z tyłu, które wychodziło na czarne drzewa wznoszące się na tle ołowianego morza. W stronę przeciwległego narożnika pokoju leżał jedwabny cylinder, jakby właśnie zrzucony z głowy; w istocie sprawiał wrażenie, jakby wciąż się toczył. Zaś w samym rogu, ciśnięty jak worek kartofli, ale związany jak przesyłka kolejowa, spoczywał pan James Todhunter z szalikiem na ustach i sześcioma czy siedmioma linami obwiązanymi wokół łokci i kostek. Jego brązowe oczy były żywe i wywrażał nimi nerwowo.

Doktor Orion na chwilę przystanął na wycieracze i chłonał całą tę scenę bezgłośnie przemocy. Potem przeszedł szybko przez dywan, podniósł wysoki, jedwabny kapelusz i ponuro nasadził go na głowę wciąż skrępowanego Todhuntera. Był na niego o tyle za duży, że zsunął mu się prawie na ramiona.

– Kapelusz pana Glassa – powiedział doktor, wracając z nim, po czym przez lupę kieszonkową zajrzał do środka. – Jak

wytłumaczyć nieobecność pana Glassa i obecność jego kapelusza? Pan Glass jest człowiekiem dbałym o ubranie. Ten kapelusz jest bardzo stylowy, systematycznie szczotkowany i polerowany, choć nie jest nowy. Powiedziałbym, że to stary elegant.

– Ależ, na niebiosy! – wykrzyknęła panna MacNab. – Czy nie rozwiąże pan wpierw tego człowieka?

– Powiedziałem „stary” celowo, choć nie z przekonaniem – kontynuował doktor. – Z powodu, który może się wydać nieco niejasny. Włosy wypadają ludziom z różną intensywnością, ale trochę zawsze, a przy pomocy lupy w niedawno noszonym kapeluszu powinienem dostrzec drobne włoski. Nie ma żadnych, co prowadzi mnie do przypuszczenia, iż pan Glass jest łysy. Gdy połączyć to z wysokim i drżącym głosem, który tak obrazowo opisała panna MacNab (cierpliwości, moja droga pani, cierpliwości), gdy połączyć bezwłosą głowę i ton typowy dla starczej złości, można by zapewne wydedukować, że mamy do czynienia z człowiekiem posuniętym w latach. Tym niemniej przypuszczalnie nie brakło mu wigoru i prawie na pewno był wysoki. W pewnym stopniu opierać się mogę na historii o jego poprzednim pojawieniu się w oknie, gdy mowa była o wysokim mężczyźnie w cylindrze, sądzę jednak, że mam dokładniejszą wskazówkę. Ten kieliszek do wina rozprysnął się po całym pokoju, ale jeden z jego odłamków leży na wysokim wsporniku półki nad kominkiem. Gdyby kieliszek został zmiażdżony w dłoni przez relatywnie niewysokiego człowieka, takiego jak pan Todhunter, żaden fragment nie mógłby się znaleźć w takim miejscu.

– Przy okazji – odezwał się ojciec Brown – może by rozwiązać pana Todhuntera?

– Nasze wnioskowanie na podstawie naczyń do picia nie kończy się tutaj – perorował specjalista. – Od razu mogę powiedzieć, że możliwe, iż ów pan Glass był łysy albo nerwowy ze względu na oddawanie się rozpuście, a nie przez wiek. Pan Todhunter, jak podkreślano, to cichy, oszczędny dżentelmen,

w zasadzie abstynent. Te karty i kieliszki do wina nie są jego zwyczajem – zostały przygotowane dla konkretnego towarzysza. Ale skoro już tu jesteśmy, możemy pójść dalej. Pan Todhunter może i posiada kieliszki, nie widać tu jednak, żeby posiadał jakiegokolwiek wina. Czym zatem miały zostać napełnione? Z miejsca zasugerowałbym brandy albo whisky, może luksusowe, z piersiówki w kieszeni pana Glassa. Mamy zatem coś w rodzaju obrazu tego człowieka, a przynajmniej typ: wysoki, starszy, elegancki, choć poniekąd skory do zwady, z pewnością ceniący sobie grę i mocne alkohole, być może aż za bardzo. Pan Glass jest dżentelmenem znanym na peryferiach towarzystwa.

– Słuchaj no pan! – krzyknęła młoda kobieta. – Jeśli nie pozwoli mi pan podejść i go rozwiązać, to wybiegnę na zewnątrz i wezwę policję.

– Panno MacNab, odradzałbym to pani – grobowym tonem powiedział doktor Hood. – Lepiej niech się pani nie spieszy z wzywaniem policji. Ojciec Brown, poważnie proszę pana, by uspokoił pan swoją trzódkę dla jej własnego dobra, nie mojego. Cóż, ustaliliśmy coś odnośnie postaci i cech pana Glassa – a co z głównymi faktami dotyczącymi pana Todhuntera? Mamy trzy podstawowe: że jest oszczędny, że jest mniej lub bardziej zamożny i że ma jakąś tajemnicę. Z pewnością jest oczywiste, że są to trzy główne cechy człowieka, który jest szantażowany. I z pewnością jest równie oczywiste, że przyblakła elegancja, rozrzutne nawyki i ostra irytacja pana Glassa są nieomylnymi znakami, że jest to człowiek, który go szantażował. W przypadku pieniędzy za milczenie mamy dwie typowe postaci tragedii: z jednej strony szacowny człowiek posiadający sekret, z drugiej szakala, który potrafi ten sekret wywęszyć. Tych dwóch ludzi spotkało się dziś tutaj i wdało w kłótnię, używając pięści i ostrza.

– Ma pan zamiar zdjąć te więzy? – z uporem zapytała dziewczyna.

Doktor Hood ostrożnie odłożył cylinder na boczny stolik

i podszedł do ofiary. Przyjrzał się jej uważnie, nawet nieco nią poruszył i na w pół obrócił za ramiona.

– Nie – odparł jedynie. – Uważam, że te liny spełnią swoje zadanie, póki pani przyjaciele policjanci nie przyniosą kajdanek.

Ojciec Brown, który wpatrywał się bezmyślnie w dywan, uniósł swoją okrągłą twarz.

– Co ma pan na myśli? – zapytał.

Człowiek nauki uniósł z podłogi ten dziwny sztylet.

– Ponieważ gdy zastaliście pana Todhuntera związanego – powiedział, przyglądając mu się – wszyscy uznaliście, że to pan Glass go skrepował, a następnie, jak przypuszczam, uciekł. Przeciwno temu przemawiają cztery przesłanki: po pierwsze, dlaczego dżentelmen tak elegancki jak nasz pan Glass, jeśli wychodził z własnej woli, zostawił kapelusz? Po drugie – kontynuował, podchodząc do okna – to jest jedyne wyjście i jest zamknięte od środka. Po trzecie, na czubku tego noża znajduje się maleńka plamka krwi, choć pan Todhunter nie ma żadnych obrażeń. Pan Glass zabrał swoją ranę ze sobą, żywy lub martwy. Proszę do tego dodać tę pierwszą możliwość. Jest znacznie bardziej prawdopodobne, że to szantażowany człowiek spróbuje zabić swojego prześladowcę, bo prześladowca nie zabijałby kury znoszącej złote jaja. I tak oto, jak sądzę, mamy w miarę kompletną historię.

– Ale te liny... – zdziwił się ksiądz, który oczy miał szeroko otwarte z wielkiego podziwu.

– Ach, liny – ze szczególną intonacją powiedział ekspert. – Panna MacNab bardzo chciała wiedzieć, dlaczego nie uwolniłem pana Todhuntera z więzów. Cóż, odpowiem jej. Nie zrobiłem tego, bo pan Todhunter w każdej chwili może to zrobić sam.

– Co? – wykrzyknęła widownia ze zdumieniem.

– Przyjrzałem się wszystkim węzłom na panu Todhunterze – cicho powtórzył Hood. – Tak się składa, że wiem coś niecoś o węzłach – to cała gałąź nauki kryminalistycznej. Każdy z tych węzłów pan Todhunter zrobił sam i sam może się oswobodzić;

żaden z nich nie został zaciągnięty przez przeciwnika, który naprawdę próbowałby go związać. Cała ta sprawa z linami to sprytne oszustwo, mające nas przekonać, że to on jest ofiarą walki, a nie nieszczęsny Glass, którego ciało może być ukryte w ogrodzie albo wepchnięte do komina.

Zapanowała raczej ponura cisza. W pokoju robiło się coraz ciemniej, zniszczone przez morze drzewa wyglądały na cieńsze i czarniejsze niż kiedykolwiek, jednocześnie zdawały się być bliżej okna. Można było sobie niemal wyobrazić, że były to morskie potwory, krakeny albo mątwy, które przy pomocy wijących się macek wypęły z morza, by ujrzyć koniec tej tragedii, tak jak on, napastnik i ofiara jednocześnie, straszny człowiek w cylindrze, niegdyś wyszedł z morza. Powietrze było ciężkie od nikczemności szantażu, który jest najbardziej odrażającą ludzką sprawą, ponieważ to zbrodnia, która prowadzi do kolejnej zbrodni – czarny plaster na jeszcze czarniejszą ranę.

Twarz tego małego, katolickiego księdza, która była zwykle zadowolona z siebie i nawet komiczna, nagle się ściągnęła, gdy ten z namysłem zmarszczył brwi. Nie była to pusta ciekawość jego pierwotnej niewinności. Była to raczej ta twórcza ciekawość, która pojawia się, gdy w człowieku kiełkuje załóżek idei.

– Może to pan powtórzyć? – poprosił z prostotą i zakłopotaniem. – Chce pan powiedzieć, że pan Todhunter potrafił związać się samodzielnie i samodzielnie jest w stanie się oswobodzić?

– To właśnie mam na myśli – potwierdził doktor.

– Jeruzalem! – nagle wykrzyknął Brown. – Ciekaw jestem, czy to możliwe!

Przebiegł przez pokój pospiesznie jak królik i z nową ciekawością zerknął na częściowo zakrytą twarz więźnia. Potem odwrócił własną, raczej dość głupkowatą, twarz do pozostałych.

– Tak, to jest to! – zawołał ze szczególnym podekscytowaniem.
– Nie widzicie tego w jego twarzy? Tylko popatrzcie w jego oczy!

Zarówno profesor, jak i dziewczyna podążyli za jego spojrzeniem. A choć szeroki czarny szalik całkowicie zasłaniał dolną część twarzy Todhuntera, uświadomili sobie, że jej górna część ma wyraz świadczący o zmaganiu i napięciu.

– Jego oczy dziwnie wyglądają – krzyknęła młoda kobieta, silnie poruszona. – Wy brutale, to go chyba rani!

– Nie wydaje mi się – zaoponował doktor Hood. – Oczy faktycznie mają szczególny wyraz. Ale te poprzeczne zmarszczki zinterpretowałbym raczej jako wyrażające lekką psychiczną aberrację...

– O Boziu! – krzyknął ojciec Brown. – Czy wy nie widzicie, że on się śmieje?

– Śmieje? – z zaskoczeniem powtórzył doktor. – Ale z czegoż miałyby się śmiać?

– Cóż – ze skruchą odpowiedział wielebny Brown – nie założyłbym się o to, ale sądzę, że śmieje się z pana. I faktycznie, sam mam ochotę się roześmiać, gdy już o tym wiem.

– O czym pan wie? – z lekkim rozdrażnieniem zapytał Hood.

– Wiem już – odparł ksiądz – czym zajmuje się pan Todhunter.

Przeszedł się po pokoju, obrzucając jedną rzecz po drugiej jakby nieobecny spojrzeniem, a potem niezmiennie wybuchał równie nieobecnym śmiechem, co było wysoce irytujące dla tych, którzy to obserwowali. Bardzo śmiał się nad cylindrem, jeszcze głośniej nad rozbitym kieliszkiem, a już krew na nożu wprawiała go w niemal śmiertelne spazmy rozbawienia. Wreszcie odwrócił się do wściekłego specjalisty.

– Doktorze Hood – powiedział entuzjastycznie – jest pan wspaniałym poetą! Przywołał pan z pustki dotąd niestworzoną rzecz. Ileż to bliższe Bogu niż zbieranie suchych faktów! W istocie, w porównaniu z tym te suche fakty są raczej pospolite i zabawne.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – dość wyniośle powiedział doktor Hood. – Moje fakty są oczywiste, choć z konieczności niepełne. Można pewnie zostawić miejsce dla intuicji – albo poezji, jeśli woli pan takie określenie – ale tylko

dlatego, że brak jeszcze stosownych szczegółów. Pod nieobecność pana Glassa...

– W tym rzecz, w tym rzecz – przytaknął mały ksiądz, kiwając energicznie głową. – To właśnie pierwsza rzecz do wyjaśnienia: nieobecność pana Glassa. Jest tak ogromnie nieobecny. Przypuszczam – dodał z namysłem – że nigdy nie było nikogo tak nieobecnego jak pan Glass.

– Chce pan powiedzieć, że jest nieobecny w miasteczku? – naciskał doktor.

– Chcę powiedzieć, że jest nieobecny wszędzie – odparł ojciec Brown. – Jest nieobecny z Natury Rzeczy, że tak to ujmę.

– Naprawdę pan uważa – z uśmiechem powiedział specjalista – że taka osoba nie istnieje?

Ksiądz zrobił potwierdzający gest.

– To istotnie szkoda – przyznał.

Orion Hood wybuchnął pogardliwym śmiechem.

– Cóż – powiedział – zanim przejdziemy do stu jeden dowodów, zajmijmy się pierwszym, który znaleźliśmy – pierwszym faktem, jaki odkryliśmy, gdy weszliśmy do tego pokoju. Jeśli nie ma żadnego pana Glassa, to czyj to kapelusz?

– Ależ pana Todhuntera – odpowiedział ojciec Brown.

– Ale na niego nie pasuje – ze zniecierpliwieniem wykrzyknął Hood. – Nie byłby w stanie go nosić!

Ojciec Brown z niewysłowioną łagodnością potrząsnął głową.

– Nigdy nie mówiłem, że miałby go nosić – odparł. – Powiedziałem, że to jego kapelusz. Och, skoro nalega pan na cień różnicy, kapelusz, który jest jego własnością.

– A co to za różnica? – z lekkim parsknięciem zapytał kryminolog.

– Szanowny panie – jęknął ten łagodny, mały człowiek, po raz pierwszy dochodząc do granic cierpliwości – jeśli pójdzie pan w dół ulicy do najbliższego zakładu kapeluszniczego, zrozumie pan, że mówiąc potocznie, istnieje różnica między kapeluszem mężczyzny a kapeluszami, które do niego należą.

– Ale kapelusznik – zaprotestował Hood – zarabia na

sprzedazy nowych kapeluszy. Co pan Todhunter miałby wyciągnąć z tego jednego, starego cylindra?

– Króliki – krótko odpowiedział ojciec Brown.

– Co? – wrzasnął doktor Hood.

– Króliki, wstążki, cukierki, złote rybki, wstęgi kolorowego papieru – pospiesznie wymieniał wielebny. – Nie zauważył pan tego wszystkiego, gdy znalazł te fałszywe liny? To samo odnosi się do noża. Pan Todhunter nikogo nim nie zranił, jak pan twierdzi, ale ma ranę w sobie, jeśli pan za mną nadaża.

– To znaczy pod ubraniem? – surowo dopytała pani MacNab.

– Nie to mam na myśli – odparł ojciec Brown. – Mam na myśli wnętrze pana Todhuntera.

– Na litość boską, o czym ksiądz mówi?

– Pan Todhunter – uprzejmie wyjaśnił ojciec Brown – uczy się, jak zostać profesjonalnym iluzjonistą, jak również żonglerem, bruchomówcą i ekspertem od sztuczek z linami. Iluzje tłumaczą kapelusz. Nie ma w nim śladów włosów nie dlatego, że nosił go przedwcześnie wyłysiały pan Glass, ale dlatego, że nikt go nigdy nie nosił. Żonglerka tłumaczy te trzy kieliszki, na których pan Todhunter uczył się, jak podrzucać i chwycić rotujące przedmioty. Jednak, będąc na początku nauki, jeden z kieliszków roztrzaskał o sufit. Żonglerka wyjaśnia również nóż, który pan Todhunter połykał, powodowany zawodowym obowiązkiem i dumą. Jednak znów, ponieważ dopiero się uczył, bardzo lekko uszkodził sobie wnętrze gardła. Mimo że ma ranę wewnętrzną, czego jestem pewien (na podstawie jego miny), to nic poważnego. Ćwiczył również sztuczkę z uwalnianiem się z więzów jak bracia Davenport i właśnie miał się uwolnić, gdy wpadliśmy do pokoju. Karty oczywiście do sztuczek karcianych – są rozrzucone po podłodze, bo ćwiczył jeden z tych trików z posyłaniem kart w powietrze. Po prostu starał się zachować tajemnice zawodowe jak każdy inny iluzjonista. Ale sam fakt pojawienia się próżniaka w cylindrze, który kiedyś zajrzał mu w okno i którego wygonił z wielkim oburzeniem, wystarczył, byśmy wszyscy znaleźli się na złym tropie i zaczęli sobie

wyobrażać całe jego życie pod czarną chmurą zjawy w cylindrze, pana Glassa.

– Ale co z tymi dwoma głosami? – niepewnie zapytała Maggie.

– Nigdy nie słyszałaś o brzuchomówcach? – spytał ojciec Brown. – Nie wiesz, że najpierw mówią swoim naturalnym głosem, a potem odpowiadają sobie takim ostrym, drżącym, nienaturalnym głosem, jaki słyszałaś?

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał, a doktor Hood przypatrywał się księdzu z mrocznym i uważnym uśmiechem.

– Zaiste jest pan zmyślnym człowiekiem – powiedział. – Nawet w książce nie można by tego zrobić lepiej. Jest jednak coś w związku z panem Glassem, czego nie udało się panu wytłumaczyć, a jest to jego nazwisko. Panna MacNab wyraźnie słyszała, jak pan Todhunter tak się do niego zwracał.

Wielebny pan Brown wydał z siebie dość dziecinny chichot.

– Ach, to – powiedział. – To najgłupsza rzecz w całej tej niemądrej historii. Gdy nasz żonglujący przyjaciel podrzucał na zmianę trzy kieliszki, liczył na głos, chwytając je, a także komentował głośno, gdy jakiś upuścił. „Raz, dwa i trzy – kieliszek spadł, raz, dwa – kieliszek spadł”^[4]. I tak dalej.

W pokoju przez chwilę panowała cisza, po czym wszyscy jednocześnie zaczęli się śmiać. W tym czasie człowiek w rogu z zadowoleniem rozplątał wszystkie liny i zrzucił je z rozmachem. Następnie z ukłonem stanął na środku pokoju i wyciągnął z kieszeni dużą niebiesko-czerwoną ulotkę, która ogłaszała, iż ZALADIN, Największy Iluzjonista na Świecie, Akrobata, Brzuchomówca i Człowiek-Kangur, przedstawi swój najnowszy program Iluzji w Empire Pavilion w Scarborough w następny poniedziałek o ósmej wieczorem.

^[4] Nieprzetłumaczalna gra słów: w oryginale „misses a glass” brzmi bardzo podobnie do „mister Glass” – „pan Glass”.

GŁOWA CEZARA

Gdzieś w Brompton albo w Kensington jest długa aleja wysokich domów, bogatych, ale w większości pustych, która wygląda jak plac z nagrobkami. Same schody wiodące do ciemnych drzwi frontowych wydają się tak strome jak boki piramid; można by się zawahać przed zapukaniem do drzwi, na wypadek gdyby miała je otworzyć mumia. Ale jeszcze bardziej przygnębiającą cechą szarej fasady jest jej teleskopowa długość i niezmienność. Pielgrzym kroczący w dół zaczyna myśleć, że nigdy nie dotrze do wyłomu ani do rogu. Jest jednak jeden wyjątek – bardzo mały, ale wstrzymujący pielgrzyma niemal jak krzyk. Pomiedzy dwiema z tych wysokich posiadłości znajduje się jakby zaułek, raptem przesmyk, w porównaniu z ulicą wąski jak szpara w drzwiach, ledwie wystarczający, by pomieścić maciupieńki pub albo jadłodajnię, do których bogacze pozwalają chodzić swoim stajennym. W tej obskurności jest coś wesołego, a w znikomości coś wolnego i czarodziejskiego. U stóp tych szarych, kamiennych gigantów wygląda jak oświetlony domek krasnoludków.

Każdy, kto mijał to miejsce w czasie pewnego jesiennego wieczoru, samego w sobie niemal bajkowego, mógł zobaczyć dłoń odsuwającą na bok czerwoną półokiennicę, która (wraz

z dużym białym napisem) częściowo ukrywała wnętrze przed widokiem z ulicy, i twarz jakby należąca do niewinnego goblina. Była to w istocie twarz jednej z najbardziej nieszkodliwych istot ludzkich, niejakiego Browna, do niedawna księdza z Cobhole w Essex, obecnie pracującego w Londynie. Naprzeciwko niego siedział jego przyjaciel Flambeau, na wpół oficjalny detektyw, robiąc ostatnie notatki dotyczące sprawy, która wyjaśniła się w sąsiedztwie. Siedzieli przy małym stole, tuż przy oknie, gdy ksiądz odsunął zasłonę i wyjrzał na zewnątrz. Zaczekał, aż obcy na ulicy minie witrynę i spuścił zasłonę z powrotem na miejsce. Potem jego okrągłe oczy skierowały się do dużego, białego napisu na oknie ponad jego głową, a następnie do sąsiedniego stolika, przy którym siedział tylko robotnik, pijąc piwo i jedząc ser, oraz młoda rudowłosa dziewczyna ze szklanką mleka.

– Jeśli masz dziesięć minut – powiedział łagodnie, widząc, że jego przyjaciel odsunął swój notes – to chciałbym, żebyś poszedł za tamtym człowiekiem z fałszywym nosem.

Flambeau, zaskoczony, uniósł wzrok. To samo zrobiła również dziewczyna z rudymi włosami, i to z czymś, co było mocniejsze niż zdziwienie. Ubrana skromnie, a nawet swobodnie, w jasnobrązową, workowatą suknię, była jednak damą i – nawet na drugi rzut oka – raczej niepotrzebnie wyniosłą.

– Człowiek z fałszywym nosem! – powtórzył Flambeau. – Kto to taki?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział ojciec Brown. – Chciałbym, żebyś się dowiedział. Proszę o to jako o przysługę. Szedł tędy – wskazał kciukiem przez ramię w jednym ze swoich nieokreślonych gestów – i nie mógł jeszcze minąć trzeciej latarni. Chcę tylko znać kierunek.

Flambeau przez jakiś czas przypatrywał się przyjacielowi z miną pośrednią między konsternacją a rozbawieniem. Później wstał od stolika, wcisnął swoje wielkie ciało w małe drzwi tawerny dla krasnali i rozplątał się w mroku.

Ojciec Brown wyciągnął z kieszeni małą książkę i spokojnie zabrał się do lektury. Nie wydawał się zauważać, że rudowłosa

dama wstała od swojego stolika i usiadła naprzeciwko niego. Wreszcie się pochyliła i odezwała niskim, mocnym głosem:

– Dlaczego pan tak mówi? Skąd pan wie, że jest fałszywy?

Uniósł swoje dość ciężkie powieki, które zatrzepotały w wyraźnym zakłopotaniu. Potem jego powątpiewające oczy znowu pobiegły ku białemu napisowi na szybie pubu. Młoda kobieta skierowała wzrok na to samo i z czystym zaintrygowaniem wpatrywała się w litery.

– Nie – powiedział ojciec Brown, odgadując jej myśli. – Tam nie jest napisane „Sela” jak to słowo w psalmach^[5]. Sam tak to odczytałem. Tam jest napisane „Ales”.

– No i? – spytała młoda dama. – Co to ma za znaczenie?

Jego uważne oko spoczęło na lekkim rękawie dziewczyny i przesunęło się po nadgarstku, na którym biegł bardzo delikatny, haftowany wzór, wystarczający, aby odróżnić strój od roboczej sukienki zwykłej kobiety i upodobnić ją raczej do roboczej sukni studentki sztuki. Wydawał się w tym odnaleźć sporo pożytki dla myśli. Jednak jego odpowiedź była niespieszna i pełna wahania.

– Widzi pani, madame – zaczął – z zewnątrz miejsce to wygląda... cóż, to absolutnie przyzwoity lokal... ale damy takie jak pani nie... ogólnie tak nie uważają. Nigdy nie pojawiają się w takich miejscach z własnego wyboru, z wyjątkiem...

– Tak? – ponagliła.

– Z wyjątkiem tej garstki, która nie przychodzi tu, żeby pić mleko.

– Jest pan niezwykłym człowiekiem – powiedziała młoda dama. – I jak się pan na to zapatruje?

– Nie będę pani kłopotał – odparł bardzo uprzejmie. – Potrzebuję tylko wiedzy, która pozwoli mi pani pomóc, jeśli zdecyduje się pani poprosić mnie o pomoc.

– A dlaczegóż miałabym potrzebować pomocy?

Kontynuował swój senny monolog:

– Nie przyszła tutaj pani, żeby spotkać się ze swoimi protegowanymi, biednymi przyjaciółmi, kimś w tym rodzaju, bo

przeszłaby pani do salonu... I nie mogła pani tu przyjść dlatego, że jest chora, bo porozmawiałaby pani z właścicielką tego miejsca, która jest bardzo szacowną osobą... Poza tym nie wygląda pani na chorą, tylko na nieszczęśliwą... Ta ulica to jedyna oryginalna, długa aleja, na której nie ma zakrętów, a domy po obu stronach są pozamykane... Mogę tylko przypuszczać, że zobaczyła pani, że nadchodzi ktoś, z kim nie chciała się pani spotkać, i stwierdziła, że ten pub to jedyne schronienie pośród tej kamiennej dziczy... Nie sądzę, bym tylko ja przyglądał się człowiekowi, który wszedł zaraz potem... I pomyślałem sobie, że nie wyglądał zachęcająco... Byłem gotów pomóc pani, gdyby się jej naprzykrzał, to wszystko. A co do mojego przyjaciela, niedługo wróci. Z pewnością niczego się nie dowie, tak się afiszując... Nie wydaje mi się, żeby coś ustalił.

– To dlaczego posłał go pan na zewnątrz? – wykrzyknęła, pochylając się z ciekawością. Miała dumną, niecierpliwą twarz, która pokryła się rumieńcem, i rzymski nos jak Maria Antonina.

Po raz pierwszy otwarcie na nią popatrzył.

– Bo miałem nadzieję, że pani się do mnie odezwie – odparł.

Przez jakiś czas odwzajemniała jego spojrzenie z rozgrzaną twarzą, na której pojawił się teraz czerwony cień gniewu. Potem, pomimo zaniepokojenia, z jej oczu i kącików ust wyjrzał humor.

– Cóż, jeśli tak bardzo chciał pan ze mną porozmawiać – powiedziała niemal srogo – być może odpowie pan na moje pytanie. Mam zaszczyt zapytać pana, dlaczego uznał pan nos tego człowieka za fałszywy.

– Przy takiej pogodzie wosk zawsze się trochę odznacza – z całkowitą prostotą odpowiedział ojciec Brown.

– Ale przy takim garbatym nosie! – zaprotestowała rudowłosa dziewczyna.

Tym razem to ksiądz się uśmiechnął.

– Nie mówię, że ktoś miałby nosić taki nos wyłącznie ze względu na modę – przyznał. – Sądzę, że ten człowiek przykleił

go dlatego, że jego własny nos jest znacznie ładniejszy.

– Ale dlaczego? – naciskała.

– Jak idzie ta kołysanka? – z roztargnieniem zapytał ojciec Brown. – Był sobie garbus, szedł krętą drogą... Wyobrażam sobie, że ten człowiek kroczył bardzo krętą drogą... gdy spojrzeć na jego nos.

– Ale co takiego zrobił? – spytała z napięciem, dość drżąco.

– Nie chciałbym ani na jotę naruszyć pani prywatności – bardzo cicho powiedział ojciec Brown – sądzę jednak, że mogłaby pani powiedzieć o tym więcej niż ja.

Dziewczyna poderwała się i stała w milczeniu, ale z zaciśniętymi pięściami, jakby miała odejść. Potem jej dłonie powoli się rozluźniły i znowu usiadła.

– Jest pan bardzo tajemniczą osobistością – powiedziała z desperacją – ale czuję, że ma pan serce.

– Tym, czego wszyscy obawiamy się najbardziej – cichym głosem odezwał się ksiądz – jest labirynt bez centrum. Dlatego właśnie ateizm to koszmar.

– Powiem panu wszystko – skwapliwie oświadczyła ruda dziewczyna – z wyjątkiem tego, dlaczego to robię – tego bowiem nie wiem.

Skubnęła zniszczony obrus.

– Wygląda pan na kogoś, kto wie, czym jest, a czym nie jest snobizm – mówiła dalej. – I gdy powiem, że nasz snobizm jest snobizmem dobrej, starej rodziny, zrozumie pan, że to konieczna część tej opowieści. Istotnie, moje główne niebezpieczeństwo to bankructwo mojego brata, *noblesse oblige* i temu podobne. Cóż, nazywam się Christabel Carstairs, a moim ojcem był pułkownik Carstairs, o którym pewnie pan słyszał, zgromadził on słynną kolekcję rzymskich monet. Nie byłabym w stanie opisać panu mego ojca – najłatwiej byłoby powiedzieć, że sam przypominał rzymską monetę. Był przystojny, oryginalny, cenny i metaliczny jak te monety, i tak samo przestarzały. Bardziej był dumny ze swojej kolekcji niż z tarczy herbowej – to mówi o nim wszystko. Miał

dwóch synów i jedną córkę. Z jednym synem się pokłócił, był to mój brat Giles, i z małymi środkami odesłał go do Australii. Następnie sporządził testament, zostawiając Kolekcję Carstairsów i jeszcze mniejsze środki do życia mojemu bratu Arthurowi. Uważał to za nagrodę, za największy honor, jaki mógł ofiarować, potwierdzenie lojalności i uczciwości Arthura oraz wyróżnień, które już zdobył w zakresie matematyki i ekonomii w Cambridge. Mnie zostawił praktycznie całą swoją okazałą fortunę i jestem pewna, że zrobił to z pogardy.

Można by sądzić, że mój brat nie będzie z tego zadowolony, ale Arthur to kopia naszego ojca. Choć we wczesnej młodości miewał z nim pewne nieporozumienia, gdy tylko przejął Kolekcję, stał się jak pogański kapłan oddany świątyni. Pomieszał ten rzymski obol z honorem rodziny Carstairsów w ten sam sztywny, bałwochwalczy sposób, jak przed nim jego ojciec. Zachowywał się tak, jakby rzymskie pieniądze musiały być strzeżone wszystkimi rzymskimi cnotami. Nie miał żadnych przyjemności, nic nie wydawał na siebie. Żył dla Kolekcji. Często nie zwracał sobie głowy ubieraniem się do zwykłych posiłków, dreptał tylko wokół obwiązanych sznurkiem paczek w brązowym papierze (których nikomu innemu nie wolno było dotknąć), w starej brązowej podomce. Z tym sznurem, frędzlem i jego bladą, chudą, szlachetną twarzą wyglądał jak stary, ascetyczny mnich. Jednak od czasu do czasu pojawiał się ubrany jak zdecydowanie elegancki dżentelmen – ale było to tylko wówczas, gdy jechał na londyńskie wyprzedaże albo do sklepów, aby uzupełnić Kolekcję Carstairsów.

Jeżeli zna pan jakichkolwiek młodych ludzi, nie będzie pan zaszokowany, gdy powiem, że jestem przez to wszystko w dość kiepskim stanie psychicznym; w stanie, w którym zaczyna się mówić, że starożytni Rzymianie na swój sposób byli wspaniali. Nie jestem jak mój brat Arthur, nic nie poradzę na to, że różne rzeczy sprawiają mi przyjemność. Gdzie tylko pojawi się moja ruda głowa, otacza mnie mnóstwo flirtu i zamieszania, mam to po drugiej części rodziny. Nieszczęsny Giles był taki sam

i sędzę, że tę atmosferę wokół monet można uznać za jego usprawiedliwienie, chociaż naprawdę źle postąpił i prawie trafił do więzienia. Nie zachowywał się jednak gorzej ode mnie, jak pan usłyszysz.

Teraz dochodzę do niemądrej części mojej historii. Sędzę, że człowiek tak bystry jak pan, domyśli się, jakiego rodzaju rzeczy zaczęły przerywać monotonię życia krnąbrnej, siedemnastoletniej dziewczyny w takiej sytuacji. Jestem jednak tak wytrącona z równowagi jeszcze gorszymi rzeczami, że ledwie potrafię odczytać własne uczucia. Nie wiem, czy teraz gardzę nimi jako flirtem, czy dźwigam je jak złamane serce. Mieszkaliśmy wówczas w nadmorskim kurorcie w Południowej Walii, a emerytowany kapitan żeglugi dalekomorskiej, który mieszkał kilka domów dalej, miał syna starszego ode mnie o jakieś pięć lat, który zaprzyjaźnił się z Gilesem, zanim ten wyjechał do kolonii. Jego nazwisko nie ma znaczenia dla tej opowieści, ponieważ jednak mówię panu wszystko, to nazywał się Philip Hawker. Chodziliśmy razem łowić krewetki i mówiliśmy, i sędziliśmy, że jesteśmy w sobie zakochani – przynajmniej on z pewnością tak mówił o sobie, a ja z pewnością uważałam tak o sobie. Jeżeli powiem panu, że miał brązowe, kręcone włosy i sokolą twarz, również ogorzałą przez morze, to nie ze względu na niego, zapewniam pana, ale ze względu na tę opowieść, była to bowiem przyczyna bardzo ciekawego zbiegu okoliczności.

Któregoś letniego popołudnia, gdy obiecałam Philipowi, że pójdziemy na plażę na krewetki, czekałam dość niecierpliwie we frontowym salonie, obserwując, jak Arthur zajmuje się jakimiś pakieczkami monet, które właśnie kupił, i powoli je przenosi, po jednej lub dwie naraz, do własnej ciemnej pracowni i muzeum, które mieściły się na tyłach domu. Gdy tylko usłyszałam, że ciężkie drzwi wreszcie się za nim zamknęły, pognałam po siatkę na krewetki oraz beret i już miałam się wyslizgnąć, kiedy zobaczyłam, że mój brat zostawił jedną monetę, która leżąc, połyskiwała na długiej ławce pod oknem. To była moneta

z brązu, a jej awers, wraz z wyraźnym kształtem rzymskiego nosa i czymś w samym uniesieniu długiej, żyłastej szyi Cezara, był niemal dokładnym portretem Philipa Hawkera. Potem nagle przypomniałam sobie, jak Giles mówił Philipowi o monecie, która była jak on, a Philip żałował, że jej nie posiada. Być może jest pan w stanie wyobrazić sobie dzikie, niemądre myśli, z którymi wpatrywałam się w tę monetę. Czułam się tak, jakby to był prezent od wrózek. Wydawało mi się, że jeśli udałoby mi się z nią uciec i podarować ją Philipowi, jak coś w rodzaju pierścionka zaręczynowego, to stworzyłaby między nami więź na zawsze. Jednocześnie zalały mnie tysiące tego rodzaju myśli. Potem rozwarła się przede mną otchłań jak przepaść, ogromne, koszmarne zrozumienie tego, co robię; mimo wszystko nieznośna myśl, która była niczym dotykanie rozgrzanego żelaza, o tym, co pomyślałby Arthur. Ktoś z Carstairsów złodziejem, i to złodziejem skarbu Carstairsów! Wierzę, że mój brat mógłby mnie spalić za coś takiego jak czarownicę, ale potem sama myśl o tak fanatycznym okrucieństwie wydobyła moją zadawnioną nienawiść do tych jego wstrętnych starych, antykwarycznych kaprysów oraz moje pragnienie młodości i swobody, które wzywało mnie od strony morza. Na zewnątrz mocno świeciło słońce i wiał wiatr, w szybie okna odbijała się żółta kępa janowca czy żarnowca. Pomyślałam, że to żywe i rosnące złoto wzywa mnie z całą żarliwością świata – w przeciwieństwie do tej martwoty, matowego złota, brązu i miedzi mojego brata, z upływem lat pokrywającego się coraz grubszą warstwą kurzu. Natura i Kolekcja Carstairsów wreszcie szły ramię w ramię.

Natura jest starsza od Kolekcji Carstairsów. Gdy biegłam schodami w dół, do morza, w dłoni mocno ścisnęłam tę monetę i czułam na grzbiecie ciężar całego Imperium Rzymskiego i rodowodu Carstairsów. W uszach słyszałam nie tylko ryk posiwiąłego lwa, lecz także miałam wrażenie, że nad głową trzepoczą mi i krzyczą oskarżycielsko wszystkie cesarskie orły. A jednak moje serce wznosiło się coraz wyżej i wyżej, jak

dziecięcy latawiec, aż dotarłam do sypkich, suchych, piaszczystych wydm i do płaskiego, mokrego piasku, gdzie Philip stał już po kostki w płytkiej, migoczącej wodzie, jakieś sto jardów w głąb morza. Był wspaniały czerwony zachód słońca, a długa linia niskiej wody, na odcinku pół mili ledwie sięgającej ponad kostki, była jak jezioro rubinowego płomienia. Zaraz zdarłam buty i pończochy i poszłam, brodząc, tam gdzie stał, a było to bardzo daleko od suchego lądu, aż się odwróciłam i rozejrzałam. Byliśmy sami w kręgu morskiej wody i mokrego piasku. Podałam mu głowę Cezara.

W tej samej chwili wstrząsnęła mną fantazja, że jakiś człowiek, daleko na wydmach, wpatruje się we mnie intensywnie. Zaraz potem poczułam, że było to zwykłe załamanie spowodowane zdenerwowaniem – ów człowiek był jedynie czarnym punktem w oddali i widziałam tylko tyle, że stał bez ruchu i rozglądał się z głową przekrzywioną lekko na ramię. Nie było żadnego logicznego dowodu, żeby patrzył akurat na mnie; mógł przyglądać się statkowi albo podziwiać zachód słońca, albo patrzeć na mewy czy na jakichkolwiek ludzi, którzy wciąż kręcili się tu i ówdzie na brzegu pomiędzy nami. Tym niemniej z czegokolwiek wynikało moje zaniepokojenie było prorocze. Kiedy mu się przyglądałam, ruszył stanowczym krokiem po mokrym piasku w naszą stronę. W miarę gdy się zbliżał, zobaczyłam, że był śniady i miał brodę, a oczy ukryte za ciemnymi okularami. Ubrany był biednie, ale starannie, w czerń, od starego cylindra na głowie po mocne, czarne buty. Pomimo tego bez śladu wahania wszedł prosto w morze i podszedł do mnie z nieustępliwym spokojem pocisku.

Nie jestem w stanie opisać poczucia potworności i cudu, jakie miałam, gdy tak w ciszy przekroczył barierę pomiędzy lądem a wodą. To było tak, jakby zszedł prosto z klifu i maszerował spokojnie w powietrzu. To było tak, jakby dom uniósł się w niebo, albo jakby człowiekowi odpadła głowa. Zamoczył tylko buty, ale wydawał się być demonem kpiącym z praw Natury. Gdyby zawahał się na moment na skraju wody, nie byłoby

o czym mówić. Ale wydawał się patrzeć tylko na mnie i nie zauważać oceanu. Philip stał kilka jardów dalej, zwrócony do mnie plecami, i pochylał się nad swoją siatką. Ten obcy zbliżał się, aż stanął dwa jardy ode mnie w wodzie oblewającej mu łydki. Potem powiedział głosem starannie modulowanym i dość manierycznym: „Czy byłoby dla pani kłopotem, gdyby przyjęła pani monetę z nieco innym napisem?”.

Poza jednym wyjątkiem nie było w nim niczego wyraźnie anormalnego. Jego przyciemniane okulary nie były tak całkiem nieprzejryste, ale miały niebieskawe soczewki, zza których przyglądał mi się chytrze. Ciemną brodę miał niezbyt długą i zadbaną – ale wyglądał na dość owłosionego, bo zarost zaczynał mu się bardzo wysoko na twarzy, tuż pod kośćmi policzkowymi. Jego cera nie była ani ziemista, ani rumiana, ale przeciwnie, raczej czysta i młodzieńcza, miała jednak wygląd jakby biało-różowego wosku, co (nie wiem dlaczego) było jeszcze bardziej przerażające. Jedyłą zauważalnie dziwną cechą był jego nos, który ogólnie miał dobry kształt, ale na czubeczku był lekko wykrzywiony, jakby – gdy był jeszcze miękki – został przyklepany na jedną stronę zabawkowym młotkiem. W sumie trudno było to uznać za deformację, jednak nie potrafię panu opisać, jak koszarne wywarło to na mnie wrażenie. Gdy stał tam w wodzie zabarwionej zachodem słońca, wydawało mi się, że to jakiś piekielny potwór morski wyłonił się z rykiem z morza barwy krwi. Nie mam pojęcia, dlaczego ten nos tak bardzo wpłynął na moją wyobraźnię. Chyba dlatego, że wydawało się, że może nim ruszać jak palcem. I że właśnie nim poruszył.

„Wszelka pomoc”, ciągnął z tym samym dziwnym, pedantycznym akcentem, „może zwolnić mnie z obowiązku skomunikowania się z rodziną”.

Wówczas dotarło do mnie, że szantażuje mnie, bo wie, że ukradłam tę brązową monetę. Wszystkie moje zwyczajnie zabobonne lęki i wątpliwości zniknęły pod naporem jednego wielkiego, praktycznego pytania. Jakim cudem się o tym dowiedział? Ukradłam ten przedmiot zniecka, pod wpływem

impulsu. Z całą pewnością byłam sama, zawsze pilnowałam, by nikt mnie nie widział, gdy się wymykałam, żeby zobaczyć się z Philipem nieoficjalnie. Nic nie wskazywało na to, bym była śledzona, a jeśli tak, to skąd ktoś miałby wiedzieć, że w dłoni trzymam monetę? Ten człowiek stojący na wydmach nie mógł widzieć, że dałam ją Philipowi, chyba że był jakimś czarownikiem z bajki.

„Philipie” – jęknęłam bezradnie – „zapytaj tego człowieka, czego chce”.

Gdy Philip wreszcie uniósł głowę znad swojej siatki, był czerwony jakby nadąsany albo zawstydzony; ale mógł to być tylko wynik pochylania się i czerwonego wieczornego światła, jedynie kolejne moje złowieszcze wyobrażenie. „Proszę się stąd zabierać”, powiedział tylko gburowato do tamtego człowieka. Potem gestem kazał mi iść ze sobą i oddalił się, brodząc w wodzie i nie zwracając na tamtego więcej uwagi. Wszedł na jeden z kamieni falochronu, który biegł u stóp wydm, i ruszył w stronę domu, sądził może, że nasza zmora uzna, że znacznie trudniej będzie jej iść po tak nierównym podłożu, zielonym i śliskim od wodorostów niż nam, młodym i przyzwyczajonym do tego. Ale mój prześladowca chodził z taką samą gracją, z jaką mówił, i wciąż szedł za mną, wybierając drogę i dobierając słowa. Zza ramienia słyszałam jego delikatny, obmierzły głos zwracający się do mnie, aż w końcu, gdy wspięliśmy się na wydnię, cierpliwość Philipa (co w większości wypadków nie było zbyt wyraźne) wydawała się być na wyczerpaniu. Odwrócił się zniemacka, mówiąc: „Proszę wracać. Nie mogę teraz z panem rozmawiać”. A gdy ten człowiek zawahał się i otworzył usta, Philip go w nie uderzył, tak że posłał go ze szczytu najwyższej wydmy na sam dół. Widziałam, jak się tam podnosi, cały pokryty piaskiem.

To uderzenie w jakiś sposób mnie uspokoiło, choć równie dobrze mogło wzmóc mój niepokój. Philip jednak nie okazał zwykłego uniesienia z powodu własnej dzielności. Choć równie uczuciowy jak zwykle, wciąż wydawał się przygnębiony, a zanim

zdołałam go o to zapytać, opuścił mnie przy własnej bramie z dwiema uwagami, które uderzyły mnie jako dziwne. Powiedział, że biorąc wszystko pod uwagę, powinnam odłożyć monetę z powrotem do Kolekcji, ale że on sam zatrzymałby ją „na prezent”. A potem dodał, dość nagle i bez związku: „Wiesz, kiedy Giles wraca z Australii?”.

Drzwi tawerny otworzyły się i na stół padł gigantyczny cień detektywa Flambeau. Ojciec Brown przedstawił go damie w swoim lekkim, wymownym stylu, wspominając o jego wiedzy i upodobaniu do tego rodzaju spraw, i wkrótce dziewczyna, niemal bezwiednie, powtórzyła swoją opowieść dwóm słuchaczom. Ale Flambeau, gdy się uklonił i zajął miejsce, podał księdzu niewielki skrawek papieru. Brown przyjął go z lekkim zaskoczeniem i przeczytał: „Dorożka do Wagga Wagga, Mafeking Avenue 379, Putney”. Dziewczyna kontynuowała opowiadanie:

– Poszłam stromą ulicą do mojego własnego domu, a w głowie mi się kręciło. Nie poprawiło mi się, gdy stanęłam na progu i zastałam tam bańkę na mleko – i człowieka z wykręconym nosem. Dzięki bańce wiedziałam, że wszyscy służący wyszli, bo Arthur, snując się w tej swojej brązowej podomce po pracowni, oczywiście nie usłyszałby dzwonka, ani na niego nie odpowiedział. Tak więc w domu nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc, poza moim bratem, którego pomoc tylko by mnie pograżyła. W rozpaczyci wcisnęłam dwa szylingi w rękę tego straszego człowieka i powiedziałam, żeby zajrzał za kilka dni, kiedy sobie wszystko przemyślę. Odszedł urażony, ale bardziej spokojny, niż się spodziewałam – być może był roztrzęsiony przez upadek – i z okropną, pełną poczucia winy przyjemnością patrzyłam na plamę z piasku na jego plecach. Jakies sześć domów niżej skręcił za róg.

Wówczas weszłam do środka, zaparzyłam sobie herbaty i próbowałam to przemyśleć. Siedziałam w oknie salonu, patrząc na ogród, który wciąż lśnił w ostatnim wieczornym świetle. Ale byłam zbyt zdenerwowana i zamyślona, żeby

uważnie patrzeć na trawniki, donice z kwiatami i klomby. Tym ostrzejszy był szok, bo dostrzegłam to z takim opóźnieniem.

Ten człowiek czy potwór, którego odesłałam, stał bez ruchu na środku ogrodu. Och, wszyscy dużo czytaliśmy o zjawach z bladymi twarzami w mroku, ale to było bardziej przerażające niż cokolwiek, ponieważ pomimo że rzucał długi, wieczorny cień, wciąż stał w ciepłym świetle słonecznym. I ponieważ jego twarz nie była zwyczajnie blada, lecz miała te woskowe kolory, które pasują raczej do manekina u golarza. Stał spokojnie z twarzą zwróconą w moją stronę, i nie jestem w stanie wam opisać, jak koszmarnie wyglądał pośród tulipanów i wszystkich tych wysokich jaskrawych kwiatów, niemal jak szklarniowych. To sprawiało wrażenie, jakbyśmy zamiast posągu wstawili do ogrodu figurę z wosku.

Niemal natychmiast, gdy ujrzał, jak poruszam się w oknie, odwrócił się i uciekł z ogrodu tylną furtką, która stała otworem i z której bez wątpienia skorzystał, aby dostać się do środka. Ta nagła bojaźliwość z jego strony była tak odmienna od zuchwałości, z jaką wszedł do morza, że poczułam się niejasno uspokojona. Być może wyobrażałam sobie, że bardziej niż sądziłam obawiał się konfrontacji z Arthurem. W każdym razie wreszcie się uspokoiłam i zjadłam sama cichą kolację (ponieważ zgodnie z zasadami nie wolno było przeszkadzać Arthurowi, gdy przearanżowywał swoje muzeum), a moje myśli, nieco spokojniejsze, pobiegły ku Philipowi i chyba zatopiłam się w marzeniach. W każdym razie wpatrywałam się ślepo, choć tym razem raczej z przyjemnością, w kolejne okno, niezasłonięte, tym razem czarne jak smoła, zapadła bowiem już noc. Miałam wrażenie, że na szybie od zewnątrz znajduje się coś jakby ślimak. Ale gdy przyjrzałam się uważniej, wyglądało to bardziej jak ludzki kciuk przyciśnięty do szkła – miał to wygięcie charakterystyczne dla kciuka. Wraz z moim strachem i ponownie rozbudzoną odwagą podeszłam do okna i odskoczyłam od niego ze zduszonym okrzykiem, który usłyszałby każdy oprócz Arthura. Bo to nie był kciuk ani tym

bardziej ślimak. Był to czubek zakrzywionego nosa, przyciśnięty do szyby, pobiełały od nacisku. Twarz i czujne oczy początkowo były niewidoczne, a później szare jak u ducha. Jakimś cudem zdołałam zatrzasnąć okiennice, pobiegłam do swojego pokoju i zamknęłam się w nim. Ale nawet gdy biegłam, mogłabym przysiąc, że w drugim czarnym oknie zobaczyłam coś jak ślimaka.

Pójście do Arthura mogło się mimo wszystko okazać najlepszym wyjściem. Jeśli to coś kręciło się wokół domu jak kot, to cele mogło mieć nawet gorsze niż szantaż. Mój brat mógłby mnie wyrzucić i przekląć na wieczność, ale był dżentelmenem i obroniłby mnie. Po dziesięciu minutach gorączkowego namysłu zesłam na dół, zapukałam do drzwi i weszłam, żeby ujrzeć ostatnią i najgorszą rzecz: fotel mojego brata był pusty. Arthur ewidentnie wyszedł. Ale ten człowiek z zakrzywionym nosem siedział i czekał na jego powrót, z kapeluszem wciąż beczelnie na głowie, a pod lampą mojego brata czytał książkę należącą do mojego brata. Twarz miał opanowaną i skupioną, ale czubek jego nosa wciąż wydawał się być najbardziej ruchliwą częścią jego twarzy, jakby właśnie przesunął się z lewa na prawo jak trąba słońca. Już kiedy mnie ścigał i podglądał, uznałam go za trującego, wydaje mi się jednak, że jego nieświadomość mojej obecności była jeszcze bardziej przerażająca.

Wydaje mi się, że krzyczałam głośno i długo, ale to bez znaczenia. Liczy się to, co zrobiłam następnie: dałam mu wszystkie swoje pieniądze, łącznie ze sporą sumą w papierach, które, choć należały do mnie, to – śmiem twierdzić – nie miałam prawa ich ruszać. Wreszcie wyszedł, rozwlekle wyrażając nienawistny, taktowny żal, a ja usiadłam, czując się zdruzgotana pod każdym względem. A jednak tej samej nocy uratował mnie czysty przypadek. Arthur niespodziewanie wyjechał do Londynu, jak to się często zdarzało, na wyprzedaż. Wrócił późno, rozpromieniony, niemal pewien zdobycia skarbu, który dodałby splendoru nawet rodzinnej Kolekcji. Był tak

rozradowany, że prawie nabrałam odwagi, aby wyznać mu, że zagarnęłam pomniejszy eksponat – ale wszystkie tematy zbywał na rzecz swoich przytłaczających projektów. Ponieważ zakup mógł w każdej chwili nie dojść do skutku, nalegał, bym natychmiast się spakowała i wraz z nim pojechała do mieszkania, które wynajął już w Fulham, aby w razie konieczności być w pobliżu antykwariatu. Zatem nie bacząc na nic, niemal w środku nocy uciekłam mojemu prześladowcy – ale także zostawiłam Philipa... Mój brat często bywał w South Kensington Museum, a ja, by stworzyć dla siebie coś w rodzaju drugiego życia, zapłaciłam za kilka lekcji w Szkole Sztuk Plastycznych. Tego wieczoru wracałam z zajęć, gdy zobaczyłam tego odrażającego typa, jak idzie spokojnie po ulicy, a reszta wygląda tak, jak przedstawił to ten dżentelmen.

Mam do powiedzenia tylko jedną rzecz. Nie zasługuję na pomoc i nie kwestionuję ani nie żalę się na swoją karę; tak to już jest, tak powinno być. Ale wciąż pytam bezradnie, jak mogło do tego dojść? Czy karze mnie cud? I jak ktokolwiek, poza Philipem i mną, może wiedzieć, że na środku morza dałam mu małą monetę?

– To nadzwyczajny problem – przyznał Flambeau.

– Ale nie tak nadzwyczajny jak odpowiedź – dość ponuro zauważył ojciec Brown. – Panno Carstairs, czy będzie pani w domu, jeśli za jakieś półtorej godziny zadzwonimy do pani mieszkania w Fulham?

Dziewczyna popatrzyła na niego, następnie wstała i naciągnęła rękawiczki.

– Tak – odparła. – Będę.

I niemal natychmiast wyszła.

Tego wieczoru detektyw i ksiądz wciąż omawiali tę kwestię, aż znaleźli się w pobliżu domu w Fulham, budynku dość marnego nawet jak na tymczasową rezydencję rodziny Carstairsów.

– Oczywiście powierzchowna refleksja – powiedział Flambeau – każe pomyśleć o tym australijskim bracie, który już wcześniej był w tarapatach, który wraca z nienacka i jest akurat takim

człowiekiem, który miałby szemranych kompanów. Ale nie rozumiem, w jaki sposób mógłby wpaść na coś takiego, chyba że...

– Tak? – cierpliwie zapytał jego towarzysz.

Flambeau ściszył głos.

– Chyba że brał w tym udział również ukochany tej dziewczyny, który byłby jeszcze czarniejszym charakterem. Ten koleżka z Australii wiedział, że Hawker pragnął tej monety. Nie mam tylko pojęcia, skąd mógłby wiedzieć, że Hawker ją dostał, chyba że Hawker zasygnalizował to jemu albo jego pomocnikowi.

– To prawda – z szacunkiem przyznał ksiądz.

– Zauważyłeś jeszcze jedną rzecz? – żarliwie ciągnął Flambeau. – Ten cały Hawker słyszał, jak obraża się jego ukochaną, ale nie uderzył napastnika, póki nie znaleźli się na miękkich, piaszczystych wzgórzach, gdzie mógł zwyciężyć w pozorowanej walce. Gdyby uderzył pośród skał i morza, mógłby zranić swojego pomocnika.

– To również prawda – przytaknął ojciec Brown.

– A teraz od samego początku. To sprawa pomiędzy kilkorgiem ludzi, ale przynajmniej trójką. Do samobójstwa trzeba jednej osoby, dwóch do morderstwa, ale minimum trzech do szantażu.

– Dlaczego? – łagodnie spytał ksiądz.

– Ponieważ oczywiście – wykrzyknął jego przyjaciel – jedna musi być ujawniona, jedna grozić ujawnieniem, i przynajmniej jedna, która tego ujawnienia się przestraszy.

– Pomińałeś logiczny krok – powiedział ksiądz po długiej, pełnej namysłu pauzie. – Trzy osoby są konieczne jako idee. Tylko dwóch trzeba jako wykonawców.

– Co masz na myśli? – spytał Flambeau.

– Dlaczegoż to szantażysta – cichym głosem zapytał Brown – nie miałby grozić swojej ofierze osobiście? Powiedzmy, że żona zostaje całkowitą abstynentką, żeby mąż zaczął ukrywać swoje wizyty w pubie, a potem innym charakterem pisma pisze do

niego listy, w których grozi, że powie jego żonie! Dlaczego to nie miałyby zadziałać? Powiedzmy, że ojciec zabronił synowi się hazardować, a następnie śledzi go w dobrym przebraniu i zastrasza chłopaka pozorowaną, ojcowską surowością! Powiedzmy... ale oto jesteśmy na miejscu, przyjacielu.

– Dobry Boże! – wykrzyknął Flambeau. – Nie chcesz chyba powiedzieć...

Po schodach do domu zbiegła żwawo jakaś postać i w złocistym świetle latarni pojawiła się bez wątpienia ta głowa przywodząca na myśl rzymską monetę.

– Panna Carstairs – bez ceregieli oświadczył Hawker – nie weszła do środka, póki się nie pojawiliście.

– Cóż – z przekonaniem zauważył Brown – to chyba najlepsza rzecz, jaką mogła zrobić – zostać na zewnątrz, z panem, który ją chroni. Widzi pan, podejrzewam, że sam pan się już wszystkiego domyślił.

– Tak – cicho przyznał młodzieniec – na piaskach się domyślałem, teraz już wiem; dlatego pozwoliłem mu miękko upaść.

Zabrawszy klucz od dziewczyny, a monetę od Hawkera, Flambeau wraz z przyjacielem wmaszerowali do pustego domu i weszli do zewnętrznego salonu. Była tam tylko jedna osoba. Człowiek, którego ojciec Brown widział, jak mijał tawernę, stał pod ścianą jakby we wnęce – niezmieniony, poza tym, że zdjął swój czarny płaszcz i nałożył brązową podomkę.

– Przyszliśmy – uprzejmie odezwał się ojciec Brown – aby zwrócić tę monetę właścicielowi. – I wyciągnął ją w stronę mężczyzny z nosem.

Flambeau wywrócił oczami.

– Czy ten człowiek jest kolekcjonerem monet? – spytał.

– Ten człowiek to Arthur Carstairs – z przekonaniem oświadczył ksiądz – i jest kolekcjonerem monet dosyć szczególnego rodzaju.

Mężczyzna pobladał tak okropnie, że zakrzywiony nos wystawał mu z twarzy jak oddzielna i komiczna rzecz. Tym niemniej

odezwał się ze swoistą zrozpaczoną godnością:

– Zatem musicie dostrzegać – powiedział – że nie utraciłem wszystkich rodzinnych zalet.

Odwrócił się gwałtownie i wpadł do wewnętrznego pokoju, zatraskując za sobą drzwi.

– Zatrzymać go! – krzyknął ojciec Brown, odbijając się od fotela i prawie z niego spadając, zaś Flambeau szarpnął kilka razy i zdołał otworzyć drzwi. Było już jednak za późno. W martwej ciszy Flambeau przeszedł przez pokój i zatelefonował po lekarza i policję.

Na podłodze leżała pusta buteleczka po medykamencie. Na stole spoczywało ciało mężczyzny w brązowym tużurku, leżące pośród porozrywanych paczek w brązowym papierze, z których wysypywały się nie rzymskie, ale bardzo współczesne monety angielskie.

Książd uniósł brązową głowę Cezara.

– Oto – powiedział – wszystko, co pozostało z Kolekcji Carstairsów. Testament, który zostawił jego niegodziwy ojciec, był okrutny. – Po chwili łagodnie mówił dalej: – I rozumiesz, że czuł niejaką urazę. Nienawidził tych rzymskich pieniędzy, które miał, a coraz bardziej lubił te prawdziwe, których mu odmówiono. Nie tylko po kawałku wyprzedawał Kolekcję, lecz także chwycił się coraz bardziej nikczemnych sposobów zdobywania pieniędzy – nawet szantażowania własnej rodziny. Szantażował swojego brata w Australii jego małą, zapomnianą zbrodnią (dlatego właśnie wziął dorożkę do Wagga Wagga w Putney), szantażował siostrę kradzieżą, którą mógł zauważyć wyłącznie on sam. A na marginesie, to właśnie dlatego miała te nadprzyrodzone przypuszczenia, gdy chodziła po wydmach. Sama sylwetka i sposób poruszania się, nawet na odległość, prędzej nam kogoś przypomną niż dobrze zrobiona twarz z bardzo bliska.

Zapadła kolejna chwila ciszy.

– Cóż – warknął detektyw – zatem ten wielki numizmatyk i kolekcjoner monet był tylko pospolitym skąpcem.

– A to jakaś zasadnicza różnica? – spytał ojciec Brown tym samym pobłażliwym tonem. – Co jest złego w skąpcu, czego nie ma w kolekcjonerze? Co jest złego, z wyjątkiem... „Nie będziesz czynił obrazów pogańskich bałwanów, nie będziesz się im kłaniał ani im służył, bom ja jestem...”. Ale musimy iść sprawdzić, jak się czują ci biedni, młodzi ludzie.

– Sądzę – odparł Flambeau – że mimo wszystko pewnie czują się dobrze.

[5] Sela – słowo występujące w Biblii hebrajskiej oraz w pozakanonicznych Psalmach Salomona. Zakłada się, że może ono oznaczać „interludium”, najczęściej jednak przyjmuje się, że jest to prosta wskazówka dla wykonawców psalmu, której znaczenie dzisiaj jest nieznane.

[6] *Noblesse oblige* – (fr.) szlachectwo zobowiązuje.

PURPUROWA PERUKA

Pan Edward Nutt, pracowity redaktor „Reformatora Codziennego”, siedział przy swoim biurku, otwierając listy i robiąc korektę przy wesołej melodii maszyny do pisania, obsługiwanej przez energiczną młodą damę.

Był dość korpulentnym, jasnowłosym mężczyzną w zarękawkach. Ruchy miał zdecydowane, usta stanowcze, a ton rozkazujący, ale jego okrągłe, dość dziecięce niebieskie oczy miały zdeorientowany i nieco rzewny wyraz, który stał z tym wszystkim w niejkiej sprzeczności. Jednak ta powierzchowność nie była całkiem myląca. Zgodnie z prawdą można by o nim powiedzieć, jak i o wielu wpływowych dziennikarzach, że emocją znaną mu najlepiej był nieustanny lęk – lęk przed procesami o zniesławienie, lęk przed utratą ogłoszeń reklamowych, lęk przed literówkami, lęk przed wylaniem z pracy.

Jego życie było ciągiem szaleńczych kompromisów pomiędzy nim i właścicielem gazety, który był zgrzybiałym wytwórcą mydła z trzema niemożliwymi do wykorzenia błędami w umyśle, a bardzo fachowym zespołem, który zebrał, aby prowadzić tę gazetę. Niektórzy byli błyskotliwymi i doświadczonymi ludźmi oraz (co było zdecydowanie gorsze)

szczerymi entuzjastami politycznej misji gazety.

Tuż przed nim leżał list od jednego z nich, a Nutt, zazwyczaj szybki i zdecydowany, wydawał się niemal wahać przed jego otwarciem. Zamiast tego wziął do ręki próbną odbitkę, przebiegł ją niebieskimi oczami i niebieskim ołówkiem zamienił słowo „cudzołóstwo” na „nieprzyzwoite zachowanie”, a słowo „Żyd” na słowo „Obcy”, uderzył w dzwonek i posłał ją na górę.

Następnie z większym namysłem rozerwał kopertę z listem od swojego najwybitniejszego specjalisty, która miała znaczek pocztowy z Devonshire, i przeczytał, co następuje:

Drogi Nutcie, co z artykułem o tym interesie z rumem w Eyres of Exmoor, albo jak nazywa to tutejsza staruszka, Diabelskim Uchu Eyres? Głową rodziny, jak wiesz, jest diuk Exmoor – to jeden z nielicznych upartych, torysowskich arystokratów, jacy jeszcze zostali – porządny, stary, zaskorupiały despota, któremu dla zasady powinniśmy narobić kłopotów. I wydaje mi się, że jestem na tropie historii, której się to uda.

Oczywiście nie wierzę w tę starą legendę o Jakubie I, a co do ciebie, to ty nie wierzysz w nic, nawet w dziennikarstwo. Legenda, jak zapewne pamiętasz, dotyczyła najczarniejszego interesu w angielskiej historii – otrucia Overbury’ego przez ten szatański pomiot, Frances Howard, i dość tajemniczej groźby, którą wymusiła na królu, by ten nie ścigał morderców. Było tam mnóstwo oskarżeń o domniemane czarnoksiężstwo, a zgodnie z legendą jakiś sługa podstuchiwał przez dziurkę od klucza i usłyszał prawdę w rozmowie króla z Carrem; zaś fizyczne ucho, którym podstuchiwał, za sprawą magii urosło wielkie i potworne, tak koszmarna to była tajemnica. A chociaż dano mu ziemię oraz złoto i uczyniono przodkiem diuka, elfie ucho wciąż pojawia się w rodzinie. Cóż, ty nie wierzysz w czarną magię, a gdybyś wierzył, nie mógłbyś wykorzystać jej do druku. Gdyby w twoim biurze wydarzył się cud, musiałbyś go

zatuszować teraz, kiedy tak wielu biskupów jest agnostykami. Ale nie w tym rzecz. Rzecz jest w tym, że w Exmoorze i jego rodzinie naprawdę jest coś dziwnego; śmiem twierdzić, że coś raczej naturalnego, tym niemniej nienormalnego. I zakładam, że coś jest na rzeczy z tym uchem – albo w sensie symbolu, albo złudzenia, albo choroby, albo jeszcze czegoś innego. Kolejna tradycja powiada, że rojaliści tuż po Jakubie I zaczęli nosić długie włosy tylko po to, by zakryć ucho pierwszego lorda Exmoor. To oczywiście bez wątpienia również jest wyssane z palca.

Piszę ci o tym, chodzi bowiem o to: wydaje mi się, że popełniamy błąd, atakując arystokrację ogólnie za jej szampana i diamenty. Większość ludzi raczej podziwia jaśniepanów za to, że dobrze się bawią, ale sądzę, że będzie z naszej strony zbyt dużym ustępstwem, jeśli przyznamy, że szlachectwo uszczęśliwia nawet arystokratów. Sugeruję serię artykułów wykazujących, jak posepna, jak nieludzka, jak jawnie diaboliczna jest atmosfera niektórych z tych wielkich domów. Jest mnóstwo przypadków, ale na początek nie ma lepszego od Ucha z Eyres. Sądzę, że do końca tygodnia zdołam dojść prawdy o nim.

Zawsze Twój,

FRANCIS FINN

Pan Nutt zastanawiał się przez chwilę, wpatrując w swój lewy but. Następnie wykrzyknął silnym, głośnym i całkowicie beznamiętnym głosem, starannie wymawiając każdą sylabę:

– Panno Barlow, proszę zanotować list do pana Finna. „Drogi Finnie – sądzę, że to się sprawdzi. Kopia powinna znaleźć się w drugiej kolumnie w sobotnim wydaniu. Twój, E. NUTT”.

Tę rozbudowaną epistołę wypowiedział tak, jakby to było jedno słowo, a panna Barlow wystukała ją w taki sam sposób. Potem podniósł kolejną stronę próbnej odbitki oraz niebieski ołówek i zamienił słowo „nadmaturalny” na słowo „cudowny”, a wyrażenie „nie zgadzać się” na „tłumić”.

Pan Nutt zabawiał się takimi radosnymi, zdrowymi czynnościami, aż kolejna sobota zastała go przy tym samym biurku na dyktowaniu tej samej maszynistce – i używaniu tego samego, niebieskiego ołówka – na pierwszej części rewelacji Finna. Wstęp był porządnym kawałkiem zjadliwej krytyki mrocznych tajemnic książąt i historią o rozpaczach w najlepszych domach świata. Choć napisana brutalnie, była to wspaniała angielszczyzna, ale redaktor, jak zwykle, przerzucił na kogoś innego zadanie przełamania tekstu śródtytułami już ostrzejszymi jak „Arcyksiężniczki i Arszenik”, „Upiorne Ucho”, „Sąd Grodzki w Grodzie” i tak dalej, cała masa radosnych zmian. Potem następowała legenda Ucha, rozwinięta w stosunku do pierwszego listu Finna i następnie skrót jego ostatnich odkryć:

Wiem, że dziennikarze z reguły koniec historii zamieszczają na początku i nazywają to tytułem. Wiem, że dziennikarstwo opiera się w dużej mierze na oznajmianiu, iż „Zmarł Lord Jones” ludziom, którzy nie wiedzieli nawet, że lord Jones żył. Wasz korespondent uważa, że obyczaj ten, jak wiele innych, świadczy o złym dziennikarstwie i dlatego właśnie „Reformator Codzienny” powinien dawać lepszy przykład. Jego propozycja to opowiadanie historii tak, jak się wydarzyła, krok po kroku. Będzie używać prawdziwych nazwisk występujących osób, które w większości przypadków zgadzają się potwierdzić swoje słowa. A co do nagłówek, sensacyjnych wykrzykników – pojawią się na końcu.

Szedłem publiczną drogą wiodącą przez prywatny sad w Devonshire, która wydawała się prowadzić wprost do devonshirskiego cydru, gdy nagle znalazłem się właśnie w takim miejscu, na jakie wskazywałaby ta dróżka. Był to długi, niski zajazd, w sumie składający się z wiejskiego domku i dwóch stodół pokrytych strzechą, która wyglądała jak szarobrzowa, prehistoryczna sierść. Ale nad drzwiami

widniał znak, zgodnie z którym zajazd ten nosił nazwę „Błękitny Smok”, a pod znakiem znajdował się jeden z tych długich, z grubsza ociosanych stołów, które stały przed większością niezależnych angielskich zajazdów, dopóki abstynenci i browarnicy pomiędzy nimi nie zniszczyli tej niezależności. A przy tym stole siedziało trzech dżentelmenów, którzy mogliby żyć sto lat wcześniej.

Teraz gdy poznałem ich wszystkich lepiej, nie mam już trudności w rozdzieleniu wrażeń, wówczas jednak wyglądali jak trzy bardzo namacalne duchy. Najbardziej wyrazista postać – ze względu na to, że człowiek ów był większy we wszystkich trzech wymiarach i ponieważ siedział dokładnie w połowie długości stołu naprzeciwko mnie – była wysoka i gruba, odziana całkowicie w czerń. Męczyzna był czerwony na twarzy o niemal apoplektycznej kompleksji, ale prawie łysy i z niespokojnie ściągniętymi brwiami. Gdy znów mu się przyjrzałem bardziej uważnie, nie potrafiłem powiedzieć, co dokładnie dało mi to wrażenie antyczności, poza staroświeckim krojem jego koloratki i głębokimi zmarszczkami między brwiami.

Trudniej jeszcze było zrozumieć to wrażenie w przypadku człowieka na prawym końcu stołu, który mówiąc szczerze, był osobnikiem tak pospolitym, że kogoś takiego można by spotkać wszędzie, z okrągłą głową, i brązowymi włosami i okrągłym, perkatym nosem, ale także odzianym w księżą czerń, jeszcze surowszego kroju. Gdy tylko dostrzegłem spoczywający przed nim na stole kapelusz z szerokim rondem, uświadomiłem sobie, dlaczego uznałem go za kolejny relikw. Był księdzem rzymskokatolickim.

Być może ten trzeci człowiek, na drugim końcu stołu, miał z tym wspólnego więcej niż pozostali, chociaż był zarówno szczuplejszej postury, jak i ubrany w sposób bardziej nieumiarkowany. Jego tyczkowate kończyny były obleczone, mógłbym wręcz użyć słowa: obciśnięte, w bardzo wąskie szare rękawy i pantalone. Miał pociągłą, ziemistą, wyrazistą

twarz, która w jakiś sposób wydawała się jeszcze bardziej posepna ze względu na to, że wystającą szczękę miał uwięzioną w bardzo staroświeckim kołnierzyku i szalu, a jego włosy (które powinny być ciemnobrązowe) miały dziwnie stłumiony, rdzawy kolor, przez co w zestawieniu z jego żółtawą cerą wydawały się raczej purpurowe niż rude. Ten nierzucający się w oczy, ale niezwykły kolor był tym bardziej wyraźny, ponieważ włosy miał niemal nienaturalnie zdrowe, wijące się i do tego zakręcone. Po wszystkich analizach skłonny jednak byłem uznać, iż tym, co wywołało moje pierwsze wrażenie staroświeckości, był po prostu komplet wysokich staromodnych kieliszków do wina, jedna czy dwie cytryny i dwie długie gliniane fajki. A także być może sprawa, z którą przychodziłem, dotycząca dawnego świata.

Będąc zahartowanym reporterem i przebywając w ewidentnie publicznym zajeździe, nie potrzebowałem szczególnie uzasadniać swojego tupetu, gdy zasiadłem przy tym długim stole i zamówiłem cydr. Ten duży mężczyzna w czerni sprawiał wrażenie, że ma sporą wiedzę, szczególnie w temacie lokalnych zabytków. Ten mały w czerni, choć mówił znacznie mniej, zaskoczył mnie jeszcze większym obyciem, zatem doskonale się dogadaliśmy. Jednakże ów trzeci człowiek, ten stary dżentelmen w obcistych pantalonach, wydawał się być raczej chłodny i wyniosły, dopóki nie poruszyłem tematu diuka Exmoor i jego przodków.

Odniosłem wrażenie, że ten temat pozostałych dwóch wprawił w niejaki zakłopotanie, ale bardzo skutecznie przełamał zakłęcie milczenia tego trzeciego mężczyzny. Mówił z rezerwą i akcentem doskonale wykształconego dżentelmena, w przerwach pykając tę swoją długą glinianą fajkę. Opowiedział mi najbardziej przerażające historie, jakie słyszałem w życiu: o tym, jak jeden z rządców Eyres z dawnych czasów powiesił własnego ojca, a inny kazał publicznie ubiczować swoją żonę; jeszcze kolejny podłożył

ogień pod kościół pełen dzieci, i tym podobne.

Jednakże część tych opowieści nie nadaje się do druku – na przykład ta o Szkarłatnych Zakonnicych, obrzydliwa historia o Cętkowanym Psie albo o pewnej zbrodni, którą popełniono w kamieniołomie. Wszystkie te koszmarnie historie sływały z jego cienkich, dystygowanych warg, gdy siedział i popijał wino z wysokiego, wąskiego kieliszka.

Widziałem, że ten wielki mężczyzna, który siedział naprzeciwko mnie, próbował go powstrzymać, wyraźnie jednak darzył owego starego dżentelmena szacunkiem i nie mógł się zdobyć na to, by zrobić to gwałtownie. A mały ksiądz na drugim końcu stołu, choć nie doskwierało mu żadne zakłopotanie, ciągle wpatrywał się w blat, a słuchanie tego recytalu wydawało się sprawiać mu niewystawioną mękę – może i tak było.

– Nie wydaje się pan – powiedziałem do narratora – szczególnie przyjazny rodowi Exmoor.

Spoglądał na mnie przez chwilę, usta wciąż miał zaciśnięte, ale pobielate i stęzate. Następnie z rozmysłem stłukł swoją długą fajkę i kieliszek o stół i podniósł się, istny obraz doskonałego dżentelmena o diabelskim temperamencie.

– Ci dżentelmeni – rzekł – powiedzą panu, czy mam powód, by być mu przyjaznym. Klątwa Eyres spoczywa ciężko na tej krainie i wielu cierpi z jej powodu. Wiedzą, że nie ma nikogo, kto cierpiałby przez nią tak jak ja.

Z tymi słowami skruszył pod butem kawałek szkła, który spadł na ziemię, i oddalił się przez zielonkawy zmierzch tworzony przez trzepotliwe jabłonie.

– Cóż za niezwykły, stary dżentelmen – powiedziałem do tamtych dwóch. – Czy wiedzą może panowie, co takiego zrobiła mu rodzina Exmoor? Kto to jest?

Ten duży mężczyzna w czerni wpatrywał się we mnie, wyglądając jak podrażniony byk. Początkowo sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał pytania.

– Nie wie pan, kto to jest? – zapytał wreszcie.

Potwierdziłem swoją ignorancję i znów zapadła cisza. Potem odezwał się mały ksiądz, nie unosząc wzroku.

– To diuk Exmoor.

Następnie, zanim zdołałem się otrząsnąć, dodał równie cicho, ale jakby chciał usystematyzować pewne rzeczy:

– Mój obecny tu przyjaciel to doktor Mull, bibliotekarz diuka. Ja nazywam się Brown.

– Ale – wyjąkałem – skoro to jest diuk, dlaczego przeklina w taki sposób wszystkich diuków?

– Wydaje się szczerze wierzyć – odparł ten ksiądz o nazwisku Brown – że rzucili na niego klątwę. Dlatego nosi perukę – dodał bez związku z tematem.

Trzeba było kilku chwil, zanim dotarło do mnie, co miał na myśli.

– Nie mówi pan chyba o tych bajkach o fantastycznym uchu? – zdumiałem się. – Oczywiście słyszałem o tym, ale z pewnością to musi być jakaś niestworzona bzdura wynikająca z czegoś znacznie prostszego. Zastanawiałem się czasem, czy to nie jest jakaś zwariowana wersja tych opowieści o okaleczeniach. W szesnastym wieku obcinano uszy przestępcom.

– Wątpię, by o to chodziło – z namysłem odparł ów mały człowiek. – Jednak to nic przeczącego prawom nauki czy natury, że w jednej rodzinie często pojawia się jakaś deformacja – na przykład jedno ucho większe od drugiego.

Wielki bibliotekarz ukrył swoją wielką twarz w wielkich, zaczerwienionych dłoniach, jak człowiek próbujący przemyśleć swoje obowiązki.

– Nie – jęknął. – Mimo wszystko niewłaściwie oceniacie tego człowieka. Zrozumcie, nie mam powodu, żeby go bronić ani nawet pokładać w nim wiarę. Był dla mnie takim samym tyranem jak dla wszystkich innych. Nie sądźcie, że ponieważ widzieliście go, jak tutaj siedział, to nie jest wielkim lordem w najgorszym tego słowa znaczeniu. Postałby o milę po człowieka, by ten zadzwonił dzwonkiem oddalonym o jard –

żeby z trzech mil wezwać kolejnego człowieka, by ten podał pudełko zapalek leżące trzy jardy dalej. Musi mieć lokaja do noszenia swojej laski, służącego, który trzyma jego lornetkę teatralną...

– Ale nie pokojowca, który szczotkowałby jego ubrania – dziwnie sucho uciął ksiądz – bo taki pokojowiec szczotkowałby również jego perukę.

Bibliotekarz odwrócił się do niego, jakby zapomniał o mojej obecności. Był silnie poruszony i wydaje mi się, że również nieco rozgrzany winem.

– Nie wiem, skąd ojciec to wie – powiedział – ale ma ojciec rację. Każę się obsługiwać na każdym kroku – z wyjątkiem ubierania. A to upiera się robić w całkowitej samotności. Z domu wylatuje każdy, kogo zastano choćby w pobliżu drzwi do jego garderoby.

– Wydaje się miłym, starszym panem – zauważyłem.

– Nie – odparł po prostu doktor Mull. – I właśnie o to chodzi, gdy mówię, że mimo wszystko jesteście dla niego niesprawiedliwi. Panowie, diuk jest naprawdę rozgorączony tym, co właśnie powiedział. Z powodu szczerego wstydu i strachu ukrywa pod tą purpurową peruką coś, o czym sądzi, że wstrząsnęłoby ludźmi. Wiem, że tak jest, i wiem, że nie jest to zwykła, naturalna deformacja jak okaleczenie przestępcy czy dziedziczna dysproporcja ciała. Wiem, że to coś gorszego, ponieważ opowiedział mi o tym człowiek będący świadkiem sceny, jakiej nikt nie zdołałby wymyślić, gdzie człowiek silniejszy od każdego z nas próbował odkryć ten sekret i śmiertelnie go on przeraził.

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale Mull mówił dalej, jakby nieświadomy mojej obecności, przemawiając z muszli swoich dłoni.

– Ojczy, nie waham się powiedzieć ci tego, bo to tak naprawdę bardziej argument na obronę niż potępienie nieszczęsnego diuka. Nie słyszał ojciec nigdy o czasach, gdy mało brakowało, by stracił wszystkie posiadłości?

Ksiądz pokręcił głową, a bibliotekarz snuł opowieść dalej tak, jak usłyszał ją od swojego poprzednika na tym stanowisku, który był jego przewodnikiem i instruktorem, i któremu wydawał się ufać bez zastrzeżeń. Do pewnego momentu była to przeciętna historia o zmniejszaniu się wielkiej rodzinnej fortuny – historia o prawniku rodziny. Prawnik ów miał jednak tyle wyczucia, aby oszukiwać uczciwie, o ile wyrażenie to tłumaczy się samo. Zamiast skorzystać z funduszy, nad którymi miał pieczę, wykorzystał beztroskę diuka i doprowadził rodzinę do zapaści finansowej, przez co mogło się okazać, że diuk musiałby mu pozwolić je przejąć.

Ten prawnik nazywał się Isaac Green, ale diuk zawsze nazywał go Elisha – być może ze względu na to, że był łyśy, choć z pewnością nie miał więcej niż trzydzieści lat. Awansował społecznie bardzo szybko, ale początki miał brudne: najpierw był kapusiem albo informatorem, a potem lichwiarzem, jako prawnik jednak Eyres miał wyczucie, jak mówiłem, by technicznie utrzymywać wszystko w należytym porządku, aż był gotowy przeprowadzić ostateczne uderzenie. Katastrofa wydarzyła się podczas obiadu, a stary bibliotekarz powiedział, że nigdy nie zapomni wyglądu lamp i karafek, gdy ten mały prawnik ze spokojnym uśmiechem zaproponował wielkiemu właścicielowi ziemskiemu podzielenie posiadłości między siebie. Z pewnością nie można pominąć kolejnej części – diuk, milcząc, roztrzaskał mu karafkę na łysej głowie tak nieoczekiwanie, jak dziś stłukł kieliszek. Prawnikowi na czasce została trójkątna rana, a wyraz oczu – chociaż nie uśmiech – zmienił się.

Wstał chwiejnie i oddał cios tak, jak robią to ludzie tego pokroju.

– Cieszę się z tego – oświadczył – ponieważ teraz mogę przejąć całą posiadłość. Przekaze mi ją prawo.

Exmoor zbladł jak popiół, ale oczy wciąż mu płonęły.

– Przekaze ci ją prawo – powiedział – ale ty jej nie

weźmiesz... Dlaczego nie? Dlaczego? Ponieważ dla mnie oznaczać to będzie przekazanie klątwy, a jeśli ty ją przejmiesz, ja zdejmę perukę... Cóż, ty żałosny, oskubany koguciku, swoją gołą głowę może zobaczyć każdy. Nikt jednak nie może ujrzeć mojej i przeżyć.

Cóż, mogą państwo mówić, co zechcą i rozumieć to, jak zechcą. Ale Mull przysięga, że to całkowita prawda, iż ten prawnik, po tym, jak już skończył wymachiwać pięściami w powietrzu, po prostu wybiegł z pokoju i nigdy już nie pojawił się w tej okolicy. Od tego czasu Exmoor wzbudza większy strach jako czarownik niż nawet jako właściciel ziemski i sędzia.

Teraz doktor Mull opowiadał swoją historię, gestykulując dziko i raczej teatralnie, z pasją, którą uznałem za co najmniej stroniczą. Byłem aż nadto świadomy możliwości, że to wszystko jest ekstrawagancją starego chwalipięty i plotką. Ale zanim zakończę tę część swoich poszukiwań, sądzę, że z uwagi na doktora Mulla muszę zaznaczyć, iż pierwsze dwie osoby, z którymi rozmawiałem, potwierdziły jego historię. Od starego aptekarza w wiosce dowiedziałem się, że był tam łysy mężczyzna w stroju wieczorowym, przedstawiający się jako Green, który pewnej nocy zaszedł do niego, by opatrzone mu trójkątne rozcięcie na głowie. A z akt sądowych i starych gazet dowiedziałem się, że miało miejsce grożenie procesem, który przynajmniej się zaczął, przez niejakiego Greena przeciwko diukowi Exmoor.

Pan Nutt z „Reformatora Codziennego” napisał na górze strony wysoce niestosowne słowa, nasmarował jakieś tajemnicze znaki w dole marginesu i wezwał pannę Barlow tym samym głośnym, monotonnym głosem.

– Proszę zapisać list do pana Finna. „Drogi Finnie – twój artykuł się nadaje, ale musiałem dać jakiś nagłówek, a nasi czytelnicy nie zdzierzą obecności w nim księdza rzymskokatolickiego – musisz uważać na poboczne szczegóły.

Zmieniłem go na pana Browna, spirytualistę. Twój, E. NUTT”.

Następny dzień zastał aktywnego i rozsądnego redaktora na czytaniu kolejnej części opowieści pana Finna o tajemnicach socjety, w trakcie którego jego niebieskie oczy robiły się coraz bardziej i bardziej okrągłe. Zaczynała się słowami:

Poczytnem zdumiewające odkrycie. Szczerze przyznaję, że różni się od wszystkiego, czego się spodziewałem odkryć, i będzie stanowić dla czytelników szok znacznie bardziej praktycznej natury. Śmiem twierdzić, bez najmniejszej próżności, że słowa, które właśnie piszę, będą czytane w całej Europie, na pewno w całej Ameryce i w Koloniach. A wszystko, co mam do opowiedzenia, usłyszałem, zanim wstałem od tego samego drewnianego stołu w tym samym sadzie jabłoniowym.

Zawdzięczam to małemu księdzu Brownowi – to nadzwyczajny człowiek. Ten wielki bibliotekarz odszedł od stołu, być może wstyd mu się zrobiło długiego języka, a może niepokoił się burzą, w której zniknął jego tajemniczy pan. W każdym razie powłókł się ciężko między drzewami śladami diuka. Ojciec Brown uniósł jedną z cytryn i przypatrywał się jej z osobliwą przyjemnością.

– Cóż to za uroczy kolor! – powiedział. – To właśnie jest jedyna rzecz, która nie podoba mi się w peruce diuka – kolor.

– Chyba nie rozumiem – odpowiedziałem.

– Śmiem twierdzić, że ma jakiś dobry powód, aby zakrywać uszy jak król Midas^[7] – ciągnął ksiądz z pogodną prostotą, która w tych okolicznościach wydawała się nieco niepoważna. – Jestem w stanie zrozumieć, że przyjemniej byłoby je zakrywać włosami niż mosiężnymi płytkami albo kłapkami ze skóry. Ale skoro już chce korzystać z włosów, to dlaczego nie postara się, żeby wyglądały jak włosy? Na świecie nigdy nie było włosów w takim kolorze. To wygląda

bardziej jak chmura na tle zachodu słońca przesuwaną się nad lasem. Dlaczego nie skrywa tej rodzinnej klątwy lepiej, skoro tak się jej wstydzi? Mam panu powiedzieć? Bo wcale się jej nie wstydzi. Jest z niej dumny.

– To paskudna peruka i paskudna historia – powiedziałem.

– Proszę wziąć pod uwagę – odparł ten niezwykle mały człowiek – jak pan sam czuje się z takimi rzeczami. Nie sugeruję, że jest pan bardziej snobistyczny albo ma bardziej chorobliwą wyobraźnię niż inni, ale czy nie czuje pan choćby niejasno, że całkiem dobrze mieć prawdziwą, starą, rodzinną klątwę? Czy wstydziłby się pan, czy też raczej był dumny, gdyby spadkobierca Glamis^[8] nazywał pana przyjacielem? Albo gdyby rodzina Byronów wyznała tylko panu swoje koszmarnie przygody? Proszę nie być zbyt surowym dla samych arystokratów, ich głowy są równie słabe jak i nasze i snobują się na własne troski.

– Na Jowisza! – wykrzyknąłem. – To w istocie prawda. Rodzina mojej własnej matki miała banshee^[9], a gdy teraz o tym myślę, wiele razy dawało mi to pociechę.

– I proszę pomyśleć – mówił dalej – o tym strumieniu krwi i trucizny, który spłynął z jego wąskich warg, a który zaabsorbował pana równie mocno, jak wzmianki o jego przodkach. Dlaczego miałby każdemu obcemu pokazywać tę Komnatę Strachów, jeśli nie jest z niej dumny? Nie ukrywa, że nosi perukę, nie ukrywa swojej krwi, nie ukrywa rodzinnej klątwy, nie ukrywa rodzinnych zbrodni... ale...

Głos tego małego człowieka zmienił się tak niespodziewanie, tak gwałtownie złoczył dłonie, a jego oczy tak nagle zrobiły się okrągłe i jasne jak u budzącej się sowy, że wszystko to sprawiało wrażenie, jakby na stole doszło do małej eksplozji.

– Ale – dokończył – w istocie ukrywa swoją toaletę.

W jakiś sposób moje napięte nerwy zostały uzupełnione o dreszcz, gdy pośród rozświetlonych drzew znowu pojawił się diuk, krocząc lekko w purpurowej peruce, wyszedłszy zza

narożnika domu w towarzystwie swojego bibliotekarza.

– Dlaczego tak naprawdę ukrywa tajemnicę tego, co robi z tą peruką? – spokojnie dodał ojciec Brown, nim diuk znalazł się w zasięgu słuchu. – Ponieważ nie jest to tajemnica takiego rodzaju, jak przypuszczamy.

Diuk obszedł narożnik i z całą swoją przyrodzoną godnością ponownie zajął miejsce u szczytu stołu. Zakłopotanie bibliotekarza sprawiło, że kołysał się na ugiętych nogach jak ogromny niedźwiedź. Diuk z wielką powagą zwrócił się do księdza:

– Ojciec Brown – powiedział – doktor Mull poinformował mnie, że zjawił się tu ojciec z pewną prośbą. Nie wyznaję już religii moich ojców, ale przez wzgląd na nich i na czasy, gdy się poznaliśmy, chętnie ojca wysłucham. Przypuszczam jednak, że wolałby ojciec rozmawiać na osobności.

Dżentelmen we mnie pragnął wstać. Dziennikarz kazał mi zostać na miejscu. Zanim ten paraliż minął, ksiądz wykonał przeczący gest.

– Jeśli – powiedział – wasza książęca mość pozwoli mi przedstawić moją prawdziwą petycję, i o ile nadal mam prawo, by mu doradzać, nalegałbym, aby obecnych było tak wiele osób, jak to tylko możliwe. W całej tej krainie znalazłem setki ludzi, nawet mojej własnej wiary i z mojej trzódki, których wyobraźnia zatruta jest zaklęciem, o zdjęcie którego pana błagam. Żałuję, że nie może tego oglądać całe Devonshire.

– Oglądać czego? – spytał diuk, unosząc brwi.

– Oglądać, jak książę zdejmuje perukę – odparł ojciec Brown.

Twarz diuka nawet nie drgnęła, spoglądał jednak na swojego suplikanta szklistym spojrzeniem, które było najstraszliwszym wyrazem, jaki kiedykolwiek widziałem na ludzkim obliczu. Widziałem, jak długie nogi bibliotekarza drżą pod nim jak cienie drzew w sadzawce i nie mogłem się pozbyć myśli, że drzewa wokół nas obsiadły w milczeniu

diabły, a nie ptactwo.

– Oszczędzę ojca – odparł diuk z nieludzkim żalem. – Odmawiam. Jeżeli dam ojcu najmniejszą wskazówkę co do ciężaru koszmaru, który muszę dźwigać samotnie, padnie mi ojciec z jękiem do stóp i będzie błagał, by dowiedzieć się więcej. Oszczędzę tego ojcu. Nie pozna ojciec pierwszej litery tego, co napisane jest na ołtarzu Nieznanego Boga.

– Znam Nieznanego Boga – odpowiedział mały ksiądz z mocą pewności, która wznosiła się niczym wieża z granitu.

– Znam jego imię: to Szatan. Prawdziwy Bóg przyjął ciało człowieka i chodził między nami. A ja powiadam wam, że gdziekolwiek znajdziecie ludzi rządzonych przez zwykłą tajemnicę, jest to tajemnica niesprawiedliwości. Jeśli diabeł podpowiada, że coś jest nazbyt straszne, aby na to spojrzeć, popatrz na to. Jeśli mówi, że coś jest zbyt straszliwe, aby tego słuchać, posłuchaj. Jeśli sądzisz, że jakaś prawda jest nie do zniesienia, znieś ją. Błagam usilnie waszą książęcą moc, by tu i teraz, przy tym stole, zakończył ten koszmar.

– Jeśli to zrobię – niskim głosem powiedział diuk – ojciec i wszystko to, w co ojciec wierzy, i wszystko, dla czego żyje, pierwsze uschnie i zginie. Przed śmiercią będzie miał ojciec ledwie chwilę, żeby poznać wielką Nicość.

– Pomiedzy mną a niebezpieczeństwem wznosi się krzyż chrystusowy – odpowiedział ojciec Brown. – Proszę zdjąć perukę.

Z nieopanowaną ekscytacją pochylałem się nad stołem. Słuchając tego niezwykłego pojedynku, pomyślałem o czymś.

– Wasza książęca moc! – zawołałem. – Sprawdzam blef. Proszę zdjąć tę perukę albo ją strącić.

Przypuszczam, że można mnie oskarżyć o napaść, ale jestem bardzo zadowolony z tego, że to zrobiłem.

– Odmawiam – odparł tym samym kamiennym tonem, a wtedy ja po prostu do niego doskoczyłem. Przez trzy krótkie chwile opierał mi się tak, jakby pomagało mu całe piekło, ale trzymałem go za głowę, aż peruka spadła. Przyznaję, że

podczas tych przepychanek zacisnąłem powieki.

Ocknąłem się na krzyk Mulla, który tym razem również był u boku diuka. Jego głowa wraz z moją pochylała się nad łysą czaszką pozbawionego peruki diuka.

– O co tu chodzi? – ciszę przerwał wreszcie okrzyk bibliotekarza. – Przecież ten człowiek nie ma nic do ukrycia. Uszy ma jak każdy inny.

– Owszem – powiedział ojciec Brown. – I to właśnie musiał ukrywać.

Ksiądz podszedł do niego, ale, co dziwne, nawet nie spojrzął na jego uszy. Z niemal komiczną powagą przyglądał się jego łysemu czołu i wskazał na trójkątną bliznę, dawno wygojoną, ale wciąż widoczną.

– Pan Green, jak mniemam – powiedział uprzejmie. – A więc w końcu przejął cały majątek.

A teraz pozwolę sobie powiedzieć czytelnikom »Reformatora Codziennego«, co uważam za najbardziej znaczącą rzecz w całej tej aferze. Ta scena transformacji, która wyda się wam równie dzika i zagmatwana jak perska bajka, była (pomijając moją techniczną napaść) całkowicie legalna i od samego początku zgodna z konstytucją. Ten człowiek z dziwną blizną i zwyczajnymi uszami jest oszustem. Pomimo że (w pewnym sensie) nosi perukę innego człowieka i twierdzi, że ma uszy kogoś innego, to nie ukradł nikomu korony. Naprawdę jest jedynym diukiem Exmoor. Oto, co się stało. Stary diuk istotnie miał niewielką deformację ucha, która w większym lub mniejszym stopniu była dziedziczna. Naprawdę był na tym tle ogromnie przewrażliwiony i to całkiem prawdopodobne, że faktycznie odwołał się do tego jako do swego rodzaju klątwy w trakcie nieprzyjemnej sceny (która niewątpliwie miała miejsce), podczas której uderzył Greena karafką. Starcie to jednak zakończyło się zupełnie inaczej. Green podtrzymał swoje żądanie i przejął majątek, a zubożały szlachcic skończył ze sobą strzałem z pistoletu. Po pewnym czasie wspaniały angielski rząd odnowił

„wakującą” godność para Exmoor i nadał ją, jak zwykle, najważniejszej osobie – osobie, która była właścicielem majątku.

Człowiek ten wykorzystał stare feudalne legendy – w istocie, w głębi swojej snobistycznej duszy, szczerze je wielbił i podziwiał. Zatem tysiące nieszczęsnych Anglików drżało przed tajemniczym suwerenem obarczonym starożytną klątwą i noszącym diadem z diabelskich ogników – podczas gdy tak naprawdę drżeli przed ulicznikiem, który ledwie dwanaście lat temu był marnym adwokacina i lichwiarzem. Uważam to za wielce typową sprawę przeciwko naszej arystokracji takiej, jaka jest, i jaka będzie, póki Bóg nie ześle nam odważniejszych ludzi.

Pan Nutt odłożył manuskrypt i zawołał nietypowo ostrym głosem:

– Panno Barlow, proszę zanotować list do pana Finna. „Drogi Finnie – musisz być szalony; nie możemy tego tknąć. Chciałem wampirów i starych złych czasów oraz arystokracji ramię w ramię z zabobonami. To się spodoba, ale Exmoor nigdy tego nie wybaczy. I chciałbym wiedzieć, co na to powiedzą nasi ludzie! Cóż, sir Simon to jeden z największych panów w Exmoor, a to zrujnowałoby tego kuzyna Eyres, który pracuje dla nas w Bradford. Poza tym już w zeszłym roku nasz szef-mydlarz odchorował to, że nie otrzymał szlachectwa – wylałby mnie z pracy, gdybym pogrążył go takimi bredniami. No a co z Duffeyem? Pisze dla nas jakiś wstrząsający artykuł o zbrodniach Normanów. A jak ma pisać o Normanach, skoro ten człowiek to tylko adwokat? Bądźże rozsądny. Twój, E. NUTT”.

Gdy panna Barlow odeszła, pogodnie stukając obcasami, zgniótł kopię i cisnął ją do kosza na papiery, ale zanim to zrobił, automatycznie i siłą nawyku zmienił słowo „Bóg” na

„okoliczności”.

[7] Król Midas w mitologii greckiej był sędzią w zawodach muzycznych między Apollinem a Marsjaszem. Ponieważ uznał, iż to Marsjasz grał piękniej, bóg ukarał go oślimi uszami. Od tej pory nieszczęsny król zawsze nosił turban, aby uchronić się przed ośmieszeniem.

[8] Glamis – zamek w Forfar w hrabstwie Angus (Wielka Brytania). Uważany za najbardziej nawiedzony zamek Szkocji.

[9] Banshee (ang. ['bæŋʃi:], z irl. Bean-sidhe, w nowoirlandzkim bean sí [bʲæːn 'ʃi:], „kobieta z kurhanu”) – w mitologii irlandzkiej zjawia w kobiecej postaci, najczęściej zwiastująca śmierć w rodzinie.

***NIEDOWIARSTWO OJCA
BROWNA***

PSIE PROROCTWO

– Tak – powiedział ojciec Brown. – Lubię psy, dopóki nie są czytane od tyłu^[10].

Ci, którzy chętnie mówią, nie zawsze równie chętnie słuchają. Czasami nawet ich bystrość wywołuje swego rodzaju głupotę. Przyjaciel i towarzysz ojca Browna był młodym człowiekiem z całą masą opowieści i pomysłów, entuzjastycznym młodzieńcem o nazwisku Fiennes, o pełnych ożywienia, niebieskich oczach i jasnych włosach, które wyglądały na zaczesane do tyłu nie tylko szczotką, lecz także gnającym po świecie wiatrem. Wstrzymał jednak potok swojej wymowy w chwilowym zaskoczeniu, gdy dotarło do niego znaczenie zwyczajnych słów księdza.

– Chce ksiądz powiedzieć, że ludzie trzymają ich zbyt dużo? – powiedział. – Cóż, nie wiem. To cudowne stworzenia. Czasami sędzę, że wiedzą o wiele więcej niż my.

Ojciec Brown nic na to nie odpowiedział, nadal czochoł głowę wielkiego retrievera w nieco nieobecny, ale wyraźnie kojący sposób.

– Cóż – mruknął Fiennes, na nowo zapalając się do swojego monologu. – W sprawie, w której do księdza przyszedłem, występował pies. Wie ksiądz, nazywają to „Sprawą

Niewidzialnego Morderstwa”. To dziwna historia, ale z mojego punktu widzenia ten pies jest w tym wszystkim najdziwniejszy. Oczywiście istnieje tajemnica samej zbrodni i to, w jaki sposób stary Druce mógł zostać zamordowany, skoro był w letnim domu zupełnie sam...

Dłoń gładząca psa zaprzestała na moment swego rytmicznego ruchu.

– Och, to był letni dom? – spokojnie zapytał ojciec Brown.

– Myślałem, że ksiądz przeczytał już wszystko w gazetach – odparł Fiennes. – Proszę chwilę poczekać, chyba mam przy sobie wycinek, w którym są wszystkie szczegóły.

Z kieszeni wyciągnął skrawek gazety i podał go księdzu, który zaczął go czytać, jedną ręką trzymając go blisko mrugających oczu, a drugą wciąż półświadomie głaszcząc psa. Wyglądało to jak ilustracja przypowieści o człowieku, którego prawica nie wiedziała, co robi lewica.

* * *

Wiele historii kryminalnych o ludziach zamordowanych za zamkniętymi drzwiami i oknami oraz mordercach umykających bez pozostawienia śladów wejścia i wyjścia okazało się prawdą w przypadku niezwykłych wydarzeń w Cranston na wybrzeżu Yorkshire, gdzie znaleziono pułkownika Druce’a dźgniętego nożem w plecy przez napastnika, który bez śladu zniknął z miejsca zbrodni i najwyraźniej również z okolicy.

Do letniego domu, w którym zginął pułkownik, można było wejść wyłącznie jedną bramą, która wychodziła na centralną ścieżkę prowadzącą przez ogród w stronę domu. Ale dzięki kombinacji zdarzeń, którą można niemal nazwać zbiegiem okoliczności, okazuje się, że w kluczowym czasie zarówno brama, jak ścieżka były obserwowane, i mamy na to szereg świadków, którzy wzajemnie potwierdzają swoje zeznania. Letni dom stoi w odległym końcu ogrodu, gdzie nie ma żadnego wejścia ani wyjścia. Centralna ścieżka prowadzi pomiędzy

dwoma rzędami wysokich ostróżek, posadzonych tak ciasno, że każdy krok poza ścieżką pozostawiłby ślady do wejścia do letniego domu tak, że nie można by przeoczyć żadnego zejścia z alejki, trudno też sobie wyobrazić inny sposób wejścia.

Patrick Floyd, sekretarz zamordowanego, zeznał, że znajdował się w miejscu, z którego miał widok na cały ogród od czasu, gdy pułkownik Druce po raz ostatni pojawił się żywy w drzwiach, do czasu, gdy znaleziono go martwego, jako że on, Floyd, stał na szczycie drabiny i przycinał żywoptot. Potwierdziła to Janet Druce, córka zamordowanego, mówiąc, że w tym czasie siedziała na tarasie przy domu i widziała Floyda przy pracy. W pewnym stopniu poświadcza to także Donald Druce, jej brat, który spoglądał na ogród, stojąc w oknie swojej sypialni ubrany w podomkę, późno bowiem wstał. Wreszcie zeznania te są zgodne ze słowami doktora Valentine'a, sąsiada, który poprosił pannę Druce o chwilę rozmowy na tarasie, oraz przez adwokata pułkownika, pana Aubreya Trailla, który prawdopodobnie jako ostatni widział ofiarę żywą poza mordercą.

Wszyscy są zgodni, że ciąg wydarzeń wyglądał następująco: około trzeciej trzydzieści po południu panna Druce przeszła po ścieżce, aby zapytać ojca, czy napije się on herbaty. odpowiedział jednak, że nie chce, i czekał na pana Trailla, swojego prawnika, po którego posłano z poleceniem, by stawił się w letnim domu. Wówczas dziewczyna odeszła i natknęła się na Trailla idącego po ścieżce; skierowała go do ojca i poszedł we wskazanym kierunku. Jakieś pół godziny później wyszedł znowu, w towarzystwie pułkownika, który wyraźnie cieszył się dobrym zdrowiem i nastrojem. Wcześniej tego dnia zirytował się nieco nieregularnym trybem życia swojego syna, ale wydawał się uspokoić i zachowywał absolutnie normalnie, i z widoczną pogodą przyjął kolejnych gości, w tym swoich dwóch bratanków, którzy odwiedzili go właśnie tego dnia. Ci jednakże w chwili tragedii byli na przechadzce, zatem nie mają nic do powiedzenia. Mówi się jednak, że pułkownik nie był w najlepszych stosunkach z doktorem Valentine'em, jakkolwiek

dżentelmen ów widział się krótko z córką pułkownika, do której podobno pała szczerym uczuciem.

Traill, adwokat, powiada, że zostawił pułkownika w domu zupełnie samego, co potwierdza Floyd ze swojego stanowiska wysoko na drabinie, mówiąc, że nie widział, aby ktokolwiek inny przechodził przez bramę. Dziesięć minut później panna Druce ponownie zeszła do ogrodu i nie dotarła do końca ścieżki, gdy ujrzała swojego ojca, rzucającego się w oczy w białym, lnianym płaszczu, leżącego bezwładnie na ziemi. Wydała z siebie krzyk, który sprowadził w to miejsce pozostałych. Wchodząc do pomieszczenia, ujrzeli pułkownika martwego, leżącego obok swojego wiklinowego fotela, który również był przewrócony. Doktor Valentine, który wciąż przebywał w pobliżu, zeznał, że ranę zadano czymś w rodzaju sztyletu, którego ostrze weszło pod łopatkę i sięgnęło serca. Policja przeszukała okolicę w poszukiwaniu takiej broni, niczego jednak nie znaleziono.

– A więc pułkownik Druce nosił biały płaszcz, tak? – zapytał ojciec Brown, odkładając gazetę.

– Sztuczka, której nauczył się w tropikach – odpowiedział Fiennes z niejakim podziwem. – Miał tam jakieś dziwne przygody na własną rękę i myślę, że jego niechęć do Valentine'a wynikała z tego, że doktor też przyjechał z tropików. Ale to jakaś piekielna układanka. Wytłumaczenie jest dość prawidłowe. W sensie odkrycia nie widzę tutaj tragedii, spacerowałem z młodymi bratanekami i psem – tym psem, o którym chciałem księdzu opowiedzieć. Ale zobaczyłem miejsce zbrodni tak, jak je opisano: prosta alejka między niebieskimi kwiatami prowadząca do ciemnego wejścia i ten prawnik, idący po niej w swoim czarnym stroju i cylindrze, i ruda głowa tego sekretarza widoczna ponad zielonym żywopłotem, który strzygł. W żaden sposób nie dałoby się przeoczyć tej rudej głowy, z żadnej odległości. Skoro ludzie mówią, że widzieli ją tam przez cały czas, to może być ksiądz pewien, że tak było. Ten rudy sekretarz, Floyd, to prosta natura; taki zdyszany facet, który

zawsze wykonuje cudzą robotę, tak jak wtedy zastępował ogrodnika. Chyba jest Amerykaninem – w każdym razie ma amerykańskie podejście do życia, które oni, niech im Bóg darzy, nazywają punktem widzenia.

– A co z tym prawnikiem? – zapytał ojciec Brown.

Fiennes milczał przez chwilę, po czym zaczął mówić nietypowo powoli:

– Traill wydał mi się bardzo niezwykłym człowiekiem. W tym czarnym ubraniu był niemal fircykowaty, choć nie można go było nazwać modnym. Nosił długie, obfite, czarne bokobrody, których nie widuje się od czasów wiktoriańskich. Miał szlachetną, ponurą twarz i szlachetne, ponure maniery, ale wydawało się, że pamięta, by od czasu do czasu się uśmiechnąć. A gdy pokazywał białe zęby, to jakby tracił nieco ze swojej godności i było w nim coś niejasno lizusowatego. Może to tylko zakłopotanie, bo bawił się swoim krawatem i spinką do krawata, które jednocześnie były ładne i niezwykłe jak on sam. Gdybym miał kogoś wytypować... ale na co to, gdy to wszystko jest niemożliwe? Nikt nie wie, kto to zrobił. Nikt nie wie, jak można to było zrobić. Przynajmniej moim zdaniem jest jeden wyjątek i właśnie dlatego w ogóle wspomniałem o tej sprawie. Pies wie.

Ojciec Brown westchnął.

– Jesteś tutaj jako przyjaciel młodego Donalda, zgadza się? – domyślił się. – Nie poszedł z wami na ten spacer?

– Nie – z uśmiechem odpowiedział Fiennes. – Ten młody łobuz położył się nad ranem i wstał po południu. Poszedłem z jego kuzynami, dwoma młodymi oficerami z Indii, i rozmowa była kompletnie trywialna. Pamiętam, że starszy – nazywa się chyba Herbert Druce i jest autorytetem w kwestii hodowli koni – mówił wyłącznie o klaczy, którą kupił, i o moralności człowieka, który ją sprzedawał; podczas gdy jego brat Harry dumał o swoim pechu w Monte Carlo. Wspominam o tym tylko po to, żeby ksiądz zobaczył, że w świetle tego, co się stało podczas naszego spaceru, nie było w nas niczego dziwnego. Jedyłą

niesamowitością w naszym towarzystwie był ten pies.

– Co to był za pies? – zapytał ksiądz.

– Tej samej rasy, co ten – odparł Fiennes. – To właśnie naprowadziło mnie na tę historię, słowa księdza, że nie wierzy ksiądz w wiarę w psa. To wielki, czarny retriever, nazywa się Nox^[111] i to znaczące imię, uważam bowiem, że zna tajemnice mroczniejsze od tego morderstwa. Wie ksiądz, że dom i ogród Druce'a wychodzą na morze. Przeszliśmy jakąś milę od niego po piasku i wracając, szliśmy inną drogą. Minęliśmy dość interesującą skałę nazywaną Skałą Fortuny, słynną w okolicy, bo jest przykładem jednej z tych skał, które ledwie balansują jedna na drugiej, że wydaje się, iż wystarczy muśnięcie, żeby ją zwalić. Nie jest jakoś szczególnie wysoka, ale przez swój zarys sprawia wrażenie nieco dzikie i złowieszcze – przynajmniej na mnie zrobiła takie wrażenie, bo nie sądzę aby moi weseli towarzysze czuli jakiegokolwiek przygnębienie na widok tego rodzaju. Ale może być tak, że zaczynałem wyczuwać nadchodzącą atmosferę. Właśnie wtedy pojawiło się pytanie, czy był już czas, aby wracać na herbatę, i chyba nawet wtedy miałem przecucie, że w interesach czas jest bardzo ważny. Ani Herbert Druce, ani ja nie mieliśmy zegarka, więc zawołaliśmy do jego brata, który był kilka kroków za nami, bo zatrzymał się pod żywopłotem, żeby zapalić fajkę. W zapadającym zmierzchu swoim potężnym głosem odkrzyknął, która jest godzina, a było dwadzieścia po czwartej, i z jakiegoś powodu ten głośny okrzyk zabrzmiał jak ogłoszenie czegoś niesamowitego. Jego nieświadomość wydawała się jeszcze to wzmacniać. Tak jednak zawsze jest z omenami, a poszczególne tykania zegara tego popołudnia były naprawdę bardzo złowróżbne. Zgodnie z zeznaniem pana Valentine'a nieszczęsny Druce zmarł około czwartej trzydzieści.

Cóż, powiedzieli, że mamy jeszcze dziesięć minut, więc poszliśmy dalej kawałek po plaży, nie robiąc nic szczególnego – rzucaliśmy psu kamienie i patyki, żeby wskakiwał za nimi do wody. Mnie jednak zmierzch wydawał się coraz bardziej

duszający i sam cień Skały Fortuny spoczywał na mnie ciężarem. A potem wydarzyła się ciekawa rzecz. Nox właśnie wyciągnął z morza laskę Herberta, a jego brat rzucił mu własną. Pies znowu popłynął, ale nagle się zatrzymał. Wrócił na brzeg i stanął przed nami. Potem nagle zadarł łeb i zawył rozpaczliwie – w życiu czegoś takiego nie słyszałem.

„Co do diaska stało się temu psu?”, spytał Herbert, ale żaden z nas nie potrafił odpowiedzieć. Po tym, jak wycie i skomlenie zamarły na opuszczonej plaży, milczeliśmy długą chwilę. W końcu cisza została przerwana. Stało się to przez cichy i oddalony krzyk, jakby krzyk kobiety z posesji za żywopłotem. Wówczas nie wiedzieliśmy, co to było, ale się dowiedzieliśmy. Był to krzyk dziewczyny, która jako pierwsza natknęła się na ciało swojego ojca.

– Zapewne wróciliście – cierpliwie powiedział ojciec Brown. – Co było potem?

– Powiem księdzu, co się zdarzyło – z ponurą emfazą oświadczył Fiennes. – Gdy wróciliśmy do ogrodu, najpierw zobaczyliśmy Trailla, prawnika. Wciąż mam go przed oczami, w tym czarnym kapeluszu i z czarnymi bokobrodami, na tle niebieskich kwiatów ciągnących się do letniego domu, a do tego zachód słońca i ten dziwny zarys Skały Fortuny. Na tle zachodzącego słońca jego twarz i postać kryły się w cieniu, przysięgam jednak, że na jego twarzy widać było te białe zęby, i że się uśmiechał. W chwili, gdy tego człowieka zobaczył Nox, pies wyrwał się do przodu i stanął na środku ścieżki, szcękając na niego szaleńczo, morderczo, miotając na niego przekleństwa, które w tej okropnej, wyczuwalnej nienawiści były niemal zrozumiałe. A ten człowiek zgiął się wpół i uciekł ścieżką pomiędzy kwiatami.

Z nagłym zniecierpliwieniem ojciec Brown się poderwał.

– Czyli pies go zadenuncjował, tak? – wykrzyknął. – Skazała go psia przepowiednia. Widziałeś, jakie tam fruwały ptaki i pewien jesteś, czy były z prawej, czy z lewej strony? Skonsultowałeś się z wróżbitami w sprawie ofiar? Z pewnością

nie zaniebależ zabicia psa i zbadania jego wnętrzości. Tego właśnie rodzaju badaniom naukowym wierzycie wy, pogańscy humanitaryści, gdy rozważacie odebranie człowiekowi życia i honoru.

Fiennes przez chwilę wytrzeszczał oczy, zanim zdołał się odezwać.

– Co z księdzem? Co ja takiego zrobiłem?

W spojrzeniu księdza znów pojawiło się swego rodzaju zaniepokojenie – zaniepokojenie człowieka, który w ciemnościach wpadł na słup i zastanawia się przez moment, czy nic mu nie zrobił.

– Jest mi ogromnie przykro – powiedział ze szczerym żalem. – Proszę mi wybaczyć, że byłem tak niegrzeczny. Ogromnie przepraszam.

Fiennes spojrzał na niego z zaciekawieniem.

– Czasami myślę sobie, że ksiądz sam jest większą zagadką niż wszystkie zagadki – stwierdził. – Ale tak czy inaczej, nawet jeśli nie wierzy ksiądz w tajemnicę psa, to przynajmniej nie może ksiądz machnąć ręką na tajemnicę człowieka. Nie może ksiądz zaprzeczyć, że w tej samej chwili, gdy to zwierzę wyszło z morza i zawyło, dusza jego pana została wyrwana z ciała przez jakąś niewidzialną siłę, której żaden śmiertelnik nie potrafi wyśledzić ani nawet sobie wyobrazić. A co do tego prawnika – nie kieruję się tylko zachowaniem psa – są tu jeszcze inne interesujące szczegóły. Uznałem go za człowieka gładkiego, uśmiechniętego i niejednoznacznego, a jedna z jego sztuczek wydaje się stanowić jakąś wskazówkę. Wie ksiądz, że lekarz i policja pojawili się bardzo szybko. Valentine został zawrócony, gdy oddalał się od domu, i zaraz wykonał telefon. To, wraz z zacisznym domem, niewielką liczbą osób i zamkniętą przestrzenią, sprawiało, że dość łatwo było znaleźć wszystkich, którzy przebywali w pobliżu, i każdy został przeszukany na okoliczność posiadania broni. Cały dom, ogród i brzeg morza zostały przeczesane w jej poszukiwaniu. Zniknięcie sztyletu jest niemal tak szalone jak zniknięcie człowieka.

– Zniknięcie sztyletu – powiedział ojciec Brown, kiwając głową. Wydawało się, że nagle zaczął słuchać z wyteżoną uwagą.

– Cóż – kontynuował Fiennes – powiedziałem księdzu, że ten człowiek, Traill, ciągle bawił się swoim krawatem i szpilką do krawata – szczególnie szpilką. Jego szpilka, tak jak on sam, była jednocześnie efektowna i staroświecka. Ozdobiona była jednym z tych kamieni, które składają się z koncentrycznych, różnobarwnych kręgów, które wyglądają jak oko – a to, jak się na niej koncentrował, działało mi na nerwy, jakby był jakimś cyklopem z jednym okiem pośrodku ciała. Ale ta szpilka była nie tylko duża, lecz także długa! Uświadomiłem sobie, że jego nerwowość co do jej położenia wynikała z tego, że była nawet dłuższa, niż się wydawała. W gruncie rzeczy tak długa jak sztylet.

Ojciec Brown z namysłem pokiwał głową.

– Czy kiedykolwiek była mowa o jakimś innym narzędziu? – zapytał.

– Pojawiła się jeszcze jedna sugestia – przyznał Fiennes – od jednego z młodych Druce'ów, to znaczy tych kuzynów. Ani Herbert, ani Harry na pierwszy rzut oka nie sprawiają wrażenia, że mogliby poważnie pomagać w naukowym śledztwie, ale o ile Herbert jest prawdziwie tradycyjnym typem ciężkiego dragona, którego nie interesuje nic poza końmi i byciem ozdobą Straży Konnej, o tyle jego brat Harry służył w indyjskiej policji i wiedział coś niecoś o takich rzeczach. W istocie jego własne oko było całkiem bystre i wydaje mi się, że aż zanadto; chcę przez to powiedzieć, że odszedł z policji przez to, że złamał jakieś sztywne przepisy i wziął na siebie ryzyko i odpowiedzialność. Tak czy inaczej w pewnym sensie był bezrobotnym detektywem i zabrał się za tę sprawę z zapałem godnym amatora. I to właśnie z nim posprzeczałem się o broń – a sprzeczka ta doprowadziła do czegoś nowego. Zaczęła się od tego, że nie zgodził się z moim opisem psa szczekającego na Trailla. Powiedział, że pies nie szczekał, tylko

warczał.

– Cały czas był na miejscu – zauważył ksiądz.

– Ten młody człowiek ciągle powtarzał, że gdy przyszło co do czego, to słyszał już wcześniej, jak Nox warczy na ludzi, między innymi na Floyda, sekretarza. Zripostowałem, że jego argument sam sobie przeczy – tej zbrodni nie mogło popełnić dwoje czy troje ludzi, a już na pewno nie Floyd, który był niewinny jak narwany uczeń, i przez cały czas wszyscy widzieli, jak ta jego ruda grzywa sterczała nad żywopłotem niczym jakaś szkarłatna papuga.

„Wiem, że i tak są tutaj trudności”, powiedział mój kolega, „ale chciałbym, byście na chwilę poszli ze mną do ogrodu. Chcę wam coś pokazać. Nie sądzę, żeby ktoś to zauważył”. To było tego samego dnia, gdy dokonano owego odkrycia, a ogród był dokładnie w takim samym stanie. Drabina nadal stała oparta o żywopłot, a tuż pod nim mój przewodnik zatrzymał się i wyplątał coś z głębokiej trawy. Były to nożyce do żywopłotu, a na ich ostrzu widniała smuga krwi.

Na chwilę zapadła cisza.

– A po co był tam ten prawnik? – zniemacka zapytał ojciec Brown.

– Powiedział nam, że pułkownik posłał po niego, bo chciał zmienić testament – odparł Fiennes. – A przy okazji, jest jeszcze jedna rzecz związana z tym testamentem, o której powinienem wspomnieć. Widzi ksiądz, tego popołudnia nie został podpisany.

– Tak sądziłem – powiedział ojciec Brown. – Powinno być dwóch świadków.

– Prawniki przyjechał dzień wcześniej i wówczas testament został podpisany, ale następnego dnia posłano po niego ponownie, ponieważ staruszek miał wątpliwości co do jednego ze świadków i chciał się upewnić.

– Kim byli świadkowie? – spytał ojciec Brown.

– I w tym właśnie rzecz – z przejęciem odpowiedział jego informator. – Świadkami byli Floyd, sekretarz, oraz ten doktor

Valentine, ten zagraniczny chirurg czy kim on tam jest – i tych dwóch się pokłóciło. Powinienem dodać, że ten sekretarz jest raczej dociekliwy. Jest jedną z tych gorących i nierozważnych osób, których temperament objawia się niestety głównie w wojowniczości i wiecznych podejrzeniach. Nie ufa ludziom, podkopyje zaufanie do nich. Ten typ rozgorączkowanych rudzielców jest albo rozbijającą łatwowierny, albo niepotrzebnie podejrzliwy, a czasem jedno i drugie. Nie tylko znał się na wszystkim, lecz także wszystko wiedział lepiej. W dodatku jeszcze ostrzegał wszystkich przed wszystkimi. I to wszystko trzeba wziąć pod uwagę, jeśli chodzi o jego podejrzenia wobec Valentine'a. W tym konkretnym przypadku jednak wydaje się, że coś było na rzeczy. Powiedział, że Valentine to nie jest prawdziwe nazwisko. Powiedział, że widywał go już gdzie indziej pod nazwiskiem De Villon. Powiedział, że to unieważni testament. Oczywiście był tak uprzejmy, że wyjaśnił prawnikowi, jaki przepis o tym stanowi. Obaj byli okropnie wściekli.

Ojciec Brown się roześmiał.

– Ludzie często się wściekają, gdy są świadkami testamentu – rzekł. – Między innymi dlatego, że z tego powodu nie mogą otrzymać żadnego spadku. A co powiedział doktor Valentine? Bez wątpienia ten oświecony sekretarz wiedział o nazwisku doktora więcej niż on sam. Ale nawet doktor mógł mieć jakieś informacje na ten temat.

Fiennes zamilkł na chwilę, zanim odpowiedział.

– Doktor Valentine dziwnie to przyjął. To w ogóle dziwny człowiek. Jego aparycja jest uderzająca, ale bardzo cudzoziemska. Jest młody, ale nosi kwadratowo przystrzyżoną brodę, a twarz ma bardzo bladą, strasznie bladą i okropnie poważną. W oczach ma jakiś ból, jakby powinien nosić okulary, albo myśleniem doprowadził się do bólu głowy, ale jest całkiem przystojny i zawsze bardzo starannie ubrany, z cylindrem, w ciemnym płaszczu i małą czerwoną rozetką. Maniery ma raczej chłodne i wyniosłe, a patrzy na człowieka w bardzo

niepokojący sposób. Kiedy więc został oskarżony o zmianę nazwiska, popatrzył tylko jak sfinks, a potem z lekkim śmiechem odparł, że Amerykanie zapewne nie mają nazwisk, żeby je zmieniać. I myślę, że pułkownik również się zirytował i powiedział doktorowi parę przykrych rzeczy. Tym bardziej przykrych, że doktor miał ambicje, aby w przyszłości dołączyć do jego rodziny. Ale nie myślałbym o tym za dużo, gdyby nie coś, co zdarzyło mi się później usłyszeć, wczesnym popołudniem w dzień tej tragedii. Nie chcę tego powtarzać, bo nie były to słowa, które w normalnej sytuacji powinny zostać podsłuchane. Gdy wraz z moimi dwoma towarzyszami i psem szedłem do bramy, usłyszałem głosy, po których poznałem, że doktor Valentine i panna Druce na moment skryli się w cieniu domu, w zakątku za rzędem kwitnących kwiatów, i podekscytowani rozmawiali szeptem – czasami brzmiało to jak syknięcia i mogła to być zarówno sprzeczka kochanków, jak i schadzka. Nikt nie przekazuje dalej takich rzeczy, jakie sobie mówili, ale w tych niefortunnych okolicznościach jestem zobowiązany powiedzieć, że więcej niż raz powtórzyli zdanie o zabiciu kogoś. W zasadzie wydawało się, że dziewczyna błaga go, by kogoś nie zabijał, albo mówiła, że żadna prowokacja nie usprawiedliwia zabicia kogoś. Były to dość niezwykle słowa, jeśli kierować je do dżentelmena, który wpadł na herbatę.

– Wiesz może – zadał pytanie ksiądz – czy doktor Valentine był bardzo rozgniewany po tej scenie z sekretarzem i pułkownikiem? Mam na myśli ważność bycia świadkiem testamentu.

– Pod każdym względem – odparł tamten – nie był nawet w połowie tak zły jak sekretarz. To właśnie sekretarz odszedł rozwścieczony po tym, jak poświadczył ten testament.

– A co z testamentem jako takim? – spytał ojciec Brown.

– Pułkownik był bardzo majątnym człowiekiem i jego ostatnia wola była ważna. Traill nie powiedział nam, jaką zmianę do niej wprowadził, ale słyszałem – w gruncie rzeczy tego ranka – że większość pieniędzy została przekazana córce, a nie synowi.

Mówiłem księdzu, że Druce zaszalał z moim przyjacielem Donaldem i zmarnował sporo czasu.

– Kwestia motywu przysłonięta jest pytaniem o sposób – z zadumą zauważył ojciec Brown. – A w tej chwili na tej śmierci zyskała panna Druce.

– Dobry Boże! Co za chłodny sposób myślenia – wykrzyknął Fiennes, patrząc na niego. – Chyba nie chce ksiądz naprawdę zasugerować, że ona...

– Czy ona zamierza wyjść za tego doktora Valentine'a? – spytał ksiądz.

– Niektórzy ludzie się temu sprzeciwiają – odpowiedział jego przyjaciel. – Ale jest lubiany i szanowany, jest także sprawnym i oddanym chirurgiem.

– Chirurgiem tak oddanym – powiedział ojciec Brown – że gdy w porze na herbatę odwiedza młodą damę, ma przy sobie narzędzia chirurgiczne. Zatem musiał użyć lancetu czy czegoś takiego i nie poszedł do domu.

Fiennes poderwał się i spojrzał na niego pytająco.

– Sugeruje ksiądz, że mógł użyć tego samego lancetu...

Ojciec Brown potrząsnął głową.

– W tej chwili wszystkie sugestie to tylko przypuszczenia – powiedział. – Problem nie w tym, kto to zrobił i czym, ale w jaki sposób. Mamy tu wielu ludzi i równie wiele narzędzi – szpilki, nożyce i lancety. Jednak w jaki sposób ktoś dostał się do tego pokoju? Jak mogłaby się tam prześlizgnąć choćby mysz?

Mówiąc, z zadumą wpatrywał się w sufit, ale gdy wypowiedział ostatnie słowa, w oku pojawił mu się błysk, jakby nagle na powale zobaczył intrygującą muchę.

– No to co ksiądz z tym zrobi? – zapytał młody człowiek. – Ma ksiądz mnóstwo doświadczenia. Co by ksiądz poradził?

– Obawiam się, że niewielki ze mnie pożytek – z westchnieniem odparł ojciec Brown. – Nie jestem w stanie czegokolwiek zasugerować, skoro nawet nie było mnie w pobliżu tego miejsca ani tych ludzi. Na ten moment możecie polegać tylko na lokalnym dochodzeniu. Zakładam, że twój

przyjaciół z policji indyjskiej w większym bądź mniejszym stopniu dowodzi śledztwem. Powinieneś tam podejść i przekonać się, jak sobie radzi. Zobaczyć, co robi w ten amatorski sposób. Już niedługo mogą pojawić się jakieś wieści.

Gdy jego goście, dwu- i czworonożny, zniknęli, ojciec Brown ujął swoje pióro i wrócił do przerwanej zajęcia planowania cyklu wykładów na temat encykliki *Rerum Novarum*^[12]. Temat był ważki i musiał przerobić go więcej niż raz, tak więc zajmował się tym również dwa dni później, gdy do jego pokoju ponownie wpadł wielki czarny pies i zaczął go obskakiwać z entuzjazmem i podnieceniem. Jego pan, który nadszedł wkrótce potem, podzielał podniecenie, choć nie entuzjazm. Poruszony był w mniej radosny sposób, niebieskie oczy miał nieco wybałuszone, a żywą twarz cokolwiek pobladłą.

– Powiedział mi ksiądz – zaczął gwałtownie i bez wstępu – żebym się dowiedział, co porabia Harry Druce. Wie ksiądz, co on zrobił? – Ksiądz nie odpowiedział, a młodzieniec kontynuował spazmatycznie: – Powiem księdzu, co zrobił. Zabił się.

Wargi ojca Browna poruszyły się słabo, a w tym, co mówił, nie było nic praktycznego – nic, co miałoby cokolwiek wspólnego z tą historią czy z tym światem.

– Czasem przyprawia mnie ksiądz o dreszcze – powiedział Fiennes. – Czy ksiądz... czy ksiądz się tego spodziewał?

– Uznałem, że to możliwe – odparł ojciec Brown – dlatego właśnie cię poprosiłem, żebyś poszedł i sprawdził, co robi. Miałem nadzieję, że nie będzie za późno.

– To ja go znalazłem – schrypniętym głosem powiedział Fiennes. – To była najpaskudniejsza i najbardziej niesamowita rzecz, jaką widziałem. Znowu poszedłem do tego starego ogrodu i wiedziałem, że – pomijając to morderstwo, było w nim coś nowego i nienaturalnego. Kwiaty nadal tłoczyły się niebieskimi masami po obu stronach ciemnego wejścia do tego starego szarego domu letniego, ale dla mnie te niebieskie kwiatki wyglądały bardziej jak niebieskie diabły tańczące w jakiejś

ciemnej pieczarze zaświatów. Rozejrzałem się wszędzie dookoła i wydawało się, że wszystko jest na swoim zwykłym miejscu. Ale we mnie rosło jakieś dziwne przecucie, że z samym kształtem nieba jest coś nie tak. A potem zobaczyłem, co to takiego. W tle, za żywopłotem i przy morzu, zawsze wznosiła się Skała Fortuny. I ta Skała Fortuny zniknęła.

Ojciec Brown uniósł głowę i słuchał uważnie.

– To było tak, jakby z krajobrazu zniknęła góra albo jakby księżyc spadł z nieba, choć oczywiście wiedziałem, że w każdej chwili byle muśnięcie może powalić tę skałę. Coś mnie opętało i jak wiatr pogałem po ścieżce przez ogród, i przedarłem się przez żywopłot jak przez pajęczynę. To w sumie cienki żywopłot, chociaż rozrośnięty tak, że spełniał wszystkie zadania muru. Na brzegu zastałem skałę, która spadła ze swojego postumentu, a nieszczęsny Harry Druce leżał pod nią zupełnie zmiażdżony. Obejmował ją jedną ręką w takim geście, jakby sam ją na siebie ściągnął. Na połaci brązowego piasku obok wielkimi, chwiejnymi literami napisał: „Skała Fortuny spadła na Głupca”.

– To przez testament pułkownika – zauważył ojciec Brown. – Ten młody człowiek postawił wszystko na to, że sam coś zyska dzięki niełasce, w jaką popadł Donald, zwłaszcza że wuj posłał po niego tego samego dnia, co po prawnika, i tak ciepło go przywitał. Inaczej byłby skończony; stracił pracę w policji, zgrał się w Monte Carlo. A gdy odkrył, że na darmo zamordował swojego krewniaka, zabił się.

– Hej, zaraz, chwila! – wykrzyknął osłupiały Fiennes. – Nie nadążam za księdzem.

– A skoro już mowa o testamencie – spokojnie kontynuował ojciec Brown – to zanim zapomnę, albo zanim zajmiemy się większymi rzeczami, jest chyba proste wytłumaczenie całego tego zamieszania z nazwiskiem doktora. Wydawało mi się, że już gdzieś słyszałem oba te nazwiska. Doktor naprawdę jest francuskim szlachcicem i nosi tytuł markiza de Villon. Jest jednak również zapalonym republikaninem, zrezygnował więc z tytułu i wrócił do zapomnianego nazwiska rodzowego. „Tym

swoim obywatelem Riquettim przez dziesięć dni zwodziliście Europę”[\[13\]](#).

– Co takiego? – zdziwił się młodzieniec.

– Nieważne – zbył go ksiądz. – W dziewięciu przypadkach na dziesięć zmiana nazwiska to łajdactwo, tu jednak mamy do czynienia z przykładem fanatyzmu. O to chodziło w tej jego sarkastycznej uwadze, że Amerykanie nie mają nazwisk – to znaczy tytułów. Obecnie w Anglii nie ma możliwości, aby markiza Hartingtona nazywać panem Hartingtonem, ale we Francji markiz de Villon zwany jest panem de Villon. Przez co może to wyglądać na zmianę nazwiska. A co do tej podsłuchanej rozmowy o zabijaniu, sądzę, że była to kwestia francuskiej etykiety. Doktor mówił o wyzwaniu Floyda na pojedynek, a dziewczyna próbowała mu to wyperswadować.

– Och, rozumiem – jęknął powoli Fiennes. – Teraz rozumiem, o co jej chodziło.

– A o czym teraz mówisz? – z uśmiechem zapytał ksiądz.

– Cóż – odparł młodzieniec – chodziło o coś, co mi się przydarzyło tuż przed tym, jak znalazłem ciało tego nieszczęśnika, ale przez tę katastrofę wywietrzało mi to z głowy. Trudno chyba wspominać romantyczną idyllę, gdy ma się do czynienia z tragedią. Kiedy szedłem alejkami prowadzącymi do domu pułkownika, spotkałem jego córkę spacerującą z doktorem Valentine’em. Oczywiście była w żałobie, on zaś zawsze nosi się na czarno, jakby wybierał się na pogrzeb, nie powiedziałbym jednak, że miny mieli szczególnie ponure. Nigdy nie widziałem, żeby dwoje ludzi wyglądało na swój sposób tak szacownie promiennie i radośnie. Zatrzymali się i pozdrowili mnie, a potem ona mi powiedziała, że się pobrali i zamieszkali w małym domku na obrzeżach miasta, gdzie doktor prowadzi swoją praktykę. To mnie raczej zaskoczyło, bo wiedziałem, że zgodnie z ostatnią wolą ojca odziedziczyła cały jego majątek, i nawiązałem do tego delikatnie, mówiąc, że szedłem właśnie do domu jej ojca i na poły spodziewałem się ją tam spotkać. Ale ona tylko się roześmiała i powiedziała: „Och, pozbyliśmy się

tego wszystkiego. Mój mąż nie lubi dziedziczek”. A ja z niejakim zdumieniem odkryłem, że faktycznie przekazali majątek biednemu Donaldowi. Mam zatem nadzieję, że przeżył zdrowy szok i rozsądnie będzie z nim poczynał. W sumie nigdy nie było w nim czegoś dziwnego: był bardzo młody, a jego ojciec nieszczerólnie mądry. Ale to miało związek z czymś, co powiedziała, a czego wówczas nie zrozumiałem, teraz jednak jestem pewien, że musi być tak, jak ksiądz mówi. Z jakąś nagłą i wspaniałą arogancją, całkowicie altruistyczną, powiedziała: „Mam nadzieję, że to powstrzyma tego rudego durnia od robienia dalszego zamieszania wokół testamentu. Czy on sądzi, że mój mąż, który ze względu na swoje zasady zrezygnował z herbu i tytułu starych jak krucjaty, zabiłby starca w jego domu za taki spadek?”. Potem znowu się roześmiała i dodała: „Mój mąż nikogo nie zabija, chyba że to wypadek w trakcie pracy. Nawet nie poprosił przyjaciół, by wyzwali pana sekretarza”. Teraz oczywiście rozumiem, co miała na myśli.

– Oczywiście rozumiem to częściowo – powiedział ojciec Brown. – Co dokładnie miała na myśli, mówiąc, że sekretarz robi zamieszanie wokół testamentu?

Fiennes się uśmiechnął.

– Szkoda, że ksiądz go nie zna – odpowiedział. – Dobrze by się ksiądz bawił, obserwując, jak wszystkim dyryguje. Zrobił niezłe zamieszanie w domu pogrzebowym. Z pogrzebu zrobił istne wydarzenie sportowe. Po tym, co się stało, nikt go już nie hamuje. Opowiadałem księdzu, jak kontrolował ogrodnika i jak pouczał prawnika co do przepisów prawa. Nie trzeba mówić, że pouczał również chirurga, jak przeprowadzać operacje, a że tym chirurgiem był doktor Valentine, można być pewnym, że skończyło się to czymś gorszym od oskarżenia o bycie konowałem. Sekretarz ubzdurał sobie w tym swoim rudym łbie, że to doktor popełnił tę zbrodnię, a gdy przyjechała policja, był naprawdę wyśmienity. Chyba nie muszę mówić, że w jednej chwili został największym ze wszystkich detektywów-amatorów? Sherlock Holmes nigdy nie górował nad Scotland

Yardem z bardziej tytaniczną, intelektualną dumą i pogardą, niż prywatny sekretarz pułkownika Druce'a nad policją badającą okoliczności śmierci pułkownika Druce'a. Powiadam księdzu, kapitalnie się na to patrzyło. Kręcił się wielce zamyślony, szarpał te swoje rude włosy i rzucał krótkie i opryskliwe odpowiedzi. Oczywiście to właśnie jego zachowanie w ciągu tych dni sprawiło, że córka Druce'a była na niego tak wściekła. Rzecz jasna miał swoją teorię. To teoria tego rodzaju, która mogłaby się pojawić w książce, a i Floyd jest tego rodzaju człowiekiem, który powinien być w książce. W książce byłby zabawniejszy i mniej irytujący.

– A co to za teoria? – spytał ksiądz.

– Och, pełna animuszu – ponuro przyznał Fiennes. – Byłaby bez zarzutu, gdyby utrzymała się w kupie chociaż dziesięć minut. Powiedział, że gdy znaleźli pułkownika, ten wciąż żył, a doktor zabił go narzędziami chirurgicznymi, udając, że przecina mu ubrania.

– Rozumiem – odpowiedział ksiądz. – Przypuszczam, że leżał na ziemi twarzą do podłogi, jakby odbywał sjętę.

– To niezwykle do czego prowadzi rwetes – kontynuował chłopak. – Wierzę, że ta wielka teoria Floyda tak czy inaczej pojawiłaby się w gazetach, a doktor zostałby pewnie aresztowany, kiedy wszystko się rozpadło jak po wybuchu dynamitu po odkryciu, że pod Skałą Fortuny leżą zwłoki. I mimo wszystko do tego wracamy. Przypuszczam, że to samobójstwo to właściwie przyznanie się. Ale nikt nigdy nie pozna całej historii.

Zapadła cisza.

– Wydaje mi się, że ja znam całą historię – wreszcie skromnie wyznał ojciec Brown.

Fiennes wytrzeszczył oczy.

– Ale jak to? – wykrzyknął. – Jak ksiądz może znać całą historię albo mieć pewność, że to cała historia? Siedzi ksiądz tutaj, sto mil dalej, pisząc kazanie. Chce mi ksiądz powiedzieć, że naprawdę już wie, co się wydarzyło? Skoro naprawdę dotarł

ksiądz do końca, to gdzie to się zaczęło, na Boga? Od czego zaczyna się historia księdza?

Ojciec Brown podskoczył z bardzo niezwykłym podekscytowaniem, a jego pierwszy okrzyk był jak eksplozja.

– Od psa! – zawołał. – Oczywiście od psa! Cały czas miałeś tę historię w zasięgu ręki, opowiadał ją pies na plaży, gdybyś tylko właściwie odczytał jego zachowanie.

Fiennes dalej wytrzeszczał oczy.

– Ale wcześniej powiedział mi ksiądz, że moje odczucia odnośnie do psa były nonsensem i że pies nie ma z tym nic wspólnego.

– Pies jest tutaj najważniejszy – odparł ojciec Brown – pod warunkiem, że potraktujesz go jak psa, a nie jak Boga Wszechmogącego osądzającego ludzkie dusze.

Zamilkł na chwilę zakłopotany, a potem podjął temat, mówiąc nieco przeproszającym tonem:

– Prawda jest taka, że ja bardzo lubię psy. I uznałem, że w świetle tych wszystkich przesądów związanych z psami nikt tak naprawdę nie pomyślał o tym biednym zwierzęciu. Począwszy od drobiazgu, od jego szczekania na prawnika albo warczenia na sekretarza. Pytałeś, jak mogę cokolwiek zgadywać, będąc sto mil dalej, a tak naprawdę to głównie dzięki tobie, bo opisałeś ludzi tak dobrze, że poznałem ich typy. Człowiek taki jak Traill, który zwykle marszczy brwi i rzadko się uśmiecha, człowiek, który bawi się różnymi rzeczami, zwłaszcza przy gardle, to człowiek nerwowy i łatwo popadający w zakłopotanie. Nie zdziwiłbym się, gdyby Floyd, ten skuteczny sekretarz, też był nerwowy i pobudliwy – ci jankescy cwaniacy często tacy są. Inaczej nie skaleczyłyby sobie palców nożycami i nie upuścił ich, gdy usłyszał krzyk Janet Druce.

Psy nie cierpią nerwowych ludzi. Nie wiem, czy to przez to, że sprawiają, że psy też się denerwują, czy przez to, że zwierzęta również bywają łobuzami, czy też ich psia próżność (która jest kolosalna) jest po prostu urażona tym, że nie są lubiane. W każdym razie nic w biednym Noksie nie burzyło się

przeciwko tym ludziom poza tym, że ich nie lubił, bo się go bali. Wiem, że jesteś bardzo sprytny, a nikt rozsądny nie kpi ze sprytu. Czasami jednak myślę, że na przykład ty jesteś zbyt sprytny, żeby zrozumieć zwierzęta. Czasami jesteś zbyt sprytny, żeby zrozumieć ludzi, zwłaszcza jeżeli zachowują się niemal tak prosto jak zwierzęta. Zwierzęta są bardzo dosłowne, żyją w świecie truizmów. Weźmy taki przypadek: pies szczeka na człowieka, a człowiek ucieka przed psem. Nie wydajesz się być na tyle prosty, by zrozumieć pewien fakt: pies szczeka, ponieważ nie lubi tego człowieka, a człowiek ucieka, ponieważ boi się psa. Nie mają innych motywów ani ich nie potrzebują, ale ty musisz na to nałożyć jakieś psychologiczne zagadki i przypisać psu nadnaturalną wizję, i masz tajemniczą zapowiedź zagłady. Musisz założyć, że człowiek ucieka nie przed psem, ale przed katem. A jednak, jeśli się nad tym zastanowić, cała ta pogłębiona psychologia jest kompletnie nieprzydatna. Gdyby pies naprawdę był w stanie całkowicie i świadomie rozpoznać mordercę swojego pana, to nie stałby, jazgocząc jak na widok wikarego podczas podwieczorku – już prędzej rzuciłby mu się do gardła. A z drugiej strony, czy naprawdę sądzisz, że człowiek, który utwardził swoje serce tak, by zabić starego przyjaciela, a następnie uśmiechać się do rodziny tegoż starego przyjaciela, pod okiem córki starego przyjaciela i lekarza, który stwierdził zgon – myślisz, że taki człowiek poczuje nagle wyrzuty sumienia, bo obszczekał go pies? Może odczuć tego tragiczną ironię, może to poruszyć jego duszę jak jakakolwiek tragiczna błahostka. Ale nie gnałby szaleńczo przez cały ogród, żeby uciec od jedyne go świadka, o którym wiedział, że nie potrafi mówić. Ludzie panikują w taki sposób, gdy się przestraszą nie tragicznej ironii, ale zębów. Cała ta sprawa jest prostsza, niż możesz zrozumieć.

Jeśli jednak chodzi o wydarzenia na brzegu, to te sprawy są znacznie ciekawsze. Gdy je przedstawiałeś, były dużo bardziej zagadkowe. Nie rozumiałem tej opowieści o psie wbiegającym do wody i wybiegającym z niej – nie wydawało mi się, żeby to

było normalne psie zachowanie. Gdyby Nox był czymś mocno zdenerwowany, to pewnie w ogóle odmówiłby gania za patykiem. Raczej pobiegłby, wężąc, w kierunku, z którego spodziewał się kłopotów. A gdy pies już za czymś goni, za kamieniem, kijem czy królikiem, to z mojego doświadczenia wynika, że nie zatrzyma się za nic, chyba że na bardzo stanowczą komendę, a i to nie zawsze. To, że zawrócił, bo zmienił mu się nastrój, wydaje mi się nieprawdopodobne.

– Ale zawrócił – upierał się Fiennes – i wrócił bez laski.

– Wrócił bez laski z najlepszego powodu na świecie – odparł ksiądz. – Wrócił bez niej, bo jej nie znalazł. Piszczął, bo nie mógł jej znaleźć. To z powodu takich właśnie rzeczy psy piszczą. Pies bardzo ceni rytuały. Uwielbia precyzyjną rutynę gry jak dziecko, które domaga się opowiadania bajki zawsze w taki sam sposób. W tym przypadku w zabawie coś poszło nie tak. Wrócił, żeby poważnie się poskarżyć na zachowanie laski. Nigdy wcześniej coś takiego mu się nie przydarzyło. Nigdy się nie zdarzyło, by tak wybitny i dystyngowany pies został w taki sposób potraktowany przez starą, spróchniałą laskę.

– To, co zrobiła ta laska? – dopytywał się młodzieniec.

– Zatonęła – odparł ojciec Brown.

Fiennes nic nie odpowiedział, ale wciąż wytrzeszczał oczy i to ksiądz znowu zaczął mówić:

– Zatonęła, ponieważ nie była to laska drewniana, ale metal w bardzo cienkiej osłonie bambusa i z ostrym końcem. Innymi słowy, była to laska-szpada. Przypuszczam, że żaden morderca nigdy nie pozbył się narzędzia zbrodni w tak dziwaczny, a jednak naturalny sposób, jak rzucając je retrieverowi do morza.

– Zaczynam rozumieć, co ksiądz ma na myśli – przyznał Fiennes – ale jeśli nawet użyto tej szpady w lasce, to nie mam pojęcia, w jaki sposób.

– Miałem swoje przypuszczenia – powiedział ojciec Brown – zaraz na początku, gdy usłyszałem od ciebie słowa „letni dom”. I kolejne, gdy powiedziałaś, że Druce nosił biały płaszcz. Dopóki

wszyscy szukali krótkiego sztyletu, nikt o tym nie pomyślał, ale jeśli przyjmujemy dość długie ostrze w rodzaju rapieru, to całkiem możliwe.

Odchylił się, wpatrując w sufit, i zaczął tak, jakby wracał do swoich pierwszych myśli i podstaw:

– Cała ta dyskusja o opowieściach detektywistycznych, takich jak Żółty Pokój^[14], o człowieku, który został znaleziony martwy w pomieszczeniu, do którego nikt nie mógł wejść, nie ma odniesienia do obecnego przypadku, ponieważ to letni dom. Gdy mowa o Żółtym Pokoju, czy jakimkolwiek pokoju, zakładamy, że ściany są naprawdę jednolite i nieprzenikalne. Ale letnich domów nie buduje się w taki sposób. Często, tak jak w tym przypadku, są zbudowane z położonych blisko siebie, ale osobnych belek i desek, pomiędzy którymi tu i ówdzie są szczeliny. Jedna z nich znajdowała się tuż za plecami Druce’a, gdy usiadł w swoim fotelu pod ścianą. Skoro jednak był to pokój w domu letnim, to i fotel był wiklinowy. To również ażur. Wreszcie, letni dom otoczony był żywopłotem, a ty powiedziałeś mi właśnie, że jest to żywopłot bardzo cienki. Ktoś stojący na zewnątrz bez trudu dostrzegłby pomiędzy płataniną gałązek biały punkt płaszcza pułkownika, wyraźny jak biały cel.

Kwestie geograficzne opisałeś nie do końca jasno, ale można było dodać dwa do dwóch. Powiedziałeś, że Skała Fortuny nie była szczególnie wysoka. Powiedziałeś też jednak, że wznosiła się nad ogrodem jak szczyt góry. Innymi słowy, znajdowała się bardzo blisko ogrodu, choć wasz spacer wymagał przejścia sporej odległości, by się do niej dostać. Poza tym to mało prawdopodobne, żeby młoda dama naprawdę krzyknęła tak, że było ją słychać o pół mili. Wydała z siebie zwyczajny, mimowolny jęk, a jednak słyszeliście go na brzegu. A pośród innych interesujących rzeczy powiedziałeś mi – pozwolę sobie przypomnieć – powiedziałeś, że Harry Druce został z tyłu, pod żywopłotem, żeby zapalić fajkę.

Fiennes wzdrygnął się lekko.

– Chce ksiądz powiedzieć, że wyciągnął tę swoją szpadę i przez

żywoplot posłał ją w biały cel? Ale to bardzo niepewna okazja i bardzo nagła decyzja. Poza tym nie mógł mieć pewności, że staruszek zapisał mu pieniądze, i faktycznie tego nie zrobił.

Na twarzy ojca Browna pojawiło się ożywienie.

– Błędnie oceniasz charakter tego człowieka – powiedział tak, jakby sam znał go przez całe życie. – Ciekawy, choć nie niespotykany typ charakteru. Gdyby miał pewność, że dostanie te pieniądze, to naprawdę wierzę, że by tego nie zrobił. Dostrzegłby, jaka to brudna rzecz.

– Czy to nie jest dość paradoksalne? – spytał Fiennes.

– Ten człowiek był hazardzistą – wytknął ksiądz – i był w niełasce za podejmowanie ryzyka i wyprzedzanie rozkazów. Było to przypuszczalnie coś zupełnie pozbawionego skrupułów, bo każda policja imperialna przypomina rosyjską tajną policję bardziej, niż lubimy sądzić. Ale przekroczył pewną granicę i nie powiodło mu się. A ten typ ludzi odczuwa pokusę, by robić szalone rzeczy właśnie dlatego, że w retrospekcji ryzyko będzie cudowne. Chce powiedzieć: „Tylko ja byłem w stanie wykorzystać okazję albo zrozumieć, że teraz albo nigdy. Cóż to było za dzikie i wspaniałe założenie, gdy poskładałem wszystko razem! Donald w niełasce, sprowadzony prawnik, jednoczesne posłanie po mnie i po Herberta – a potem nic więcej, tylko uśmiech i uścisk ręki staruszka. Wszyscy by powiedzieli, że oszalałem, podejmując takie ryzyko, ale tak właśnie powstają fortuny – dzięki ludziom, którzy mają dar przewidywania”. W skrócie, to próżność zgadywania. To megalomania hazardzisty. Im bardziej absurdalny zbieg okoliczności, im bardziej impulsywna decyzja, tym bardziej prawdopodobne jest skorzystanie z okazji. Przypadek, całkowita trywialność białego płaszcza i dziury w żywoplotcie omamiła go całkowicie. Nikt dostatecznie sprytny, żeby dostrzec taką kombinację przypadków, nie mógłby być tak tchórzliwy, żeby z niej nie skorzystać! W taki właśnie sposób do hazardzisty przemawia diabeł. Jednak sam diabeł nie spowodował raczej, że ten nieszczęsny człowiek spokojnie i z rozmysłem zszedł i zabił

swojego starego wuja, wobec którego zawsze miał jakieś oczekiwania. To byłoby zbyt szacowne.

Zamilkł na moment, a potem mówił dalej ze swego rodzaju cichą emfazą:

– A teraz spróbuj przywołać tę scenę tak, jak sam ją widziałeś. Jak on tam stoi, oszołomiony swoją diaboliczną możliwością, jak spogląda w górę i widzi dziwny zarys, który mógłby być obrazem jego własnej, chwiejnej duszy – wielką skałę utrzymującą się w równowadze na drugiej, jak piramida stojąca na czubku, i przypomina sobie, że nosi ona nazwę Skały Fortuny. Możesz sobie wyobrazić, jak taki człowiek, w takiej chwili, odczytał taki sygnał? Sądzę, że obudziło to w nim czujność i poderwało do działania. Jemu, który jest więź, nie wolno się bać upadku. W każdym razie zadziałał. Kolejną trudnością było zamaskowanie śladów. Gdyby ktoś zastał go w posiadaniu laski ze szpadą, nie mówiąc już o szpadzie powalanej krwią, miałyby to fatalne skutki dla poszukiwań, które z pewnością będą miały miejsce. Jeśli ją gdzieś zostawi, istnieje ryzyko, że zostanie znaleziona i przypuszczalnie uda się go po niej wyśledzić. Nawet gdyby cisnął ją do morza, ktoś mógłby to zauważyć i uznać za intrygujące – chyba że uda mu się wymyślić bardziej naturalny sposób, żeby usprawiedliwić takie działanie. Jak wiesz, udało mu się go wymyślić, i była to bardzo dobra przykrywka. Ponieważ z waszej trójki tylko on miał zegarek, powiedział wam, że jeszcze nie czas wracać, poszedł kawałek dalej i zaczął tę zabawę z rzucaniem psu lasek. Ale z jaką zaciętością musiał przepatrywać każdy kawałek tego opustoszałego, morskiego brzegu, zanim spojrzał na psa!

Fiennes kiwnął głową, z zadumą wpatrując się w przestrzeń. Myślnami wydawał się dryfować przy mniej praktycznej części tej opowieści.

– Dziwne – powiedział – że ten pies mimo wszystko faktycznie odegrał swoją rolę w tej sprawie.

– Gdyby ten pies umiał mówić, to prawie mógłby ci ją opowiedzieć – odparł ksiądz. – Skoro jednak nie potrafi, to sam

opowiedziałeś mi jego historię, każąc mu mówić językami ludzi i aniołów. Po części to coś, co coraz częściej zauważam we współczesnym świecie, co przejawia się w najrozmaitszych plotkach w gazetach i konwersacyjnych słowach-kluczach: że coś jest arbitralne, nie będąc autorytatywnym. Ludzie chętnie łykają niesprawdzone twierdzenia wygłaszane przez tego czy owego. To pogrąża cały stary, dobry racjonalizm i sceptycyzm, przychodzi jak przyływ, a nosi nazwę przesądu. – Wstał gwałtownie, z twarzą znużoną i lekko zmarszczonymi brwiami, i mówił dalej prawie tak, jakby był sam: – Pierwszym skutkiem niewiary w Boga jest utrata zdrowego rozsądku i niemożność postrzegania rzeczy takimi, jakie są. Wszystko, o czym ktoś mówi i twierdzi, że to prawda, rozciąga się w nieskończoność jak panorama w sennym koszmarze. A to pies jest omenem, a to kot zagadką, świnia talizmanem, a żuk skarabeuszem, przez co wzywa się całą tę politeistyczną menażerię Egiptu i starożytnych Indii – pies Anubis i zielonooka Pasht, i wszystkie święte, ryczące byki z Bashan. Powrót do zwierzęcych bogów początku, ucieczka w słońce, węże i krokodyle – a wszystko to dlatego, że boicie się czterech słów: „I Bóg stworzył człowieka”.

Młody człowiek wstał, cokolwiek zakłopotany, prawie jakby podsłuchiwał spowiedź. Zawołał psa i wyszedł z pokoju, rzucając niejasne, ale serdeczne pożegnanie. Musiał jednak zawołać psa ponownie, ponieważ na chwilę został z tyłu i siedział nieporuszony, spokojnie spoglądając na ojca Browna, jak wilk wpatrujący się w świętego Franciszka.

[10] Ang. „dog” – pies – czytane od tyłu to „god” – bóg.

[11] *Nox* (łac.) – dosłownie „ciemność”, „noc”; przenośnie „śmierć”.

[12] *Rerum Novarum* – ogłoszona 15 maja 1891 roku encyklika papieża Leona XIII, dzięki której zyskał on przydomek „papieża robotników”. Encyklika opowiedziała się za chrześcijańską polityką społeczną przy jednoczesnym odrzuceniu socjalizmu w wydaniu marksistowskim i ślepego kapitalizmu. Głównym wątkiem encykliki było przekonanie, że ani Kościół, ani państwo nie są w stanie samodzielnie rozwiązać

trudności społecznych i obydwaj organizmy muszą ze sobą współpracować dla wspólnego dobra.

[13] Gabriel de Riquetti (1749–1791), hrabia de Mirabeau, francuski mówca, współautor „Deklaracji praw człowieka i obywatela”. Po tym, jak został pozbawiony tytułu szlacheckiego, mówiono o nim, posługując się nazwiskiem rodzimym, co wprowadzało zamieszanie co do jego tożsamości.

[14] *Tajemnica żółtego pokoju* – powieść autorstwa Leroux Gastona, wydana w 1907 r. Jest to jeden z pierwszych kryminałów, które stanowią próbę rozwiązania morderstwa dokonanego w zamkniętym pomieszczeniu, do którego pozornie nikt obcy nie miał wstępu.

CUD MOON CRESCENT

Budynek Moon Crescent, Półksiężyca, uznaje się za niezwykle romantyczny, a rzeczy, które się tu działy, na swój sposób były ogromnie romantyczne. A przynajmniej jest to określenie mające szczerze sentymentalny wydźwięk – historyczny i niemal heroiczny – który w jakiś sposób trwa ramię w ramię z komercjalizmem starszych miast na wschodnim wybrzeżu Ameryki. Początkowo była to enklawa klasycznej literatury, faktycznie przywołującej tę osiemnastowieczną atmosferę, w której ludzie pokroju Waszyngtona i Jeffersona wydawali się republikanami tym bardziej, że byli arystokratami. Podróżni wciąż spotykają się z powracającym pytaniem, co sądzą o naszym mieście, które to pytanie należy odnosić przede wszystkim do naszego Półksiężyca. Te same kontrasty, które zakłócają jego pierwotną harmonię, są charakterystyczne dla jego przetrwania. Na jednym końcu Półksiężyca jego ostatnie okna wychodzą na ogrodzony skrawek parku z drzewami i żywopłotami równie formalnymi jak w ogrodzie Królowej Anny. Ale tuż za rogiem inne okna, nawet w tych samych pokojach, czy raczej „apartamentach”, wychodzą na ślepą, szpetną ścianę wielkiego magazynu związanego z jakąś okropną gałęzią przemysłu.

Same apartamenty w Półksiężycu były na tym końcu zbudowane w monotonnym stylu amerykańskiego hotelu i wznosiły się wysoko, a choć budynek był niższy od kolosalnego magazynu w Londynie, nazywano go drapaczem chmur. Kolumnada, która otaczała cały front od strony ulicy, miała w sobie szare i poznaczone kaprysmi pogody dostojęństwo, sugerujące, że wciąż mogą się pod nią przechadzać duchy Ojców Republiki. Jednak wnętrza pokoi były tak schludne i nowe, jak tylko mogło to być w Nowym Jorku, zwłaszcza na północy i pomiędzy wypieszczonym ogrodem a ślepa ścianą magazynu. Był to system bardzo małych mieszkań, z których każde składało się z salonu, sypialni i łazienki, identycznych jak setki komórek w ulu. W jednym z nich przy biurku siedział słynny Warren Wynd, z niesamowitą prędkością i dokładnością sortując listy i rozdzielając polecenia. Można go było porównać wyłącznie do uporządkowanego tornada.

Warren Wynd był bardzo małym człowieczkiem z rozwichrzonymi, szpakowatymi włosami i ostro zakończoną brodą, pozornie słabowitym, ale gorączkowo aktywnym. Miał przepiękne oczy, jaśniejsze od gwiazd i silniejsze niż magnesy, których nie mógł zapomnieć nikt, kto je zobaczył. I w istocie w jego pracy reformatora i nadzorcy wielu dobrych działań wykazał, że przynajmniej oczy ma w głowie. O tym, że z cudowną łatwością potrafi sformułować rozsądną ocenę, zwłaszcza ludzkiego charakteru, krążyły niemal legendy. Mówiło się, że wybrał sobie żonę – która z nim pracowała od tak dawna i w tak czarujący sposób – wyławiając ją z całego regimentu kobiet w mundurach maszerujących podczas jakiejś oficjalnej uroczystości, inni powiadali, że znalazł ją w drużynie skautek, a jeszcze inni, że w Policji Żeńskiej. Krążyła też opowieść o trzech włóczęgach, nieodróżnialnych ze względu na brud i łachmany, którzy stanęli przed nim, prosząc o datek. Bez chwili wahania jednego z nich odesłał do konkretnego szpitala zajmującego się szczególnymi niedomaganiem nerwowymi,

drugiego polecił odstawić do izby wytrzeźwień, a trzeciego zatrudnił za hojną pensję jako osobistego służącego, na którym to stanowisku pracował z powodzeniem jeszcze dziesięć lat później. Oczywiście pojawiały się nieuniknione anegdoty o jego szybkim krytycyzmie i ciętych ripostach, gdy spotykał się z Rooseveltem, z Henrym Fordem, panią Asquith^[15] i innymi osobami, z którymi amerykański obywatel powinien być zaznajomiony, choćby tylko za pośrednictwem gazet. Takie osobistości z pewnością go nie onieśmiały, w tej zaś chwili nie przerywał spokojnego żonglowania dokumentami, choć człowiek, który stanął przed nim, był niemal równie ważny.

Silas T. Vandam, milioner i magnat naftowy, był chudym człowiekiem z długą żółtą twarzą i niebiesko-czarnymi włosami – kolory, które nieszczególnie rzucały się w oczy, ale w jakiś sposób wydawały się bardziej złowieszcze, ponieważ jego twarz i postać odcinały się czarno na tle okna i białej ściany magazynu na zewnątrz. Elegancki płaszcz z karakułowych pasów miał zapięty po samą szyję. Z drugiej strony żywa twarz i olśniewające oczy Wynda znajdowały się w pełnym świetle wpadającym przez drugie okno, wychodzące na mały ogród, pod którym stało jego biurko i krzesło, a choć twarz miał zaabsorbowaną, nie wydawał się szczególnie interesować milionerem. Pokojowiec czy osobisty służący Wynda potężny człowiek z przyznanymi, jasnymi włosami, stał za biurkiem swojego pana, trzymając plik listów, a prywatny sekretarz Wynda, schludny rudowłosy młodzieniec o ostrej twarzy, rękę już miał na klamce, jakby odgadując lub wykazując posłuszeństwo wobec jakiegoś gestu pracodawcy. Pokój był nie tylko zadbane, lecz także surowy i pusty, bowiem Wynd z charakterystycznym praktycznym podejściem wynajął całe powyższe piętro i zmienił je w strych czy magazynek, gdzie w pudłach i powiązanych sznurkiem belach znajdowały się wszystkie jego papiery oraz należące do niego przedmioty.

– Wilson, przekaz to dozorczy piętra – powiedział Wynd do służącego trzymającego listy – a potem przynieś mi broszurę

o nocnych klubach Minneapolis. Znajdziesz ją w paczce oznaczonej literą „G”. Będę jej potrzebował za pół godziny, ale do tego czasu mi nie przeszkadzaj. Cóż, panie Vandam, sądzę, że pańska propozycja wydaje się bardzo obiecująca, nie jestem jednak w stanie dać panu ostatecznej odpowiedzi, dopóki nie zobaczę raportu. Powinien do mnie dotrzeć jutro po południu i natychmiast do pana zadzwonię. Przykro mi, że na ten moment nie mogę powiedzieć panu nic bardziej konkretnego.

Pan Vandam wydawał się czuć, że była to swego rodzaju uprzejma odprawa, a jego ziemista posepna twarz wskazywała, że dopatrył się w tym fakcie swoistej ironii.

– Cóż, wobec tego już pójdę – powiedział.

– Bardzo dobrze, że pan zadzwonił, panie Vandam – grzecznie powiedział Wynd. – Proszę mi wybaczyć, że z panem nie wyjdę, ale muszę się czymś natychmiast zająć. Fenner – dodał do swojego sekretarza – odprowadź pana Vandama do jego samochodu i nie wracaj przed upływem pół godziny. Mam tu coś, nad czym chcę popracować sam. Później będę cię potrzebował.

Trzej mężczyźni razem wyszli do holu, zamknawszy za sobą drzwi. Wielki służyący, Wilson, poszedł w dół holu do nadzorcy piętra, a pozostali ruszyli w przeciwnym kierunku w stronę windy – apartament Wynda znajdował się na czternastym piętrze. Uszli ledwie jard od zamkniętych drzwi, gdy uświadomili sobie, że korytarz wypełniała maszerująca i wspaniała wręcz postać. Mężczyzna był bardzo wysoki i miał szerokie ramiona, jego potężna budowa rzucała się w oczy tym bardziej, że ubrany był na biało albo w jasny popiel, jeśli się temu przyjrzeć, z bardzo rozłożystą, białą panamą, spod której wyglądały niemal tak samo białe włosy. Jego twarz ujęta w taką aureolę była mocna i przystojna, jakby należała do cesarza rzymskiego, pomijając, że było coś chłopięcego, coś odrobinę dziecięcego w błysku jego oczu i pięknym uśmiechu.

– Pan Wynd jest u siebie? – zapytał donośnym głosem.

– Pan Warren Wynd jest zajęty – odparł Fenner. – Nie wolno

mu przeszkadzać pod żadnym pozorem. Jestem jego sekretarzem i mogę przyjąć każdą wiadomość.

– Pana Warrena Wynda nie ma w domu nawet dla papieża czy koronowanych głów – z kwaśną ironią powiedział magnat naftowy Vandam. – Pan Warren Wynd jest bardzo specyficznym człowiekiem. Poszedłem do niego, aby przekazać mu drobne dwadzieścia tysięcy dolarów pod pewnymi warunkami, a on mi kazał zadzwonić ponownie, jakbym był jakimś chłopcem na posyłki.

– Dobrze jest być chłopcem – odparł obcy – a jeszcze lepiej mieć informacje; a ja mam informacje, których po prostu będzie musiał wysłuchać. To wezwanie z wielkiego, dobrego kraju na Zachodzie, gdzie w czasie gdy wy chrapiecie, wykuwają się prawdziwi Amerykanie. Proszę mu przekazać, że Art Alboin z Oklahoma City przyjechał, aby go nawrócić.

– Już panu mówiłem, że nikt nie może do niego wejść – ostro odparł rudowłosy sekretarz. – Wydał polecenie, by nikt mu nie przeszkadzał przez pół godziny.

– Wy, ziomkowie ze Wschodu, tak bardzo się troszczycie, żeby wam nikt nie przeszkadzał – raźnie stwierdził pan Alboin – ale ja uważam, że na Zachodzie zrywa się wielki wiatr, który wam przeszkodzi. Oblicza, ile pieniędzy musi iść na tę czy inną duszną, starą religię, ja jednak powiadam wam, że każdy plan, który pomija nowy ruch Wielkiego Ducha w Teksasie i Oklahomie, pomija religię przyszłości.

– Och, przyglądałem się tym religiom przyszłości – pogardliwie powiedział milioner. – Dokładnie się im przyjrzałem i są równie parszywe, jak tchórzliwe psy. Była taka kobieta, która nazywała się Sophią, choć moim zdaniem powinna nosić imię Sapphira^[16]. Po prostu robaczywe jabłko. Linki uwiązane do każdego stołu i tamburynu. Potem była ta grupa Niewidzialnego Życia – mówili, że mogą zniknąć, kiedy zechcą, i faktycznie zniknęli, a wraz z nimi sto tysięcy moich dolarów. Znałem w Denver Jowisza Jezusa; widywałem się z nim całymi tygodniami i był to zwykły hochsztapler. Tak samo Prorok

Patagoński – założę się, że czmychnął do Patagonii. Nie, mam tego wszystkiego dość – od teraz wierzę tylko w to, co widzę. Zapewne nazywa się to ateizmem.

– Chyba źle się zrozumieliśmy – niemal niecierpliwie powiedział człowiek z Oklahomy. – Przypuszczam, że jestem tak samo ateistą jak pan. W naszym ruchu nie ma niczego nadnaturalnego ani zabobonnego, tylko czysta nauka. Jedynym prawdziwym prawem naukowym jest po prostu zdrowie, a jedynym prawdziwym prawem zdrowia jest oddychanie. Napełnijcie płuca wspaniałym powietrzem prerii, a zdmuchniecie te swoje stare wschodnie miasta do morza. Ich największych ludzi moglibyście zdmuchnąć jak puch. To właśnie robimy w ramach nowego ruchu – oddychamy. Nie modlimy się. Oddychamy.

– Cóż, pewnie tak – ze znużeniem odparł sekretarz. Miał miłą, inteligentną twarz, która ledwie ukrywała zmęczenie, tych dwóch monologów wysłuchał jednak z godną podziwu cierpliwością i uprzejmością (tak bardzo w kontraście do legend o zniecierpliwieniu i bezczelności), z jakimi tego rodzaju monologów słucha się w Ameryce.

– Nic nadnaturalnego – kontynuował Alboin – jedynie wielki naturalny fakt za wszystkimi nadnaturalnymi wymysłami. Czego Żydzi chcą od Boga poza tym, by tchnął w ludzkie nozdrza oddech życia? W Oklahomie nie oddychamy sobie nawzajem w nozdrza. Jakie jest znaczenie samego słowa *spirit*, duch? To tylko greckie określenie na ćwiczenia oddechowe. Życie, postęp, prorocstwo – wszystko to oddech.

– Niektórzy pewnie by przyznali, że to wszystko wiatr – stwierdził Vandam. – Tym niemniej cieszę się, że pozbyliście się tych bzdur z boskością.

Na łagodnej twarzy sekretarza, dość bladej w zestawieniu z rudymi włosami, pojawił się przebłysk jakiegoś dziwnego uczucia sugerującego skrywane rozgoryczenie.

– Ja się nie cieszę – powiedział. – Ja jestem pewien. Wydaje się, że podoba się panom bycie ateistami – możecie zatem

wierzyć, w co chcecie. Ale modlę się do Boga, żeby Bóg był – a jednak go nie ma. To tylko traf.

Bez dźwięku czy poruszenia wszyscy trzej stali się niemal boleśnie świadomi, że ich grupka, stojąca za drzwiami Wynda, cicho powiększyła się z trzech osób do czterech. Jak długo stał przy nich ten czwarty człowiek, nie potrafiłby powiedzieć żaden z żarliwych dyskutantów, ale czekał on, pod każdym względem okazując szacunek i niemal nieśmiałość, na możliwość powiedzenia czegoś naglącego. Z powodu ich nerwowej wrażliwości wydawał się jednak wyrosnąć nagle i cicho jak grzyb. I w istocie wyglądał nieco jak duży czarny grzyb, jako że był raczej niewysoki, a jego niewielka przysadzista postać była zaokrąglona przez duży, czarny, księży kapelusz. Podobieństwo byłoby jeszcze doskonalsze, gdyby grzyby miały zwyczaj noszenia parasoli, nawet obszarpanych i bezkształtnych.

Fenner, sekretarz, był świadom ciekawej, dodatkowej niespodzianki z rozpoznania postaci księdza, ale gdy ten pokazał okrągłą twarz pod okrągłym kapeluszem i niewinnie zapytał o pana Warrena Wynda, otrzymał odpowiedź negatywną, udzieloną tonem bardziej opryskliwym niż wcześniej. Ksiądz się jednak upierał.

– Naprawdę chcę zobaczyć pana Wynda – powiedział. – Może to dziwne, ale właśnie tego pragnę. Nie chcę z nim rozmawiać. Chcę tylko go zobaczyć. Chcę zobaczyć, czy jest tam ktoś do zobaczenia.

– Cóż, mówię księdzu, że tam jest i nie można go zobaczyć – z rosnącym poirytowaniem powiedział Fenner. – Co ma ksiądz na myśli, mówiąc, że chce zobaczyć, czy jest tam ktoś do zobaczenia? Oczywiście, że tam jest. Wszyscy wyszliśmy od niego pięć minut temu i od tego czasu stoimy pod drzwiami.

– Cóż, chcę sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku – odparł ksiądz.

– Dlaczego? – naciskał sekretarz z rozdrażnieniem.

– Ponieważ mam poważny, można rzec: solenny powód – grobowo odparł kapłan – żeby wątpić, czy wszystko jest z nim

w porządku.

– Och, Boże! – ze swego rodzaju wściekłością zawołał Vandam.
– Tylko nie kolejne przesady.

– Widzę, że powinienem przedstawić swoje pobudki – ponuro zauważył ksiądz. – Pewnie nie mogę oczekiwać, by pozwolili mi panowie choćby zerknąć przez szparę w drzwiach, dopóki nie opowiem całej historii... – Zamilkł na chwilę, jakby się zastanawiał, a potem mówił dalej, nie zwracając uwagi na zaciekawione twarze wokół siebie. – Szedłem wzdłuż kolumnady, gdy zobaczyłem, że narożnik na końcu obiega bardzo obdarty człowiek. Gnał ciężko chodnikiem w moją stronę, a ja poznałem tę kościstą sylwetkę i twarz. Była to twarz obłąkanego Irlandczyka, któremu kiedyś trochę pomogłem. Nie pamiętam jego nazwiska. Kiedy mnie zobaczył, zatoczył się, zwrócił do mnie i powiedział: „Święci pańscy, to ojciec Brown! Jest ksiądz jedynym człowiekiem, którego twarz mogłaby mnie dziś przestraszyć”.

Wiem, że miał na myśli, że robił takie czy inne szalone rzeczy, i nie sądzę, żeby moja twarz szczególnie go przestraszyła, skoro od razu mi to powiedział. Ale wydarzyło się coś bardzo dziwnego. Zapytał mnie, czy znam Warrena Wynda, a ja odpowiedziałem, że nie, choć wiedziałem, że mieszka na szczycie tego budynku. Powiedział: „Ten człowiek uważa się za świętego albo Boga, ale gdyby wiedział, co o nim mówię, powinien być gotów, żeby się powiesić!”. Spytałem go, czy wyrządził Wyndowi jakąś krzywdę, a jego odpowiedź była raczej mętna. Powiedział: „Wziąłem pistolet i nie załadowałem go ani śrutem, ani kulami, a jedynie kłutwą”. Z tego, co udało mi się ustalić, poszedł w dół tej małej alejki pomiędzy tym budynkiem a tamtym wielkim magazynem, ze starym pistoletem załadowanym ślepakami, i po prostu strzelił w ścianę, jakby to miało spowodować zawalenie się całego budynku. „Ale gdy to zrobiłem” – powiedział – „rzuciłem na niego wielką kłutwę, że dosięgnie go sprawiedliwość boska i pomsta piekieł, i że powinien zostać rozdarty na części jak Judasz, a pamięć o nim

powinna zaginać”.

Cóż, nie ma znaczenia, co jeszcze powiedziałem temu nieszczęsnemu szaleńcowi. Odszedł nieco uspokojony, a ja poszedłem na tył budynku, żeby go obejrzeć. I faktycznie, w małej alejce u stop tego muru leżał pordzewiały stary pistolet. Wiem o pistoletach wystarczająco dużo, żeby dostrzec, że załadowany był tylko odrobiną prochu, na ścianie widniały czarne ślady prochu i dymu, a także ślad po lufie, lecz nei było nawet wgłębienia po jakimkolwiek naboju. Nie zostawił żadnego śladu zniszczenia, żadnego śladu czegokolwiek, poza tymi czarnymi smugami i czarną klątwą, którą cisnął do nieba. Zatem wróciłem tutaj, żeby spytać o Warrena Wynda i sprawdzić, czy nic mu nie jest.

Sekretarz Fenner się roześmiał.

– Mogę księdza uspokoić. Zapewniam, że wszystko z nim dobrze. Ledwie kilka minut temu zostawiliśmy go na pisaniu przy swoim biurku. Był sam w mieszkaniu, które znajduje się sto stóp ponad ulicą i jest umiejscowione w taki sposób, że nie dosięgnie go żaden strzał, nawet jeśli księdza przyjaciel nie strzelał ślepymi nabojami. Do środka dostać się można tylko przez te jedne drzwi, a my stoimy pod nimi cały czas.

– Tym niemniej – posępnie powiedział ojciec Brown – powinienem zajrzeć i sprawdzić.

– Ale ksiądz nie może – odparował sekretarz. – Dobry Boże, chyba nie chce mi ksiądz powiedzieć, że przejął się tą klątwą.

– Zapomina pan – z lekkim, szyderyczym uśmiechem powiedział milioner – że domeną wielebnego są właśnie błogosławieństwa i klątwy. Sir, nawet jeśli został przeklęty, może go pan na nowo pobłogosławić. Co dobrego w pańskich błogosławieństwach, jeśli nie są w stanie przebić klątwy jakiegoś irlandzkiego chuligana?

– Czy ktoś jeszcze w ogóle wierzy w takie rzeczy? – zaprotestował pan Alboin.

– Przypuszczam, że ojciec Brown wierzy w mnóstwo rzeczy – powiedział pan Vandam, którego samopoczucie było

nadwerżone wcześniejszym afrontem i obecną sprzeczką. – Ojciec Brown wierzy w pustelnika przepływającego się przez rzekę na krokodylu wyczarowanym znikąd, który po wszystkim powiedział zwierzakowi, aby umarł, co ten z pewnością zrobił. Ojciec Brown wierzy, że ten czy inny święty zmarł, a jego ciało zmieniło się w trzy inne ciała, żeby mu służyło w trzech parafiach, które miały udawać jego rodzinne miasteczko. Ojciec Brown wierzy, że był jakiś święty, który powiesił swoje okrycie na promieniu słonecznym, i inny, który swoją łodzią przepłynął Atlantyk. Ojciec Brown wierzy w świętego osła, co miał sześć nóg, i w to, że domek loretański fruwał w powietrzu^[17]. Wierzy w setkę kamiennych dziewic mrugających i zawodzących jak dzień długi. Cóż to dla niego uwierzyć, że człowiek mógł uciec przez dziurkę od klucza albo zniknąć z zamkniętego pokoju. Sądzę, że nieszczególnie przejmuje się prawami natury.

– Tak czy inaczej ja muszę się przejmować prawami Warrena Wynda – ze znużeniem powiedział sekretarz – a jego zasadą jest, by zostawiać go samego, gdy tak mówi. Wilson powie panom dokładnie to samo. – Wielki służący wysłany po broszurę przeszedł spokojnie w dole korytarza, niosąc ulotkę, ale minął drzwi. – Pójdzie usiąść na ławeczce obok stanowiska dozorczy piętra i zaczeka, aż będzie potrzebny, ale nie wejdzie do środka przed czasem – ja również nie. Obaj wiemy, co jest dla nas dobre, i trzeba by naprawdę wielu świętych i aniołów ojca Browna, żebyśmy o tym zapomnieli.

– A co do świętych i aniołów... – zaczął ksiądz.

– To wszystko nonsens – zareplikował Fenner. – Nie chcę powiedzieć nic obraźliwego, ale tego rodzaju rzeczy mogą być świetne dla krypt, klasztorów i wszelkich innych idiotycznych miejsc. Ale w amerykańskim hotelu duchy nie przechodzą przez drzwi.

– Ale nawet w amerykańskim hotelu drzwi mogą otworzyć ludzie – cierpliwie odparł ojciec Brown. – A według mnie byłaby to najłatwiejsza rzecz.

– Równie łatwo mógłbym stracić pracę – odciął się sekretarz –

a Warren Wynd nie lubi takiej prostoty u swoich sekretarzy. To dość proste, żeby uwierzyć w te bajeczki, w które pan, zdaje się, wierzy.

– Cóż – mruknął ksiądz ponuro – to w istocie prawda, że wierzę w wiele rzeczy, w jakie panowie przypuszczalnie nie wierzą. Wytlumaczenie ich wszystkich zajęłoby jednak sporo czasu, a mam wszelkie powody, by sądzić, że mam rację. Otwarcie tych drzwi i udowodnienie mi, że się mylę, to kwestia jakichś dwóch sekund.

Coś w tym zdaniu wydawało się rozbawić bardziej nieposkromionego i nieustrudzonego ducha człowieka z Zachodu.

– Z przyjemnością pozwoliłbym księdzu udowodnić, że się myli – powiedział Alboin, nagle przepychając się między nimi – i zrobię to.

Otworzył drzwi do pomieszczenia i zajrzał do środka. Pierwsze spojrzenie ujawniło, że krzesło Warrena Wynda jest puste. Drugie, że pusty jest również pokój.

Fenner, ożywiony nagłą energią, za innymi wpadł do mieszkania.

– Jest w swojej sypialni – powiedział szorstko – musi być.

Gdy zniknął w wewnętrznym pokoju, pozostali stali w pustym zewnętrznym, rozglądając się. Surowość i prostota jego wyposażenia, którą już zauważyli, jawiły im się jako twarde wyzwanie. W tym pokoju z pewnością nie ukryłaby się mysz, a co dopiero człowiek. Nie było zasłon oraz – co rzadkie w amerykańskich mieszkaniach – żadnych szafek. Nawet biurko było tylko prostym stołem z płytką szufladą i pochylonym blatem. Krzesła były twarde i miały wysokie oparcia. Chwilę później w wewnętrznych drzwiach ponownie stanął sekretarz po tym, jak przeszukał pozostałe dwa pomieszczenia. W oczach miał wyraźne niedowierzanie, a usta wydawały się poruszać mechanicznie, gdy powiedział:

– Nie wchodził tutaj?

Z jakiegoś powodu pozostałym nie przyszło nawet do głowy,

żeby odpowiadać. Ich umysły natknęły się na coś w rodzaju tej ślepej ściany magazynu, która zaglądała przez okno. Vandam podszedł do parapetu, o który opierał się pół godziny wcześniej, i wyjrzał przez otwarte okno. Nie było tam żadnej rynny ani schodów pożarowych, żadnego gzymsu ani najmniejszego oparcia dla stopy, jedynie droga upadku na małą uliczką poniżej i taka sama ściana jak ta, która wznosiła się tyle pięter w górę. Widok po drugiej stronie ulicy był jeszcze bardziej monotony – nie było tam niczego, tylko nudna połącz pomalowanego na biało muru. Popatrzył w dół, jakby się spodziewał, że zaginiony filantrop popełnił samobójstwo i leży na drodze. Udało mu się dojrzeć tylko mały, ciemny obiekt, który – choć odległość nie pozwalała na pewność – mógł być tym pistoletem znalezionym przez księdza. Tymczasem Fenner podszedł do drugiego okna, które osadzone było w ścianie równie gładkiej i niedostępnej, ale wychodziło na mały ozdobny park. Widoku na ziemię broniła kępa drzew, jednak na tle tego wielkiego, stworzonego przez człowieka klifu nie wydawała się wysoka. Obaj odwrócili się z powrotem do pokoju i popatrzyli na siebie w gęstniejącym mroku, gdzie ostatnie srebrne promienie dziennego światła na lśniących blatach biurek i stołów szybko robiły się szare. Fenner, jakby mrok go drażnił, sięgnął do włącznika i scenę zalało oślepiające światło elektryczne.

– Jak już pan powiedział – ponuro stwierdził Vandam – nie ma możliwości, żeby dosięgnął go strzał z dołu, nawet jeśli ktoś strzelał. Ale nawet gdyby trafił go pocisk, nie prysnąłby przecież jak bańka mydlana.

Sekretarz, który zrobił się bledszy niż zwykle, z irytacją spojrzął na milionera.

– Co pana skłoniło do takich dramatycznych przemyśleń? Kto tu mówi o pociskach i bańkach? Niby dlaczego nie miałby być żywy?

– W istocie, dlaczego? – gładko podchwycił Vandam. – Jeśli pan mi powie, gdzie on jest, ja powiem panu, jak się tam

znalazł.

– Chyba ma pan rację – po chwili dosyć niechętnie mruknął sekretarz. – Właśnie stanęliśmy w obliczu tego, o czym rozmawialiśmy. Byłoby dziwne, gdyby pan czy ja kiedykolwiek zaczął się zastanawiać, czy w kłótwach coś jest. Ale kto mógł skrzywdzić Wynda, gdy był tutaj zamknięty?

Pan Alboin z Oklahomy stał na rozstawionych nogach pośrodku pomieszczenia. Jego białe włosy i okrągłe oczy wydawały się błyszczeć ze zdumienia. Odezwał się bez zastanowienia, z pozbawioną znaczenia bezczelnością *enfant terrible*:

– Panie Vandam, niespecjalnie go pan lubił, prawda?

Długa żółtawa twarz pana Vandama wydawała się wydłużać i robić jeszcze bardziej złowroga, gdy się uśmiechnął i odpowiedział cicho:

– Skoro już mowa o zbiegach okoliczności, to chyba właśnie pan powiedział, że wiatr z zachodu zdmuchnie wielkich ludzi jak puch.

– Wiem, że to powiedziałem – uczciwie przyznał Alboin – ale pozostaje pytanie: jak to możliwe?

Zapadła cisza. Przerwał ją Fenner.

– O tej sprawie można powiedzieć tylko jedno – powiedział nerwowo, niemal gwałtownie. – To się po prostu nie zdarzyło. To się nie mogło zdarzyć.

– Ależ tak – z kąta odezwał się ojciec Brown. – Jak najbardziej się zdarzyło.

Wszyscy podskoczyli. Prawda była taka, że zapomnieli o tym nijakim, małym człowieczku, który skłonił ich do otwarcia drzwi. Ożywienie pamięci przyszło wraz z ostrą odmianą nastroju – do wszystkich dotarło, że zbyli go jako przesadnego fantastę, nawet pomimo rzeczy, które mieli przed oczami.

– Węże! – wykrzyknął porywczy Alboin, jakby nie mógł się powstrzymać. – Chyba mimo wszystko coś w tym jest!

– Muszę przyznać – powiedział Fenner, wpatrując się w stół – że przewidywania wielebnego okazały się mieć dobre podstawy.

Nie wiem, czy ma nam do powiedzenia coś jeszcze.

– Mógłby nam może powiedzieć – sardonicznie mruknął Vandam – co do diabła mamy teraz robić.

Mały ksiądz wydawał się przyjąć tę propozycję w sposób skromny, ale bezdyskusyjny.

– Mogę powiedzieć tylko tyle – rzekł – że po pierwsze, należy skontaktować się z właścicielami tego miejsca, a potem sprawdzić, czy są tu jeszcze jakieś ślady tego mojego człowieka, który zostawił pistolet. Zniknął po drugiej stronie Półksiężyca, tam, gdzie jest ten mały ogród. Są tam ławki i jest to ulubione miejsce włóczęgów.

Bezpośrednie konsultacje z zarządem hotelu, prowadzące do dyskretnej konsultacji z policją, zajęły im sporo czasu. Była już noc, gdy wyszli pod długi klasyczny łuk kolumnady. Półksiężyc wyglądał na tak zimny i głuchy jak satelita, od którego został nazwany, a gdy skręcili na rogu i ruszyli do małego ogrodu, sam księżyc wznosił się świetliście za czarnymi czubkami drzew. Noc przysłaniała wiele z tego, co było w tym parku miejskie i sztuczne, a gdy zatopili się w cieniach drzew, odnieśli dziwne wrażenie, jakby nagle znaleźli się setki mil od swoich domów. Kiedy szli kawałek w milczeniu, Alboin, który miał w sobie coś pierwotnego, nagle wybuchł.

– Poddaję się – wykrzyknął. – Oddaję moje czeki. Nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie, ale co robić, gdy spotykają człowieka takie rzeczy? Proszę mi wybaczyć, ojciec Brown, chyba po prostu dam się przekonać, jeśli chodzi o ojca i jego bajki. Po tym wszystkim sam będę je opowiadać. Panie Vandam, pan sam powiedział, że jest ateistą i wierzy wyłącznie w to, co zobaczy. I cóż takiego pan zobaczył? Albo inaczej, czego takiego pan nie zobaczył?

– Wiem – przyznał Vandam i ponuro skinął głową.

– Och, po części ten cały księżyc i drzewa działają nam na nerwy – z uporem powiedział Fenner. – Drzewa, z tymi kołyszącymi się gałęziami, w świetle księżyca zawsze wyglądają dziwnie. Popatrzcie na to...

– Tak – zgodził się ojciec Brown, stając w miejscu i przez płataninę konarów wpatrując się w księżyc. – Tam w górze jest bardzo dziwna gałąź. Myślałem, że to złamany konar – dodał po chwili.

Tym razem jednak w głosie miał coś takiego, że jego towarzyszy przejął dreszcz. Coś, co wyglądało jak martwa gałąź – z pewnością na pierwszy rzut oka tak właśnie wyglądało – nie było martwą gałęzią. Gdy podeszli bliżej, aby się jej przyjrzeć, Fenner odskoczył z dźwięcznym przekleństwem. Potem podbiegł znowu i poluznił linę na szyi brudnego, niewielkiego ciała ze strąkami szarych włosów. Zanim jeszcze zdołał zdjąć je z drzewa, wiedział skądś, że ma do czynienia ze zwłokami. Gałęzie były owinięte bardzo długą liną, a stosunkowo krótki jej kawałek sięgał od konaru do ciała. Jakiś jard dalej leżała wywrócona skrzynka na rośliny jak stołek wykopnięty spod stóp samobójcy.

– O mój Boże! – powiedział Alboin, przez co słowa te brzmiały bardziej jak modlitwa niż przekleństwo. – Co powiedział o nim tamten człowiek? „Gdyby wiedział, sam by się powiesił”. Ojciec Brown, czy nie tak powiedział?

– Owszem – potwierdził ojciec Brown.

– Cóż – powiedział Vandam głuchym głosem. – Nigdy nie sądziłem, że zobaczę albo powiem coś takiego. Ale co tu można powiedzieć poza tym, że klątwa działa?

Fenner zakrywał dłońmi oczy. Ksiądz położył mu dłoń na ramieniu.

– Bardzo go pan lubił? – zapytał łagodnie.

Sekretarz opuścił ręce. Jego biała twarz w świetle księżyca wyglądała upiornie.

– Nienawidziłem drania – powiedział. – A jeśli zmarł w wyniku klątwy, to mogła być ona moja.

Nacisk dłoni księdza na jego ramieniu wzmógł się.

– To nie była pańska klątwa – powiedział z powagą, której dotąd nie okazywał. – Niech się pan modli o pocieszenie.

Policja dystryktu miała wyraźny problem, by poradzić sobie

z czterema świadkami zaangażowanymi w tę sprawę. Wszyscy cieszyli się dobrą reputacją i nawet poważaniem w zwyczajowym sensie, a jeden z nich był człowiekiem o znaczącej władzy i ważności – Silas Vandam z Oil Trust. Pierwszy policjant, który spróbował wyrazić sceptycyzm, bardzo szybko spotkał się ostrą reakcją magnata.

– Niech pan mi nie mówi o trzymaniu się faktów – jadowicie powiedział milioner. – Trzymałem się faktów, zanim pan przyszedł na świat, a kilka faktów trzyma się mnie. Podam panu fakty, o ile ma pan rozum, by je przyjąć jak trzeba.

Przesłuchujący go policjant był młody i niski stopniem, ale miał niejasne przekonanie, że ten milioner ma zbyt duże znaczenie polityczne, by traktować go jak zwykłego obywatela – zatem przekazał jego i jego towarzyszy swojemu bardziej powściągliwemu przełożonemu, niejakiemu inspektorowi Collinsowi, siwowłosemu człowiekowi o ponuro uspokajającym sposobie mówienia, człowiekowi uprzejmemu, ale nieznoszącemu nonsensów.

– Proszę, proszę – powiedział, spoglądając błyszczącymi oczami na trzy postaci przed sobą. – To całkiem zabawna historia.

Ojciec Brown już poszedł, by zająć się swoimi codziennymi sprawami, ale Silas Vandam odłożył swoje gigantyczne interesy rynkowe na godzinę czy coś koło tego, żeby potwierdzić swoje niezwykle doświadczenie. Praca Fennera jako sekretarza zasadniczo dobiegła końca wraz z życiem jego pracodawcy, a wielki Art Alboin, który nie miał w Nowym Jorku ani nigdzie indziej nic do roboty, poza głoszeniem religii Oddechu Życia albo Wielkiego Ducha, nie miał w tej chwili niczego, co odciągałoby go od tej najnowszej sprawy. Stali więc rzędem w biurze inspektora gotowi potwierdzać swoje zeznania.

– Lepiej powiem panom, od czego zacząć – pogodnie powiedział inspektor. – Nic dobrego nikomu nie przyjdzie z zawracania mi głowy jakimiś cudami. Jestem człowiekiem praktycznym i policjantem, a takie rzeczy dobre są dla księży

i pastorów. Ten panów ksiądz doprowadził was wszystkich do podeksycytowania jakąś opowieścią o okropnej śmierci i sądzie, ja jednak wyłączę z tego jego i jego religię. Jeżeli Wynd wyszedł z pomieszczenia, to ktoś go wypuścił. A skoro Wynd został znaleziony, jak wisiał na tamtym drzewie, to ktoś musiał go powiesić.

– Przypuszczalnie – zgodził się Fenner. – Ale skoro dowody wskazują, że nikt go nie wypuścił, to pytanie brzmi: w jaki sposób ktoś go tam mógł powiesić?

– A jak ktoś mógłby mieć nos na twarzy? – zapytał inspektor.
– On miał nos na twarzy, miał również pętlę na szyi. Takie są fakty. Ja zaś, jak powiedziałem, jestem praktycznym człowiekiem i kieruję się faktami. To nie mógł być żaden cud, zatem musiał to zrobić człowiek.

Alboin stał nieco z tyłu. W istocie jego potężna postać wydawała się stanowić naturalne tło dla szczuplejszych i bardziej energicznych ludzi znajdujących się przed nim. Jego biała głowa pochylona była w jakimś zamyśleniu, ale gdy inspektor powiedział to ostatnie zdanie, uniósł ją, potrząsając siwą grzywą jak lew i sprawiał wrażenie oszołomionego, lecz przytomnego. Przesunął się do centrum grupki, a zebrani odczuli, jakby był nawet większy niż wcześniej. Jedynie zanadto byli skłonni, by brać go za głupca albo hochsztaplera. Nie mylił się jednak, mówiąc, że ma w sobie niejaką głębię płuc i życia, jakby zachodni wiatr napełniał go siłą, która pewnego dnia mogła zdmuchnąć co lżejsze rzeczy.

– Zatem, panie Collins, jest pan człowiekiem praktycznym – powiedział głosem jednocześnie łagodnym i ciężkim. – To już chyba drugi albo trzeci raz, gdy w tej rozmowie wspomniał pan, że jest pan człowiekiem praktycznym, więc co do tego nie mogę się mylić. To taki mały fakt, ogromnie interesujący dla kogoś zaangażowanego w opisywanie pańskiego życia, listów, rozmów przy stole, pańskiego portretu jako pięciolatka, dagerotypu pańskiej babki i widoków na stare, rodzinne miasteczko – i pewien jestem, że pański biograf nie zapomni nadmienić

o tym, wraz z faktem, że miał pan spłaszczony nos z krostą, i że był niemal zbyt gruby, żeby chodzić. A jako że jest pan człowiekiem praktycznym, to będzie pan pracował, aż przywróci Warrena Wynda do życia i dowie się dokładnie, w jaki sposób człowiek praktyczny przeszedł przez sosnowe drzwi. Sądzę jednak, że nie ma pan racji. Nie jest pan człowiekiem praktycznym. Pan jest jakąś kpina, taka jest prawda. Wszechmogący ma niezłą zabawę, gdy sobie o panu myśli.

Z charakterystycznym wyczuciem dramatyizmu ruszył do drzwi, zanim osłupiały inspektor mógł odpowiedzieć. Żadne późniejsze oskarżenia nie mogły mu odebrać tej chwili triumfu.

– Sądzę, że ma pan całkowitą rację – oświadczył Fenner. – Skoro to są ludzie praktyczni, to dajcie mi księży.

Podjęta została kolejna próba ustalenia oficjalnej wersji wydarzenia, kiedy do śledczych w pełni dotarło, kto stał za tą historią i jakie są jej implikacje. Już przedostało się to do prasy w najbardziej sensacyjnej i niemal bezwstydnie dosłownej formie. Wywiady z Vandamem o jego wspaniałych przygodach oraz artykuły o ojcu Brownie i jego tajemniczej intuicji wkrótce doprowadziły tych, którzy poczuwają się do kształtowania opinii publicznej, do pragnienia, by wypowiedzieli się mądrzejsi. Kolejnych niewygodnych świadków wprowadzono bardziej skrycie i taktownie. Powiedziano im, w sposób niemal nonszalancki, że profesor Vair bardzo się interesował takimi anormalnymi doświadczeniami, a szczególnie zainteresowany był ich własnym zdumiewającym przypadkiem. Profesor Vair był wielce znaczącym psychologiem – wiadomo było, że szczególnie interesuje się kryminologią. Wkrótce potem odkryli, że ma on powiązania z policją.

Vair był uprzejmym dżentelmenem, ubranym w dyskretny, jasny popiel, z artystycznym krawatem i szpiczastą brodą. Dla kogoś, kto nie był zaznajomiony ze szczególnym typem wykładowców akademickich, wyglądał raczej jak malarz pejzażysta. Roztaczał aurę nie tylko uprzejmości, lecz także szczerości.

– Tak, tak, wiem – powiedział z uśmiechem. – Mogę się domyślić, przez co przechodzie. Policja raczej nie błyszczy w przypadkach przesłuchań dotyczących kwestii psychicznych, prawda? Oczywiście drogi, stary Collins powiedział, że chce wyłącznie faktów. Ale jeszcze bardziej podstawową sprawą jest mieć wyobrażenia.

– Chce pan powiedzieć – ponuro zapytał Vandam – że to wszystko, co uważaliśmy za fakty, to tylko wyobrażenia?

– Ależ skąd – odparł profesor. – Mam na myśli jedynie to, że policja jest głupia, sądząc, że można odrzucić psychologiczny aspekt tych rzeczy. Cóż, oczywiście element psychologii to wszystko we wszystkim, choć to, byśmy zostali zrozumiani, to dopiero początek. Na starcie weźmy taki element, który nazywamy osobowością. Słyszałem już o tym księdzu, ojcu Brownie – jest on jednym z najbardziej niezwykłych ludzi naszych czasów. Ludzie tego rodzaju roztaczają wokół siebie szczególną atmosferę. Nikt nie wie, jaki ma to wpływ na jego nerwy, a nawet na same zmysły. Ludzie są zahipnotyzowani – tak, zahipnotyzowani – jako że hipnoza, jak wszystko, to kwestia stopniowania; łagodnie wślizguje się w codzienne rozmowy. Niekoniecznie trzeba do tego mężczyzny w stroju wieczorowym i sceny. Religia ojca Browna zawsze rozumiała psychologię atmosfery i wie, jak odwoływać się do wszystkiego jednocześnie – nawet, dla przykładu, do zmysłu zapachu. Rozumie ten niezwykły efekt, który na zwierzętach i ludziach wywołuje muzyka. Może...

– Moment – przerwał mu Fenner – chyba pan nie sądzi, że chodziliśmy po tym korytarzu, targając ze sobą kościelne organy?

– On tego nie potrzebuje – roześmiał się profesor Vair. – Wie, w jaki sposób skoncentrować esencję wszystkich tych uduchowionych dźwięków i widoków, a nawet zapachów, w kilku oszczędnych gestach – w sztuce czy szkole manier. Potrafi tak to zaaranżować, że sama jego obecność każe waszym umysłom skupić się na nadprzyrodzonym, sprawy naturalne

wymkną się z nich niezauważenie. Teraz rozumieją panowie – kontynuował, wracając do pogodnego, zdrowego rozsądku – że im więcej przeprowadzamy badań, tym dziwniejsze jawi się pytanie o ludzką egzystencję. Nawet nie jeden człowiek na dwudziestu faktycznie postrzega rzeczy takimi, jakie są. Nawet nie jeden człowiek na stu postrzega rzeczy takimi, jakie są. Nawet nie jeden człowiek na stu widzi je prawdziwie precyzyjnie, a już z pewnością mniej niż jeden na stu najpierw obserwuje, potem zapamiętuje, a wreszcie opisuje. Kilkakrotnie przeprowadzono eksperyment naukowy, który wykazał, że ludzie poddani presji sądzili, że drzwi były zamknięte, podczas gdy były otwarte, albo otwarte, gdy były zamknięte. W samym środku jasnego dnia doświadczali iluzji optycznych. Działo się to nawet bez hipnotycznego wpływu osobowości, ale tu mamy do czynienia z bardzo potężną i przekonującą osobowością skupioną na tym, aby w waszych umysłach zaszczepić tylko jeden obraz – obraz wściekłego, irlandzkiego buntownika wymachującego pistoletem do nieba i strzelającego ślepą salwą, której echem były grzmoty w niebiosach.

– Profesorze – jęknął Fenner. – Na swój grób przysięgłbym, że te drzwi były zamknięte.

– Ostatnie eksperymenty – cichym głosem kontynuował profesor – sugerują, że nasza świadomość nie jest ciągła, ale składa się z następujących po sobie bardzo szybkich wrażeń – jak kino. Możliwe jest, że ktoś lub coś może – że tak to ujmę – wślizgnąć się pomiędzy scenami. Dzieje się to wyłącznie wtedy, gdy kurtyna jest opuszczona. Prawdopodobnie trajkotanie sztukmistrzów i wszelkie formy kuglarstwa zależą od tego, jak możemy określić te czarne rozbłyski ślepoty pomiędzy rozbłyskami widzenia. Ten ksiądz i kaznodzieja o transcendentálnych ciągotach napełnił panów transcendentálnymi wyobrażeniami – obrazem Celta, który jak tytan swą klątwą chwieje wieżę w posadach. Przypuszczalnie wykonał przy tym jakiś lekki, ale przykuwający uwagę gest, kierujący wasze oczy i umysły w kierunku tego nieznanego

niszczyciela. A może wydarzyło się coś innego, albo przeszedł ktoś jeszcze.

– Wilson, służący – mruknął Alboin – poszedł w dół korytarza, żeby poczekać na ławce, ale nie wydaje mi się, żeby nas jakoś bardzo rozproszył.

– Nigdy nie wiadomo, jak bardzo – odparł Vair. – To mogło być to, albo – co bardziej prawdopodobne – podążyliście wzrokiem za jakimś gestem księdza, gdy snuł swoją magiczną opowieść. To właśnie w jednym z tych czarnych błysków pan Warren Wynd wymknął się przez drzwi i poszedł na śmierć. To najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie. To ilustracja nowego odkrycia. Umysł nie jest linią ciągłą, ale raczej przerywaną.

– Bardzo przerywaną – słabo powiedział Fenner. – Nie mówiąc już o tym, że przerywaną.

– Chyba nie wierzy pan naprawdę – zapytał Vair – że pański pracodawca był zamknięty w tym pomieszczeniu jak w pudełku?

– Już lepsze to niż wiara, że powinno się mnie zamknąć w pokoju bez klamek – odparł Fenner. – Właśnie to mi się nie podoba w pańskich sugestiach, profesorze. Prędzej uwierzę w księdza, który wierzy w cuda, niż przestanę wierzyć w to, że każdy człowiek ma prawo wierzyć w fakty. Ksiądz powiada, że człowiek może się zwrócić do Boga, o którym nie wiem nic, żeby zemścić się na mocy praw jakiejś wyższej sprawiedliwości, o której też nic nie wiem. Ale przynajmniej jeśli modlitwa i pistolet tego biednego Irlandczyka zostały usłyszane w wyższym świecie, to ten wyższy świat mógł zadziałać w sposób, który nam wydaje się dziwaczny. A pan prosi, żebym przestał wierzyć faktom z tego świata, które jawią się moim pięciu zmysłom. Zgodnie z pańskimi słowami podczas tej rozmowy do tego pokoju może wmaszerować cała procesja Irlandczyków z garłaczami, pod warunkiem, że będą uważać i trzymać się tych ślepych punktów w naszych umysłach. W porównaniu z panem cuda religijne, jak materializowanie

krokodyli czy wieszanie płaszcza na słonecznym promieniu, wydają się całkiem do rzeczy.

– Och, cóż – odpowiedział profesor Vair nieco opryskliwie – skoro zdecydował się pan uwierzyć w tego swojego księdza i jego cudownego Irlandczyka, to nie mam nic więcej do powiedzenia. Obawiam się, że nie miał pan okazji, by studiować psychologię.

– Nie – sucho odparł Fenner – ale miałem okazję studiować psychologów.

I ukłoniwszy się uprzejmie, wyprowadził swoją delegację z pokoju. Nie odzywał się, póki nie wyszli na ulicę. Wówczas zwrócił się do nich raczej gwałtownie.

– Kompletni wariaci! – wykrzyknął Fenner z wściekłością. – Co do diabła według nich dzieje się na świecie, skoro nikt nie wie, czy coś widział, czy nie? Sam chciałbym mu odstrzelić ten durny łeb, a potem tłumaczyć, że zrobiłem to w ślepych błysku. Cud ojca Browna może być cudowny albo i nie, ale powiedział, że tak się stanie i tak się stało. Wszystko, co mogą zrobić ci przekłęci szaleńcy, to popatrzeć, czy coś się wydarzyło, a potem twierdzić, że niczego nie widzieli. Posłuchajcie, uważam, że jesteśmy *padre* winni potwierdzenie jego małej demonstracji. Wszyscy jesteśmy rozsądnymi, solidnymi ludźmi, którzy nigdy w nic nie wierzyli. Nie byliśmy pijani. Nie jesteśmy pobożni. Po prostu stało się dokładnie to, co powiedział.

– W zasadzie się zgadzam – powiedział milioner. – To może być początek naprawdę dużych rzeczy w kwestiach duchowych, ale tak czy inaczej człowiek, który sam jest uduchowiony, ojciec Brown, z pewnością zyskał przewagę w tych interesach.

Kilka dni później ojciec Brown otrzymał bardzo grzeczny liścik podpisany przez Silasa T. Vandama z pytaniem, czy zechciałby przybyć o określonej godzinie do apartamentu, który był sceną zniknięcia, by podjąć kroki w celu wytłumaczenia tego niezwykłego wydarzenia. Samo zaś wydarzenie było szeroko opisywane w gazetach i podejmowane przez entuzjastów okultyzmu. Ojciec Brown widział jaskrawe plakaty z napisami

„Samobójstwo Znikającego Człowieka” albo „Filantrop wiesz się przez klątwę”, kiedy szedł przez Półksiężyc i wspinał się po schodach po drodze do windy. Na miejscu zastał już małą grupę – Vandama, Aboina i sekretarza, ale w ich głosach, gdy się do niego zwracali, pojawił się zupełnie nowy ton szacunku. Stali przy biurku Wynda, na którym spoczywał duży arkusz papieru i przybory do pisania. Odwrócili się, żeby go przywitać.

– Ojcie Brown – odezwał się rzecznik, białowłosey Alboin, spokojnie przyjmując ten obowiązek. – Poprosiliśmy ojca tutaj przede wszystkim po to, żeby go przeprosić i podziękować. Rozumiemy, że to ojciec od razu zauważył duchową manifestację. Byliśmy twardogłowymi sceptykami, wszyscy jak tu stoimy, teraz jednak rozumiemy, że człowiek musi wyjść ze swej skorupy, żeby dotknąć wielkich rzeczy spoza świata. Ojciec rozumie takie rzeczy, rozumie nadprzyrodzone wytłumaczenie różnych spraw – musimy to ojcu oddać. A po drugie czujemy, że ten dokument nie będzie kompletny bez podpisu ojca. Dokładnie wynotowaliśmy fakty dla Towarzystwa Badań Psychiczych, ponieważ to, co piszą gazety, nie jest szczególnie zgodne z prawdą. Przedstawiamy klątwę wypowiedzianą na ulicy, to, że człowiek był zamknięty w tym pomieszczeniu jak w pudełku, oraz jak klątwa rozpuściła go w nicości i w jakiś niewytłumaczalny sposób zmaterializowała jako samobójcę zwisającego z gałęzi. To jest wszystko, co możemy o tym powiedzieć – wszystko, co wiemy i co widzieliśmy na własne oczy. A jako że ojciec był pierwszym, który uwierzył w cud, wszyscy czujemy, że to podpis ojca powinien być pierwszy.

– Nie, naprawdę – z zakłopotaniem powiedział ojciec Brown. – Nie wydaje mi się, żebym chciał to zrobić.

– Chce ojciec powiedzieć, że nie chce się podpisać jako pierwszy?

– Chcę powiedzieć, że wcale nie chcę się pod tym podpisywać – skromnie odparł ojciec Brown. – Widzą panowie, człowiekowi z moją pozycją nie bardzo wypada żartować z cudów.

– Ale to właśnie ojciec powiedział, że to cud – ze zdumieniem zauważył Alboin.

– Bardzo mi przykro – powiedział ojciec Brown. – Obawiam się, że zaszło tu nieporozumienie. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek powiedział, że to cud. Powiedziałem tylko, że mogłoby się to zdarzyć. Wy zaś powiedzieliście, że nie mogłoby, ponieważ to byłby cud. A potem się to zdarzyło. Wobec czego orzekli panowie, że to cud. Ja jednak nigdy nie powiedziałem ani słowa o cudach czy magii, ani o niczym w tym rodzaju, od początku do końca.

– Ale sądziłem, że wierzy ojciec w cuda – wyrwał się sekretarz.

– Tak – przyznał ojciec Brown – wierzę w cuda. Wierzę w tygrysy pożerające ludzi, chociaż nie widzę, żeby gdziekolwiek biegały. Jeśli zapragnę jakichś cudów, wiem, gdzie je znaleźć.

– Ojciec Brown, nie potrafię zrozumieć, dlaczego przyjmuje ojciec taką linię postępowania – poważnie powiedział Vandam. – Wydaje się taka ograniczona, a ojciec według mnie nie jest ograniczonym człowiekiem, choć jest pastorem. Nie rozumie ojciec, że cud taki jak ten rozniesie cały materializm? Całemu światu ogłosi tłustym drukiem, że moce duchowe mogą działać i działają. Przysłuży się ojciec religii tak, jak jeszcze żaden kapłan.

Ksiądz zeszywniał na moment i w jakiś dziwny sposób zdawał się otoczyć swoją przysadzistą postać nieświadomą i bezosobową godnością.

– Cóż – powiedział – chyba nie sugeruje pan, bym służył religii, poświadczając coś, co według mojej wiedzy jest kłamstwem? Nie wiem, co dokładnie rozumie pan przez to zdanie, i szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy w ogóle pan je rozumie. Kłamstwo może służyć religii, pewien jestem jednak, że nie służy Bogu. A skoro tak intensywnie wypowiada się pan na temat tego, w co wierzę, to chyba lepiej by było, aby miał pan jakieś pojęcie, co to jest.

– Chyba nie do końca rozumiem – z zaciekawieniem zauważył milioner.

– Pewnie nie – z prostotą przyznał ojciec Brown. – Powiadacie, że tej rzeczy dokonały moce duchowe. Jakie moce duchowe? Nie sądzą panowie chyba, że zabrali go święci aniołowie i powiesili na drzewie w parku? I to samo tyczy się nieświętych aniołów – nie, nie, nie. Ludzie, którzy to zrobili, popełnili czyn niegodziwy, ale nie posunęli się dalej, niż pozwalała im ich własna niegodziwość. Nie byli aż tak niegodziwi, by bratać się z siłami duchowymi. Ze względu na swoje grzechy wiem coś niecoś o satanizmie – zmuszono mnie, bym się dowiedział. Wiem, co to jest, czym to jest właściwie zawsze. Szatan jest dumny i jest przebiegły. Lubi być władcą, uwielbia zastraszać niewinnych rzeczami, które na w pół rozumieją, sprawiać, by dzieci przechodziły ciarki. Dlatego właśnie tak lubi tajemnice i inicjacje, i tajne stowarzyszenia, i całą resztę. Oczy ma zwrócone do wewnątrz i jaki by się nie wydawał wielki i poważny, zawsze ukrywa mały, szalony uśmieszek. – Wzdrygnął się nagle, jakby owiało go lodowate powietrze. – Zresztą nie ma co sobie zawracać głowy. Niech panowie mi wierzą, nie miał z tym nic wspólnego. Czy sądzą, że ten mój nieszczęsny, szalony Irlandczyk, który pognał w obłędzie w dół ulicy, który wygadał się z tym, gdy tylko ujrzał moją twarz, i uciekł, bojąc się, że powie jeszcze więcej – czy sądzą, że Szatan powierzyłby mu jakiegokolwiek tajemnice? Przyznaję, że przyłączył się do spisku, przypuszczalnie do spisku z dwoma ludźmi gorszymi od siebie, ale i tak, gdy pobiegł w tamtą alejkę, gdzie rzucił swój pistolet i swoją klątwę, był tylko wieczystym gniewem.

– Ale co to wszystko znaczy? – naciskał Vandam. – Gdyby chodziło tylko o pistolet zabawkę i jakąś śmieszna klątwę, to tylko cud mógłby sprawić, że stało się to, co się stało. Nie doprowadziłoby to do tego, że Wynd zniknął jak wróżka. Nie sprawiłoby, że pojawił się znowu pół mili dalej ze sznurem na szyi.

– Nie – ostro odpowiedział ojciec Brown. – Ale co by mogło to sprawić?

– Ja nadal za ojcem nie nadażam – ponuro oświadczył milioner.

– Pytam, co by to mogło sprawić? – powtórzył ksiądz, po raz pierwszy okazując swego rodzaju poirytowanie. – Ciągłe panowie powtarzają, że pistolet załadowany ślepakami nie doprowadziłby do tego i nie zrobiłby tamtego. Gdyby chodziło tylko o to, nie doszłoby do tego morderstwa albo nie zdarzyłby się cud. Nie przyszło wam do głowy, żeby zadać pytanie, co się stało? Jaka była najpierwsza rzecz?

Vandam się zamyślił.

– Chyba ja wyrzależem przez okno – powiedział.

– Tak – powiedział ojciec Brown. – Wyrzależ pan przez okno. I to jest cała historia. Historia smutna, ale teraz już zakończona. No i były okoliczności łagodzące.

– W jaki sposób wyglądanie przez okno miałoby mu zaszkodzić? – zapytał Alboin. – Nie wypadł przez nie, bo znalezioneby go na ulicy.

– Nie – cichym głosem przyznał ojciec Brown. – Nie wypadł. On się wzniosł.

W głosie miał coś jakby jęk gongu, nutę zagłady, ale mówił dalej spokojnie.

– Wzniosł się, ale nie na skrzydłach, nie na skrzydłach żadnych świętych czy nieświętych aniołów. Wzniosł się na końcu liny, dokładnie tak, jak zobaczyliście go w parku – pętla opadła mu na szyję, gdy wystawił głowę za okno. Nie pamiętacie Wilsona, tego jego wielkiego służącego, człowieka o ogromnej sile, podczas gdy Wynd był lekki jak piórko? Czy Wilson nie poszedł piętro wyżej po broszurę, do pomieszczenia pełnego gratów powiązanych w zwoje i okręconych linkami? Czy od tamtego dnia ktoś widział Wilsona? Sądzę, że nie.

– Chce ojciec przez to powiedzieć – odezwał się sekretarz – że Wilson wyciągnął go przez okno, jakby wyciągał pstrąga na wędce?

– Tak – potwierdził ksiądz. – I z innego okna spuścił go do parku, gdzie ten trzeci kompan powiesił go na drzewie. Proszę

pamiętać, że ta alejka zawsze była pusta, pamiętajcie, że w ścianie naprzeciwko nie ma okien; było więc po wszystkim w ciągu pięciu minut po tym, jak Irlandczyk dał znak swoim pistoletem. Oczywiście brało w tym udział trzech ludzi i zastanawiam się, czy zgadną panowie, kim są.

Wszyscy trzej wpatrywali się w zwykłe prostokątne okno i ślepią białą ścianę za nim. Nikt nie odpowiedział.

– Przy okazji – kontynuował ojciec Brown. – Proszę nie sądzić, że panów winię za to, że zwrócili się ku nadnaturalnym wnioskom. Przyczyna jest bardzo prosta, naprawdę. Wszyscy panowie przysięgli, że są twardogłowymi materialistami, a w gruncie rzeczy wszyscy balansowaliście na samym skraju wiary – wiary w niemal cokolwiek. W dzisiejszych czasach balansują tak tysiące ludzi, ale to pozycja niewygodna i powodująca ból. Nie spoczniecie, póki w coś nie uwierzycie. Dlatego właśnie pan Vandam poszukuje pośród nowych religii, a pan Alboin cytuje świętą księgę swojej religii ćwiczeń oddechowych, pan Fenner zaś utyskuje na tego samego Boga, którego istnieniu zaprzecza. Tu właśnie się rozdzielacie. Wiara w rzeczy nadnaturalne jest naturalna. Przyjmowanie rzeczy wyłącznie naturalnych nigdy nie wydaje się naturalne. Ale mimo że trzeba wam było tylko małego pchnięcia, abyście dostrzegli w tym działanie sił nadprzyrodzonych, wszystko to było całkowicie naturalne. Nie tylko naturalne, lecz także niemal nienaturalnie proste. Chyba nigdy nie było historii równie prostej jak ta.

Fenner zaśmiał się, a potem spojrzął z zakłopotaniem.

– Jednej rzeczy nie rozumiem – powiedział. – Skoro to był Wilson, to dlaczego ktoś taki jak Wynd dopuścił go do takiej zażyłości? Jak to się stało, że został zabity przez człowieka, którego widywał codziennie od wielu lat? Był słynnym sędzią ludzi.

Z energią, jaką rzadko okazywał, ojciec Brown uderzył w podłogę czubkiem swojego parasola.

– Tak – powiedział niemal gorączkowo – dlatego właśnie

zginął. Został zabity z tego właśnie powodu. Został zabity dlatego, że osądzał ludzi.

Wszyscy trzej popatrzyli na niego, ale ksiądz mówił dalej prawie tak, jakby ich tam nie było.

– Czy jakikolwiek człowiek powinien być sędzią innego? – zapytał z naciskiem. – Któregoś dnia stanęło przed nim trzech włóczęgów, którzy zostali niezwłocznie odesłani do tego czy innego miejsca, jakby wobec nich nie obowiązywały zasady uprzejmości, poszanowania prywatności czy wolna wola. A dwadzieścia lat nie wystarczyło, by wygasło oburzenie zrodzone z tej wielkiej obrazy, gdy ośmielił się ocenić ich po jednym rzucie oka.

– Tak – powiedział sekretarz – rozumiem... i rozumiem, jak to jest, że ksiądz rozumie... wszystko.

– Cóż, niech mnie diabli, jeśli ja rozumiem – zawołał głośno Alboin. – Ten ojca Wilson i ten Irlandczyk wyglądają po prostu na dwóch morderców, którzy zabili swojego dobroczyńcę. W swoim poczuci moralności, czy ma ona podstawę w religii czy nie, nie widzę żadnego usprawiedliwienia dla takiego przekłętogo zabójcy.

– Bez wątpienia był on przekłętym zabójcą – cicho powiedział Fenner. – Nie bronię go. Przypuszczam jednak, że to rola ojca Browna modlić się za wszystkich ludzi, nawet takich jak...

– Tak – zgodził się ojciec Brown – moją rolą jest modlić się za wszystkich ludzi, nawet takich jak Warren Wynd.

[\[15\]](#) Emma Alice Margaret Asquith, księżna Oxford i Asquith (1864–1945), znana jako Margot Asquith, socjalistka i pisarka. Żona H. H. Asquite'a, premiera Wielkiej Brytanii.

[\[16\]](#) Wg Dziejów Apostolskich Ananiasz i Sapphira należeli do wczesnochrześcijańskiego kościoła w Jerozolimie. Idąc za przykładem św. Barnaby, sprzedali cały swój dobytek, zataili jednak część zysków, przez co Duch Św. ukarał ich śmiercią.

[\[17\]](#) Dom, w którym odbyło się Zwiastowanie. W XIII w. zbudowano nad nim sanktuarium. Zgodnie z legendą aniołowie przenieśli go z Palestyny do Dalmacji. Faktycznie można sądzić, że przeniesienia dokonała rodzina Angellich (Aniołów),

rzadców tego regionu.

KLĄTWA ZŁOTEGO KRZYŻA

Wokół niewielkiego stołu siedziało sześć osób, które wyglądały niemal tak absurdalnie i przypadkowo, jakby byli rozbitkami, którzy w wyniku różnych katastrof trafili na tę samą bezludną wyspę. W każdym razie otaczało ich morze – w pewnym sensie ich wyspa mieściła się na innej wyspie – dużej, latającej wyspie, takiej jak Laputa^[18]. Ten mały stół był jednym z wielu ustawionych w jadalni tego ogromnego statku, Moravii, gnającego przez noc i niekończącą się pustkę Atlantyku. To niewielkie towarzystwo nie miało ze sobą nic wspólnego poza tym, że wszyscy podróżowali z Ameryki do Anglii. Dwoje z nich można było w jakimś stopniu uznać za sławy, status innych można by nazwać niejasnym, a w jednym czy dwóch przypadkach wątpliwym.

Pierwszą był profesor Smaill, autorytet w kwestii badań archeologicznych okresu późnego Bizancjum. Jego wykłady, wygłaszane na Uniwersytecie Amerykańskim, uznawano za najbardziej treściwe nawet na uczelniach europejskich. Jego prace literackie były tak przesiąknięte łagodną i pełną fantazji sympatią dla europejskiej przeszłości, że innych często dziwiło, iż mówi z amerykańskim akcentem. Był jednak, na swój sposób, bardzo amerykański – miał długie jasne włosy

zaczęsane z dużego, prostokątnego czoła, pociągłe wyraźne rysy i odznaczał się ciekawą aurą zadumy oraz potencjalnej zwinności, jak lew rozmyślający leniwie nad swoim kolejnym ruchem.

W grupie tej była tylko jedna dama, a była ona (jak często mawiali żurnaliści) urodzoną gospodynią, dobrze przygotowaną, by grać gospodynię, władczynię nieledwie, przy tym bądź jakimkolwiek innym stole. Była to lady Diana Wales, słynna podróżniczka po krajach tropikalnych i nie tylko. Jednak przy kolacji w jej wyglądzie nie było nic szorstkiego czy męskiego. Sama była urodziwa w niemal tropikalny sposób, z masą gorących i ciężkich rudych włosów. Ubrana była w stylu, jaki dziennikarze określają „śmiałym”, twarz jednak miała inteligentną, a w jej oczach był jasny i wyraźny błysk kobiety, która zabiera głos podczas spotkań politycznych.

Przy tych przytłaczających osobowościach czterej pozostali ludzie w pierwszej chwili wydawali się cieniami, przy bliższym kontakcie ujawniały się jednak różnice. Jednym z nich był młodzieniec, w rejestrach statku figurujący jako Paul T. Tarrant. Był takim amerykańskim typem, który należałoby raczej nazywać amerykańskim antytypem. Prawdopodobnie każdy naród ma swój antytyp – swego rodzaju ekstremalny wyjątek, który potwierdza narodową regułę. Amerykanie naprawdę szanują pracę tak, jak Europejczycy szanują wojnę. Jest w tym swego rodzaju nimb heroizmu – a kto się od tego odżegnuje, nie jest mężczyzną. Antytyp ten jest tak wyraźny przez to, że spotyka się go nadzwyczaj rzadko. Jest dandysem czy elegancikiem: majątny utracjusz, który w tak wielu amerykańskich powieściach przedstawiany jest w roli złoczyńcy. Miało się wrażenie, że Paul Tarrant zajmował się wyłącznie zmienianiem ubrań, co robił sześć razy dziennie, przechodził od jaśniejszych do ciemniejszych odcieni swoich garniturów w wykwintnych barwach popielu, jakby to były delikatne, srebrzyste zmiany zmiernych. W przeciwieństwie do większości Amerykanów nosił bardzo starannie utrzymaną,

krótką, kędzierzawą brodę, a w przeciwieństwie do większości dandysów, nawet własnego typu, wydawał się być raczej ponury niż pretensjonalny. Być może w jego milczeniu i posępnym nastroju było coś niemalże byronicznego.

Dwóch kolejnych podróżników oczywiście łączono, po prostu dlatego, że obaj byli angielskimi wykładowcami, którzy wracali z objazdu po Ameryce. Jednym był Leonard Smyth, raczej mierny poeta, ale dobry dziennikarz – jasnowłosy, doskonale ubrany i sam zajmujący się swoimi sprawami. Drugi stanowił przy nim raczej zabawny kontrast, był niski i przysadzisty, z czarnym wąsem jak u morsa, i tak milczący, jak tamten był rozmowny. Jednocześnie był oskarżany o kradzież i wychwalany za ocalenie rumuńskiej księżniczki, którą zaatakował jaguar z jego objazdowej menażerii. Wyczuwało się w sposób naturalny, że jego poglądy na Boga, postęp, jego własne życie we wczesnym etapie oraz przyszłość stosunków anglo-amerykańskich będą bardzo interesujące i cenne dla mieszkańców Minneapolis i Omaha. Szóstą i najmniej wyróżniającą się postacią był mały angielski ksiądz o nazwisku Brown. Słuchał rozmowy z pełną szacunku uwagą i w owym momencie dochodził do wniosku, że jest w niej pewna ciekawa rzecz.

– Przypuszczam, panie profesorze – mówił Leonard Smyth – że pańskie badania nad Bizancjum rzucą jakieś światło na tę historię o grobie znalezionym gdzieś na południowym wybrzeżu w pobliżu Brighton, zgadza się? Oczywiście Brighton leży daleko od Bizancjum, ale czytałem coś o stylu pochówku czy balsamowania, czy czegoś, co nasuwa myśl o Bizancjum.

– Badania nad Bizancjum z pewnością mają daleki zasięg – sucho odpowiedział profesor. – Mówią o specjalistach. Ale według mnie specjalizacja to najtrudniejsza rzecz na świecie. Na przykład w tym przypadku: jak ktoś może wiedzieć cokolwiek o Bizancjum, nie wiedząc wszystkiego o Rzymie wcześniej i islamie później? Większość arabskich dzieł sztuki to stare dzieła sztuki bizantyjskiej. Weźmy choćby algebrę...

– Nie mam zamiaru zajmować się algebrą – stanowczo wykrzyknęła dama. – Nigdy tego nie robiłam i robić nie będę. Ale strasznie mnie interesuje balsamowanie. Wiedzą panowie, byłam z Gattonem, gdy otworzył groby babilońskie. Od tego czasu zdarzyło mi się natknąć na mumie i zachowane ciała, wszystko to jest niesamowicie przejmujące. Proszę nam o tym opowiedzieć.

– Gatton był interesującym człowiekiem – przyznał profesor. – To w ogóle interesująca rodzina. Ten jego brat, który zasiadał w Parlamencie, był nadzwyczajnym politykiem. Nigdy nie rozumiałem, o co chodzi włoskim faszystom, póki nie wygłosił tej mowy o Włoszech.

– Cóż, podczas tej podróży nie zawijamy do Włoch – z naciskiem oświadczyła lady Diana – a pan zapewne udaje się do tej miejsciny, gdzie odkryto grób. Gdzieś w Sussex, zgadza się?

– Sussex jest całkiem spore jak na te angielskie hrabstwa – odparł profesor. – Można by się tam włóczyć całkiem długo... No i to dobre miejsce na włóczęgę. To cudowne, jakie duże wydają się te niskie wzgórza, gdy się na nich znaleźć.

Nagle zapadła cisza. Po chwili odezwała się Diana.

– Och, idę na pokład – oświadczyła i podniosła się, a mężczyźni wraz z nią.

Profesor jednak się ociągał, a i mały ksiądz nie miał zamiaru odchodzić od stołu, pracowicie składając swoją serwetkę. Wreszcie zostali sami.

– Jak ksiądz sądzi, do czego miała prowadzić ta rozmowa? – zniecierpliwiony zapytał swojego towarzysza profesor.

– Cóż – odparł ojciec Brown z uśmiechem – skoro pan pyta, to było w niej coś, co mnie poniekąd rozbawiło. Może się mylę, ale odniosłem wrażenie, że towarzystwo trzykrotnie próbowało skłonić pana do rozmowy o tym zabalsamowanym ciele znalezionym w Sussex. A pan, ze swojej strony, bardzo uprzejmie podsuwał im tematy do rozmowy – najpierw o algebrze, potem o faszystach, a potem o krajobrazie Downs.

– W skrócie – podsumował profesor – sądzi ksiądz, że byłem gotów rozmawiać na każdy temat z wyjątkiem tego jednego. Ma ksiądz rację.

Profesor przez chwilę siedział w milczeniu, wpatrując się w obrus. W końcu uniósł wzrok i odezwał się impulsywnie:

– Proszę posłuchać, ojcie – powiedział. – Uważam księdza za najmądrzejszego i najuczciwszego człowieka, jakiego kiedykolwiek poznałem.

Ojciec Brown był bardzo angielski. Jak cały ten naród był całkowicie bezradny w obliczu poważnego i szczerego komplementu iście po amerykańsku rzuconego mu z nienacką w twarz. Odpowiedział nic nieznaczącym pomrukiem i to profesor podjął dalszą wypowiedź.

– Rozumie ksiądz, aż do tego punktu wszystko jest w miarę jasne. W Dulham, na wybrzeżu Sussex, w małym kościele odkryto chrześcijański grób z Ciemnych Wieków, najwyraźniej skrywający szczątki jakiegoś biskupa. Tak się złożyło, że sam wikary był niezłym archeologiem i udało mu się ustalić znacznie więcej, niż ja wiem na tę chwilę. Pojawiła się plotka, że ciało było zabalsamowane w sposób typowy dla Greków i Egipcjan, ale nieznaną na zachodzie, zwłaszcza w tamtych czasach. Zatem pan Walters, ten wikary, naturalnie pomyślał o wpływach bizantyjskich. Wspomniał jednak o czymś jeszcze, o czymś, co interesuje mnie osobiście.

Jego pociągła, ponura twarz wydawała się jeszcze wyciągać i posepnąć, gdy znowu ze zmarszczonymi brwiami zapatrzył się w obrus. Długimi palcami zdawał się szukać na nim wzorów, jakby to były mapy umarłych miast, ich świątyń i grobowców.

– Powiem więc księdzu i tylko księdzu, dlaczego muszę uważać, by w mieszanym towarzystwie o tym nie wspominać, i dlaczego im bardziej są zainteresowani, tym bardziej muszę uważać. Mówi się także, że w tej trumnie znajduje się krzyż na łańcuchu, na oko raczej pospolity, ale na odwrocie ma on pewien tajemny symbol, który znaleziono tylko na jednym krzyżu na świecie. To symbol z arkanów bardzo wczesnego

kościół i może wskazywać, że święty Piotr, zanim przybył do Rzymu, założył swoje biskupstwo w Antiochii. W każdym razie wierzę, że istnieje jeszcze tylko jeden taki krzyż, i że należy do mnie. Słyszałem, że krąży jakaś opowieść, jakoby ciążyła na nim klątwa, lecz nie przejmuję się tym. Czy istnieje jakaś klątwa, czy nie, to w pewnym sensie mamy do czynienia z prawdziwą konspiracją – jakkolwiek konspiracja ta składałaby się tylko z jednego człowieka.

– Z jednego człowieka? – niemal mechanicznie powtórzył ojciec Brown.

– Z jednego szaleńca, o ile mi wiadomo – powiedział profesor Smaill. – To długa historia i na swój sposób idiotyczna.

Znowu zamilkł i wodził palcem po obrusie, jakby śledził plany architektoniczne, a potem podjął przerwana wypowiedź.

– Być może lepiej opowiem księdzu wszystko od początku na wypadek, gdyby ksiądz znalazł w tej historii jakiś punkt, który mnie wydał się bez znaczenia. To się zaczęło całe lata temu, gdy na własną rękę prowadziłem pewne dochodzenia w sprawie antyku Krety i wysp greckich. Praktycznie zupełnie samodzielnie wykonałem naprawdę sporą pracę – czasami przy wyjątkowo nieprzyjemnej i tymczasowej pomocy miejscowych, a czasami dosłownie sam. Właśnie wtedy, gdy byłem sam, natknąłem się na labirynt podziemnych przejść, które ostatecznie okazały się prowadzić do sterty odłamków, połamanych ozdób i potrzaskanych klejnotów – uznałem je za szczątki jakiegoś zatopionego ołtarza – i w której znalazłem interesujący, złoty krzyż. Odwróciłem go i z tyłu ujrzałem znak ryby, która była symbolem wczesnochrześcijańskim, ale o kształcie i wzorze różniących się od powszechnie spotykanych oraz – jak uznałem – bardziej realistycznych – jakby archaiczny projektant nie chciał przedstawiać go w formie konwencjonalnego wzoru albo aureoli, ale chciał, by wyglądał bardziej jak prawdziwa ryba. Założyłem, że spłaszczenie z jednej strony to nie matematyczna dekoracja, ale raczej kwestia nieokrzesanej albo wręcz barbarzyńskiej zoologii.

Żeby króciutko wyjaśnić, dlaczego uznałem to znalezisko za ważne, muszę księdzu zdradzić miejsce wykopalisk. Przede wszystkim, to były jakby wykopaliska na wykopaliskach. Byliśmy na tropie nie tylko antyków, lecz także antycznych antykwariuszy. Mieliśmy powody, żeby wierzyć – albo niektórzy z nas sądzili, że mają powody, by wierzyć – że te podziemne przejścia, głównie z okresu minojskiego, jak te sławne, które uważa się za labirynt Minotaura, niezupełnie zostały porzucone i czekały sobie spokojnie przez te wszystkie wieki pomiędzy Minotaurem a współczesnymi badaniami. Wierzyliśmy, że te podziemne miejsca – mógłbym powiedzieć: podziemne miasta i wioski – zostały już w tym czasie przez kogoś spenetrowane. Co do motywu przyświecającego ludziom, którzy to zrobili, były różne szkoły: jedna utrzymywała, że to cesarze zlecali oficjalne poszukiwania z czystej naukowej ciekawości; inna, że ta obłąkana moda późnego Imperium Rzymskiego na wszelkiego rodzaju szokujące, azjatyckie przesady zaprowadziła jakąś bezimienną manichejską sektę czy innych buntowników do jaskiń, gdzie ukryci przed obliczem słońca odbywali swoje orgie. Ja należałem do grupy, która uważała, że te jaskinie wykorzystywane były jako katakumby. Konkretnie to uważaliśmy, że podczas prześladowań, które jak ogień rozprzestrzeniły się po całej Europie, w tych starożytnych, kamiennych labiryntach ukrywali się chrześcijanie. Z tego powodu znalezienie tego złotego krzyża było dla mnie jak rażenie piorunem, zwłaszcza gdy go podniosłem i zobaczyłem ten znak. To było więcej niż uśmiech losu, że kiedy zawracałem, by raz jeszcze wyjść na zewnątrz i górę, na światło dnia, spojrzałem na mury z nagiego kamienia, które ciągnęły się bez końca wzdłuż niskich przejść, zauważyłem wyskrobany jeszcze bardziej prostacko, ale niemożliwy do pomylenia z niczym, kształt Ryby.

Coś w niej sprawiało, że wyglądała, jak jakaś ryba kopalna czy jakiś prymitywny organizm, który na zawsze uwiązał w zamarznętym morzu. Nie byłem w stanie przeanalizować tej

analogii, która poza zwykłym szkicem wydrapanym na ścianie nie miała żadnego punktu odniesienia, póki nie zdałem sobie sprawy, że w podświadomości mówiłem, iż pierwsi chrześcijanie musieli przypominać coś w rodzaju ryb, niemych i gnieźdzących się w upadłym świecie ciemności i ciszy, upuszczonym pod stopy ludzi, gdzie poruszali się w mroku i milczeniu.

Każdy, kto chodził po tych kamiennych korytarzach, wie, że podąża za widmowymi śladami stóp. Echo rozbrzmiewa przed człowiekiem albo za nim, więc komuś, kto jest naprawdę sam, trudno uwierzyć w swoją samotność. Przywykłem do sztuczek tego echa i nie zwracałem na nie większej uwagi, nawet gdy znalazłem ten symboliczny kształt wydrapany na skalnej ścianie. Zatrzymałem się i w tej samej chwili poczułem, jakby stało też moje serce – bo choć moje kroki ustały, echo maszerowało dalej.

Ruszyłem biegiem i miałem wrażenie, że te widmowe kroki też biegną, ale niezupełnie w rytmie odpowiadającym odbiciu dźwięku. Znowu się zatrzymałem i te kroki także, ale przysiągłbym, że odrobinę za późno. Krzyknąłem pytająco i usłyszałem odpowiedź na swoje wołanie, ale głos nie był mój.

Dochodził z za rogu skały tuż przede mną, a w trakcie tego niesamowitego pościgu zauważyłem, że odzywał się zawsze z za narożnika krętej ścieżki. Ta niewielka przestrzeń przede mną, którą mogłem oświetlić swoją małą latarką elektryczną, zawsze była pusta jak pusty pokój. W takich warunkach odbyłem rozmowę nie wiem z kim, która trwała aż do pierwszego świtania, a nawet wówczas nie widziałem, w jaki sposób zniknął w świetle dnia. Wejście do labiryntu pełne było wylotów korytarzy, szczelin i prześwitów, więc nie byłoby mu trudno cofnąć się i zniknąć ponownie w podziemiach tych jaskiń. Wiem tylko tyle, że wyszedłem na samotne zbocza wielkiej góry, ożywiane tylko przez zieloną roślinność, która z jakiegoś powodu sprawiała wrażenie bardziej tropikalne niż czystość skały, jakby na gruzach klasycznej Hellady rozlała się orientalna inwazja. Spojrzałem na stalowoniebieskie morze,

a słońce świeciło niezmiennie na głęboką samotność i ciszę. Nie było tam ani źdźbła trawy, ani nawet śladu cienia człowieka.

To była straszna rozmowa – taka intymna i taka osobista, aczkolwiek tak zwyczajna. Ten byt, bezcielesny, pozbawiony twarzy, bezimienny, a jednak wzywający mnie po imieniu, rozmawiał ze mną w tamtych kryptach i jaskiniach, gdzie zostaliśmy pogrzebani żywcem, w sposób tak pozbawiony pasji czy dramatyzmu, jakbyśmy siedzieli w fotelach w klubie. Niemniej powiedział mi także, że niewątpliwie zabije mnie bądź każdego innego człowieka, który wejdzie w posiadanie tego krzyża ze znakiem ryby. Powiedział mi szczerze, że nie jest taki głupi, aby atakować mnie tam, w labiryncie, wiedząc, że mam załadowany rewolwer, i że ponosi równie duże ryzyko co ja. Oznajmił mi też, równie spokojnie, że zaplanuje zamordowanie mnie, przewidując każdy szczegół i neutralizując każde niebezpieczeństwo, z artystyczną perfekcją chińskiego rzemieślnika albo indyjskiej hafciarki tworzącej kunsztowne dzieło życia. Nie pochodził jednak z krajów Orientu; jestem pewien, że był to biały człowiek. Podejrzewam, że był moim rodakiem.

Od tego czasu raz po raz otrzymuję znaki i symbole, i dziwne, beznamienne wiadomości, które przynajmniej upewniły mnie, że człowiek ten jest monomaniakiem. Zawsze mi powtarza, w ten swój nonszalancki i obojętny sposób, że przygotowania do mojej śmierci postępują z powodzeniem, i że jednym sposobem, bym mógł uniknąć ich zwieńczenia, jest zwrócenie reliktu, który jest w moim posiadaniu – unikalnego krzyża, który znalazłem w tamtej jaskini. Nie sądzę, żeby cechował się jakąś skłonnością do religii w ogóle czy fanatyzmu w szczególności. Wydaje się, że jedyną jego namiętnością jest zbieranie ciekawostek. To właśnie jedna z rzeczy, dzięki którym jestem pewien, że to człowiek Zachodu, nie Wschodu. Jednak ta konkretna ciekawostka zdaje się go doprowadzać do obłądzenia.

A potem przyszło to doniesienie, jak dotąd niepotwierdzone, o duplikacie zabytku znalezionym przy zabalsamowanym ciele

w grobowcu w Sussex. Skoro już wcześniej był maniakiem, to ta wieść zmieniła go w szaleńca opętanego przez diabła. Już to, że jeden z nich był czyjąś własnością, było koszmarem, ale że są dwa i żaden nie należy do niego, jest torturą, której nie może znieść. Jego szalone wiadomości zaczęły pojawiać się tak często, jakby to był grad zatrutych strzał, a każda krzyczała z coraz większym przekonaniem, że śmierć dosięgnie mnie w chwili, gdy wyciągnę swoje niegodne ręce w stronę krzyża w grobowcu.

„Nigdy nie dowiesz się, kim jestem”, napisał, „nigdy nie poznasz mego imienia, nigdy nie zobaczysz mojej twarzy. Umrzesz i nigdy się nie dowiesz, kto cię zabił. Mogę ukrywać się gdziekolwiek, ale będę tam, gdzie akurat zapomnisz sprawdzić”.

Na podstawie tych pogroźek dedukuję, że prawdopodobnie podczas tej ekspedycji będzie towarzyszył mi jak cień, i że podejmie próbę kradzieży krzyża albo spróbuje jakiegoś podstępu, by wejść w jego posiadanie. Ale skoro nigdy w życiu nie widziałem tego człowieka, to praktycznie może to być każdy, kogo znam. Na logikę może to być któryś z kelnerów, którzy obsługują ten stół. Może być którymś z pasażerów, którzy przy nim wraz ze mną siedzieli.

- Może być mną – zauważył ojciec Brown pogodnie.
- Może być kimkolwiek innym – zareplikował poważnie Smaill.
- To właśnie miałem na myśli. Jest ksiądz jedyną osobą, co do której jestem pewien, że nie jest moim wrogiem.

Ojciec Brown znowu się spieszył.

- Cóż, dziwnym trafem faktycznie nim nie jestem. – Uśmiechnął się. – Musimy się natomiast zastanowić, czy uda się nam dojść, kto nim jest naprawdę, zanim... zanim zrobi się nieprzyjemny.

– Jest pewna szansa, żeby to ustalić, tak sądzę – dość ponuro odpowiedział profesor. – Gdy dotrzemy do Southampton, od razu ruszę samochodem wzdłuż wybrzeża. Cieszyłbym się, gdyby ksiądz pojechał ze mną, ale ogólnie nasza grupa się rozstanie. Jeśli ktokolwiek z nich pojawi się znowu przy tym

małym kościółku w Sussex, to będziemy wiedzieć, kim naprawdę jest.

Plan profesora udało się przeprowadzić, przynajmniej w kwestii samochodu i jego ładunku w postaci ojca Browna. Ruszyli nadmorską drogą, po jednej stronie mając wodę, a po drugiej wzgórze Hampshire i Sussex. Nie widać było, żeby ich ktoś ścigał. Gdy dotarli do wioski Dulham, natknęli się na jedyne go człowieka, który miał jakiś związek z tą sprawą – dziennikarza zwiedzającego kościół, i którego wikary oprowadzał uprzejmie po właśnie odkopanej kaplicy, jednak jego uwagi i notatki wydawały się być zwykłym doniesieniem prasowym. Tymczasem profesor Smail był może nieco marzycielski i nie mógł pozbyć się wrażenia czegoś dziwnego i zniechęcającego w podejściu i wyglądzie tego człowieka, który był wysoki i niechlujny, miał zakrzywiony nos i głęboko osadzone oczy, a do tego ponuro zwisające wąsy. Nie wydawało się, by ta próba zwiedzania go pobudziła – przeciwnie, gdy zatrzymali go, chcąc zadać jakieś pytanie, możliwie szybko usunął się z widoku.

– Chodzi o tę klątwę – powiedział. – Klątwę ciężącą na tym miejscu, o czym mówi przewodnik czy tam pastor, czy najstarszy mieszkaniec, czy kto tam jest autorytetem. Naprawdę, to kompletnie niedorzeczne. Klątwa czy nie, cieszę się, że stąd wyjeżdżam.

– Wierzy pan w klątwy? – z ciekawością zapytał Smail.

– W nic nie wierzę. Jestem dziennikarzem – odparł melancholijnie. – Nazywam się Boon, z „Daily Wire”. Ale w tej krypcie jest coś niesamowitego, nie będę zaprzeczać, że miałem dreszcze.

I jeszcze szybszym krokiem ruszył w kierunku dworca kolejowego.

– Facet wygląda jak jakiś kruk czy gawron – zauważył Smail, gdy ruszyli w stronę dziedzińca kościoła. – Co to się mówi, że ptak to zły omen?

Powoli wkroczyli na dziedziniec. Oczy amerykańskiego

kolekcjonera antyków przesuwają się chciwie po osobnym daszku bramy cementarnej i potężnym rozrośniętym czarnym cisie, który swą czernią przeciwstawiał światłu dnia. Ścieżka wspinała się pośród kolejnych trawiastych tarasów, na których pod różnymi kątami były rozrzucone nagrobki jak kamienne tratwy ciśnięte na zielone morze, aż dotarła do grzbietu, za którym przestwór wody wyglądał jak żelazna sztaba ze stalowym, bladym połyskiem. Niemal u ich stóp twarda, wybujała trawa zmieniła się w kobierzec ostów i skończyła szarym i żółtym piaskiem, a o stopę lub dwie od kępy ostrokrzewu, odcinając się ciemno na tle stalowego morza, stała bez ruchu jakaś postać. Ze względu na ciemnopopielate ubranie mogłaby niemal być jakimś posągim nagrobnym. Jednak ojciec Brown natychmiast rozpoznał coś w eleganckim pochyleniu ramion i wysuniętej krótkiej brodzie.

– O rany! – wykrzyknął profesor archeologii. – To ten mężczyzna, Tarrant, o ile można go nazwać mężczyzną. Czy ksiądz sądził, gdy rozmawialiśmy na statku, że tak szybko uzyskam odpowiedź na swoje pytanie?

– Sądziłem, że może pan otrzymać ich aż za dużo – odparł ojciec Brown.

– Co ma ksiądz na myśli? – zdziwił się profesor, zerkając na niego przez ramię.

– To – łagodnie odpowiedział kapłan – że chyba słyszałem głosy zza cisu. Zdaje się, że pan Tarrant nie jest taki osamotniony, na jakiego wygląda. Ośmieliłbym się nawet powiedzieć, że nie tak osamotniony, na jakiego pozuje.

Gdy Tarrant odwrócił się niespiesznie w ten swój ponury sposób, dostali potwierdzenie. Rozległ się kolejny głos, wysoki i raczej twardy, ale bez wątpienia kobiecy.

– A skąd miałam wiedzieć, że on tu będzie? – mówił z wyraźnym rozbawieniem.

Profesor Smailł uświadomił sobie, że ta pogodna uwaga nie odnosiła się do niego i został zmuszony, by z niejakim zdumieniem stwierdzić obecność kolejnej osoby. Gdy z cienia

cisu wyłoniła się lady Diana, promienna i energiczna jak zawsze, zauważył z niechęcią, że miała ze sobą własny, żywy cień. Zaraz za jej wyrazistą postacią pojawiła się szczupła, szykowna sylwetka Leonarda Smytha, który uśmiechał się, przekrzywiając głowę nieco na bok, jak pies.

– Węże! – wymamrotał Smaill. – No proszę, wszyscy są tutaj! Wszyscy oprócz tego małego kuglarza z wąsami morsa.

Usłyszał, jak obok niego ojciec Brown śmieje się cicho. Sytuacja w istocie stawała się cokolwiek zabawna. Zdawała się wywracać do góry nogami i obijać o uszy jak sztuczka w pantomimie. Nawet w chwili gdy profesor mówił, jego słowa spotykały się z nad wyraz komiczną odpowiedzią. Okrągła głowa z groteskowymi, czarnymi wąsami zniecka wyłoniła się jakby z dziury w ziemi. Zaraz potem zrozumieli, że była to bardzo duża dziura, w której znajdowała się drabina prowadząca do trzewi ziemi – w istocie było to wejście do podziemi, które przyjechali obejrzyć. Ten mały człowiek natknął się na wejście jako pierwszy i zdażył już zejść po kilku stopniach drabiny, zanim znowu wystawił głowę i zwrócił się do swoich towarzyszy. Wyglądał jak jakiś wyjątkowo niedorzeczny grabarz w farsie na podstawie *Hamleta*.

– To tutaj, na dole – powiedział tylko zza wąsów.

Pozostała część towarzystwa uświadomiła sobie jednak, że choć przez tydzień spożywali posiłki, siedząc obok niego, nie słyszeli dotąd, żeby się odezwał, i że choć podobno był angielskim wykładowcą, to mówił z dość tajemniczym, cudzoziemskim akcentem.

– Widzi pan, mój drogi profesorze – z żywą radością wykrzyknęła lady Diana – pańska bizantyjska mumia jest po prostu zbyt ciekawa, żeby ją sobie odpuścić. Po prostu musiałam tu przyjechać i ją zobaczyć, i jestem pewna, że obecni tu dżentelmeni czuli dokładnie to samo. Teraz musi nam pan o niej opowiedzieć.

– Nie wiem wszystkiego – ponuro, by nie rzec grobowo, odparł profesor. – Pod pewnymi względami nie wiem nawet, o co w tym

wszystkim chodzi. Z pewnością wydaje mi się dziwne, że tak szybko spotkaliśmy się ponownie, ale współczesny głód informacji pewnie nie zna granic. Ale jeśli wszyscy mamy obejrzyć to miejsce, to musi to być zrobione z głową i, jeśli mi państwo wybaczą, pod rozsądnym przewodnictwem. Musimy się dowiedzieć, kto prowadzi te wykopaliska. Bez wątpienia będziemy musieli się przynajmniej do księgi gości.

Na styku zniecierpliwienia lady Diany i podejrzliwości archeologa pojawiła się jakby kłótnia, ale nalegania profesora, by wszystko robić za zgodą wikarego, wreszcie przeważyły. Mały wąsaty człowieczek z niechęcią wylazł z dziury i milcząco zgodził się na mniej gwałtowne działania. Na szczęście wówczas pojawił się sam wikary – szpakowaty, przystojny dżentelmen. Podczas gdy szybko nawiązał przyjazną relację z profesorem jako kolekcjonerem antyków, pozostałą zbieraninę potraktował z czymś w rodzaju rozbawienia.

– Mam nadzieję, że nikt z państwa nie jest przesądny – powiedział uprzejmie. – Powinienem wam powiedzieć na początek, że nad naszymi głowami wiszą najrozmaitsze omeny i klątwy. Właśnie odszyfrowywałem łacińską inskrypcję, którą znaleziono nad wejściem do kaplicy, i wszystko wskazuje na to, że mamy tu do czynienia z co najmniej trzema klątwami: pierwsza za wejście do zapieczętowanej komnaty, kolejna za otwarcie trumny i trzecia, najstraszliwsza, za dotknięcie złotej relikwii w jej środku. Te dwa pierwsze przekleństwa wzięłem już na siebie – dodał z uśmiechem – ale obawiam się, że nawet państwo będą musieli pogodzić się z pierwszym i najłagodniejszym, jeśli mają cokolwiek obejrzyć. Zgodnie z historią klątwy spełniają się raczej niespiesznie, w długich przedziałach czasowych i przy późniejszych okazjach. Nie wiem, czy to dla państwa jakaś pociecha. – I wielebny Walters raz jeszcze uśmiechnął się życzliwie.

– Zgodnie z historią? – powtórzył profesor Smaill. – Co to za historia?

– Raczej długa i zagmatwana, jak i inne miejscowe legendy –

odparł wikary. – Ale niewątpliwie czasowo zgadza się z czasem powstania tego grobowca, a jej sedno sprowadza się do tej inskrypcji. Z grubsza było tak: Guy de Gisors, który w początkach trzynastego wieku władał tutejszymi włościami, gorąco zapragnął pięknego, czarnego konia należącego do posła z Genui, którego ten kupiec skłonny był odstąpić za niebotyczną cenę. Zachłanność przywiodła Guya do zbrodni złupienia świątyni, a nawet, jak mówi opowieść, do zamordowania biskupa, który tam mieszkał. W każdym razie biskup rzucił klątwę, która miała spaść na każdego, kto będzie chciał zabrać złoty krzyż z jego miejsca w grobowcu albo zakłóci jego spokój, gdy tu powróci. Feudał zebrał pieniądze na konia, sprzedał cenny krzyż złotnikowi z miasteczka, ale pierwszego dnia, gdy dosiadł tego konia, zwierzę stanęło dęba i zrzuciło go przed kościołem. Lord złamał sobie kark. Tymczasem złotnik, dotąd bogaty i dobrze prosperujący, popadł w ruinę przez serię niewytłumaczalnych wypadków i dostał się w moc żydowskiego lichwiarza mieszkającego w posiadłości ziemskiej. Wreszcie niefortunny złotnik, w obliczu śmierci głodowej, powiesił się na jabłoni. Złoty krzyż wraz z jego innymi dobrami, domem, sklepem i narzędziami, dawno już należał do lichwiarza. W międzyczasie syn i spadkobierca lorda, zaszokowany karą, jaka spadła na jego bluźnierczego ojca, stał się fanatykiem religijnym w mrocznym i twardym duchu tamtych czasów i uznał za swój obowiązek zwalczać wszelkie herezje oraz niewiarę pośród swoich wasali. Żyda zaś z kolei, którego jego ojciec cynicznie tolerował, na rozkaz syna bezlitośnie spalono – tak więc on również poniósł karę za posiadanie krzyża – a sam krzyż po tych trzech wyrokach wrócił do grobu biskupa. Od tego czasu nie widziało go ludzkie oko, ani nie dotknęła ludzka dłoń.

Lady Diana Wales była wyraźnie pod większym wrażeniem, niż ktokolwiek by się spodziewał.

– Naprawdę, aż dreszcze przechodzą – powiedziała – gdy pomyślę, że będziemy pierwsi, poza wikarym.

Pionier z wielkimi wąsami i łamanym angielskim mimo wszystko nie zszedł po drabinie, która wyglądała na używaną wyłącznie przez robotników pracujących przy wykopaliskach. Pastor poprowadził ich dookoła, do większego i wygodniejszego wejścia jakieś sto jardów dalej, z którego sam wyłonił się wcześniej po badaniach pod ziemią. Tutaj stok był dość łagodny, nie napotkali też trudności poza gęstniejącym mrokiem; wkrótce okazało się, że idą gęsiego w dół tunelu czarnego jak smoła i minęła chwila, zanim dostrzegli przed sobą blask światła. Raz podczas tego milczącego marszu rozległ się dźwięk, jakby ktoś łapał oddech – nie dało się określić, kto taki – i raz, jak stłumiona eksplozja, rozległo się przekleństwo, również anonimowe.

Wkroczyli do okrągłej komnaty wyglądającej jak bazylika otoczona okrągłymi łukami. Kaplica została zbudowana zanim pierwszy ostry łuk gotyku jak włócznia przeszył naszą cywilizację. Lśnienie zielonkawego światła pomiędzy filarami znaczyło miejsce kolejnego przejścia do świata poniżej i wywoływało niewyraźne poczucie przebywania pod powierzchnią morza, potęgowane przez jedno czy dwa przypadkowe i przypuszczalnie wyssane z palca podobieństwa. Ponieważ normański wzór psich zębów wokół łuków był ledwie widoczny, sprawiał, że w mroku jaskini wyglądało to nieco jak paszcze monstrualnych rekinów. A bryłę samego grobu w centrum z uniesioną, kamienną pokrywą, można było wziąć niemal za szczęki czegoś jakby lewiatana.

Czy to z braku poczucia przydatności, czy niedostatku współczesnych urządzeń, wikary oświetlił kaplicę przy pomocy czterech wysokich świec w wielkich drewnianych świecznikach, które ustawił na podłodze. Tylko one oświetlały wnętrze, do którego wkroczyli, rzucając słaby blask na potężne elementy architektury. Gdy weszli już wszyscy, pastor zapalił trzy kolejne, dzięki czemu wyraźniej widać było jak wygląda i jaką ma zawartość wielki sarkofag.

Początkowo wszystkie oczy skierowały się na twarz zmarłego,

zachowanej przez te wszystkie wieki dzięki jakiemuś tajemniczemu, wschodniemu procesowi, o którym się mówiło, że odziedziczony został po pogańskiej starożytności i nieznany był na prostych cmentarzyskach naszej wyspy. Profesor ledwie zdołał stłumić okrzyk podziwu. Choć twarz była blada jak woskowa maska, wydawała się należeć do człowieka pogrążonego we śnie, który właśnie w tej chwili przymknął oczy. Była to twarz ascety z wysoko wysklepionymi kośćmi. Postać otulono złocistą kapą i wspaniałym ornatem, a wysoko na piersi, u samego gardła, połyskiwał ten słynny, złoty krzyż na krótkim złotym łańcuchu – bardziej przypominało to naszyjnik. Kamienna trumna została otwarta przez uniesienie wieka od strony głowy, przesuniętego na bok i podpartego przez dwa mocne drewniane pale, wciśnięte pod krawędź górnej płyty i zaklinowane w narożnikach trumny za głową zmarłego. Z tego względu nie było widać stop czy dolnej części ciała postaci, ale świece bardzo dobrze oświetlały twarz, a przez kontrast z ich płomykami złoty krzyż wydawał się migotać i jarzyć jak ogień.

Duże czoło profesora Smailla marszczyło się z namysłem, a może ze zmartwieniem, od chwili gdy pastor opowiedział historię klątwy. Jednak kobieca intuicja, z nutą kobiecej hysterii, zrozumiała znaczenie jego zadumanego bezruchu lepiej niż zgromadzeni wokół mężczyźni.

– Niechże pan tego nie dotyka! – wykrzyknęła nagle lady Diana w ciszy oświetlonej świecami jaskini.

Ale profesor wykonał już jeden z tych swoich płynnych, lwich ruchów, pochylając się nad ciałem. W następnej chwili wszyscy drgnęli, jedni w przód, inni w tył, ale bez wyjątku kuląc się tak, jakby waliło się niebo.

Gdy profesor położył palec na złotym krzyżu, wydało im się, że drewniane podpory, które nieznacznie wyginały się pod ciężarem kamiennej pokrywy, odskoczyły i wyprostowały się gwałtownie. Wieko ześlizgnęło się z drewnianej podpory. W duszach i żołądkach wszyscy poczuli nieprzyjemny skurcz, jakby rzucili się w przepaść. Smaill cofnął głowę, lecz zbyt

wolno – leżał teraz nieprzytomny obok trumny w czerwonej plamie krwi z własnej głowy. A stary, kamienny sarkofag znowu był zamknięty tak jak przez całe wcześniejsze stulecia, pomijając odłamki palików, które utkwiły w szczelinie, budząc koszarne skojarzenie z kośćmi pogruchotanymi przez ogra. Lewiatan zatrzasnął swoje kamienne szczęki.

Lady Diana spoglądała na szczątki oczami, w których płonął elektryzujący blask obłędu. W zielonkawym półmroku jej rude włosy na tle bladości twarzy wydawały się płonąć szkarłatem. Smyth patrzył na nią, w pochyleniu jego głowy nadal było coś psiego, ale minę miał boga spoglądającego na dzieło, którego katastrofy do końca nie pojmuje. Tarrant i cudzoziemiec zeszywnieli ze swoimi zwykłymi, ponurymi minami, ale twarze mieli barwy gliny. Wikary chyba zemdłał. Obok leżącej postaci klęczał ojciec Brown, próbując określić, w jakim jest stanie.

Ku sporemu zaskoczeniu zgromadzonych z pomocą przyszedł mu ten byroniczny wałkoń, Paul Tarrant.

– Lepiej wynieśmy go na powietrze – powiedział. – Sądzę, że ma szansę.

– Nie jest martwy – cichym głosem powiedział ojciec Brown – ale chyba z nim kiepsko. Nie jest pan przypadkiem lekarzem?

– Nie, ale w swoim czasie nauczyłem się wielu rzeczy – odparł Tarrant. – Zostawmy jednak mnie. Mój prawdziwy zawód pewnie byłby dla ojca zaskoczeniem.

– Nie sądzą – z lekkim uśmiechem odpowiedział ojciec Brown. – Zastanawiałem się nad tym w czasie podróży. Jest pan detektywem i kogoś śledzi. Cóż, tak czy inaczej krzyż jest teraz bezpieczny, nikt go nie ukradnie.

Podczas tej rozmowy Tarrant podniósł kruchą postać ze swobodną siłą i zręcznością i ostrożnie poniósł ją w stronę wyjścia.

– Tak, krzyż jest raczej bezpieczny – rzucił przez ramię.

– Chce pan powiedzieć, że poza tym nikt nie jest – powiedział ojciec Brown. – Pan także myśli o tej kłątwie?

Ojciec Brown pomógł przenieść ofiarę do małego zajazdu

naprzeciwko kościoła, porozmawiał z lekarzem, który obrażenia określił jako poważne i zagrażające życiu, choć niezupełnie śmiertelne, i zaniósł te wieści małej grupie podróżników, którzy w sali jadalnej zajazdu zgromadzili się wokół stołu. Ale gdzie tylko poszedł, wisiała nad nim chmura zdumienia, a im bardziej się zastanawiał, tym była większa. Ponieważ główna zagadka robiła się coraz bardziej i bardziej tajemnicza, to proporcjonalnie zaczynało mu się w głowie klarować wiele pomniejszych zagadek. Im dokładniej wyjaśniały się motywy poszczególnych osób, tym trudniej wytłumaczyć było to, co się stało. Leonard Smyth przyjechał tylko dlatego, że przyjechała lady Diana, a lady Diana przyjechała po prostu dlatego, że miała taki kaprys. Byli zaangażowani w jeden z tych przelotnych flirtów, które są tym głupsze, im bardziej udają intelektualne. Ale romantyzm lady miał swoją przesadną stronę i była ona naprawdę przejęta okropnym zakończeniem swojej przygody. Paul Tarrant był prywatnym detektywem, być może obserwującym tę miłośćkę na zlecenie żony lub męża; być może śledził cudzoziemskiego wykładowcę z wąsami, który roztaczał aurę niepożądanego obcego. Ale jeżeli on bądź ktokolwiek inny zamierzał ukraść krzyż, to plan ostatecznie nie wypalił. Wszystko zaś wskazywało na to, że cokolwiek doprowadziło do jego fiaska było albo niewiarygodnym zbiegiem okoliczności, albo efektem działania starożytnej klątwy.

Gdy w niezwykłej rozterce stanął na środku wioskowej uliczki pomiędzy kościołem a zajazdem, poczuł łagodne zaskoczenie, widząc od niedawna znajomą, ale raczej niespodziewaną postać idącą w górę ulicy. Pan Boon, dziennikarz, w słońcu wyglądał na bardzo zabiedzonego. Jasne światło ujawniało jego obszarpany strój jakby należący do stracha na wróble. Ciemne i głęboko osadzone oczy (położone raczej blisko siebie nad długim opadającym nosem) skupione miał na księdzu. Ojciec Brown musiał się uważnie przyjrzeć, żeby sobie uświadomić, że ciężkie, ciemne wąsy ukrywają coś w rodzaju ponurego uśmiechu.

– Sądziłem, że pan wyjechał – dość ostro powiedział ojciec Brown. – Że pojechał pan tym pociągami dwie godziny temu.

– Cóż, jak ksiądz widzi, nie zrobiłem tego – odparł Boon.

– Dlaczego pan wrócił? – niemal surowo zapytał ksiądz.

– To nie jest taki wiejski raj, z którego dziennikarz wyjechałby w pośpiechu – odparł tamten. – Za dużo się tu dzieje, żeby było warto wracać do miejsca tak nudnego jak Londyn. Poza tym nie utrzymają mnie z dala od tej sprawy – mam na myśli tę drugą sprawę. To ja znalazłem to ciało, a w każdym razie ubranie. Dość podejrzanе zachowanie z mojej strony, prawda? Być może ksiądz sądzi, że chciałem przystroić się w jego piórka. Czyż nie byłbym cudownym pastorem?

I szczupły, długonosy szarlatan na środku targowiska zrobił nagle ekstrawagancki gest, wyciągnął ramiona i rozpostarł dłonie w ciemnych rękawiczkach w jakimś prześmiewczym błogosławieństwie.

– Och, moi drodzy bracia i siostry – zaintonował – niechże wezmę was wszystkich w objęcia...

– O czym pan, na Boga, mówi? – krzyknął ojciec Brown i lekko postukał w bruk swoim grubym parasolem, jako że miał nieco mniej cierpliwości niż zazwyczaj.

– Och, dowie się ksiądz wszystkiego, jeśli zapyta tych swoich wesołków w zajeździe – pogardliwie odparł Boon. – Ten cały Tarrant chyba mnie podejrzewa, wyłącznie dlatego, że znalazłem te ubrania – chociaż nadszedł tylko o chwilę za późno, żeby znaleźć je samemu. Ale w tej sprawie jest cała masa różnych zagadek. Ten mały facecik z wąsami może mieć w sobie więcej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Skoro już o tym mowa, to nie rozumiem, dlaczego nie miałyby ksiądz sam zabić tego biedaka.

Ojciec Brown nie wydawał się w najmniejszym stopniu obruszony tą sugestią, ale wyraźnie poruszyła go i oszołomiła ta uwaga.

– Chce pan powiedzieć – zapytał z prostotą – że to ja próbowałem zabić profesora Smailla?

– Ależ skąd – powiedział dziennikarz, ustępliwie machając ręką. – Może ksiądz wybierać z całego mnóstwa zmarłych. Wybór nie ogranicza się do profesora Smailla. Nie wiedział ksiądz, że wyszła sprawa jeszcze jednego człowieka, znacznie bardziej martwego od profesora Smailla? I nie wiem, dlaczego ksiądz nie miałby go dyskretnie załatwić. Różnice religijne, rozumie ksiądz... Pożałowania godny rozłam w chrześcijaństwie... Pewnie zawsze chciał ksiądz przywrócenia angielskich parafii.

– Wracam do zajazdu – cicho powiedział ksiądz. – Powiada pan, że ludzie tam wiedzą, o czym pan mówi, i być może będą w stanie o tym opowiedzieć.

W rzeczywistości zaraz potem jego prywatne rozterki rozproszyły się chwilowo na wieść o nowej tragedii. Kiedy wszedł do małej jadalni, gdzie zebrała się reszta towarzystwa, coś w ich pobladłych twarzach powiedziało mu, że doznali kolejnego po wypadku w grobowcu wstrząsu.

– Gdzie się to wszystko skończy? – lamentował Leonard Smyth w chwili, gdy ksiądz wchodził do środka.

– Mówię wam, że to się nigdy nie skończy – odpowiedziała lady Diana, szklistymi oczami wpatrując się w pustkę. – To się nie skończy, póki koniec nie spotka nas. Klątwa zabierze nas jedno po drugim, być może powoli, jak powiedział ten biedny wikary, ale zabierze nas, tak jak zabrała jego.

– Na rany boskie, co się znowu stało? – spytał ojciec Brown.

Zapadła cisza, a potem nieco głuchym głosem odezwał się Tarrant:

– Pan Walters, wikary, popełnił samobójstwo. Przypuszczam, że szok wyprowadził go z równowagi. Obawiam się jednak, że nie może być co do tego wątpliwości. Właśnie znaleźliśmy jego czarny kapelusz i ubranie na skale wychodzącej w morze. Najprawdopodobniej skoczył do wody. Pomyślałem, że wygląda na półprzytomnego i może powinniśmy się nim zająć, ale było dużo innych rzeczy, których trzeba było dopilnować.

– Nic pan nie mógł zrobić – powiedziała dama. – Nie widzicie,

że ta rzecz sprowadza zagładę w jakimś koszmarnym porządku? Profesor dotknął krzyża i poszedł na pierwszy ogień, wikary otworzył grobowiec i był drugi, my jedynie weszliśmy do kaplicy i...

– Chwila – przerwał jej ojciec Brown ostrym tonem, którego bardzo rzadko używał. – To się musi skończyć.

Wciąż nieświadomie ciężko marszczył brwi, ale w oczach nie miał już mgły zastanowienia, ale światło niemal przerażającego zrozumienia.

– Ależ ze mnie głupiec! – mruknął. – Już dawno powinienem był to dostrzec. Sama ta historia o klątwie powinna mi to powiedzieć.

– Chce ksiądz rzec – zdziwił się Tarrant – że naprawdę zabija nas coś, co wydarzyło się w trzynastym wieku?

Ojciec Brown pokręcił głową i odpowiedział z cichą emfazą:

– Nie zamierzam dyskutować, czy może nas zabić coś, co wydarzyło się w trzynastym wieku, ale jestem raczej przekonany, że nie może nas zabić coś, co nie wydarzyło się w trzynastym wieku, coś, co w ogóle się nie wydarzyło.

– Cóż – powiedział Tarrant – to odświeżające spotkać księdza tak sceptycznego w stosunku do rzeczy nadprzyrodzonych.

– Bynajmniej – spokojnie zaprzeczył ksiądz. – Nie wątpię w część nadprzyrodzoną, tylko w naturalną. Jestem dokładnie jak ten człowiek, który powiedział: „Mogę uwierzyć w niemożliwe, ale nie w nieprawdopodobne”.

– To właśnie nazywa się paradoksem, czyż nie? – zapytał tamten.

– Ja to nazywam zdrowym rozsądkiem właściwie pojmowanym – odciął się ojciec Brown. – Naprawdę bardziej naturalna jest wiara w nadnaturalną opowieść, która radzi sobie z rzeczami, których nie rozumiemy, niż historia naturalna przecząca rzeczom, które rozumiemy. Powiedzcie mi, że wielki pan Gladstone^[19] w swoich ostatnich chwilach był prześladowany przez ducha Parnella^[20], a ja powiem, że mocno w to wątpię. Powiedzcie mi jednak, że pan Gladstone, gdy przedstawiono go

królowej Wiktorii, nie zdjął kapelusza, klepnął ją w plecy i poczęstował cygarem, a wcale się nie zdziwię. To nie jest niemożliwe – to tylko mało prawdopodobne. Ale mam większą pewność, że to się nie zdarzyło, niż że nie pojawił się duch Parnella – ponieważ sprzeciwia się to prawom natury, które rozumiem. Tak właśnie jest z tą opowieścią o klątwie. Nie chodzi o legendę, w którą nie wierzę – chodzi o historię.

Lady Diana otrząsnęła się nieco ze swojego kasandrycznego transu, a w jej jasnych i władczych oczach znowu pojawiła się niepoprawna ciekawość nowych rzeczy.

– Jakimż jest ojciec interesującym człowiekiem! – wykrzyknęła. – Dlaczego ojciec nie wierzy w tę historię?

– Nie wierzę w tę historię, bo to nie jest żadna historia – odpowiedział ojciec Brown. – Dla każdego, kto posiada choć minimum wiedzy o średniowieczu, cała ta opowieść jest równie prawdopodobna jak to, że Gladstone zaproponował królowej Wiktorii cygaro. Ale czy ktokolwiek wie cokolwiek o średniowieczu? Wie pani, czym była gildia? Słyszała kiedyś o *salvo managio suo*? Wie, jakimi ludźmi byli *Servi Regis*?

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiedziała dama z wyraźnym rozdrażnieniem. – Ile łacińskich słów!

– Oczywiście, że nie – powiedział ojciec Brown. – Gdyby chodziło o Tutenchamona i zmumifikowanych Afrykanów, Bóg wie dlaczego, na drugim końcu świata; gdyby chodziło o Babilon albo Chiny; gdyby rzecz dotyczyła jakiejś rasy tak odległej i tajemniczej jak Człowiek z Księżyca, to wasze gazety rozpisywałyby się o tym, nie pomijając szczegółów w rodzaju odkrycia szczoteczki do zębów albo spinki do kołnierzyka. Ale o ludziach, którzy wybudowali wasze własne kościoły parafialne i nadali nazwy waszym własnym miastom i rzemiosłom, a nawet drogom, po których chodzicie – nigdy wam nie przyszło do głowy, by się czegoś o nich dowiedzieć. Nie twierdzą, że sam miał wielką wiedzę, ale wiem dosyć, by rozumieć, że cała ta opowieść to nonsens od początku do końca. Lichwiarzom nie wolno było przejmować zakładów i narzędzi ludzi. To wielce

nieprawdopodobne, żeby gildia nie ocaliła człowieka z tak wielkiej ruiny, zwłaszcza gdyby do ruiny doprowadził go Żyd. Ci ludzie mieli własne wady i tragedie, czasami torturowali i palili innych. Ale ta koncepcja człowieka, który nie miał w sercu Boga ani nadziei, odchodzącego, ponieważ nikogo nie obchodziło, czy żył – to nie jest idea średniowieczna. To produkt naszych nauk ekonomicznych i postępu. Żyd nie byłby wasalem feudalnego lorda. Żydzi normalnie mieli specjalną pozycję jako słudzy króla. A przede wszystkim nie było możliwości, żeby spalić Żyda za jego religię.

– Paradoksy się mnożą – zauważył Tarrant. – Ale z pewnością ksiądz nie zaprzeczy, że w średniowieczu prześladowano Żydów?

– Byłoby bliższe prawdy – odparł ojciec Brown – powiedzieć, że byli jedynymi ludźmi, którzy w średniowieczu nie byli prześladowani. Skoro chce pan wykpiwać historię średniowiecza, to lepiej by pan powiedział, że nieszczęsny chrześcijanin mógł zostać spalony żywcem, bo popełnił błąd w rozumieniu idei Trójcy Świętej, podczas gdy bogaty Żyd mógł chodzić po ulicach, otwarcie drwiąc z Chrystusa i Matki Boskiej. Cóż, taka jest cała ta historia. To nigdy nie była opowieść o średniowieczu, to nigdy nie była nawet legenda o średniowieczu. Została wymyślona przez kogoś, kto miał wiedzę wywodzącą się z powieści i gazet, i pewnie wymyślił ją pod wpływem chwili.

Pozostali wyglądali na nieco oszołomionych tą dygresją historyczną i prawdopodobnie zastanawiali się, dlaczego ksiądz ją tak podkreślił i uważał, że jest bardzo ważną częścią układanki. Ale Tarrant, którego zawodem było wyciąganie wniosków z dygresji, nagle się ożywił. Bardziej niż zwykle wysunął podbródek, a z ponurych oczu wyzierało zainteresowanie.

– Ach – powiedział – wymyślona pod wpływem chwili!

– To być może przesada – spokojnie przyznał ojciec Brown. – Powinienem raczej powiedzieć: wymyślona bardziej swobodnie

i beztrosko niż reszta tej niezwykle starannie zaplanowanej intrygi. Spiskowiec nie sądził jednak, że detale historii średniowiecza mogą mieć dla kogoś jakieś znaczenie. A jego założenie w dużej mierze było prawidłowe jak większość jego założeń.

– Czyje założenia? Kto miał rację? – z nagłym zniecierpliwieniem zaczęła dopytywać lady Diana. – O kim ksiądz mówi? Czy nie dość już przeszliśmy? Może już nam ksiądz oszczędzi dreszczy i tych „onych” i „jego”?

– Mówię o mordercy – wyjaśnił ojciec Brown.

– Jakim mordercy? – spytała ostro. – Chce ksiądz powiedzieć, że biedny profesor został zamordowany?

– Cóż – mruknął Tarrant w gęstwinę swojej brody – nie możemy powiedzieć „zamordowany”, skoro nie wiemy, czy nie żyje.

– Morderca zabił kogoś innego, nie profesora Smailla – posępnie oświadczył ksiądz.

– Co? Kogo innego mógłby zabić? – zdziwił się Tarrant.

– Wielebnego Johna Waltersa, wikarego Dulham – precyzyjnie odpowiedział ojciec Brown. – Chciał zabić tylko ich dwóch, ponieważ obaj mieli do czynienia z zabytkami o jednym rzadkim wzorze. Morderca jest swego rodzaju monomaniakiem.

– To wszystko wydaje się bardzo dziwne – wymamrotał Tarrant. – Oczywiście nie możemy mieć absolutnej pewności, że wikary nie żyje. Nie widzieliśmy jego ciała.

– Ależ owszem, widzieli państwo – zaoponował ojciec Brown.

Zapadła cisza tak nagła jak uderzenie gongu. Cisza, w której podświadome domysły były tak aktywne i trafne, że lady Wales aż krzyknęła.

– To dokładnie widzieliście – ciągnął ksiądz. – Widzieliście ciało. Nie widzieliście jego – prawdziwego, żywego człowieka, ale widzieliście jego ciało. Wpatrywaliście się w nie w świetle czterech grubych świec. Nie rzucało się samobójczo w morze, tylko leżało jak Księżę Kościoła w świątyni zbudowanej przed krucjatami.

– Mówiąc prościej – odezwał się Tarrant – chce ksiądz, byśmy uwierzyli, że to zabalsamowane ciało było tak naprawdę zwłokami zamordowanego człowieka.

Ojciec Brown zamilkł na chwilę, po czym powiedział niemal bez związku z tematem:

– Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, był krzyż – czy raczej łańcuch podtrzymujący krzyż. Naturalnie dla większości z państwa był to tylko łańcuch i nic szczególnego poza tym, ale – co również naturalne – to było raczej moje spostrzeżenie, nie wasze. Pamiętacie, że spoczywał blisko podbródka, widać było tylko kilka ogniwi, jakby cały naszyjnik był dosyć krótki. Ale te widoczne ogniwa były ułożone w bardzo szczególny sposób, jedno, a potem trzy, i tak dalej; w gruncie rzeczy od razu wiedziałem, że była to rozeta, zwyczajna rozeta z krzyżem na końcu. Ale rozeta ma co najmniej pięć dziesiątek i jeszcze dodatkowe ogniwa, więc naturalnie zastanawiałam się, gdzie jest reszta. Na szyi starca taki łańcuch dałoby się owinąć kilka razy. Wówczas nie mogłem tego zrozumieć, dopiero potem domyśliłem się, gdzie podziela się pozostała część. Była okręcona wokół podstawy tego drewnianego pala, który tkwił w narożniku trumny, podtrzymując wieko. Zatem kiedy nieszczęsny Smaill tylko dotknął krzyża, łańcuch wyrwał palik z miejsca, a wieko jak kamień spadło mu na głowę.

– Na Jerzego! – powiedział Tarrant. – Zaczynam sądzić, że jest coś w tym, co ksiądz mówi. Jeśli to prawda, to bardzo dziwna historia.

– Gdy to sobie uświadomiłem – ciągnął ojciec Brown – byłem w stanie mniej więcej odgadnąć resztę. Przede wszystkim proszę pamiętać, że autorytety archeologiczne nigdy nie były odpowiedzialne za nic poza badaniami. Biedny, stary Walters był uczciwym kolekcjonerem, który zaangażował się w otwarcie grobowca, by się przekonać, czy w tej legendzie o zabalsamowanych zwłokach tkwiło ziarno prawdy. Cała reszta to były plotki, takie, jakie często potrafią rozdmuchać tego rodzaju znaleziska. Faktycznie odkrył, że ciało nie było

zabalsamowane, ale już dawno temu zmieniło się w pył. Tylko że kiedy pracował w tej zapadniętej kaplicy przy świetle pojedynczej świecy, ujrzał inny cień, który nie należał do niego.

– Ach! – wykrzyknęła lady Diana z nagłym zrozumieniem. – Już wiem, co ma ksiądz na myśli. Chce nam ksiądz powiedzieć, że spotkaliśmy mordercę, rozmawialiśmy i żartowaliśmy z mordercą, pozwoliliśmy, aby nam opowiedział romantyczną historyjkę, a potem pozwoliliśmy mu odejść bez szwanku.

– A on zostawił swoje kapłańskie szaty na skale – zgodził się Brown. – To koszmarnie proste. Ten człowiek wysforował się przed profesora w wyścigu do kościoła i kaplicy, przypuszczalnie wtedy gdy profesor rozmawiał z tym ponurym dziennikarzem. Starego kapłana zastał przy pustej trumnie i zabił go. Potem sam przebrał się w jego czarne ubranie, ciało owinął w starą kape, która znajdowała się pośród prawdziwych znalezisk, i wepchnął je do trumny, rozetę i paliki aranżując tak, jak to opisałem. Potem, kiedy miał już gotową pułapkę na swojego drugiego wroga, wyszedł na światło dnia i powitał nas z całą najżyczliwszą uprzejmością wiejskiego pastora.

– Naraził się na spore ryzyko – zaoponował Tarrant – że będzie tam ktoś, kto znał Waltersa z widzenia.

– Przyznaję, że jest po części szalony – zgodził się ojciec Brown – i sądzę, że zgodzi się pan, że skoro uszedł bez szwanku, to mimo wszystko warto było podjąć takie ryzyko.

– Przyznaję, że miał wielkiego farta – burknął Tarrant. – Ale kim on jest, u licha?

– Jak pan powiedział, miał wielkiego farta – odpowiedział ojciec Brown – zwłaszcza w tym względzie. Choć jest jedna rzecz, której być może nigdy się nie dowiemy. – Przez moment, marszcząc brwi, wpatrywał się w blat stołu. – Człowiek ten od lat kręcił się wokół i groził, lecz bardzo uważał, żeby utrzymać swoją tożsamość w tajemnicy. Nadal to robi. Ale jeżeli biedny Smaill wydobrzeje, a sądzę, że tak będzie, można dość bezpiecznie założyć, że dowiedzą się państwo czegoś więcej.

– Jak to, co zrobi profesor Smaill, jak ksiądz sądzi? – spytała

lady Diana.

– Będąc na jego miejscu – powiedział Tarrant – wynająłbym detektywów i puścił ich jak psy tropem tego diabła. Sam chciałbym za nim ruszyć.

– Cóż – powiedział ojciec Brown, uśmiechając się nieoczekiwanie po długim czasie tkwienia z zaniepokojoną miną. – Chyba wiem, jaka jest najpierwsza rzecz, jaką powinien zrobić.

– A cóż to takiego? – z uprzejmą niecierpliwością zapytała lady Diana.

– Powinien przeprosić wszystkich państwa – oznajmił ojciec Brown.

Zanim jednak do tego doszło, ojciec Brown rozmawiał z profesorem Smailem, gdy siedział przy jego łóżku podczas rekonwalescencji tego wybitnego archeologa. W zasadzie jednak niewiele się odzywał. Miał on talent do milczenia w przyjazny sposób, a Smaill czuł się tym zachęcony, by mówić o wielu dziwnych rzeczach, o których nie zawsze mówić łatwo: o rzeczach takich jak chorobliwe fazy dochodzenia do zdrowia i koszmarne sny, jakie często towarzyszą delirium. Powolna rekonwalescencja po paskudnym uderzeniu w głowę często nie idzie gładko, a gdy głowa jest tak interesująca jak głowa profesora Smailla, nawet takie zniekształcenia i zakłócenia bywają interesujące i oryginalne. Jego sny stanowiły raczej barwne, jaskrawe plamy bez konturów, jakie można zobaczyć w archaicznych dziełach sztuki, które badał; pełne były dziwnych świętych z kwadratowymi albo trójkątnymi aureolami, złotych, wielkich koron i światła wokół ciemnych, płaskich twarzy, orłów ze wschodu i wysokich przybrań głowy brodatych mężczyzn o trefionych włosach. Było jednak jedno widzenie, jak powiedział przyjacielowi, znacznie mniej skomplikowanego typu, które wciąż powracało do jego pobudzonej wyobraźni. Raz za razem wszystkie te bizantyjskie wzory blakły jak wyblakłe złoto, którego szukali w ogniu, i nie zostawało nic poza ciemną, gołą ścianą skalną, na której znać

było lśniący kształt ryby muskany palcem zanurzonym w fluorescencyjnym płynie. Był to symbol, który ujrzał w chwili, gdy po raz pierwszy za narożnikiem ciemnego korytarza usłyszał głos swojego wroga.

– I wreszcie – powiedział – chyba pojąłem znaczenie tego obrazu i głosu, i to tak, jak nigdy wcześniej go nie pojmowałem. Dlaczego miałbym się martwić jednym szaleńcem pośród milionów ludzi przy zdrowych zmysłach, porywać tłum przeciwko niemu, wybierać, czy będzie się przechwalał, że mnie prześladowuje, albo doprowadzi do mojej śmierci? Człowiek, który w tych mrocznych katakumbach wyrysował tajemny znak Chrystusa, był ścigany w zupełnie inny sposób. Był samotnym szaleńcem. Całe zdrowe społeczeństwo przysięgło się nie po to, by go ocalić, ale by go zgładzić. Czasami irytuję się i wiercę, i zastanawiam, który to człowiek był moim prześladowcą – czy był to Tarrant, Leonard Smyth, czy był to którykolwiek z nich. Załóżmy, że byli to oni wszyscy? Załóżmy, że byli to wszyscy ludzie na statku i wszyscy ludzie w pociągu, i wszyscy ludzie w wiosce. Załóżmy, że wszyscy byli mordercami. Sądziłem, że mam prawo być zaalarmowany, bo przeciskałem się przez trzewia ziemi, w ciemności, i był tam człowiek, który pragnął mnie zniszczyć. Jak by to było, gdyby niszczyciel stanął w świetle dnia i cała ziemia należała do niego, i miał na rozkazy wszystkie armie i ludzką ciżbę? Co gdyby był w stanie zatrzymać ziemię, albo wykurzyć mnie z mojej dziury, albo zabić mnie, w chwili gdy wystawiłem nos na światło dzienne? Jak by to było, radzić sobie z mordercą na taką skalę? Świat zapomina takie rzeczy tak, jak nie tak dawno temu zapomniał o wojnie.

– Tak – przyznał ojciec Brown. – Ale wojna nadeszła. Ryba znowu może zostać sprowadzona pod ziemię, ale ponownie wyjdzie na światło dzienne. Jak żartował święty Antoni Padewski: „Tylko ryby przetrwają Potop”.

[18] Laputa – słowo zaczerpnięte z powieści Jonathana Swifta *Podróże Guliwera*. W trzeciej części owego utworu Guliwer trafia na latającą wyspę o nazwie Laputa. Zamieszкана jest przez muzyków oraz matematyków, którzy pomimo całkowitego poświęcenia się nauce nie potrafią zastosować swojej wiedzy w celach praktycznych.

[19] William Ewart Gladstone (1809–1898) – brytyjski polityk należący do Partii Liberalnej, czterokrotny premier Wielkiej Brytanii.

[20] Charles Stewart Parnell (1846–1891) – irlandzki polityk, przywódca ruchu na rzecz autonomii Irlandii, który popierał premiera Gladstone'a. W 1889 wygrał proces przeciwko gazecie „The Times”, która opublikowała sfabrykowane listy, według których Parnell miał popierać terrorystów.

DUCH GIDEONA WISE'A

Ojciec Brown zawsze traktował sprawę jak dziwaczny przykład teorii alibi: teorii, zgodnie z którą utrzymuje się, że niemożliwym jest przebywać w dwóch miejscach jednocześnie. Bardzo dobrym przykładem był James Byrne, irlandzki dziennikarz. Do umiejętności przebywania w dwóch miejscach jednocześnie zbliżył się tak bardzo, jak to tylko możliwe: na przestrzeni dwudziestu minut potrafił pojawić się na dwóch biegunach świata społecznego i politycznego. Pierwszym były babilońskie hole wielkiego hotelu, w którym spotykali się trzej magnaci handlowi rozważający blokadę dostaw węgla i utrzymywanie, że to strajk górników, a drugim interesująca tawerna, ukrywająca się za fasadą sklepiku spożywczego, gdzie spotykał się raczej podziemny triumwirat tych, którzy bardzo chętnie obróciliby tę blokadę w strajk – a strajk w rewolucję. Reporter przechodził pomiędzy trzema milionerami i trzema liderami bolszewików, ciesząc się nietykalnością współczesnego herolda albo nowego ambasadora.

Trzech magnatów węglowych zastał ukrywających się w dżungli kwitnących roślin i w lesie żłobkowanych ozdobnych kolumn z poślaczanego gipsu, poślaczanych ptasich klatek

wiszących wysoko pod malowanymi kopułami pośród najwyższych palmowych liści, a w nich ptaków o pstrokatych piórach, śpiewających różnymi głosami. Żaden ptak w dziczy nie śpiewał nigdy w takim ukryciu, żaden kwiat nie marnował swojej słodyczy w pustynnym powietrzu tak całkowicie, jak kwiaty tych wysokich roślin marnowały swoją słodycz przy tych stanowczych i zdyszanych biznesmenach, głównie Amerykanach, którzy rozmawiali i chodzili w tę i z powrotem. A tam, pośród zamętu rokokowych ornamentów, na które nikt nigdy nie zwracał uwagi, pośród szczebiotu kosztownych, egzotycznych ptaków, których nikt nigdy nie słuchał, wśród masy obić i w labiryncie luksusowej architektury, trzech ludzi siedziało i rozmawiało o tym, że sukces opiera się na rozsądku, gospodarności, śledzeniu trendów ekonomicznych i samokontroli.

Jeden z nich jednak nie mówił tak wiele jak pozostali. Obserwował wszystko bardzo jasnymi i spokojnymi oczami, które wydawały się być na miejscu dzięki jego binoklom, a uśmiezek, który cały czas utrzymywał się pod jego niewielkim, czarnym wąsikiem, przypominał raczej stały grymas. Był to słynny Jacob. B. Stein. Nie odzywał się, póki nie miał czegoś do powiedzenia. Ale jego towarzysz, stary Gallup z Pensylwanii, wielki, otyły facet z szacownie szpakowatymi włosami, ale twarzą pięściarza, mówił bardzo dużo. Był w jowialnym nastroju i na poły podpuszczał, na poły groził trzeciemu milionerowi, Gideonowi Wise'owi – twardemu, wysuszonemu, kościstemu człowiekowi, którego jego ziomek porównywał do orzecha, ze sztywną, szarą bródką, z manierami i odzieniem jakiegokolwiek starego farmera z równin centralnych. Pomędzy Wise'em a Gallupem było stare nieporozumienie dotyczące powiązań i konkurencji. Stary Wise nadal zachowywał, wraz z manierami starego odludka, coś ze swoich opinii upartego indywidualisty – należał, jak powiedzielibyśmy w Anglii, do szkoły manchesterskiej – a Gallup zawsze próbował go przekonać, by zniszczył

konkurencję i przejął światowe zasoby.

– Stary, prędzej czy później będziesz musiał w to wejść – dobrodusznie mówił Gallup w chwili wejścia Byrne’a. – Tak właśnie kręci się ten świat, nie możemy już wrócić do monopolu jednego człowieka. Musimy trzymać się razem.

– Jeśli mógłbym coś powiedzieć – odezwał się spokojnie Stein – powiedziałbym, że istnieje kwestia nieco pilniejsza niż wspólny front handlowy. Musimy trzymać się razem pod względem politycznym, i dlatego właśnie poprosiłem pana Byrne’a, by spotkał się dzisiaj z nami. Jeśli chodzi o politykę, musimy się zjednoczyć, z tego prostego powodu, że wszyscy nasi najgroźniejsi wrogowie już połączyli siły.

– Och, generalnie zgadzam się co do zjednoczenia politycznego – burknął Gideon Wise.

– Proszę posłuchać – zwrócił się Stein do dziennikarza. – Panie Byrne, wiem, że ma pan wstęp do tych dziwnych miejsc i chciałbym, żeby zrobił pan coś dla nas. Nieoficjalnie. Wie pan, gdzie spotykają się ci ludzie – liczy się tylko dwóch albo trzech: John Elias i Jake Halket, który wygłasza wszystkie odczyty, i może jeszcze ten poeta, Home.

– Ten Home przyjaźnił się z Gideonem – szyderczo powiedział Gallup. – Uczęszczał do jego szkółki niedzielnej czy coś takiego.

– Zatem był chrześcijaninem – poważnie oświadczył stary Gideon. – Ale gdy człowiek zadaje się z ateistami, to nigdy nic nie wiadomo. Wciąż zdarza mi się na niego natknąć. Byłem oczywiście gotów poprzeć go w działaniach antywojennych i kwestii obowiązkowego poboru, ale gdy chodzi o tych przeklętych bolszewików...

– Przepraszam – przerwał mu Stein – kwestia jest raczej pilna, mam więc nadzieję, że wybaczycie mi, że od razu przedstawię ją panu Byrne’owi. Panie Byrne, mogę powiedzieć panu w zaufaniu, że posiadam informację, czy raczej dowód, który przynajmniej dwóch z tych ludzi zaprowadzi na długi czas do więzienia – coś, co ma związek z działalnością konspiracyjną podczas ostatniej wojny. Nie chcę korzystać z tego dowodu.

Chciałbym jednak, aby dyskretnie spotkał się pan z nimi i przekazał, że jeśli nie zmienią swojego podejścia, to go użyję, i to już jutro.

– Cóż – odpowiedział Byrne – to, co pan proponuje, z pewnością można nazwać odstąpieniem od ścigania przestępstwa jak również szantażem. Nie sądzi pan, że to raczej ryzykowne?

– Sadzę, że jest to ryzykowne dla nich – warknął Stein – i chcę, żeby pan poszedł i tak im powiedział.

– Och, niech będzie – z na poły rozbawionym westchnieniem powiedział Byrne, wstając. – Taka już moja praca. Ale jeśli wpadnę w kłopoty, to ostrzegam, że postaram się panów w to wciągnąć.

– Możesz się starać, chłopcze – z serdecznym śmiechem powiedział stary Gallup.

Tak właśnie wyglądało wielkie marzenie Jeffersona, ta rzecz, którą ludzie nazwali demokracją, gdzie bogacze rządili jak tyrani, a biedni nie mówili jak niewolnicy, istniała jednak otwartość pomiędzy oprawcą a ofiarą.

Miejsce spotkań rewolucjonistów było dziwne, nagie, pobielone, na ścianach wisiał jeden czy dwa niejasne, przyciężkie szkice w czerni i bieli w stylu, który zapewne miał być Sztuką Proletariacką, a którą pojmował może jeden proletariusz na milion. Być może był jakiś punkt wspólny dla tych dwóch pokojów narad – oba naruszały amerykańską konstytucję przez obecność mocnych drinków. Przed trzema milionerami stały kolorowe koktajle. Halket, najbardziej brutalny z bolszewików, uważał za stosowne picie wyłącznie wódki. Był to wysoki, ciężki, pochylony facet, a sam jego profil był agresywny jak u psa, z wyciągniętymi ustami i nosem. Nad wargą miał niechlujne, rude wąsy, a twarz wiecznie pogardliwie wykrzywioną. John Elias był smagłym, czujnym mężczyzną w okularach, z czarną, szpiczastą brodą. W wielu europejskich kawiarniach wyrobił sobie upodobanie do absyntu. Pierwszym i ostatnim odczuciem dziennikarza było to, jak bardzo, mimo

wszystko, John Elias i Jacob B. Stein byli do siebie podobni. Mieli tak podobne rysy, sposób myślenia i zachowania, że milioner z hotelu Babilon mógłby się zapaść pod ziemię i pojawić się ponownie w twierdzy bolszewików.

Trzeci mężczyzna również miał interesujące upodobania w kwestii napitków, a jego drink był jego symbolem. Tym, co stało przed poetą Home'em, była szklanka mleka, a jego łagodność w tych okolicznościach miała w sobie coś złowieszczonego, jakby ta nieprzejrzystość i brak koloru charakterystyczny dla jakiejś maści na trąd sprawiały, że były bardziej trujące niż jadowicie zielony absynt. Jednakże, prawdę mówiąc, ta łagodność była raczej szczerą – Henry Home do obozu rewolucji trafił bardzo krętą drogą i z innych pobudek niż Jake, żarliwy zwolennik, oraz Elias, kosmopolityczna szara eminencja. Odebrał to, co nazywa się starannym wychowaniem, w dzieciństwie chodził do kościoła i szedł przez życie, gardząc alkoholem, z czego nie mógł się otrząsnąć, gdy pozbył się takich przesądów jak chrześcijaństwo i małżeństwo. Miał jasne włosy i szlachetną twarz, z którą mógłby wyglądać jak Shelley, gdyby nie osłabił efektu niepasującym frędzelkiem bródki. Z jakiegoś powodu ta broda sprawiała, że bardziej przypominał kobietę, jakby tych kilka złocistych włosków było wszystkim, na co go stać.

Gdy dziennikarz wszedł, Jake gadał, jak to było w jego zwyczaju. Home wtrącał zwyczajne i konwencjonalne zdania jak „Boże uchroni” od tego czy owego, a to wystarczało, żeby Jake wylewał z siebie strumień wulgaryzmów.

– Boże uchroni! I w zasadzie to wszystko, co ten sakramencki Bóg robi – powiedział. – Niebiosa nigdy nic nie robią, tylko zabraniają tego, tamtego i owego! Zabraniają nam strajkować i zabraniają nam walczyć, i zabraniają nam strzelać do tych przeklętych lichwiarzy i krwiopijców. Dlaczego im dla odmiany niebiosa czegoś nie zabronią? Dlaczego dla odmiany księża i pastory nie powstaną i nie powiedzą prawdy o tych bydlakach? Dlaczego ten ich wielki Bóg...

Elias westchnął łagodnie jakby z lekkim znużeniem, żeby mu przerwać.

– Księża – powiedział – należą, jak wykazał Marks, do feudalnego etapu rozwoju ekonomicznego i z tego względu tak naprawdę nie są już częścią tego problemu. Rola, którą niegdyś odgrywali księża, teraz odgrywana jest przez ekspertów kapitalistycznych i...

– Tak – przerwał mu dziennikarz ze swoim ponurym i ironicznym nieprzejednaniem – i już czas najwyższy, żebyś do was dotarło, że niektórzy z nich są prawdziwymi ekspertami.

I nie odwracając wzroku od jasnych, ale martwych oczu Eliasa, opowiedział mu o pogroźkach Steina.

– Spodziewałem się czegoś takiego – nieporuszenie, z uśmiechem odparł Elias. – Powiedzmy, że w miarę się spodziewałem.

– Brudne psy! – eksplodował Jake. – Gdyby coś takiego powiedział biedak, trafiłby na katorgę. Uważam jednak, że zanim się zorientują, znajdą się w jeszcze gorszym miejscu. Jeśli nie trafią do piekła, to nie wiem, gdzie, do diabła, trafią...

Home wykonał protestujący gest, skierowany być może nie przeciwko temu, co mówił Jake, lecz przeciwko temu, co zamierzał powiedzieć, ale Elias uciął jego wywody z zimną precyzją.

– Wymiana pogroźek z drugą stroną – oświadczył, przez okulary przypatrując się spokojnie Byrne'owi – jest nam zupełnie niepotrzebna. Całkowicie wystarczy, że jak dotąd ich pogroźki są raczej mało skuteczne. My również poczyniliśmy pewne przygotowania, a część z nich się nie ujawni, póki się wszystko nie zacznie. Jeśli o nas chodzi, to natychmiastowy rozłam i ekstremalna próba sił będą zgodne z planem.

Gdy tak mówił, cicho i z godnością, coś w jego nieruchomej, żółtej twarzy i wielkich, wytrzeszczonych oczach sprawiło, że po kręgosłupie dziennikarza przeszedł lekki dreszcz. Jeśli patrzeć z boku, dzika twarz Halketa mogłaby wyglądać, jakby warczał, ale kiedy stało się z nim twarzą w twarz, to w tłącym się w jego

oczach gniewie dostrzec można było również jakiś niepokój, jakby etyczne i ekonomiczne łamigłówki odrobinę go mimo wszystko przerastały. Home wydawał się jeszcze bardziej skrępowany zmartwieniami i samokrytycyzmem. Natomiast w tym trzecim mężczyźnie w okularach, który przemawiał tak rozsądnie i prosto, było coś zagadkowego, jakby przy stole przemawiał trup.

Gdy Byrne wyszedł wraz z buntowniczą wiadomością i szedł wzdłuż bardzo wąskiego przejścia przy sklepie spożywczym, zobaczył, że wylot blokuje dziwna, choć niejasno znajoma postać: niska i przysadzista, nieco staroświecka w obramowaniu okrągłego kapelusza z szerokim rondem.

– Ojciec Brown! – wykrzyknął zdumiony dziennikarz. – Chyba musiał ksiądz wejść w niewłaściwe drzwi. Niemożliwe, żeby ksiądz należał do tej małej konspiracji.

– Moja konspiracja jest raczej starsza – z uśmiechem odpowiedział ojciec Brown – ale o dość szerokim zasięgu.

– Cóż – odparł Byrne – nie jest sobie ksiądz w stanie wyobrazić żadnego z tutejszych ludzi w promieniu tysiąca mil wolnego od troski księdza.

– Nie zawsze łatwo to określić – odparł ksiądz podobnym tonem – ale w gruncie rzeczy jest tu jedna osoba, która znajduje się w jej kręgu.

Zniknął w ciemnym wejściu, a dziennikarz, ogromnie zdumiony, ruszył w swoją stronę. Gdy skręcił do hotelu, żeby zdać raport swoim kapitalistycznym klientom, ten mały incydent dziwił go coraz bardziej. Ukwiecone altany i klatki dla ptaków, którymi otoczeni byli ci zręczliwi starzy dżentelmeni, zbliżały się wraz z ciągiem marmurowych stopni, na których stały złocone nimfy i trytony. W dół tych schodów zbiegł energiczny młody człowiek z czarnymi włosami, zadartym nosem i kwiatem w butonierce, który dopadł go i pociągnął w bok, zanim Byrne zdążył ruszyć na górę.

– Przepraszam – wyszeptał młodzieniec. – Jestem Potter, sekretarz starego Gide'a, rozumie pan. A teraz, tak między

nami, tam się właśnie wykuwa niezły piorun, prawda?

– Doszedłem do wniosku – ostrożnie odpowiedział Byrne – że ten Cyklop ma coś na kowadle. Zawsze jednak należy pamiętać, że Cyklop jest gigantem, ale ma tylko jedno oko. Sądzę, że bolszewizm jest...

Podczas gdy mówił, sekretarz słuchał z twarzą niemal całkowicie nieruchomą, przebierał tylko nogami. Ale gdy Byrne wypowiedział słowo „bolszewizm”, ostre oczy mężczyzny zabłyśły.

– A co to ma... och, tak, tego rodzaju piorun; bardzo przepraszam, mój błąd. Tak łatwo powiedzieć kowadło, gdy ma się na myśli lodówkę.

Po czym ów niezwykle młody człowiek zniknął w dole schodów, a Byrne ruszył w górę, coraz bardziej zdumiony.

Grupka tymczasem rozszerzyła się do czterech osób dzięki obecności człowieka o pociągłej twarzy, bardzo cienkich włosach koloru słomy i z monoklem. Człowiek ten okazał się swego rodzaju doradcą starego Gallupa, przypuszczalnie jego adwokatem, choć z całą pewnością nie był tak nazywany. Nazywał się Nares, a pytania, jakie zadawał Byrne'owi, z jakichś powodów odnosiły się głównie do liczby osób mogących być zaangażowanych w działalność tej organizacji rewolucyjnej. O tym Byrne wiedział niewiele, i powiedział jeszcze mniej. Czterej mężczyźni wreszcie wstali od stolika, a ostatnie słowo należało do człowieka, który był najbardziej milczący.

– Dziękujemy panu, panie Byrne – rzekł Stein, poprawiając okulary. – Pozostaje tylko powiedzieć, że wszystko jest gotowe – w tym punkcie generalnie zgadzam się panem Eliaszem. Jutro przed południem policja aresztuje pana Eliasa na podstawie dowodu, który do tego czasu przedstawię, i ta trójka przed nocą znajdzie się w więzieniu. Jak pan wie, próbowałem tego uniknąć. Panowie, sądzę, że to będzie wszystko.

Ale pan Jacob B. Stein następnego dnia nie złożył formalnego doniesienia z powodu, który często jest przeszkodą w działaniu

przemysłowców. Nie zrobił tego, tak się bowiem zdarzyło, że był martwy. Nie przeprowadzono też pozostałej części programu z powodu, o którym Byrne dowiedział się z gigantycznych liter, gdy otworzył poranną gazetę: „Przerażające potrójne morderstwo! Trzech milionerów zabitych jednej nocy”. Kolejne sensacyjne zdania wydrukowane były już mniejszą czcionką, tylko cztery razy większą od normalnej, co wskazywało na szczególną naturę zagadki – fakt, że trzech mężczyzn zabito nie tylko jednocześnie, lecz także w trzech mocno od siebie odległych miejscach: Stein zginął w swoim artystycznym i luksusowym wiejskim domu sto mil w głębi lądu, Wise przed swoim małym bungalowem na wybrzeżu, gdzie żył prosto w powiewach morskiej bryzy, a stary Gallup w zaroślach tuż przed bramą swojego wielkiego domu na drugim końcu kraju. We wszystkich tych trzech przypadkach nie było wątpliwości, że przed śmiercią odbyła się walka, choć ciało Gallupa zostało znalezione dopiero następnego dnia. Wisiało, ogromne i koszarne, pośród połamanych pni i gałęzi małego lasku, który został zniszczony jego ciężarem, jakby bizon wpadł na włócznie. Wise został zrzucony z klifu do morza, nie bez walki – na samej krawędzi widać było głębokie i rozmazane ślady jego stóp. Pierwszym sygnałem katastrofy był jednak jego wielki, miękki, słomkowy kapelusz, unoszący się daleko na falach, który łatwo było zauważyć z klifu. Ciało Steina początkowo także nie można było znaleźć, aż cienki ślad krwi doprowadził śledczych do łaźni zbudowanej w stylu starożytnego Rzymu, która stała w ogrodzie – Stein był bowiem człowiekiem, który lubił eksperymentować i miał upodobanie do zabytków.

Cokolwiek sobie myślał, Byrne musiał przyznać, że nie było żadnego legalnego dowodu przeciwko komukolwiek. Sam motyw morderstwa nie był wystarczający. Nawet moralna skłonność do morderstwa nie była wystarczająca. I nie był sobie w stanie wyobrazić, żeby ten blady, młody pacyfista, Henry Home, brutalnie zarżnął człowieka, choć potrafił sobie wyobrazić, że bluźnierczy Jake, a nawet ten drwiący Żyd zdolni

byli do wszystkiego. Policja i człowiek, który jej asystował (a był to nikt inny jak dosyć tajemniczy człowiek z monoklem, który został mu przedstawiony jako pan Nares) uświadamiali sobie to równie wyraźnie, jak dziennikarz.

Wiedzieli, że na ten moment bolszewicy konspiratorzy nie mogą zostać postawieni w stan oskarżenia i skazani, i że jeśli zostaną oskarżeni i uniewinnieni, to zrobi się z tego wysoce sensacyjna porażka. Nares zaczął od sprytnego zabiegu, nazywał ich swego rodzaju doradcami, zapraszał na prywatne konklawe i prosił, by dla dobra ludzkości swobodnie wyrażali swoje opinie. Swoje dochodzenie rozpoczął w miejscu najbliższej tragedii, w nadmorskim bungalowu, a Byrne'owi zezwolono na obecność przy tej interesującej scenie, która jednocześnie stała się miejscem spokojnych pertraktacji z dyplomatami i zawołowaną inkwizycją bądź przepytywaniem podejrzanych. Ku niejakiemu zaskoczeniu Byrne'a, w tym osobliwym towarzystwie, zgromadzonym przy stole w bungalowu, znalazła się przysadzista postać i sowa głowa ojca Browna, choć jego związki ze sprawą stały się jasne dopiero później. Obecność młodego Pottera, sekretarza zmarłego, była bardziej oczywista, ale jego zachowanie nie było do końca naturalne. On sam czuł się dość swobodnie w tym miejscu spotkania, a w jakimś ponurym sensie był ich gospodarzem – jakkolwiek nie dostarczył zbyt wielkiej pomocy czy informacji. Na jego okrągłej twarzy z zadartym nosem widniał wyraz bardziej nadąsania niż żalu.

Najwięcej jak zwykle mówił Jake Halket – a po człowieku jego pokroju nie oczekiwano, żeby dostosował się do uprzejmej fikcji, że on i jego przyjaciele nie są o nic oskarżani. Młody Home, w swój bardziej stonowany sposób, próbował go powstrzymać, gdy ten zaczął ubliżać mężczyznom, którzy zostali zamordowani, ale Jake zawsze gotów był lżyć zarówno przyjaciół, jak i przeciwników. W potoku przekleństw przedstawił bardzo nieoficjalny nekrolog zmarłego Gideona Wise'a. Elias siedział dość spokojny, wyraźnie obojętny,

a okulary maskowały jego oczy.

– Zapewne będzie bezużyteczne – chłodno stwierdził Nares – mówić, że pańskie uwagi są niegodne. Jeśli powiem panu, że to nie na miejscu, zapewne tylko to pana zachęci. Praktycznie przyznał pan, że nienawidził zmarłego.

– Będziesz mnie cytował, co? – warknął demagog. – Proszę bardzo. Tyle tylko, że będziecie musieli wybudować więzienie dla miliona ludzi, jeśli wsadzicie wszystkich biedaków, którzy mają powód, żeby nienawidzić Gideona Wise'a. I równie dobrze jak ja wiecie, że to prawda.

Nares milczał. Nikt nie powiedział słowa, póki ze swoim czystym akcentem, choć nieco sepleniąc, nie odezwał się Elias:

– Według mnie ta dyskusja dla obu stron jest bezowocna – powiedział. – Zebraliście nas tutaj albo po to, by uzyskać jakieś informacje, albo by poddać nas przesłuchaniu. Jeżeli nam ufacie, powiemy, że nie mamy żadnych informacji. Jeżeli nam nie ufacie, musicie nam powiedzieć, o co jesteśmy oskarżeni, albo zatrzymać to dla siebie. Nikt nie może zasugerować, że istnieje choćby najlżejszy ślad dowodów łączący któregokolwiek z nas z tymi tragediami. Równie dobrze moglibyście nas oskarżyć o zamordowanie Juliusza Cezara. Nie macie śmiałości nas aresztować i nie chcecie nam uwierzyć. Zatem w jakim celu mamy tu zostać?

Podniósł się, spokojnie zapinając płaszcz, a przyjaciele poszli za jego przykładem. Gdy ruszyli w stronę drzwi, młody Home odwrócił się i na moment zwrócił swoją bladą fanatyczną twarz ku śledczym.

– Chciałbym powiedzieć – odezwał się – że w czasie wojny trafiłem do parszywego więzienia, dlatego że godziłem się na zabijanie ludzi.

Z tymi słowami wyszli, a pozostali popatrywali po sobie ponuro.

– Nie wydaje mi się – powiedział ojciec Brown – żebyśmy w obliczu tego odwrotu mogli mówić o swoim zwycięstwie.

– Nie przeszkadza mi to – odparł Nares. – Zirytował mnie tylko

bełkot tego przeklętego łajdaka Halketa. Home przynajmniej jest dżentelmenem. Ale czegokolwiek by nie mówili, jestem całkowicie pewien, że wiedzą. Są w to zamieszani, albo przynajmniej większość z nich jest. Prawie to przyznali. Wydrwili nas, bo nie jesteśmy w stanie udowodnić, że mamy rację – nie bardziej, niż że się mylimy. Ojciec Brown, co ojciec o tym sądzi?

Ksiądz spojrzał na Naresa spojrzeniem niemal niepokojąco łagodnym i medytacyjnym.

– To w dużej mierze prawda – powiedział – że uznałem, iż ten konkretny człowiek wie więcej, niż nam powiedział. Sądzę jednak, że lepiej będzie, jeśli na razie nie wymienię jego nazwiska.

Monokl wypadł Naresowi z oka. Spojrzał ostro.

– Jak dotąd spawa jest nieoficjalna – zauważył. – Zakładam, że wie ojciec, że jeśli na późniejszym etapie będzie ukrywał informacje, to może mieć ojciec poważne kłopoty.

– Moje stanowisko jest proste – odpowiedział ksiądz. – Jestem tutaj, aby dopilnować interesów prawnych mojego przyjaciela Halketa. Sądzę, że w tych okolicznościach będzie w jego interesie, jeśli panu powiem, że niedługo odetnie się od tej organizacji i w tym sensie przestanie być socjalistą. Mam wszelkie powody by twierdzić, że prawdopodobnie skończy jako katolik.

– Halket! – z niedowierzaniem wybuchnął Nares. – Przecież przeklina księży od rana do nocy!

– Wydaje mi się, że nie do końca rozumie pan tego rodzaju ludzi – łagodnie powiedział ojciec Brown. – Przeklina księży, bo w jego opinii nie sprzeciwiają się niesprawiedliwości na świecie. Dlaczego miałby się spodziewać, że będą walczyć z niesprawiedliwością, jeśli nie dlatego, że już zaczął dopuszczać do siebie, że są, kim są? Ale nie spotkaliśmy się tutaj po to, żeby dyskutować o psychologii nawrócenia. Wspomniałem o tym wyłącznie dlatego, że to może uprościć pańskie zadanie – być może zawęzić zasięg poszukiwań.

– Jeśli to prawda, to chętnie je zawęzę do tego łajdaka Eliasa – a nie sądzę, bym kiedykolwiek spotkał bardziej przerażającego, zimnokrwistego, szyderczego diabła.

Ojciec Brown westchnął.

– Zawsze przywodził mi na myśl tego nieszczęsnego Steina – powiedział. – W gruncie rzeczy sądzę, że jest jakimś jego krewnym.

– Och, chcę tylko... – zaczął Nares, gdy drzwi otworzyły się nagle, ucinając jego protesty, i raz jeszcze do pokoju wszedł przygarbiony i blady Home. Sprawiał wrażenie, jakby to nie była jego normalna bladość, ale jakaś nowa i nienaturalna.

– Halo! – zawołał Nares, unosząc monokl. – Dlaczego pan wrócił?

Home dosyć niepewnie przeszedł przez pomieszczenie i nie mówiąc ani słowa, ciężko opadł na krzesło.

– Zgubiłem tamtych... – powiedział z jakimś oszołomieniem. – Zgubiłem się. Pomyślałem, że lepiej wrócę.

Na stole znajdowały się pozostałości kolacji i Henry Home, prohibicjonista od kołyski, nalał sobie pełen kieliszek brandy i wychylił go jednym haustem.

– Wydajesz się zdenerwowany – zauważył ojciec Brown.

Home przycisnął dłonie do czoła i odezwał się stłumionym głosem. Wydawał się zwracać wyłącznie do księdza.

– Równie dobrze mogę wam powiedzieć. Widziałem ducha.

– Ducha! – z zaskoczeniem powtórzył Nares. – Czyjego ducha?

– Ducha Gideona Wise'a, pana tego domu – oświadczył Home – stojącego nad głębią, w którą upadł.

– Och, nonsens – skwitował Nares. – Żaden rozsądny człowiek nie wierzy w duchy.

– Niezupełnie – z lekkim uśmiechem zaproponował ojciec Brown. – Dowodów na istnienie duchów jest równie dużo, jak dowodów przestępstw.

– Cóż, moją sprawą jest ściganie kryminalistów – dość szorstkim tonem odparł Nares. – Duchami niech zajmują się inni. Jeśli w tych czasach ktokolwiek chce się bać duchów, to

jego wybór.

– Nie powiedziałem, że się ich boję, choć pewnie mógłbym – odparł ojciec Brown. – Nikt nie wie, póki się nie przekona. Powiedziałem, że w nie wierzę, w każdym razie na tyle, żebyście o tym posłuchać. Panie Home, co dokładnie pan widział?

– To było tam, na skraju tych splekanych klifów – wie ksiądz, tam jest taka przerwa czy szczelina tuż nad punktem, gdzie został zepchnięty. Pozostali poszli naprzód, a ja szedłem przez wrzosowisko w stronę tej ścieżki wzdłuż klifu. Często tamtędy chodzę, bo lubię patrzeć, jak wysokie fale rozbijają się o urwiska. Dzisiaj w nocy niewiele o tym myślałem, zastanawiałem się tylko, czy morze powinno być tak wzburzone w taką jasną, księżycową noc. Widziałem białe rozbryzgi, które pojawiały się i znikwały, gdy wielkie fale wspinały się na ląd. Trzykrotnie widziałem, jak księżyc rozświetlił pianę, a potem zobaczyłem coś niepojętego. Czwarty rozbłysk tej srebrnej piany wydawał się zawisnąć na niebie. Nie opadł, choć w strasznym napięciu na to czekałem. Wydawało mi się, że zwariowałem, że czas w jakiś tajemniczy sposób zatrzymał się albo wydłużył. A potem podszedłem bliżej i chyba krzyknąłem głośno. Bo ta zawieszona piana, jakby płatki śniegu, które nie opadały, uformowała się w twarz i postać, białą jak ten lśniący trędowaty z legendy i straszną jak zatrzymana błyskawica.

– I mówisz, że to był Gideon Wise?

Home przytaknął bez słowa. Ciszę przerwał nagle Nares, który poderwał się tak gwałtownie, że przewrócił krzesło.

– Och, to jakiś kompletny nonsens – oświadczył – ale lepiej chodźmy tam i sprawdźmy.

– Ja nie pójdę – z nagłym uporem oznajmił Home. – Już nigdy w życiu nie przejdę tą ścieżką.

– Uważam, że dziś wszyscy musimy nią pójść – grobowo powiedział ksiądz – chociaż nie przeczę, że to niebezpieczna ścieżka... nawet dla więcej niż jednego człowieka.

– Ja nie... Boże, nie każcie mi – wykrzyknął Home, a jego oczy zaczęły się dziwnie wywracać. Podniósł się wraz z pozostałymi,

ale nie zrobił ani kroku w stronę drzwi.

– Panie Home – stanowczo odezwał się Nares. – Jestem oficerem policji, a ten dom, o czym może pan wiedzieć, jest otoczony przez policję. Próbuję zebrać zeznania w przyjazny sposób, ale muszę sprawdzić wszystko, choćby coś tak niemądrego jak duch. Muszę pana prosić, by zaprowadził mnie pan w miejsce, o którym pan mówił.

Zapadła kolejna chwila milczenia, podczas której Home stał, dygocząc i oddychając spazmatycznie jakby z nieopisanego strachu. Potem nagle znowu opadł na swoje krzesło.

– Nie mogę tego zrobić – powiedział zupełnie nowym i znacznie bardziej opanowanym głosem. – W sumie możecie się dowiedzieć, dlaczego. I tak prędzej czy później byście się dowiedzieli. To ja go zabiłem.

W domu zapadła cisza jak po uderzeniu pioruna. Głos ojca Browna, który rozległ się po chwili, zabrzmiał w tej koszarnej ciszy jak pisk myszki.

– Czy zabiłeś go z rozmysłem? – zapytał.

– Jak można odpowiedzieć na takie pytanie? – odparł mężczyzna na krzesle, ogryzając markotnie palec. – Chyba byłem szalony. Był nieznośny i beczelny, wiem. Byłem na jego ziemi i chyba mnie uderzył; w każdym razie zaczęliśmy się szarpać i spadł z klifu. Gdy znalazłem się już daleko, dotarło do mnie, że popełniłem zbrodnię, która odcina mnie od ludzkości. Na moim czole i w umyśle pojawiła się pieczęć kainowa. Po raz pierwszy dotarło do mnie, że naprawdę zabiłem człowieka. Wiedziałem, że prędzej czy później muszę się do tego przyznać. – Wyprostował się nagle na krzesle. – Ale nie powiem nic przeciwko komuś innemu. Nie pytajcie mnie o plany czy współników – nic nie powiem.

– W świetle pozostałych morderstw – powiedział Nares – trudno uwierzyć, żeby ta kłótnia była tak przypadkowa. Z pewnością ktoś tu pana przysłał!

– Nic nie powiem przeciwko nikomu, z kim pracowałem – z dumą oświadczył Home. – Jestem mordercą, ale nie będę

zdrajcą.

Nares stanął pomiędzy mężczyzną a drzwiami i oficjalnym tonem wezwał kogoś z zewnątrz.

– I tak tam pójdziemy – cichym głosem powiedział do sekretarza – ale ten człowiek musi zostać pod strażą.

Zgromadzeni generalnie mieli odczucie, że po wyznaniu mordercy wycieczka na klif w pogoni za duchami nie miała większego sensu. Ale Nares, choć najbardziej z nich sceptyczny i pogardliwy, uznał, że jego obowiązkiem jest zajrzeć pod każdy kamień – można by powiedzieć, że pod każdy nagrobek. Mimo wszystko kruszący się klif był jedynym nagrobkiem nad morskim grobem nieszczęsnego Gideona Wise'a. Nares, wychodząc z domu jako ostatni, zamknął drzwi na klucz i ruszył za pozostałymi przez wrzosowisko w stronę klifu, gdzie z zaskoczeniem ujrzał, jak młody Potter, sekretarz zmarłego, wraca ku niemu szybkim krokiem, z twarzą w świetle księżyca równie białą, jak sam księżyc.

– Sir, na Boga – powiedział, odzywając się tej nocy po raz pierwszy – tam naprawdę coś jest. To... to coś zupełnie takiego jak on.

– Chyba pan majaczy – detektywa zamurowało. – Wszyscy majaczą.

– Sądzi pan, że bym go nie poznał?! – ze szczególną goryczą wykrzyknął sekretarz. – Mam swoje powody.

– Być może – ostrym tonem powiedział Nares – to właśnie pan miał powód, by go nienawidzić, jak powiedział Halket.

– Być może – odparł sekretarz. – W każdym razie go znam i powiadam panu, że może go pan zobaczyć, jak stoi tam sztywno i gapi w ten piekielny księżyc.

I wskazał w stronę szczeliny w klifach, gdzie można już było dostrzec coś, co mogło być promieniem księżycowego światła albo rozbryzgiem piany, ale co zaczęło wyglądać bardziej solidnie. Ostrożnie podeszli sto jardów bliżej, a to coś wciąż stało nieporuszone i wyglądało jak posąg ze srebra.

Sam Nares wyglądał nieco blado i stojąc, dumając, co począć.

Potter był wyraźnie równie przerażony, jak Home. Nawet Byrne, twardy reporter, raczej nie był szczególnie ochoczy, żeby podchodzić bliżej, niż musiał. Nie mógł powstrzymać się od nieco niezwykłej myśli, że jedynym człowiekiem, który zdawał się nie obawiać tego ducha, był ten, który otwarcie powiedział, że może się go bać. Ojciec Brown szedł spokojnie swoim ciężkim krokiem, jakby zamierzał spojrzeć na tablicę ogłoszeń.

– Nie wydaje się być ojciec szczególnie przejęty – powiedział do księdza Byrne – a myślałem, że ojciec jest spośród nas jedynym, który wierzy w duchy.

– Skoro już o tym mowa – odpowiedział ojciec Brown – to sądziłem, że pan był tym, który w nie nie wierzył. Ale wiara w duchy to jedna sprawa, a wiara w ducha całkiem inna.

Byrne wyglądał na nieco zawstydzonego i w zimnym świetle księżycy prawie ukradkowo zerkał na zerodowany cypel, gdzie znajdowała się zjawa czy też złudzenie.

– Nie wierzyłem, póki nie zobaczyłem – powiedział.

– A ja wierzyłem, póki nie zobaczyłem – odparł ojciec Brown.

Dziennikarz patrzył za nim, gdy zdecydowanie ruszył przez wielką, pustą połąć ziemi wznoszącą się w stronę cypla rozszczepionego jak zbocze wzgórza przecięte na dwoje. W odbierającym kolory świetle księżycy trawa wyglądała jak długie szare włosy zaczesane przez wiatr w jedną stronę i wydawała się wskazywać miejsce, gdzie na pękającym klifie widać było blade przebłyski kredy w szarozielonej darni, i gdzie stała blada postać lśniącej barwy, której nikt jeszcze nie rozumiał. Jak dotąd ta blada figura dominowała nad opuszczonym krajobrazem, pustym poza czarną, kwadratową i solidną postacią księdza, który zbliżał się do niej samotnie. Wtedy uwięziony Home nagle wyrwał się swoim strażnikom i ruszył biegiem w stronę księdza, po czym padł przed zjawą na kolana.

– Przyznałem się – usłyszeli jego krzyki. – Dlaczego przyszedłeś im powiedzieć, że cię zabiłem?

– Przyszedłem powiedzieć, że tego nie zrobiłeś – odezwał się

duch i wyciągnął ku niemu rękę.

Wówczas klęczący poderwał się z całkiem innym krzykiem. Wiedzieli, że była to ręka z krwi i kości.

To była najbardziej niezwykła ucieczka przed śmiercią w ostatnich czasach, pomyśleli doświadczony detektyw i nie mniej doświadczony dziennikarz. Jednak, w pewnym sensie, było to mimo wszystko bardzo proste. Od klifu cały czas odpadały odłamki, a niektóre wpadały w gigantyczną szczelinę, tworząc jakby półkę czy kieszeń tam, gdzie spodziewać się można było upadku przez ciemność prosto do morza. Stary człowiek, który był bardzo twardym i sprawnym staruszkiem, spadł w tę kieszeń i spędził dość okropne dwadzieścia cztery godziny, próbując wspiąć się po odłamkach, które ciągle się osuwały, ale ostatecznie ułożyły się w swego rodzaju schody i pozwoliły mu się wydostać. To mogło tłumaczyć optyczne złudzenie Home'a dotyczące białej fali, która pojawiała się i znikła, aż wreszcie stanęła w miejscu. Jednak tak czy inaczej był to Gideon Wise, cały i zdrowy, z białymi włosami, w pokrytym białym pyłem ubraniu i z surową twarzą, która jednak była znacznie mniej surowa niż zazwyczaj. Być może spędzenie dwudziestu czterech godzin na półce skalnej, czując na karku oddech wieczności, dobrze robi milionerom. W każdym razie nie tylko wyzbył się całej złości na przestępcę, lecz także zdał relację, która znacznie zmodyfikowała samo przestępstwo. Oświadczył, że Home wcale go nie zepchnął, że załamał się pod nim coraz słabszy grunt, i że Home próbował go nawet ratować.

– Stojąc na tej opatrnościowej skale – oświadczył uroczyście – złożyłem Bogu przysięgę, że wybaczę moim wrogom, a Bóg uznałby za niegodne, gdybym nie wybaczył tego drobnego wypadku.

Home oczywiście musiał zostać pod nadzorem policji, ale detektyw nie ukrywał sam przed sobą, że areszt raczej nie potrwa długo, a kara, o ile w ogóle jakaś będzie, okaże się znikoma. Nie każdy morderca może skorzystać z zeznania

zamordowanego.

– To dziwna sprawa – stwierdził Byrne, gdy detektyw wraz z pozostałymi oddalił się ścieżką wzdłuż klifu w stronę miasteczka.

– W istocie – zgodził się ojciec Brown. – To nie nasza sprawa, ale chciałbym, żeby pan został ze mną i porozmawiał o niej.

– Przypuszczam, że gdy powiedział ksiądz, że ktoś nie mówi wszystkiego, co wie, to już myślał ksiądz o Homie – znienacka, po chwili ciszy, odezwał się Byrne.

– Gdy to powiedziałem – odparł jego przyjaciel – myślałem o niezmiernie milczącym panu Potterze, sekretarzu niezmarłego, że tak powiem, nieodżałowanego pana Gideona Wise'a.

– Cóż, ten jeden raz, gdy Potter w ogóle się odezwał, pomyślałem, że bredzi – z namysłem powiedział Byrne – ale nigdy nie sądziłem, żeby był przestępcą. Powiedział, że to wszystko ma coś wspólnego z lodówką.

– Tak, sądziłem, że coś wie – z zadumą przyznał ojciec Brown. – Nigdy nie powiedziałem, jakoby miał z tym coś wspólnego... Przypuszczam, że stary Wise faktycznie ma dość siły, żeby wygrzebać się z tego osypiska.

– Co chce ksiądz powiedzieć? – zapytał zdziwiony reporter. – Oczywiście, że wydostał się z tego osypiska. Przecież tu jest.

Ksiądz nie odpowiedział na to pytanie.

– Co pan sądzi o Homie? – zapytał niespodziewanie.

– Cóż, nie można go w zasadzie nazwać kryminalistą – odparł Byrne. – W żadnym razie nie przypomina żadnego znanego mi przestępcy, a mam niejaki doświadczenie – a Nares oczywiście ma znacznie większe. Nie wydaje mi się, żebyśmy w ogóle wierzyli, że jest przestępcą.

– I nigdy go o to nie posądzałem – cicho powiedział ksiądz. – Pan może wiedzieć więcej o przestępcach. Jednak jest pewna klasa ludzi, o których przypuszczalnie wiem więcej od pana czy nawet od Naresa, skoro już o tym mowa. Znam ich całkiem sporo i znam ich małe sposoby.

– Pewna klasa ludzi – powtórzył zaintrygowany Byrne. – O jakiej klasie ksiądz mówi?

– O pokutnikach – odparł ojciec Brown.

– Nie do końca rozumiem – przyznał się Byrne. – Chce ksiądz powiedzieć, że nie wierzy w jego przestępstwo?

– Nie wierzę w jego wyznanie – odpowiedział kapłan. – Wysłuchałem mnóstwa spowiedzi i nigdy żadnej równie szczerzej. To było romantyczne, jakby prosto z książki. Niech pan sobie przypomni, jak mówił o piętnie Kaina. To jest z książek. To nie jest rzecz, którą się czuje, jeśli własnoręcznie zrobiło się coś, co do tej pory uważało się za straszne. Powiedzmy, że jest pan uczciwym urzędnikiem albo sprzedawcą wstrząśniętym pierwszą w życiu kradzieżą pieniędzy. Czy pańską pierwszą myślą byłoby to, że zrobił pan to samo, co Barabasz? Powiedzmy, że w przyływie ślepej wściekłości zabił pan dziecko. Czy rozmyślałby pan o historii, aż doszedłby pan do tego idumejskiego władcy o imieniu Herod? Niech mi pan wierzy, pańskie własne zbrodnie są zbyt obrzydliwie prywatne i prozaiczne, żeby pańskie pierwsze myśli biegły ku paralelom historycznym, choćby i odpowiednim. A dlaczego twierdził, że nie pogrąży kolegów? Pogrążył ich przez same te słowa. Jak dotąd nikt go nie prosił, by zeznawał przeciwko komukolwiek. Nie, nie sądzę, żeby był szczerzy i nie dałbym mu rozgrzeszenia. Jeszcze tego by brakowało, żeby ludzie dostawali rozgrzeszenie za coś, czego nie zrobili.

Ojciec Brown z odwróconą głową spokojnie patrzył na morze.

– Ale nie rozumiem, do czego ksiądz zmierza – wykrzyknął Byrne. – Co przyjdzie z podejrzenia go, skoro został ułaskawiony? Tak czy inaczej ma to za sobą. Jest w miarę bezpieczny.

Ojciec Brown okręcił się jak bąk i z nieoczekiwanym i niewytłumaczalnym podnieceniem chwycił przyjaciela za płaszcz.

– I w tym rzecz! – wykrzyknął z przejęciem. – Niech pan to zapamięta! Jest w miarę bezpieczny. Ma to za sobą. Właśnie

dlatego jest kluczem do tej zagadki.

– O rany – słabo powiedział Byrne.

– Chcę powiedzieć – ciągnął ksiądz – że jest w to zamieszany, ponieważ jest z boku. I oto całe wytłumaczenie.

– I to oczywiście zupełnie jasne wytłumaczenie – podejrzliwie mruknął dziennikarz.

Przez jakiś czas stali w milczeniu i wpatrywali się w morze, po czym ojciec Brown odezwał się wesoło:

– I w ten sposób wracamy do lodówki. Gdy wszystko pójdzie źle, wiele gazet i osób publicznych też postępuje źle. A to dlatego, że zakładacie, że we współczesnym świecie nie ma niczego, co można by zwalczać, z wyjątkiem bolszewizmu. Ta historia nie ma nic wspólnego z bolszewizmem, może poza przykrywką.

– Nie bardzo widzę, jak to możliwe – zaprotestował Byrne. – Mamy trzech zamordowanych milionerów zajmujących się tym samym...

– Nie! – ostrym, dźwięcznym głosem przerwał mu ksiądz. – Nic podobnego. I w tym właśnie rzecz. Nie mamy trzech zamordowanych milionerów. Mamy dwóch zamordowanych milionerów. Trzeci jest jak najbardziej żywy i gotowy do działania. I ten trzeci milioner uwolnił się na zawsze od zagrożenia, które wisiało mu nad głową, a które sam pan poznał, wyrażone w uprzejmej formie, podczas rozmowy w hotelu, którą pan przytoczył. Gallup i Stein grozili bardziej staroświeckiemu i niezależnemu kupcowi, że jeśli nie przystanie na ich plan, to zamrożą jego działania. Stąd oczywiście ta lodówka.

Po chwili mówił dalej.

– We współczesnym świecie bez wątpienia działa ruch bolszewicki i z całą pewnością trzeba go powstrzymać, chociaż nie bardzo wierzę w wasz sposób na jego powstrzymanie. Nikt jednak nie zauważył, że istnieje inny ruch, równie współczesny i równie silny – wielki ruch na rzecz monopolu albo łączenia przedsiębiorstw w trusty. To także rewolucja. Ten ruch również

produkuje to, co produkują wszystkie rewolucje. Ludzie będą zabijać w jego imię albo w geście sprzeciwu wobec niego, jak to robią w imię bolszewizmu bądź przeciwko niemu. Ma swoje ultimata, swoje inwazje i swoje egzekucje. Ci magnaci handlowi mają swoje dwory jak jacyś królowie, mają swoich strażników i siepaczy, mają swoich szpiegów w obozach wroga. Home był szpiegiem starego Gideona w jednym z takich nieprzyjacielskich obozów, tutaj jednak został wykorzystany przeciwko innemu wrogowi: przeciwko rywalom, którzy go rujnowali za to, że trzymał się osobno.

– Nadal nie do końca rozumiem, w jaki sposób został wykorzystany – powiedział Byrne.

– Nie rozumie pan – ostro wykrzyknął ojciec Brown – że dali sobie nawzajem alibi?

Byrne wciąż spoglądał na niego z pewnym powątpiewaniem, choć na twarzy zaczynało mu wykwitać zrozumienie.

– To właśnie miałem na myśli – kontynuował ojciec Brown – gdy mówiłem, że są w to zamieszani, bo są z boku. Większość ludzi powiedziała by, że nie mają związku z pozostałymi dwiema zbrodniami, bo byli zaangażowani w tę. A rzecz ma się tak, że byli zaangażowani w tamte dwie, ponieważ nie byli w tę; ponieważ ta w ogóle nie miała miejsca. To oczywiście bardzo dziwaczne i nieprawdopodobne alibi. Nieprawdopodobne i z tego powodu nie do sprawdzenia. Większość ludzi uznałaby, że skoro człowiek przyznaje się do morderstwa, to musi być szczery; człowiek, który swojemu mordercy wybacza, musi być szczery. Nikt nie pomyśli nawet, że to się nigdy nie zdarzyło, tak więc ten jeden człowiek nie ma czego wybaczać, a drugi nie ma się czego bać. Tej nocy sama historia postawiła ich naprzeciwko siebie. Ale tej nocy ich tu nie było – Home mordował starego Gallupa w Wood, a Wise dusił tego małego Żyda w jego rzymskiej łaźni. To dlatego zadałem pytanie, czy Wise faktycznie jest dość silny na przygodę ze wspinaczką.

– To była całkiem niezła przygoda – z żalem powiedział Byrne.

– Pasowała do krajobrazu i była naprawdę bardzo

przekonująca.

– Zbyt przekonująca, żeby przekonać – odparł ojciec Brown, kręcąc głową. – Jakże wyrazista była ta piana przeświecona światłem księżyca, gdy wytrysnęła i zmieniła się w ducha. I jakaż poetycka! Home to kapuś i kanalia, ale nie wolno zapomnieć, że jak wielu innych kapusiów i kanalii w historii, jest również poetą.

TAJEMNICA OJCA BROWNA

CZŁOWIEK Z DWIEMA BROADAMI

Tę historię ojciec Brown opowiedział profesorowi Crake'owi, cenionemu kryminologowi, po kolacji w klubie, podczas której zostali sobie przedstawieni jako ludzie dzielący nieszkodliwe hobby badania morderstw i rabunków. Jednak o ile wersja ojca Browna minimalizowała jego własny udział w sprawie, o tyle tu została przedstawiona w bardziej obiektywny sposób. Powstała z żartobliwego skrzyżowania broni, podczas którego profesor był bardzo naukowy, a ksiądz raczej sceptyczny.

– Drogi panie – z wymówką powiedział profesor – nie wierzy pan w kryminologię jako naukę?

– Nie mam pewności – odpowiedział ojciec Brown. – A pan uważa hagiologię za naukę?

– A cóż to takiego? – ostro zapytał specjalista.

– Nie, to nie są badania nad wiedźmami i nie ma nic wspólnego z paleniem czarownic^[21] – z uśmiechem odparł ksiądz. – To badania nad świętymi rzeczami, świętymi ludźmi i tym podobnymi. Rozumie pan, Mroczne Wiekі próbowały stworzyć naukę o dobrych ludziach. Ale nasz własny wiek, humanistyczny i oświecony, interesuje się wyłącznie nauką o złych. Sądzę jednakże, że nasze ogólne doświadczenie jest

takie, że świętym został każdy wyobrażalny typ człowieka. I podejrzewam, że odkryje pan, że również mordercami zostawali ludzie wszystkich możliwych typów.

– Cóż, wierzymy, że morderców da się całkiem skutecznie sklasyfikować – zauważył Crake. – Lista wydaje się dość długa i nudna, i uważam, że to męczące. Po pierwsze, zabijanie można podzielić na racjonalne i nieracjonalne, i najpierw zajmiemy się tym drugim, bo jest znacznie rzadsze. Istnieje coś takiego jak mordercza mania, albo ogólne uwielbienie dla jatki. Istnieje coś takiego jak irracjonalna antypatia, choć bardzo rzadko bywa ona mordercza. Potem przechodzimy do faktycznych motywów: pośród nich niektóre są mniej racjonalne w znaczeniu, że są romantyczne i retrospektywne. Akty czystej zemsty albo zemsty beznadziejnej. Takie jak kochanek, który czasem zabije rywala, którego nie ma szans zastąpić, albo buntownik mordujący tyrana, gdy zakończy się podbój. Znacznie częściej jednak nawet takie działania mają racjonalne wytłumaczenie. Są mordercy ożywiani nadzieją. Podpadają pod większą część drugiego podziału, do tego, co możemy nazwać zbrodniami z rozsądku. Tutaj znowu podpadają pod dwa główne opisy. Człowiek zabija kogoś bądź w celu przejęcia jego własności, nabytej drogą kradzieży lub spadku, albo żeby powstrzymać innego człowieka od określonego zachowania – jak w przypadku zabicia szantażysty albo przeciwnika politycznego, albo – w przypadku przeszkód raczej pasywnej natury – męża lub żonę, których życie koliduje z innymi rzeczami. Tę klasyfikację uważamy za dogłębnie przemyślaną i sądzimy, że przy odpowiednim podejściu określa wszystkie możliwości. Obawiam się jednak, że nie brzmi to szczególnie efektownie. Mam nadzieję, że pana nie nudzę.

– Skądże znowu – powiedział ojciec Brown. – Jeśli sprawiam wrażenie trochę rozkojarzonego, proszę o wybaczenie. Po prawdzie myślę o człowieku, którego niegdyś znałem. Był mordercą. Rzecz w tym, że nie potrafię go dopasować do pańskiej kolekcji. Nie był szaleńcem, nie lubował się też

w zabijaniu. Nie czuł nienawiści do człowieka, którego zamordował – ledwie go znał i z pewnością nie miał się za co na nim mścić. Ten drugi nie posiadał niczego, czego tamten mógłby pragnąć. Nie zachowywał się w sposób, który morderca chciałby przerwać. Ten zamordowany mężczyzna nie miał możliwości, aby skrzywdzić, przeszkodzić ani nawet w jakikolwiek sposób wpłynąć na mordercę. W sprawę nie była zaangażowana żadna kobieta. Nie było tam żadnej kwestii politycznej. Człowiek ten zabił innego człowieka, który był mu praktycznie obcy, i to z bardzo dziwnego powodu, który prawdopodobnie jest wyjątkowy w historii ludzkości.

I tak, w swoim bardziej konwersacyjnym stylu, opowiedział tę historię. Opowieść zaczęła się w dostatecznie szacownym miejscu, przy stole śniadaniowym godnej i zamożnej podmiejskiej rodziny o nazwisku Bankes, gdy normalna dyskusja o wiadomościach z gazety raz jeden została zastąpiona dyskusją o zagadce bliższej domu. Ludzi takich czasami oskarża się o plotkowanie o sąsiadach, ale w tej kwestii są oni niemal nieludzko niewinni. Mieszkańcy wiosek snują opowieści o swoich sąsiadach, prawdziwe i fałszywe, ale interesująca kultura współczesnych przedmieść uwierzy we wszystko, co w gazetach napisano o chorobie papieża czy męczeńskiej śmierci króla Wysp Kanibali, i podekscytowana takimi tematami, nie ma pojęcia, co dzieje się w domu obok. Jednakże w tym przypadku te dwie formy zainteresowania zbiegły się w przypadku o przejmującej intensywności. O ich własnych przedmieściach wspomniano w ich ulubionej gazecie. Gdy ujrzeli w druku nazwę swojej okolicy, uznali to za swego rodzaju nowy dowód na swoje istnienie. Było to niemal tak, jakby dotąd byli nieświadomi i niewidzialni, teraz zaś stali się równie realni, jak król Wysp Kanibali.

W gazecie napisano, że sławny niegdyś przestępca, znany jako Michael Moonshine, posługujący się również mnóstwem innych nazwisk, które przypuszczalnie nie należały do niego, został zwolniony niedawno z więzienia po odbyciu długiego wyroku za

liczne włamania, i że miejsce jego pobytu utrzymywane jest w tajemnicy, ale uważa się, że zamieszkał na przedmieściach, które dla wygody nazywać będziemy Chisham. Podsumowanie niektórych jego słynnych brawurowych wyczynów i ucieczek zostało przedstawione w tym samym artykule. Ze względu na charakter tego rodzaju prasy, przeznaczonej dla tego typu czytelników, zakłada się, że odbiorca nie ma wspomnień. Podczas gdy wieśniak postaci banitów takich jak Robin Hood czy Rob Roy zapamięta na wieki, sprzedawca ledwie będzie pamiętał nazwisko przestępcy, o którego dwa lata wcześniej wyklócał się w tramwajach i metrze. Niemniej Michael Moonshine naprawdę przejawiał swoiste heroiczne łajdactwo Robina Hooda albo Roba Roya. Wart był, aby znaleźć się w legendach, a nie tylko w wiadomościach. Był zanadto sprawnym włamywaczem, żeby być mordercą. Jednak jego straszliwa siła i łatwość, z jaką powalił policjantów, jakby to były kręgle, związał ich i zakneblował, wprawił ludzi w oszołomienie, dodając jakby ostateczne tchnienie lęku albo zagadkowości do faktu, że nigdy ich nie zabijał. Ludzie niemalże mieli odczucie, że gdyby to zrobił, byłby bardziej ludzki.

Pan Simon Bankes, ojciec rodziny, był jednocześnie bardziej czytany i bardziej staroświecki od pozostałych. Był krzepkim mężczyzną, z krótką, szarą brodą i brwiami, poznaczonym przez zmarszczki. Przeszedł do anegdot i wspomnień, pamiętając wyraźnie czasy, gdy londyńczycy leżeli rozbudzeni i nasłuchiwali Mike'a Moonshine'a tak, jak to robili w przypadku Spring Heeled Jacka^[22]. Żona pana Bankesa była szczupłą, śniadą kobietą. Miała w sobie swego rodzaju kostywną elegancję, jako że jej rodzina miała znacznie więcej pieniędzy od rodziny jej męża, choć była gorzej wykształcona. Posiadała nawet bardzo cenny szmaragdowy naszyjnik, co dawało jej prawo do zabierania głosu w dyskusji na temat złodziei. Ich córka, Opal, była równie szczupła i śniada i przypuszczano, że była medium – w każdym razie za taką

sama się uważała – w domu bowiem tego nie pochwalano. Duchy o zapędach astralnych zostały stanowczo poinformowane, by nie materializowały się jako członkowie dużej rodziny. Był jeszcze syn John, tęgi młodzik, szczególnie hałaśliwy w wyrażaniu swojego braku zaciekawienia dla rozwoju duchowego siostry, poza tym wyróżniał się jedynie swoim zainteresowaniem samochodami. Wydawało się, że zawsze albo właśnie sprzedaje jakiś samochód, albo kupuje kolejny, a dzięki jakiemuś procesowi, którego teoretycy ekonomii nie potrafili rozgryźć, zawsze, kiedy sprzedał artykuł zepsuty albo nieudany, udawało mu się kupić lepszy. Następnie był syn Phillip, młody człowiek o ciemnych, kręconych włosach, którego cechą charakterystyczną była słabość do strojów; z pewnością jest to część obowiązków asystenta maklera giełdowego, ale, jak sugerował makler, z pewnością nie całość. Wreszcie na tej scenie pojawił się przyjaciel rodziny, Daniel Devine, który również był śniady i wykwintnie odziany, ale brodę miał przystrzyżoną na nieco cudzoziemską modłę i z tego powodu wielu ludziom wydawał się nieco niepokojący.

To właśnie Devine wskazał nagłówek w gazecie, taktownie wykorzystując go jako efektywne narzędzie rozpraszające coś, co wyglądało na początek niewielkiej rodzinnej kłótni: młoda Opal zaczęła opisywać wizję, którą miała, białych twarzy unoszących się w ciemności za jej oknem, a John Bankes próbował obalić te rewelacje z większą niż zazwyczaj żarliwością.

Jednak gazetowa wzmianka o nowym i być może niebezpiecznym sąsiedzie wkrótce wywołała bardziej przyziemną rozmowę.

– To przerażające! – wykrzyknęła pani Bankes. – To musi być ktoś z nowo osiadłych, ale kto?

– Nie kojarzę żadnych nowych sąsiadów – odparł jej mąż – poza sir Leopoldem Pulmanem w Beechwood House.

– Mój drogi – odrzekła dama – nie opowiadaj bzdur. Sir Leopold! Już prędzej jego sekretarz – dodała po chwili. – Ten

mężczyzna z bokobrodami. Zawsze powtarzałam, odkąd kupił ten dom, że Phillip powinien być mieć...

– Nic z tego – ospale powiedział Phillip, co było jedynym jego wkładem w rozmowę.

– Jedynym, o którym wiem – zauważył Devine – jest ten człowiek o nazwisku Carver, który zatrzymał się na farmie Smitha. Prowadzi bardzo spokojne życie, ale jest całkiem interesującym rozmówcą. Wydaje mi się, że John prowadził z nim jakieś interesy.

– Wie co nieco o samochodach – przyznał monomaniak John.
– Gdy wsiądzie do mojego nowego wozu, dowie się jeszcze więcej.

Devine uśmiechnął się lekko; wszyscy byli zagrożeni gościnnością Johna. Potem dodał z namysłem:

– Takie mam też odczucia. Wie dużo o prowadzeniu samochodu i podróżowaniu, i aktywnym zwiedzaniu świata, a jednak cały czas siedzi w domu i kręci się wokół starych uli Smitha. Powiada, że ciekawi go jedynie społeczność pszczół, i że właśnie dlatego zatrzymał się u Smitha. Jak na takiego rodzaju człowieka to bardzo spokojne hobby. W każdym razie nie mam wątpliwości, że samochód Johna nieco nim wstrząśnie.

Gdy tego wieczoru Devine wyszedł z domu przyjaciół, na twarzy miał wyraz skupionego namysłu. Być może jego myśli warte są naszej uwagi nawet na tym etapie, wystarczy jednak powiedzieć, że ich wynikiem było postanowienie, aby niezwłocznie złożyć wizytę panu Carverowi w domu pana Smitha. Gdy szedł w tamtą stronę, napotkał Barnarda, sekretarza w Beechwood House, podejrzanego ze względu na tyczkowatą postać i wielkie bokobrody, które pani Bankes uważała za przejaw nieprawości. Ich znajomość była powierzchowna, a rozmowa krótka i zwyczajna, lecz Devine wydawał się znaleźć w niej pożywkę do dalszych rozmyślań.

– Proszę wybaczyć, że pytam – powiedział nagle – ale czy to prawda, że lady Pulman trzyma w domu jakąś niezwykle słynną biżuterię? Nie jestem zawodowym złodziejem, słyszałem jednak,

że pewien złodziej się tutaj kręci.

– Przekażę jej, żeby miała na nią oko – odpowiedział sekretarz.
– Prawdę mówiąc, sam już ośmieliłem się ją ostrzec. Mam nadzieję, że mnie posłucha.

Gdy rozmawiali, tuż za nimi rozległ się koszmarny ryk klaksonu i zatrzymał się przy nich John Bankes, rozpromieniony za kierownicą. Kiedy usłyszał, dokąd wybiera się Devine, stwierdził, że jest to również jego cel, chociaż jego ton wskazywał raczej, że proponowanie ludziom przejażdżki sprawia mu szczególną radość. Sama jazda minęła przy ciągłych zachwytach nad samochodem, tym razem dotyczących głównie kwestii jego przystosowania do pogody.

– Zamyka się szczelnie jak skrzynka – powiedział – a otwiera równie łatwo... równie łatwo, jak otwiera się usta.

W owym momencie usta Devine'a niezbyt łatwo się otwierały, więc na farmę Smitha dotarli przy dźwiękach monologu. Przejeżdżając przez zewnętrzną bramę, Devine wypatrzył człowieka, którego szukał, bez wchodzenia do domu. Mężczyzna spacerował po ogrodzie z rękami w kieszeniach. Na głowie miał wielki, miękki kapelusz słomkowy. Twarz pod rondem była pociągła i z dużym podbródkiem. Miękki brzeg nakrycia głowy zaciemniał górną część twarzy tak, że wyglądała nieco jak maska. W tle widać było rząd stojących na słońcu uli, a pośród nich starszego człowieka, przypuszczalnie pana Smitha, oraz jego towarzysza, niskiego, o przeciętnym wyglądzie mężczyznę w czarnym księżym stroju.

– Panie Carver! – wybuchnął nieposkromiony John, zanim Devine zdążył wypowiedzieć choć słowo grzecznego powitania. – Przyjechałem zabrać pana na przejażdżkę. Zobacz pan, że jest lepszy od Thunderbolta.

Pan Carver zdołał rozciągnąć wargi w słabym uśmiechu, który miał wyrażać wdzięczność, ale wypadł raczej ponuro.

– Obawiam się, że dziś wieczorem będę zbyt zajęty na takie przyjemności – powiedział.

– Jak się miewają pszczoły? – równie enigmatyczne zapytał

Devine. – Pańskie owady muszą być bardzo zajęte, skoro zatrzymują pana na całą noc. Zastanawiałam się, czy...

– Tak? – ponaglił Carver z pewnym chłodnym wyzwaniem.

– Cóż, mówi się, że powinno się kosić siano, póki świeci słońce – powiedział Devine. – Może pan zbiera miód przy świetle księżyca.

Z cienia pod szerokim rondem kapelusza błysnęły oczy.

– Być może w interesach przydaje się trochę światła księżyca – powiedział. – Ale ostrzegam pana, że moje pszczoły nie tylko robią miód. Także żądają.

– Przejedzie się pan samochodem? – dopytywał John.

Ale Carver, choć jakby porzucił złowrogie aluzje w rozmowie z Devine'em, wciąż uprzejmie odmawiał.

– Nie mogę pojechać – powiedział. – Mam dużo pisania. Być może byłby pan tak uprzejmy i zabrał na przejażdżkę moich przyjaciół, jeśli chciałby pan mieć towarzystwo. To moi przyjaciele – pan Smith i ojciec Brown.

– Oczywiście – wykrzyknął Bankes. – Niech wszyscy jadą.

– Bardzo dziękuję – odpowiedział ojciec Brown. – Obawiam się, że będę musiał zrezygnować. Za kilka minut muszę iść na błogosławieństwo.

– Zatem zostaje panu pan Smith – powiedział Carver jakby ze zniecierpliwieniem. – Jestem pewien, że Smith z radością zabierze się na przejażdżkę.

Smith nie przejawiał radości na myśl o czymkolwiek. Był dziarskim, małym staruszkim z bardzo porządną peruką – jedną z tych, które wyglądają równie naturalnie jak kapelusz. Jej żółty odcień nie pasował do jego bezbarwnej cery. Pokręcił głową.

– Pamiętam, jak dziesięć lat temu jechałem tą drogą – powiedział z uprzejmym uporem – w jednym z tych urządzeń. Wracałem od siostry z Holmgate. Od tamtej pory nigdy nie znalazłem się na tej drodze w samochodzie. To była ciężka jazda, mówię wam.

– Dziesięć lat temu! – szydził John Bankes. – A dwa tysiące lat

temu jechał pan wozem zaprzężonym w woły. Nie sądzi pan, że przez dziesięć lat samochody się zmieniły – a także drogi, skoro już o tym mowa? W moim małym wozie nawet nie czuć, że koła się obracają. Można by pomyśleć, że się lata.

– Pan Smith z pewnością chętnie się o tym przekona – nalegał Carver. – Niechże pan jedzie do Holmgate, panie Smith, powinien pan odwiedzić swoją siostrę. Niech pan do niej jedzie i może zostanie tam na noc.

– Zawsze odwiedzam siostrę piechotą. Nie ma potrzeby, by pan Bankes robił sobie kłopot – powiedział stary Smith.

– Ale proszę pomyśleć, jaka będzie zabawa, gdy pańska siostra zobaczy, jak podjeżdża pan w samochodzie! – zawołał Carver. – Naprawdę powinien pan pojechać. Niechże pan nie będzie taki samolubny.

– Tak jest – z radosną życzliwością sekundował mu Bankes. – Niech pan nie będzie samolubem. Nic się panu nie stanie. Chyba się pan nie boi?

– Cóż... – mruknął pan Smith, mrugając z zakłopotaniem. – Nie chcę być samolubny i nie sądzę, żebym się bał... Skoro przedstawia pan to w taki sposób, to z panem pojedę.

Odjechali we dwójkę pośród pozdrowień i machania dłońmi, co w jakiś sposób sprawiło, że wyglądali jak weselący się tłum.

W chwili gdy samochód zniknął z pola widzenia, pan Carver odwrócił się do swoich towarzyszy.

– Cóż... – powiedział jakby przepaszająco.

Brzmiała w tym ta dziwna serdeczność, która jest przeciwieństwem gościnności. Taka wyraźna jowialność jest tym samym, co odprawa.

– Będę musiał iść – zreflektował się Devine. – Nie wolno przeszkadzać pracowitym pszczołkom. Obawiam się, że niewiele mi wiadomo o pszczołach. Czasami trudno mi odróżnić pszczołę od osy.

– Trzymam także osy – odpowiedział tajemniczy pan Carver.

Gdy jego goście odeszli już kilka jardów w dół ulicy, Devine dość impulsywnie odezwał się do swojego towarzysza:

– To była dość dziwaczna scena, nie sądzi ksiądz?

– Owszem – przyznał ojciec Brown. – A co pan o niej sądzi?

Devine popatrzył na człowieczka w czerni i coś w spojrzeniu jego wielkich, szarych oczu skłoniło go do mówienia.

– Wydaje mi się – odpowiedział – że Carverowi bardzo zależało, aby mieć dziś w nocy dom dla siebie. Ksiądz też odniósł takie wrażenie?

– Mam swoje wrażenia – odparł ksiądz – ale nie jestem pewien, czy są takie same jak pańskie.

Tego wieczora, gdy w ogrodach otaczających posiadłość ostatni promień światła zmienił się w ciemność, Opal Bankes z roztargnieniem nawet większym niż zazwyczaj snuła się po mrocznych i pustych pokojach, a każdy, kto przyjrzałby się jej z bliska, zobaczyłby, że jej blada twarz jest jeszcze bledsza niż zawsze. Pomimo burżuazyjnego luksusu w domu jako takim panowała dość nietypowa atmosfera melancholii. Był to tego rodzaju nagły smutek, który przynależy do rzeczy raczej starych niż starożytnych. Pełen jest wyblakłych mód, niehistorycznych obyczajów, szyku i zdobień dość niedawnych, aby rozpoznawano je jako martwe. Tu i ówdzie w półmroku połyskiwało wczesnowiktoriańskie barwione szkło, a wysokie sufity sprawiały, że długie pokoje wydawały się wąskie. W dole tego długiego pokoju, po którym chodziła, znajdowało się jedno z tych okrągłych okien spotykanych w budynkach z tamtego okresu. Gdy znalazła się mniej więcej na środku pomieszczenia, przystanęła i nagle zachwiała się lekko, jakby w twarz uderzyła ją niewidzialna dłoń.

Zaraz potem rozległ się jakiś hałas, jakby stukanie do drzwi frontowych, stłumione przez pozamykane drzwi w środku. Wiedziała, że pozostali domownicy są na wyższych piętrach, ale nie potrafiła określić motywu, który kazał jej samotnie zejść do drzwi wejściowych. Na progu stała przysadzista i nieco obszarpana postać w czerni, którą rozpoznała jako księdza rzymskokatolickiego nazwiskiem Brown. Znała go tylko przelotnie, darzyła jednak sympatią. Nie negował jej

mediumicznych wizji – wręcz przeciwnie – ale nie traktował ich zbyt poważnie. Nie w tym rzecz, że nie sympatyzował z jej opiniami, w istocie sympatyzował, ale się z nimi nie zgadzał. Wszystko to wywołało w jej umyśle pewien chaos i bez namysłu, bez powitania czy dowiadywania się z czym przyszedł, powiedziała:

– Tak się cieszę, że ksiądz przyszedł. Widziałam ducha.

– Nie ma się czym denerwować – odparł. – To się często zdarza. Większość duchów to nie duchy, a tych kilka, które mogą nimi być, nie zrobią pani żadnej krzywdy. Czy to był jakiś szczególny duch?

– Nie – przyznała z niejaką ulgą. – Nie chodziło nawet o to coś, tylko o atmosferę okropnego rozkładu jakby jaskrawej ruiny. To była twarz. Twarz w oknie. Ale była blada i miała wytrzeszczone oczy, i wyglądała jak obraz Judasza.

– Cóż, niektórzy ludzie tak właśnie wyglądają – zauważył ksiądz – i śmiem twierdzić, że czasami zerkają w okna. Czy mogę wejść i zobaczyć, gdzie to się stało?

Gdy wraz z gościem wróciła do pokoju, byli tam już pozostali członkowie rodziny, a ci pozbawieni mediumicznych nawyków uznali za stosowne zapalić lampy. W obecności pana Bankesa ojciec Brown wykazał się bardziej konwencjonalną grzecznością i przeprosił za najście.

– Obawiam się, panie Bankes, że to brak szacunku dla pańskiego domu – powiedział. – Ale sądzę, że mogę wytłumaczyć, co mnie skłoniło, by pana niepokoić. Właśnie byłem u państwa Pulmanów, gdzie zatelefonowano z prośbą, bym przyszedł tutaj spotkać się z człowiekiem, który wybiera się tu z informacją, która może być dla pana ważna. Nie powinienem dołączać do spotkania, tylko że najwyraźniej jestem oczekiwany, jestem bowiem świadkiem tego, co wydarzyło się w Beechwood. W sumie to ja musiałem wszcząć alarm.

– A co tam się wydarzyło? – zapytała dama.

– Do Beechwood House było włamanie – grobowo wyjaśnił

ojciec Brown. – A co najgorsze, zniknęły klejnoty lady Pulman. Jej nieszczęsny sekretarz, pan Barnard, został znaleziony w ogrodzie, ewidentnie postrzelony przez uciekającego włamywacza.

– Ten człowiek – wykrzyknęła gospodyni. – To na pewno był...

Napotkała ponure spojrzenie księdza i słowa uwięzły jej w gardle – nie wiedziała, dlaczego.

– Rozmawiałem z policją – ciągnął – i z innymi władzami, które interesują się tą sprawą. Mówią, że podczas wstępnych oględzin znaleziono odciski stóp i palców oraz inne ślady wskazujące na dobrze znanego przestępcę.

W tym momencie nastąpiło chwilowe zamieszanie, którego przyczyną był powrót Johna Bankesa z najwyraźniej nieudanej przejażdżki. Stary Smith widać okazał się mimo wszystko rozczarowującym pasażerem.

– W końcu w ostatniej chwili stchórzył – oświadczył z hałaśliwą dezaprobatą. – Zwiął, gdy oglądałem przebitą dętkę. Ostatni raz zabrałem jednego z tych wieśniaków...

Ale w świetle ogólnego podeksycytowania ojcem Brownem i wieściami, które przynosił, jego narzekania nie spotkały się z większym zainteresowaniem.

– Za chwilę przyjedzie ktoś – kontynuował ksiądz z tą samą, ciężką rezerwą – kto zwolni mnie z tej odpowiedzialności. Kiedy państwa z nim skonfrontuję, mój obowiązek jako świadka w poważnej sprawie będzie można uznać za wypełniony. Pozostaje mi tylko dodać, że służąca w Beechwood House powiedziała mi, że w jednym z okien widziała twarz...

– Ja widziałam twarz – wtrąciła się Opal – w jednym z naszych okien.

– Och, ty zawsze widzisz jakieś twarze – niegrzecznie przerwał jej brat John.

– Dobrze dostrzegać fakty, nawet jeśli to twarze – spokojnie powiedział ojciec Brown – i sądzę, że twarz, którą pani widziała...

W domu rozległo się kolejne stukanie, a chwilę potem drzwi

do pokoju otworzyły się i pojawiła się kolejna osoba. Devine na jej widok na wpeł podniósł się z krzesła.

Był to człowiek wysoki i wyprostowany, o pociągłej, dość wymizerowanej twarzy zakończonej wyrazistym podbródkiem. Jego brwi ledwie się odznaczały, a oczy, błyszczące i niebieskie, Devine widział ostatnio zacienione szerokim rondem słomkowego kapelusza.

– Lepiej niech nikt się nie rusza – powiedział człowiek znany jako Carver wyraźnie i grzecznym tonem.

Devine'owi, w jego rozgorączkowanym umyśle, wydawało się jednak, że jest to złowieszcza uprzejmość bandyty, który grozi wszystkim pistoletem.

– Panie Devine, proszę usiąść – powiedział Carver – a za pozwoleniem pana Bankesa, pójdę za pańskim przykładem. Przypuszczam, że podejrzewał pan, że jestem tym nadzwyczajnym i znanym włamywaczem.

– Owszem – ponuro przyznał Devine.

– Jak sam pan zauważył – powiedział Carver – niełatwo czasem odróżnić osę od pszczoły. Śmiem twierdzić – podjął po krótkiej chwili – że jestem jednym z tych bardziej użytecznych, choć równie irytujących insektów. Jestem detektywem i przyjechałem zbadać domniemany powrót do działalności przestępczej kryminalisty, który przedstawia się jako Michael Moonshine. Jego specjalnością były kradzieże biżuterii. Jedna z nich miała miejsce w Beechwood House i na podstawie wszystkich testów technicznych można przyjąć z pewnością, iż była to jego robota. Pasują nie tylko odciski palców. Jak mogą państwo wiedzieć, gdy został ostatnio aresztowany, a także przypuszczalnie przy innych okazjach, nosił proste, lecz skuteczne przebranie w postaci rudej brody i pary dużych okularów w rogowej oprawie.

Opal Bankes gwałtownie się pochyliła.

– Właśnie tak – wykrzyknęła podekscytowana – tę właśnie twarz widziałam, w wielkich okularach i z rudą, potarganą brodą jak u Judasza. Sądziłam, że był to duch.

– Służąca w Beechwood House również widziała tego ducha – sucho odparł Carver.

Na stole położył jakieś papiery i paczuszki i zaczął je ostrożnie rozpakowywać.

– Jak powiedziałem – kontynuował – przysłano mnie tutaj, żebym przeprowadził dochodzenie w sprawie przestępczych planów tego człowieka, Moonshine'a. Stąd właśnie moje zainteresowanie hodowlą pszczół i kwatera u pana Smitha.

Zapadła chwilowa cisza, którą przerwał Devine.

– Chyba nie mówi pan poważnie, że ten miły staruszek...

– Ależ panie Devine – z uśmiechem odpowiedział Carver – uwierzył pan, że ukrywam się pośród uli. Dlaczego nie miałby się tam ukrywać on?

Devine przytaknął markotnie, a detektyw wrócił do swoich papierów.

– Podejrzewając Smitha, chciałem go usunąć z drogi i przeszukać jego rzeczy, wykorzystalem zatem uprzejmość pana Bankesa, który zaoferował mu przejażdżkę. Przeszukując jego dom, znalazłem pewne interesujące rzeczy, raczej nietypowe dla niewinnego, starego wieśniaka, którego interesują wyłącznie pszczoły. Oto jedna z nich.

Z rozwiniętego papieru wyciągnął długi, włochaty przedmiot w kolorze niemal szkarłatnym – tego rodzaju sztuczną brodę, jakich używa się podczas przedstawień teatralnych.

Obok spoczywała para starych okularów w ciężkiej, rogowej oprawie.

– Znalazłem również coś – ciągnął Carver – co ma dość bezpośredni związek z tym domem i z powodu czego muszą mi państwo wybaczyć to nocne najście. Znalazłem notatkę z zapisanymi nazwiskami i szacunkową wartością biżuterii w sąsiedztwie. Zaraz po tiarze lady Pulman wymieniony został szmaragdowy naszyjnik należący do pani Bankes.

Pani Bankes, która dotąd tę inwazję na dom traktowała z lekceważącym zakłopotaniem, nagle się ożywiła. Jej twarz zniecka wyglądała na dziesięć lat starszą i znacznie bardziej

inteligentną. Ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, porywczy John poderwał się jak trąbiący słoń.

– Ta tiara już zniknęła! – ryknął. – A naszyjnik... Idę sprawdzić, co z naszyjnikiem!

– Niezły pomysł – przyznał Carver, gdy młodzieniec wypadł z pokoju. – Chociaż oczywiście mamy oczy otwarte, odkąd tu jesteście. Cóż, odczytanie tych notatek, które były zapisane szyfrem, zajęło mi trochę czasu, a wiadomość przekazana z Beechwood House przez ojca Browna dotarła do mnie, gdy zbliżałem się do końca. Poprosiłem, żeby najpierw przyszedł z tymi nowinami do państwa, a ja dołączę, i w ten sposób...

Jego przemowa została przerwana przez wrzask. Opal stała i sztywno pokazywała na okrągłe okno.

– Znowu tam jest! – krzyknęła.

Przez chwilę wszyscy coś widzieli – coś, co oczyściło pannę Bankes z zarzutów kłamstwa i hysterii, o które wcale często ją oskarżano. W niebieskawej ciemności twarz była blada albo być może pobieliała od przyciskania jej do szyby, a wielkie, płonące oczy jakby w obwódce, sprawiały, że wyglądała bardziej jak wielka morska ryba zerkająca w bulaj statku. Ale skrzela czy płetwy tej ryby były czerwone jak miedź – w zasadzie były to jaskraworude baki i górna część rudej brody. W następnej chwili twarz zniknęła.

Devine zrobił krok w stronę okna, gdy przez dom przetoczył się krzyk – krzyk, który zdawał się wstrząsnąć budynkiem. Był niemal zbyt ogłuszający, żeby rozróżnić słowa, wystarczył jednak, żeby zatrzymać Devine'a w miejscu. Już wiedział, co się stało.

– Naszyjnik zniknął! – krzyknął John Bankes, którego wielka i ciężka postać pojawiła się w drzwiach i prawie natychmiast znowu zniknęła w tempie gończego psa.

– Złodziej był właśnie w oknie! – wrzasnął detektyw i pognał do drzwi, goniąc za pędzącym na oślep Johnem, który był już w ogrodzie.

– Ostrożnie! – lamentowała dama. – Oni mają pistolety i inne

rzeczy.

– Ja też – zagrzemiał z ogrodu odległy głos nieustraszonego Johna.

Devine zauważył, że młody człowiek przebiegający obok niego wyzywająco wymachiwał rewolwerem i miał nadzieję, że nie będzie musiał go użyć, żeby się bronić. Ale w tej samej chwili, gdy o tym pomyślał, rozległy się dwa strzały, jakby jeden odpowiadał na drugi, i w cichym podmiejskim ogrodzie obudziły się dzikie echa. Wszyscy zamilkli.

– Czy John nie żyje? – spytała Opal cichym, drżącym głosem.

Ojciec Brown schował się głębiej w mroku i stał plecami do nich, przyglądając się czemuś w dole. Właśnie on udzielił jej odpowiedzi.

– Nie – zaprzeczył. – To ten drugi.

Carver dołączył do niego i przez chwilę tych dwóch mężczyzn, wysoki i niski, zasłaniało wszystko, co można było dojrzeć w świetle burzowego i niespokojnego księżyca. Potem przesunęli się na bok i pozostali dostrzegli małą sztywną postać, leżącą w lekkim wygięciu, jakby starała się wysilić po raz ostatni. Sztuczna ruda broda była zadarta niemal z pogardą, a księżyc świecił na wielkie, fałszywe okulary człowieka zwanego Moonshine'em.

– Co za koniec – mruknął detektyw. – Po tylu przygodach zostać przypadkowo zastrzelonym w podmiejskim ogrodzie przez jakiegoś maklera.

Sam makler oczywiście podchodził do swojego triumfu bardziej uroczyście, choć nie bez zdenerwowania.

– Musiałem to zrobić – wysapał, wciąż dysząc z wysiłku. – Przykro mi, on do mnie strzelił.

– Oczywiście będzie dochodzenie – ponuro powiedział Carver.
– Sądzę jednak, że nie ma się pan czym martwić. Mamy tu rewolwer, który wypadł mu z ręki po oddaniu jednego strzału, a z pewnością nie strzelił po tym, jak pan go trafił.

Po jakimś czasie z powrotem zgromadzili się w pokoju, a detektyw pozbierał swoje papiery, szykując się do wyjścia.

Ojciec Brown stał naprzeciwko niego, spoglądając na stół, jakby się nad czymś intensywnie zastanawiał.

– Panie Carver – powiedział nagle – z pewnością po mistrzowsku rozwiązał pan bardzo złożoną sprawę. Zgadywałem, czym zajmuje się pan zawodowo, ale nigdy bym nie przypuszczał, jak szybko pan wszystko ze sobą połączy – pszczoły i brodę, i okulary, i szyfr, i naszyjnik, i wszystko.

– Rozwiązanie sprawy zawsze przynosi satysfakcję – powiedział Carver.

– Owszem – zgodził się ojciec Brown, wciąż patrząc na stół. – Niezwykle to podziwiam. – Następnie dodał ze skromnością na pograniczu zdenerwowania: – Zatem będzie fair wobec pana, jeśli powiem, że nie wierzę w ani jedno słowo.

Devine pochylił się z nagłym zainteresowaniem.

– Chce ojciec powiedzieć, że nie wierzy, że to Moonshine, ten włamywacz?

– Wiem, że jest włamywaczem, ale się nie włamał – odparł ojciec Brown. – Wiem, że nie przyszedł ani tutaj, ani do Beechwood House kraść klejnoty czy dawać do siebie strzelać. Gdzie jest ta biżuteria?

– Tam, gdzie zazwyczaj w takich przypadkach – odparł Carver. – Albo ją ukrył, albo przekazał współnikowi. To nie jest robota dla jednego człowieka. Oczywiście moi ludzie przeszukują ogród i ostrzegają sąsiadów.

– Być może – zasugerował pan Bankes – ten współnik ukradł naszyjnik, podczas gdy Moonshine zaglądał przez okno.

– A dlaczego Moonshine zaglądał przez okno? – cicho zapytał ojciec Brown. – Po co miałby zaglądać przez okno?

– No, a jak ksiądz sądzi? – wykrzyknął wesołkowato John.

– Sądzę – powiedział ojciec Brown – że wcale nie chciał w nie zaglądać.

– Wobec tego dlaczego to zrobił? – drażył Carver. – Po co w ogóle o tym rozmawiać? Na własne oczy widzieliśmy, co się działo.

– Widziałem na własne oczy całe mnóstwo rzeczy, w które nie

uwierzyłem – odpowiedział ksiądz. – Tak samo pan, zarówno na scenie, jak i poza nią.

– Ojciec Brown – powiedział Devine z niejakim szacunkiem w głosie – powie nam ksiądz, dlaczego nie wierzy własnym oczom?

– Tak, spróbuję to państwu wyjaśnić – odparł ksiądz uprzejmie. – Wiedzą państwo, kim jestem i kim są księża. Nie zwracamy państwu głowy. Staramy się przyjaźnić ze wszystkimi sąsiadami. Ale nie mogą państwo myśleć, że nic nie robimy. Nie mogą państwo sądzić, że o niczym nie wiemy. Zajmujemy się własnymi sprawami, ale znamy swoich ludzi. W istocie tego zmarłego znałem bardzo dobrze – byłem jego spowiednikiem i przyjacielem. Na tyle, na ile to możliwe w przypadku człowieka, znałem jego myśli, gdy dziś wyszedł z tego ogrodu, a jego myśli były jak szklany ul pełen złocistych pszczoł. Powiedzieć, że jego przemiana była szczerą, byłoby niedopowiedzeniem. Był jednym z tych wielkich pokutników, którzy z pokuty uczynili więcej niż inni z cnoty. Powiadam, że byłem jego spowiednikiem, ale w istocie to ja przychodziłem do niego po pocieszenie. Przebywanie w towarzystwie tak dobrego człowieka sprawiało mi przyjemność. A gdy zobaczyłem, jak leży tam martwy, wydało mi się, że usłyszałem pewne dziwne słowa wypowiedziane głośno przez staruszkę. Tak mogło być – jeśli jakkolwiek człowiek poszedł prosto do nieba, to mógł być on.

– Zaraz – z uporem powiedział John Bankes – mimo wszystko był przecież skazanym złodziejem.

– Tak – przyznał ojciec Brown – a tylko skazany złodziej usłyszał na tym świecie zapewnienie: „Zaprawdę powiadam ci; dziś będziesz ze mną w Raju”.

W ciszy, która nastąpiła po tych słowach, nikt chyba nie wiedział, co począć.

– Wobec tego w jaki sposób ksiądz to wszystko wytłumaczy? – przerwał ją wreszcie gwałtownie Devine.

Ksiądz pokręcił głową.

– Na razie nie jestem w stanie wszystkiego wyjaśnić – odparł

z prostotą. – Dostrzegam jedną czy dwie dziwne rzeczy, ale ich nie rozumiem. Jak dotąd nie mam jak udowodnić niewinności tego człowieka. Ale jestem pewien, że się nie mylę.

Westchnął i wyciągnął rękę po swój duży, czarny kapelusz. Gdy go podniósł, zamarł, wpatrując się w stół z dziwnym wyrazem twarzy, a okrągłą głowę z prostymi włosami przekrzywił pod dziwnym kątem. To było tak, jakby z jego kapelusza wyskoczyło jakieś ciekawskie stworzenie niczym z kapelusza iluzjonisty. Ale pozostali, spoglądając na stół, nie widzieli tam niczego poza dokumentami detektywa i tandetną starą sztuczną brodą i okularami.

– Boże, miej litość – wymamrotał ojciec Brown. – A on leży tam, nieżywy, w brodzie i w okularach. – Gwałtownie odwrócił się do Devina. – Tu jest coś dziwnego, jeśli chce pan wiedzieć. Dlaczego miał dwie brody?

Z tymi słowami wymaszerował z pokoju, ale teraz Devine'a zżerała ciekawość i pognał za nim do ogrodu.

– Nie jestem w stanie teraz panu na to odpowiedzieć – powiedział ojciec Brown. – Nie mam pewności i nie wiem, co robić. Proszę zajść do mnie jutro, może będę w stanie przedstawić panu tę zagadkę. Może już mi się to ułoży i... słyszał pan ten dźwięk?

– Odpalanie samochodu – zauważył Devine.

– Samochodu pana Johna Bankesa – uściślił ksiądz. – Zdaje się, że jedzie bardzo szybko.

– On na pewno jest tego zdania – z uśmiechem powiedział Devine.

– Dziś pojedzie daleko, nie tylko szybko – stwierdził ojciec Brown.

– Co chce ksiądz przez to powiedzieć? – zdziwił się tamten.

– Chcę przez to powiedzieć, że nie wróci – wyjaśnił ksiądz. – John Bankes zniknął, a wraz z nim szmaragdy i pozostałe klejnoty.

Następnego dnia Devine zastał ojca Browna chodzącego w tę i z powrotem przed rzędem uli ze smutkiem, ale też z pewną

pogodą ducha.

– Mówiłem pszczołom – powiedział. – Wie pan, ktoś musiał powiedzieć pszczołom. Tym rozśpiewanym kamieniarzom budującym złote dachy. Chciałby, żeby ktoś zajął się pszczołami – dodał bardziej gwałtownie.

– Mam nadzieję, że nie chce ksiądz zaniedbywać ludzi, gdy cały rój wibruje z ciekawości – zauważył młody człowiek. – Miał ksiądz rację, mówiąc, że Bankes zniknął z klejnotami, ale nie wiem, skąd ojciec to wiedział, ani nawet w jaki sposób można było na to wpaść.

Ojciec Brown zamrugnął dobrotliwie na ule.

– Można się tam było potknąć tylko o jedną rzecz, i taka przeszkoda pojawiła się na samym początku – powiedział. – Byłem zdumiony, że w Beechwood House został postrzelony ten nieszczęsny Barnard. Michael, nawet gdy był wielkim przestępcą, stawiał sobie za punkt honoru, można to nawet nazwać próżnostką, żeby działać bez żadnego zabijania. To wydaje się zdumiewające, żeby w chwili gdy stał się swego rodzaju świętym, miał zboczyć z drogi, by popełnić grzech, którego brzydził się, kiedy był grzesznikiem. Cała reszta zadziwiała mnie do końca. Nie mogłem niczego z tego pojąć poza tym, że to nie była prawda. Potem z opóźnieniem pojąłem to i owo, gdy zobaczyłem tę brodę i okulary i przypomniałem sobie, że złodziej pojawił się w kolejnej brodzie i okularach. Oczywiście było możliwe, że zwyczajnie miał duplikaty. Możliwe, że wyszedł bez nich i musiał sprawić sobie nowe – byłoby jednak mało prawdopodobne, że nie użył ani starej brody, ani okularów, skoro były w dobrym stanie. Przejażdżka z Bankesem nie miała nic do rzeczy – gdyby naprawdę zamierzał się włamywać, to przebranie łatwo mógłby schować w kieszeni. Poza tym brody nie rosną na drzewach. Miałby spory problem, żeby zdobyć takie przedmioty.

Nie, im więcej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej czułem, że w tym nowym przebraniu było coś zabawnego. A potem prawda objawiła mi się dzięki instynktowi. Nie

pojechał z Bankesem, mając w planach przebieranki. Nigdy się nie przebrał. Ktoś w wolnej chwili przygotował to przebranie, a potem nałożył je na niego.

– Nałożył na niego! – powtórzył Devine. – Do diabła, w jaki sposób?

– Cofnijmy się myślami – powiedział ojciec Brown – i zerknijmy na to przez kolejne okno – to okno, przez które nasza młoda dama zobaczyła ducha.

– Ducha! – z lekkim zaskoczeniem powtórzył tamten.

– Tak go nazwała – ze spokojem powiedział ksiądz – i być może nie była zbyt daleka od prawdy. To generalnie prawda, że jest ona tym, co nazywa się medium. Jedynym jej błędem jest to, że sądzi, że bycie medium oznacza uduchowanie. Niektóre zwierzęta są medium. W każdym razie jest wrażliwa i miała rację, gdy czuła, że ta twarz w oknie była jakimś koszmarnym odbiciem śmierci.

– Ma ksiądz na myśli... – zaczął Devine.

– Mam na myśli, że do okna zaglądał martwy człowiek – powiedział ojciec Brown. – To był martwy człowiek, który obszedł więcej niż jeden dom i zaglądał do więcej niż jednego okna. Przeróżające, prawda? Ale w jednym aspekcie było to przeciwieństwo ducha – nie była to bowiem błazeńska dusza uwolniona z ciała. Była to błazenada ciała uwolnionego od duszy.

Znowu zerknął na ule.

– Ale – mówił dalej – przypuszczam, że najprościej powiedzieć, że zależy to od punktu widzenia człowieka, który to zrobił. Zna pan człowieka, który to zrobił – Johna Bankesa.

– Ostatni człowiek, o którym bym pomyślał – powiedział Devine.

– Pierwszy, o którym ja pomyślałem – odparł ojciec Brown – o ile mam w ogóle prawo, żeby myśleć o kimkolwiek. Mój przyjacielu, nie ma dobrych i złych typów społecznych czy zawodów. Każdy człowiek może być mordercą jak biedny John. Każdy człowiek, nawet ten sam człowiek, może być świętym jak

biedny Michael. Ale jeżeli jest jakiś typ, który ma czasowe tendencje do bycia bardziej bezbożnym niż inne, to jest to raczej brutalny rodzaj biznesmena. Nie ma poważania dla ideałów społecznych, nie mówiąc już o religii. Nie posiada ani tradycji dżentelmena, ani lojalności wobec klasy kupieckiej. Wszystkie praktycznie jego przechwałki o wykorzystaniu dobrych okazji to przechwałki dotyczące oszukanych ludzi. Jego pogarda dla małych, biednych, mistycznych prób siostry była odrażająca. Jej mistycyzm to nonsens, ale on nienawidził duchowości tylko dlatego, że była duchowa. W każdym razie był czarnym charakterem tej historii, zainteresowanym dość oryginalnym rodzajem nikczemności. To zaiste nowy i niezwykle motyw morderstwa. Motyw wykorzystania ciała jako rekwizytu scenicznego – jak jakiejś ohydnej lalki czy manekina. Na początku ułożył plan zabicia Michaela w samochodzie po prostu po to, aby zabrać go do domu i udawać, że zabił go w ogrodzie. Jednak wszelkiego rodzaju fantastyczne zakończenia wynikały dość naturalnie z faktu podstawowego: że w nocy, w zamkniętym samochodzie, miał do dyspozycji zwłoki znanego i rozpoznawalnego włamywacza. Mógł zostawić jego odciski palców i ślady stóp, mógł przycisnąć znajomą twarz do okien, a potem ją zabrać. Proszę zwrócić uwagę, że Moonshine pozornie pojawiał się i znikał wtedy, gdy Bankes rzekomo wyszedł z pokoju sprawdzić szmaragdowy naszyjnik. Wreszcie musiał tylko rzucić ciało na trawnik, wypalić z obu pistoletów i już. Gdyby nie zagadka dwóch bród, pewnie nikt nigdy by na to nie wpadł.

– Dlaczego ten księżdz przyjaciel zachował tę starą brodę? – z namysłem zapytał Devine. – To mi się wydaje wątpliwe.

– A dla mnie, który go znał, raczej oczywiste – odpowiedział ojciec Brown. – Cała jego postawa była jak ta peruka, którą nosił. W jego przebraniach nie było fałszu. Nie chciał już nosić dawnego przebrania, ale się go nie bał. Zniszczenie fałszywej brody odebrałby jako fałszywy gest. To by było tak, jakby się ukrywał – a on tego nie robił. Nie ukrywał się przed Bogiem, nie

ukrywał się przed sobą. Stał w świetle dnia. Gdyby znowu wsadzili go do więzienia, nadal byłby całkiem szczęśliwy. Nie wybielił się, ale oczyścił do białości. Było w nim coś bardzo dziwnego; prawie tak dziwnego jak w tym groteskowym tańcu śmierci, do którego został zmuszony po tym, jak Bankes go zamordował. Gdy z uśmiechem chodził pośród tych uli, to nawet wtedy, w najbardziej promiennym i świetlistym sensie, był martwy. Był poza osądem tego świata.

Milczeli przez chwilę. Potem Devine wzruszył ramionami.

– Wszystko na tym świecie sprowadza się do tego, że pszczoły i osy wyglądają bardzo podobnie, prawda?

[21] Gra słów – hagiologia: nauka o świętych; Hag (ang.) – wiedźma, czarownica.

[22] Spring Heeled Jack jest postacią z angielskiego folkloru epoki wiktoriańskiej, charakterystyczną z powodu zdolności do wykonywania niezwykle wysokich i długich skoków. Postać ta stała się motywem wielu utworów literackich, często zawierających spekulacje na temat możliwej paranormalnej natury tego fenomenu.

AKTOR I ALIBI

Pan Mundon Mandeville, dyrektor teatru, przeszedł energicznie przez korytarzyki za sceną, a raczej pod sceną. Jego strój był elegancki i uroczysty, może nawet nieco zbyt nachalnie – kwiat w jego butonierce był uroczysty, sam połysk jego butów był uroczysty, ale wyraz jego twarzy w najmniejszym stopniu nie był uroczysty. Był wielkim mężczyzną o białym karku i czarnych brwiach, a w tej chwili jego brwi były czarniejsze niż zazwyczaj. W każdym razie miał oczywiście setki zmartwień, które dręczą człowieka o takiej pozycji; uszeregowane były od dużych do niewielkich i od nowych do starych. Drażniła go konieczność przejścia przez korytarze, gdzie była upchnięta stara scenografia do fars, ponieważ jego pełna sukcesów kariera w tym teatrze rozpoczęła się od bardzo popularnych fars, ale od tego czasu zabrał się za poważniejsze i klasyczne dramaty, na których stracił duże sumy pieniędzy. Stąd widok szafirowych Wrót Błękitnego Pałacu Sinobrodego albo fragmentów Zaczarowanego Gaju Żółtych Drzewek Pomarańczowych, opierających się o ścianę, oplecionych pajęczynami i nadgryzionych przez myszy, nie dawał mu kojącego poczucia powrotu do prostoty, który poczuć powinien każdy, komu uda się zerknąć na Krainę Czarów swego

dzieciństwa. Nie miał też czasu, aby uronić łzę tam, gdzie utopił pieniądze, albo pomarzyć o tym Raju Piotrusia Pana – został bowiem wezwany, aby rozwiązać problem praktyczny, nie z przeszłości, lecz bieżący. Była to jedna z tych rzeczy, które czasami dzieją się w dziwnym świecie za kulisami, wystarczająco duża, żeby była poważna. Panna Maroni, utalentowana młoda aktorka włoskiego pochodzenia, która podjęła się zagrania ważnej roli w przedstawieniu, którego próba generalna miała się odbyć tego popołudnia, a premiera wieczorem, w ostatniej chwili nieoczekiwanie, gwałtownie wręcz odmówiła pracy. Nawet jeszcze nie widział tej rozwścieczonej damy, a ponieważ zamknęła się na klucz w swojej garderobie i ignorowała świat za drzwiami, wydawało się mało prawdopodobne, jak na razie, by mu się to udało. Pan Mundon Mandeville był dostatecznie brytyjski, aby tłumaczyć to sobie mamrotaniem, że wszyscy cudzoziemcy są stuknięci, ale myśl, że dzięki szczęśliwemu trafowi sam zamieszkał na tej jedynej normalnej wyspie na całej planecie, nie uspokoiła go bardziej niż wspomnienie o Zaczarowanym Gaju. Wszystkie te rzeczy, i wiele więcej, były irytujące, a jednak bardzo uważny obserwator mógłby podejrzewać, że to, co gryzło pana Mandeville'a, wykraczało poza irytację.

Jeśli to możliwe, aby ciężki i zdrowy mężczyzna wyglądał na wymizowanego, to tak właśnie wyglądał. Twarz miał pełną, ale oczy zapadnięte. Usta wykrzywiały się, jakby cały czas próbował zagryźć czarny pasek wąsów, które były na to odrobinę za krótkie. Mógł być człowiekiem, który zaczął brać narkotyki, lecz nawet przy takim przypuszczeniu było w nim coś, co sugerowało, że miał po temu powody – że to nie narkotyki były przyczyną tragedii, ale tragedia stanowiła przyczynę narkotyków. Jaka by nie była ta jego skrywana głęboko tajemnica, wydawała się zamieszkiwać ciemny koniec długiego przejścia, na końcu którego mieścił się jego mały gabinet. Szedł teraz pustym korytarzem, raz po raz nerwowo rozglądając się na boki.

Tym niemniej biznes to biznes, poszedł więc na drugi koniec korytarza, gdzie zielone drzwi panny Maroni odcinały ją od świata. Stała już przed nimi grupka aktorów i członów obsługi scenicznej, rozmawiając i zastanawiając się niemal z upodobaniem nad celowością użycia tarana. W grupie tej znajdowała się co najmniej jedna osoba, która była już dobrze znana, której zdjęcie znajdowało się na wielu toaletkach, a autograf w wielu albumach. Bo chociaż Norman Knight grywał bohaterów na deskach teatru, który wciąż był nieco prowincjonalny, staromodny i pozwalał sobie nazywać go pierwszym aktorem epizodycznym, to przynajmniej on był na dobrej drodze, by święcić większe triumfy. Był przystojnym mężczyzną z dołeczkiem w podbródku i jasnymi włosami zaczesanymi nisko na czoło, co nadawało mu wygląd Nerona, który niezupełnie korespondował z jego energicznymi i gwałtownymi ruchami. W grupie znajdował się również Ralph Randall, który zazwyczaj grał role starszych panów i miał wesołą, pociągłą twarz z niebieskawym cieniem zarostu, w tej chwili bladą od charakteryzacji. Był tam także drugi aktor epizodyczny Mandeville'a, ciemny młodzik o kręconych włosach i cokolwiek semickim profilu, Aubrey Vernon.

Stała tam pokojówka czy garderobiana żony pana Mundona Mandeville'a, bardzo potężnie wyglądająca osoba z mocno ściągniętymi, rudymi włosami i drewnianą twarzą. Przypadkowo była tam też żona Mandeville'a, kobieta cicha i trzymająca się na uboczu, o bladej, cierplivej twarzy, której rysy nie zatraciły jeszcze klasycznej symetrii i powagi, ale która wyglądała tym bardziej blado, że same jej oczy były blade, a żółte włosy ujęte miała w dwa blade pasma jak u jakiejś niezmiernie archaicznej madonny. Nie wszyscy wiedzieli, że niegdyś była poważną i odnoszącą sukcesy aktorką ibsenowską. Jej mąż jednak nieszczególnie interesował się sztukami problemowymi, a w tej chwili z pewnością znacznie bardziej zaprzętał go problem wydostania zagranicznej aktorki z zamkniętego pokoju – nowa wersja sztuczki magicznej znanej

jako Znikająca Kobieta.

– Jeszcze nie wyszła? – zapytał, zwracając się raczej do pokojówki żony niż do samej żony.

– Nie, sir – ponurym tonem odparła kobieta znana jako pani Sands.

– Zaczynamy się trochę martwić – powiedział stary Randall. – Wydawała się dość zdenerwowana i obawiamy się, że mogłaby nawet zrobić sobie jakąś krzywdę.

– Do diabła! – zaklął Mandeville w swój prosty i pozbawiony artyzmu sposób. – Reklama to dobra rzecz, ale nie taka. Ma tu jakichś przyjaciół? Ktoś ma na nią jakikolwiek wpływ?

– Jarvis uważa, że jedynym człowiekiem, który byłby w stanie dać sobie z nią radę, jest ksiądz mieszkający za rogiem – powiedział Randall. – A gdyby faktycznie postanowiła powiesić się na kołku na kapelusze, to chyba lepiej, żeby tu był. Jarvis poszedł po niego, o, i właśnie wracają.

W podziemnym przejściu pojawiły się kolejne dwie postaci. Pierwszą był Ashton Jarvis, dobroduszny gość, który zwykle grywał czarne charaktery, ale obecnie oddawał tę pozycję kędzierzawemu młodzikowi z garbatym nosem. Drugą był niski, przysadzisty człowiek w czerni – ojciec Brown z kościoła za rogiem.

Ojciec Brown wydawał się przyjmować dość naturalnie fakt, że został wezwany, by przyjrzeć się dziwnemu zachowaniu owieczki ze swojego stada, niezależnie od tego, czy postrzegać ją jako czarną owcę czy zagubione jagnię. Nie sprawiał jednak wrażenia zbyt przejętego sugestią samobójstwa.

– Przypuszczam, że miała jakiś powód, żeby się tak zachować – powiedział. – Ktoś wie, co to mogło być?

– Pewnie niezadowolenie ze swojej roli – powiedział starszy aktor.

– Zawsze tak jest – warknął pan Mundon Mandeville. – Sądziłem, że moja żona dopilnowała tych ustaleń.

– Mogę powiedzieć tylko tyle – ze znużeniem odezwała się pani Mandeville – że dałam jej rolę, która powinna być najlepsza.

Można by sądzić, że tego właśnie chcą młode kobiety – zagrać piękną, młodą heroinę i poślubić pięknego, młodego bohatera w deszczu kwiatów i życzeń z galerii. Kobiety w moim wieku naturalnie muszą się wycofać i grywać szacowne matrony, i sama do tego się ograniczyłam.

– Teraz byłoby diabelnie niewygodnie zamieniać role – zauważył Randall.

– Nikt o tym nie myśli – stanowczo oświadczył Norman Knight. – Mnie ciężko by to przyszło, ale tak czy inaczej jest już o wiele za późno.

Ojciec Brown prześlizgnął się do przodu i stanął przy zamkniętych drzwiach, nasłuchując.

– Słysząc coś? – niespokojnie zapytał agent, po czym dodał cichszym głosem: – Sądzi ksiądz, że mogła tam ze sobą skończyć?

– Coś słysząc – spokojnie odpowiedział ojciec Brown. – Na podstawie tego dźwięku skłaniałbym się do przypuszczenia, że tłucze szyby albo rozgnięta lustra, przypuszczalnie obcasami. Nie, nie wydaje mi się, żeby istniało poważniejsze niebezpieczeństwo, że coś sobie robi. Deptanie szkła to bardzo niezwykle wstęp do samobójstwa. Gdyby była Niemką, która schowała się, by porozmyślać o metafizyce i *weltschmerz*, to nalegałbym na wyważenie drzwi. Włosi nie umierają tak łatwo i nie mają skłonności, by targać się na swoje życie w przyпіływie wściekłości. Ktoś inny może i tak – i może dobrze by było podjąć normalne środki bezpieczeństwa, gdyby nagle stamtąd wyskoczyła.

– Więc nie zaleca ksiądz wyważenia drzwi? – upewnił się Mandeville.

– Nie, jeśli pan chce, żeby zagrała w jego przedstawieniu – odparł ojciec Brown. – Jeśli pan to robi, wścieknie się i odmówi dalszej współpracy. Jeśli zostawi ją pan w spokoju, przypuszczalnie wyjdzie z czystej ciekawości. Na pańskim miejscu zostawiłbym kogoś, żeby pilnował drzwi, i dał jej jedną czy dwie godziny.

– Wobec tego – zdecydował Mandeville – będziemy próbować te sceny, w których się nie pojawia. Moja żona zaraz przygotowuje scenografię. I tak najważniejszy jest akt czwarty. Lepiej zajmijcie się tym.

– Próba bez kostiumów – powiedziała im żona Mandeville’a.

– I bardzo dobrze – uznał Knight. – To znaczy, że próba bez kostiumów. Wolałbym, żeby stroje z tego piekielnego okresu nie były takie skomplikowane.

– Co to za sztuka? – spytał ksiądz z zaciekawieniem.

– *Szkoła Skandalu*^[23] – odpowiedział Mandeville. – Może to i literatura, ale ja chcę sztuki. Moja żona lubi to, co nazywa klasycznymi komediami. Długie widowisko, bardziej klasyczne niż komiczne.

W tej chwili do Mandeville’a podszedł stary odźwierny i samotny mieszkaniec teatru po godzinach, znany jako Sam, przynosząc kartę wizytową i informację, że chce się z nim widzieć lady Miriam Marden. Odwrócił się, ale ojciec Brown przez kilka sekund patrzył w stronę żony dyrektora i zobaczył, że na jej mizernej twarzy pojawił się blady uśmiech – niezupełnie wesoły.

Ojciec Brown wyszedł w towarzystwie człowieka, który go przyprowadził, a który okazał się być człowiekiem przyjaznym i o dużej sile przekonywania, co pośród aktorów nie jest niczym niezwykłym. A gdy odchodził, usłyszał, jak pani Mandeville poleca pani Sands, by pilnowała zamkniętych drzwi.

– Pani Mandeville wydaje się być inteligentną kobietą – powiedział ksiądz do swojego towarzysza – chociaż trzyma się mocno w cieniu.

– Niegdyś błyszczała intelektem – ze smutkiem powiedział Jarvis – a niektórzy powiadają, że zmarnowała się w małżeństwie z tym draniem Mandeville’em. Wie ksiądz, miała wielkie ideały odnośnie do dramatu – ale oczywiście nieczęsto udaje jej się skłonić swojego pana i władcę, żeby spojrzał na cokolwiek w takim świetle. Wyobraża ksiądz sobie, że chciał, aby ta kobieta grała chłopca w farsie? Przyznał, że była świetną

aktorką, ale że z farsy są lepsze zarobki. To da księdzu pojęcie o jego głębi psychicznej i wrażliwości. Ale ona nigdy się nie skarży. Kiedyś mi powiedziała: „Narzekania wracają echem z końca świata, ale milczenie nas wzmacnia”. Gdyby tylko poślubiła kogoś, kto rozumie jej idee, mogłaby być jedną z wielkich aktorek tego wieku. Krytycy nadal często o niej wspominają. Tak się jednk złożyło, że wyszła za tego tu.

I wskazał wielkie, czarne cielsko Mandeville'a, który stał tyłem do nich, rozmawiając z paniami, które wezwały go do westybulu. Lady Miriam była bardzo wysoką, omdlewającą i elegancką damą, przystojną wedle ostatniej mody w dużej mierze ukształtowanej przez egipskie mumie; ciemne włosy miała ostrzyżone krótko i geometrycznie, jakby nosiła hełm, a na jej mocno umalowanych, wyrazistych ustach widać było stały grymas pogardy. Jej towarzyszką była wielce energiczna dama o nieładnej, frapującej twarzy i włosach przyprószonych siwizną. Była to panna Theresa Talbot i mówiła bardzo dużo, podczas gdy jej towarzyszka wydawała się zanadto zmęczona, żeby w ogóle się odzywać. Dopiero po przejściu dwóch mężczyzn lady Miriam zebrała energię, by coś powiedzieć.

– Przedstawienia są nudne – oświadczyła. – Nigdy jednak nie widziałam, żeby próba generalna odbywała się bez kostiumów. Może być nawet zabawnie. W obecnych czasach jakoś nie można znaleźć niczego, czego się jeszcze nie widziało.

– Cóż, panie Mandeville – powiedziała panna Talbot, natarczywie klepiąc go w ramię – pan po prostu musi pozwolić nam zobaczyć tę próbę. Nie możemy przyjść wieczorem ani nie chcemy. Chcemy zobaczyć tych wszystkich śmiesznych ludzi w nieodpowiednich ubraniach.

– Oczywiście dam paniom lożę, jeśli takie jest pań życzenie – pospiesznie odpowiedział Mandeville. – Proszę jaśnie panie za mną.

I poprowadził je w górę kolejnego korytarza.

– Ciekawe – z zadumą mruknął Jarvis – czy nawet Mandeville lubi kobiety tego rodzaju.

– Cóż – odparł ojciec Brown – a ma pan jakiś powód, żeby sądzić, że Mandeville ją lubi?

Jarvis, zanim udzielił odpowiedzi, przez chwilę patrzył na niego uważnie.

– Mandeville to zagadka – powiedział posępnie. – Och tak, wiem, że wygląda równie pospolicie jak każdy cham, który kiedykolwiek chodził po Piccadilly. Ale to naprawdę zagadkowy człowiek. Coś tkwi w jego świadomości. Nad jego życiem jest jakiś cień. I wątpię, żeby jakimiś modnymi flirtami zajmował się bardziej niż swoją nieszczęsną, zaniedbaną żoną. A jeśli tak, to jest w nich coś więcej niż widać na pierwszy rzut oka. W gruncie rzeczy wiem na ten temat więcej niż ktokolwiek, choć głównie przez przypadek. Ale nawet ja nie rozumiem, co wiem, poza tym, że jest tu jakaś tajemnica.

Rozejrzał się po westybulu, by sprawdzić, czy są sami.

– Powiem księdzu, bo wiem, że ksiądz będzie milczał jak głaz – dodał ściszym głosem. – Ale któregoś dnia przeżyłem ciekawe zaskoczenie i od tego czasu kilka razy się to powtórzyło. Wie ksiądz, że Mandeville pracuje zawsze w tym małym gabinecie na końcu korytarza, tuż pod sceną. Cóż, dwukrotnie zdarzyło mi się tam przechodzić, gdy wszyscy sądzili, że jest sam, nawet po uwzględnieniu wszystkich kobiet w firmie, i wszystkich kobiet, które byłyby skłonne mieć z nim do czynienia, a także tych nieobecnych lub będących na swoich normalnych stanowiskach.

– Wszystkich kobiet? – upewnił się ojciec Brown.

– Była tam z nim kobieta – powiedział Jarvis niemal szeptem. – Jest pewna kobieta, która go odwiedza – ktoś, kogo nikt z nas nie zna. Nie wiem nawet, w jaki sposób tam wchodzi, skoro ten korytarz nie prowadzi do drzwi, ale chyba raz widziałem zawołaną albo spowitą w pelerynę postać, która wyslizgnęła się w mrok na tyłach teatru jak duch. Ale to nie mógł być duch. I nie wydaje mi się, żeby to była taka zwyczajna „miłostka”. Nie sądzę, żeby chodziło o sprawy cielesne. Myślę, że chodzi o szantaż.

– A dlaczego tak pan myśli? – zapytał ksiądz.

– Dlatego – powiedział Jarvis, a na jego twarzy pojawił się uśmiech – że kiedyś usłyszałem odgłosy jakby kłótni, a potem ta obca kobieta powiedziała metalicznym głosem, w którym słychać było groźbę, trzy słowa: „Jestem twoją żoną”.

– Sądzi pan, że to bigamista – z zadumą powiedział ojciec Brown. – Cóż, bigamia i szantaż oczywiście często idą w parze. Równie dobrze mogła blefować. Mogła być szalona. Ludzi teatru często prześladowają monomaniacy. Może pan mieć rację, ale nie powinienem wyciągać pochopnych wniosków... A mówiąc o ludziach teatru, czy nie zaczyna się właśnie próba generalna, a pan nie jest aktorem?

– W tej scenie nie występuję – z uśmiechem odparł Jarvis. – I tak próbują tylko jeden akt, póki pańskiej włoskiej przyjaciółce nie wróci rozsądek.

– A mówiąc o mojej włoskiej przyjaciółce... – zauważył ksiądz.
– Chciałbym wiedzieć, czy w końcu wrócił jej rozsądek.

– Możemy wrócić i sprawdzić, jeśli ksiądz chce – zaproponował Jarvis i cofnęli się do piwnicy i długiego korytarza, na którego jednym końcu znajdował się gabinet Mandeville’a, a na drugim zamknięte drzwi signory Maroni. Te drzwi nadal były zamknięte, a pani Sands siedziała ponuro przed nimi nieruchoma jak drewniany posązek.

W pobliżu drugiego końca korytarza mignęli im inni aktorzy wspinający się za kulisy będącej wyżej sceny. Vernon i stary Randall szli przodem, biorąc po kilka stopni, ale pani Mandeville szła wolniej w swoim pełnym cichej godności stylu, a Norman Knight ociągał się nieco, żeby z nią porozmawiać. Gdy ich mijali, do ich uszu dobiegło kilka słów.

– Mówię ci, że odwiedza go jakaś kobieta – z naciskiem mówił Knight.

– Ćśśś! – odpowiedziała kobieta srebrzystym głosem, w którym wciąż było coś stalowego. – Nie wolno ci tak mówić. Pamiętaj, on jest moim mężem.

– Żałuję, że nie mogę o tym zapomnieć – odparł Knight

i pobiegł po schodach na scenę.

Dama, wciąż blada i spokojna, poszła zająć własną pozycję.

– Ktoś jeszcze o tym wie – cicho powiedział ksiądz – ale nie sądzę, żeby to była nasza sprawa.

– Tak – mruknął Jarvis. – Wygląda na to, że wszyscy wiedzą i nikt nic nie wie.

Przeszli na drugi koniec długiego korytarza, gdzie przed drzwiami Włoszki siedziała sztywna strażniczka.

– Nie, jeszcze nie wyszła – powiedziała kobieta na swój ponury sposób – i żyje, bo raz po raz słyszę, jak się porusza. Nie wiem, co tam wyczynia.

– Czy szanowna pani orientuje się może – z nagłą uprzejmością odezwał się ojciec Brown – gdzie obecnie jest pan Mandeville?

– Owszem – odpowiedziała szybko. – Minutę czy dwie temu widziałam, że wchodzi do tego małego pokoju na końcu korytarza. Tuż przed wezwaniem suflera i podniesieniem kurtyny. Nie widziałam, żeby wychodził, więc nadal musi tam być.

– Czyli że nie ma tam innych drzwi – swobodnie zauważył ojciec Brown. – Zdaje się, że próba generalna idzie pełną parą pomimo dąsów signory.

– Tak – po chwili milczenia potwierdził Jarvis. – Słysząc tu głosy ze sceny. Stary Randall ma wspaniały, niosący się głos.

Przez chwilę obaj nasłuchiwali, jako że grzmiący głos aktora na scenie istotnie niósł się słabo po schodach w dół i wzdłuż korytarza. Zanim znów zaczęli rozmawiać i wrócili do normalnych pozycji, do ich uszu dobiegł inny dźwięk. Był to stłumiony, ale ciężki trzask. Dobiegł zza zamkniętych drzwi gabinetu Mundona Mandeville'a.

Ojciec Brown pognał przez korytarz jak strzała wystrzelona z łuku i zanim Jarvis ocknął się i zaczął biec w jego stronę, szarpał już kłamek.

– Drzwi są zamknięte na klucz – powiedział ksiądz, odwracając nieco pobladłą twarz. – A te drzwi zdecydowanie

bym wyważył.

– Chce ksiądz powiedzieć – spytał Jarvis z nieco skołowaną miną – że ten nieznany gość znowu tu jest? Myśli ksiądz, że to coś poważnego? Chyba dałbym radę odsunąć zasuwę – dodał po chwili. – Wiem, jak jest umocowana.

Uklęknął i wyciągnął z kieszeni scyzoryk z długim ostrzem, manipulował nim przez moment, po czym drzwi stanęły otworem. Zauważyli brak innych drzwi, a nawet okna, oraz dużą lampę elektryczną stojącą na stole. Jednak to nie była do końca pierwsza zauważona przez nich rzecz; jeszcze wcześniej zobaczyli, że Mandeville leży twarzą do ziemi na środku pomieszczenia, a spod jego głowy sączą się strumyki krwi, tworząc wzór jakby z pełzających węży, który połyskiwał złowieszczo w tym nienaturalnym, podziemnym świetle.

Nie wiedzieli, ile czasu spędzili, gapiąc się na siebie.

– Skoro ta obca kobieta jakoś tu weszła, to musiała też jakoś wyjść – powiedział wreszcie Jarvis na bezdechu.

– Może za dużo się nad nią zastanawiamy – mruknął ojciec Brown. – W tym dziwnym teatrze jest tyle dziwnych rzeczy, że ma się tendencję do zapominania o nich.

– O jakich rzeczach ksiądz mówi? – szybko zapytał aktor.

– O wielu – odparł ksiądz. – Na przykład są tu jeszcze inne starannie zamknięte drzwi.

– Ale przecież są zamknięte na klucz – jęknął Jarvis, wytrzeszczając oczy.

– Ale tak samo pan o nich nie pamięta – wytknął ojciec Brown. Po chwili odezwał się z zadumą: – Ta pani Sands to zręczliwa i ponura dziwaczka.

– Chce ksiądz powiedzieć – ściszone głosem zapytał Jarvis – że kłamała, a ta Włoszka wyszła?

– Nie – spokojnie odpowiedział ksiądz. – Myślałem o tym raczej jak o oderwanym studium charakteru.

– Chyba ksiądz nie sądzi – jęknął aktor – że sama pani Sands to zrobiła?

– Cały czas mówię tylko o studium charakteru – odparł ojciec

Brown.

Gdy wymieniali te oderwane refleksje, ojciec Brown uklęknął przy ciele i upewnił się, że wbrew wszelkiej nadziei mieli do czynienia ze zwłokami. Obok nich, choć niewidoczny od strony drzwi, leżał sztylet przypominający rekwizyt teatralny – leżał tak, jakby wysunął się z rany albo wypadł z dłoni zabójcy. Według Jarvisa, który rozpoznał narzędzie, trudno było uzyskać z niego jakieś informacje, póki eksperci nie zbadają odcisków palców. Był to sztylet należący do wyposażenia teatru, a więc nie był niczyją własnością. Walał się po teatrze od dłuższego czasu i każdy mógł go podnieść. Potem ksiądz wstał i rozejrzał się ponuro po gabinecie.

– Musimy wezwać policję – powiedział – i lekarza, choć na niego już za późno. Zresztą rozglądając się po tym pomieszczeniu, nie wiem, w jaki sposób nasza włoska przyjaciółka miałaby tego dokonać.

– Ta Włoszka! – wykrzyknął Jarvis. – Nie powinienem tak myśleć. Powinienem myśleć, że ma alibi – kto, jak nie ona! Dwa osobne pomieszczenia, na przeciwległych końcach korytarza, ze skupionym świadkiem, który go obserwuje.

– Nie – zaproponował ojciec Brown. – Niezupełnie. Trudność tkwi w tym, w jaki sposób miałaby się dostać na ten koniec. Myślę jednak, że mogłaby wyjść z tamtego.

– Ale dlaczego? – zapytał tamten.

– Mówiłem wam – przypomniał ojciec Brown – że brzmiało to tak, jakby tłukła szkło, lustro czy szyby. Głupio z mojej strony, że zapomniałem o czymś, o czym dobrze wiem – ona jest dosyć przesądna. Raczej nie stłukłaby lustro. Podejrzewam więc, że wybiła okno. Fakt, że znajdujemy się w przyziemiu, ale może jest tam jakiś świetlik albo okienko wychodzące na ten teren. Chociaż nie widzę tu żadnych świetlików.

I przez dłuższy czas stał, wpatrując się intensywnie w sufit.

Gwałtownie, ze wzdrygnięciem, wrócił do świadomości.

– Musimy iść na górę, zatelefonować i wszystkich powiadomić. To raczej bolesne... Mój Boże, słyszy pan tych aktorów, jak

wciąż krzyczą i grzmiają na scenie? Przedstawienie toczy się dalej. Zapewne to właśnie uważa się za tragiczną ironię.

Gdy zostało przesądzone, że teatr zamieni się w dom żałoby, pojawiła się okazja, by aktorzy przejawili wiele prawdziwych zalet swojego typu i zawodu. Zrobili to, zachowali się jak prawdziwi dżentelmeni. Nie wszyscy lubili Mandeville'a czy mu ufali, ale wiedzieli, co należy o nim powiedzieć. Wykazali się nie tylko współczuciem, lecz także delikatnością w podejściu do wdowy. Stała się, w nowym i bardzo odmiennym sensie, królową tragedii – jej najmniejsze słowo było prawem, a póki chodziła powoli, pogrążona w smutku, wypełniali jej liczne polecenia.

– Zawsze miała silny charakter – nieco zachrypniętym głosem powiedział stary Randall – i najsprawniejszy mózg z nas wszystkich. Oczywiście nieszczęsny Mandeville nigdy nie był tak wykształcony jak ona i w ogóle, ale zawsze wspaniale wywiązywała się ze swoich obowiązków. Było coś smutnego w tym, jak czasami mówiła, że żałuje, iż nie prowadzi bardziej intelektualnego życia, ale Mandeville... cóż, *nil nisi bonum*, nie należy źle mówić o zmarłych, jak powiadają. – I stary dżentelmen odszedł, ze smutkiem kręcąc głową.

– *Nil nisi bonum*, w istocie – ponuro mruknął Jarvis. – Nie sądzę, by do Randalla dotarła wieść o tej tajemniczej damie. A przy okazji, jak ksiądz sądzi, to naprawdę była jakaś obca kobieta?

– To zależy – odparł ksiądz – kogo ma pan na myśli, mówiąc „obca”.

– Och! Nie mówię o tej Włoszce – pospiesznie odpowiedział Jarvis. – Chociaż skoro już o tym mowa, co do niej też miał ksiądz rację. Gdy weszli do środka, świetlik był roztrzaskany, a pokój pusty. Ale z tego, co udało się ustalić policji, po prostu poszła do domu, cała i zdrowa. Nie, mam na myśli tę kobietę, którą słyszano, jak mu groziła podczas sekretnego spotkania – tę kobietę, która powiedziała, że jest jego żoną. Myśli ksiądz, że naprawdę nią była?

– To możliwe – przyznał ojciec Brown, wpatrując się ślepo w pustkę.

– To dawałoby motyw zazdrości o jego bigamiczne małżeństwo – zauważył Jarvis – skoro ciało nie zostało obrabowane. Nie ma co podejrzewać złodziejskich służących ani nawet ubogich aktorów. A co do tego, zauważył ksiądz w tej sprawie coś dziwnego i osobliwego?

– Zauważyłem kilka osobliwych rzeczy – odparł ojciec Brown.
– O której konkretnie pan mówi?

– O tym zbiorowym alibi – ponuro powiedział Jarvis. – Nieczęsto się zdarza, żeby całe towarzystwo miało publiczne alibi takie jak to – alibi oświetlonej sceny i wzajemnie poświadczających swoją obecność świadków. Okazuje się, że to, iż Mandeville wpuścił te dwie idiotki z wyższych sfer do łoża, to dla naszych przyjaciół naprawdę fart. Mogą złożyć zeznania, że cały akt został odegrany bez przerw, a wszystkie postaci cały czas znajdowały się na scenie. Zaczęli próbować na długo przed tym, jak Mandeville był widziany po raz ostatni. Pracowali przynajmniej pięć – dziesięć minut po tym, jak ksiądz i ja znaleźliśmy jego ciało. A szczęśliwym zbiegiem okoliczności w momencie, gdy usłyszeliśmy, jak pada, wszyscy razem byli na scenie.

– Tak, to z pewnością bardzo ważne i wszystko upraszcza – zgodził się ojciec Brown. – Policzmy ludzi, którzy mają alibi. Najpierw Randall: sądzę, że nienawidził dyrektora, chociaż w tej chwili bardzo stosownie ukrywa swoje uczucia. Ale można go wykluczyć – to on grzmiał nam nad głowami ze sceny. Następnie nasz młody pan Knight: mam dość mocne przypuszczenie, że jest zakochany w żonie Mandeville'a i nie ukrywa tego tak bardzo, jak by mógł, ale on także jest wykluczony, bo w tym czasie też był na scenie. Potem mamy tego sympatycznego Żyda, który przedstawia się jako Aubrey Vernon, i on też jest poza podejrzeniami. No i pani Mandeville, też wykluczona. Ich zbiorowe alibi, jak pan powiedział, zależy w dużej mierze od lady Miriam i jej przyjaciółki w łożu – choć na

zdrowy rozum mamy potwierdzenie, że akt został odegrany bez przerw i teatralna rutyna nie ucierpiała. Jednak formalnymi świadkami są lady Miriam i jej przyjaciółka, panna Talbot. Chyba wszystko z nimi w porządku?

– Z lady Miriam? – z zaskoczeniem zapytał Jarvis. – Ależ tak... Pewnie chodzi księdzu o to, że wygląda jak jakiś dziwny wamp. Ale nie ma ksiądz pojęcia, jak obecnie potrafią wyglądać damy nawet z najlepszych rodzin. Poza tym czy jest jakiś konkretny powód, żeby wątpić w ich zeznania?

– Tylko taki, że prowadzą nas w ślepą uliczkę – powiedział ojciec Brown. – Nie widzi pan, że to zbiorowe alibi kryje praktycznie wszystkich? Tych czworo było jedynymi aktorami, którzy wówczas byli w teatrze, nie ma tutaj żadnych służących, nikogo poza starym Samem, który pilnuje jedyne go używanego wejścia, i tej kobiety, która strzegła drzwi panny Maroni. Nie zostaje nikt poza panem i mną. Z całą pewnością można by nas oskarżyć o tę zbrodnię, zwłaszcza że to my znaleźliśmy ciało. Wygląda na to, że nie ma nikogo innego, kogo można by oskarżyć. Chyba go pan nie zabił, gdy patrzyłem w inną stronę?

Jarvis przez chwilę patrzył na niego z zaskoczeniem, po czym na jego śniadą twarz wrócił szeroki uśmiech. Pokręcił głową.

– Nie zrobił pan tego – zgodził się ojciec Brown – i na potrzebę chwili załóżmy, że ja też tego nie zrobiłem. Skoro ludzie na scenie są wykluczeni, to pozostaje tylko *signora* za zamkniętymi drzwiami, strażniczka przed tymi drzwiami i stary Sam. Chyba że myśli pan o tych dwóch kobietach w łoży? Oczywiście mogłyby się z niej wyślizgnąć.

– Nie – powiedział Jarvis. – Myślę o tej nieznajomej kobiecie, która przyszła i powiedziała Mandeville'owi, że jest jego żoną.

– Może i była – mruknął ojciec Brown, a tym razem w jego spokojnym głosie pojawiła się nuta, która sprawiła, że jego towarzysz poderwał się i pochylił nad stołem.

– Mówimy – zauważył ściszym, przejętym tonem – że jego pierwsza żona była zazdrosna o drugą.

– Nie – odparł ojciec Brown. – Może mogła być zazdrosna o tę

Włoszkę albo o lady Miriam Marden. Ale nie była zazdrosna o pierwszą żonę.

– A dlaczego nie?

– Bo nie było żadnej drugiej żony – wyjaśnił ojciec Brown. – Abstrahując od bigamii, pan Mandeville wydaje mi się człowiekiem wysoce monogamicznym. Jego żona była mu niemal za bardzo oddana – tak bardzo, że wszyscy miłosiernie założyliście, że to musi być ktoś inny. Nie wiem jednak, jak mogłaby być wraz z nim, gdy został zabity, skoro się zgadzamy, że przez cały czas grała w świetle reflektorów. Gra aktorska też jest ważna...

– Naprawdę chce ksiądz powiedzieć – wykrzyknął Jarvis – że ta obca kobieta, która dręczyła go jak duch, to była tylko znana nam pani Mandeville?

Nie otrzymał jednak odpowiedzi. Ojciec Brown wpatrywał się w przestrzeń pustym wzrokiem niemal jak idiota. W chwilach gdy przejawiał największą inteligencję, zawsze wyglądał najbardziej tępo.

W następnej chwili skoczył na równe nogi, wyglądając na bardzo znękanego i zdenerwowanego.

– To okropne – powiedział. – Nie wiem, czy to nie jest najgorsza sprawa, jaką miałem kiedykolwiek, ale muszę się z nią uporać. Czy mógłby pan pójść i spytać pani Mandeville, czy mógłbym z nią porozmawiać na osobności?

– Och, oczywiście – powiedział Jarvis i ruszył do drzwi. – Ale co się księdzu stało?

– Tylko tyle, że jestem zupełnym durniem – odparł ojciec Brown. – To bardzo powszechna przypadłość na tym padole łez. Byłem tak głupi, że zapomniałem kompletnie, że grali *Szkotę Skandalu*.

Chodził po pomieszczeniu, gdy w drzwiach ponownie pojawił się Jarvis ze zmienioną i zaniepokojoną twarzą.

– Nigdzie nie mogę jej znaleźć – powiedział. – Chyba nikt jej nie widział.

– Nie widzieli też pewnie Normana Knighta? – sucho zapytał

ojciec Brown. – Cóż, to mi oszczędzi najbardziej bolesnej rozmowy w moim życiu. Ocalony dzięki łasce pańskiej, niemal bałem się tej kobiety. Ale ona też się mnie bała; bała się czegoś, co widziałem albo powiedziałem. Knight zawsze ją błagał, by z nim uciekła. Teraz to zrobiła – i jest mi go diabelnie żal.

– Jego? – zdziwił się Jarvis.

– Cóż, uciekać z morderczynią nie jest chyba zbyt przyjemnie – bez emocji odpowiedział ksiądz. – Jednak w gruncie rzeczy jest ona kimś znacznie gorszym niż morderczynią.

– A mianowicie?

– Egoistką – odparł ojciec Brown. – Jest tego rodzaju osobą, która najpierw spogląda w lustro, a dopiero potem za okno, a to najgorsze nieszczęście doczesnego życia. Zwierciadło nie było dla niej pochlebne, zgadza się, ale raczej nie dlatego, że było pęknięte.

– Nie rozumiem, co to wszystko znaczy – powiedział Jarvis. – Wszyscy uważali ją za osobę o wzniosłych ideałach, będącą wręcz na wyższym poziomie duchowym niż ktokolwiek z nas...

– Sama się za taką uważała – odpowiedział kapłan – i wiedziała, jak przekonać do tego wszystkich innych. Być może nie znałem jej na tyle długo, by źle o niej mówić, ale rozpoznałem, jakiego rodzaju to osoba pięć minut po tym, jak na nią spojrzałem.

– No chwileczkę – wykrzyknął Jarvis. – Jestem pewien, że pięknie się zachowała wobec tej Włoszki.

– Jej zachowanie zawsze było piękne – odparł ojciec Brown. – Wszyscy tutaj mi powtarzali, jaka jest subtelna, doskonała i jakże góruje duchowo nad biednym Mandeville'em. Tymczasem całe to uduchowienie i subtelność wydały mi się bzdurą ze względu na prosty fakt, że ona z pewnością była damą, a on z równą pewnością nie był dżentelmenem. Wie pan, nigdy nie byłem do końca przekonany, że u bram niebieskich będzie to dla świętego Piotra jedynym wyznacznikiem. A co do reszty – kontynuował z rosnącym ożywieniem – już od pierwszych słów, które wypowiedziała, wiedziałem, że nie była

do końca w porządku wobec tej biednej Włoszki, przy całej jej lodowatej wielkoduszności. Dotarło to do mnie, gdy się dowiedziałem, że grają *Szkolę Skandalu*.

– Nie nadażam za księdzem – poskarżył się Jarvis. – Jakie znaczenie ma ta sztuka?

– Cóż – powiedział ksiądz – powiedziała, że dała tej dziewczynie rolę pięknej heroiny, a sama trzymała się w cieniu z rolą starszej matrony. To mogłoby mieć zastosowanie niemal do każdej sztuki, ale zafałszowuje fakty odnośnie do tej konkretnej. Mogła jej dać tylko rolę Marii, którą w ogóle trudno jest nazwać rolą. A rola skrytej i skromnej mężatki, jeśli pan pozwoli, to musi być partia lady Teazle, bo jest jedyną rolą, którą chciałyby zagrać jakakolwiek aktorka. Skoro nasza Włoszka była aktorką pierwszoplanową, której obiecano pierwszoplanową rolę, to stanowi to jakieś wytłumaczenie, a przynajmniej powód jej iście włoskiej wściekłości. Taka jest ogólnie specyfika włoskiej wściekłości: południowcy są logiczni i nie wściekają się bez powodu. Ale ten jeden drobiazg naświetlił mi znaczenie jej wielkoduszności. I jeszcze jedna rzecz. Roześmiał się pan, gdy powiedziałem, że ponury wygląd pani Sands jest studium jej charakteru – ale nie chodziło mi o charakter pani Sands. Jakkolwiek była to prawda. Jeśli chcesz się dowiedzieć, jaką osobą dama jest naprawdę, nie patrz na nią. Może być dla ciebie zbyt przebiegła. Nie patrz na otaczających ją mężczyzn, bo mogą być przez nią ogłupieni. Przyjrzyj się innej kobiecie, która zawsze jest blisko niej, a szczególnie tej, która jej podlega. W tym lustrze ujrysz jej prawdziwą twarz, a twarz, która odbijała się w pani Sands, była bardzo nieprzyjemna.

A co do innych wrażeń, jakie one były? Dużo słyszałem o niestosownych zachowaniach nieszczęsnego, starego Mandeville'a, ale wszystkie te opowieści pochodziły z drugiej ręki i jestem pewien, że pośrednio od niej. A jeśli nawet, to się wydało. Z tego, co powtarzał każdy, wszystkim zwierzała się ze swojej dojmującej samotności intelektualnej. Pan sam

powiedział, że nigdy się nie skarżyła, a potem zacytował jej słowa, że niewypowiadanie żali wzmacnia jej duszę. A to tylko drobiazg, styl nie do pomylenia. Ludzie, którzy się skarżą, to tylko zabawna uciążliwość chrześcijaństwa – nie przeszkadza mi to. Ale ludzie, którzy się żalą, że nigdy się nie żalą, to piekło. To sam diabeł! Czyż w całym tym byronowskim kulcie szatana nie chodzi o chełpliwy stoicyzm? Słyszałem to wszystko, ale jakoś nie usłyszałem o niczym konkretnym, na co by się musiała skarżyć. Nikt nie udawał, jakoby jej mąż pił, bił ją, zostawiał bez pieniędzy czy choćby zdradzał, póki nie pojawiły się plotki o jego sekretnych spotkaniach, co było jedynie jej własnym, melodramatycznym zwyczajem gnębienia go wymówkami na osobności, w jego własnym gabinecie. A gdy przyrzeć się faktom w oderwaniu od męczeńskiego wrażenia, jakie roztaczała, to te fakty wyglądają zupełnie inaczej. Mandeville porzucił zyskowne farsy, żeby ją zadowolić. Zaczął tracić pieniądze na klasyczne dramaty, żeby ją zadowolić. Scenografię kazała przygotowywać według własnego uznania. Chciała sztuki Sheridan i dostała ją, chciała roli lady Teazle i dostała ją, chciała próby generalnej bez kostiumów o konkretnej godzinie i dostała ją. Warto może podkreślić ten interesujący fakt, że tego chciała.

– Ale do czego ma prowadzić ta tyrada? – zapytał aktor, który dotąd nie słyszał, żeby jego duchowny przyjaciel wygłosił tak długą przemowę. – Chyba dość daleko odeszliśmy od morderstwa na rzecz całej tej psychologii. Może i uciekła z Knightem, może i namąciła w głowie Randallowi, może namąciła w głowie mnie. Nie mogła jednak zamordować męża – bo wszyscy potwierdzają, że przez całą próbę była na scenie. Musiałaby umieć czarować, a nie jest czarownicą.

– No, nie byłbym tego taki pewny – z uśmiechem powiedział ojciec Brown. – Ale w tym przypadku nie musiała się uciekać do żadnych czarów. Wiem, że to zrobiła, i było to naprawdę proste.

– Skąd ta pewność? – zapytał Jarvis, patrząc na niego

zagubionym wzrokiem.

– Ponieważ chodziło o *Szkołę Skandalu* – odpowiedział ojciec Brown – i ten konkretny akt sztuki. Pozwolę sobie panu przypomnieć, że jak powiedziałem przed chwilą, zawsze aranżowała scenografię tak, jak chciała. Pozwolę sobie również przypomnieć, że ta scena była używana do wystawiania fars – oczywiście są na niej zapadnie i ukryte drzwi. A zanim pan powie, że świadkowie potwierdzają, że przez cały czas widzieli aktorów na scenie, przypomnę panu, że w tej głównej scenie *Szkoły Skandalu* główne postaci faktycznie przebywają na scenie, ale nie są widoczne. Technicznie była na scenie, ale praktycznie mogła z niej zejść. Oto Przepierzenie lady Teazle i Alibi pani Mandeville.

– Sądzi ksiądz, że przez zapadnię za przepierzeniem wyslizgnęła się piętro niżej, gdzie był gabinet dyrektora? – po chwili ciszy upewnił się aktor.

– Z pewnością w jakiś sposób się wyslizgnęła, a ten jest najbardziej prawdopodobny – odparł ksiądz. – Wydaje mi się najbardziej prawdopodobny, bo skorzystała z okazji stworzonej przez próbę bez kostiumów, a nawet do niej doprowadziła. To tylko przypuszczenie, sądzę jednak, że gdyby próba była kostiumowa, to w sukni z osiemnastego wieku trudno byłoby się przecisnąć przez te ukryte drzwiczki. Oczywiście jest tu sporo drobnych niejasności, ale myślę, że z czasem uda się z nimi rozprawić.

– Mam z tym jedną, poważną trudność – powiedział Jarvis, z osobliwym jękiem opierając głowę na dłoni. – Po prostu nie mogę uwierzyć, że tak promienne i łagodne stworzenie mogło tak bardzo stracić, że tak powiem, równowagę fizyczną, nie mówiąc już o równowadze moralnej. Czy był tu jakiś dostatecznie wyraźny motyw? Czy tak bardzo kochała Knighta?

– Taką mam nadzieję – odparł jego towarzysz – bo to naprawdę byłoby najbardziej ludzkie wytłumaczenie. Przykro mi to mówić, ale jednak mam swoje wątpliwości. Chciała się pozbyć męża, który był staroświeckim, prowincjonalnym

wyrobnikiem, który nawet nie zarabiał znaczących pieniędzy. Chciała zrobić karierę błyskotliwej żony błyskotliwego i pnącego się w górę aktora. Ale w tym sensie nie chciała grać w „szkole skandalu”. Nie uciekłyby z jakimś mężczyzną, gdyby miała inne wyjście. Nie kierowała nią ludzka namiętność, ale jakieś piekielne poczucie reputacji. Zawsze w tajemnicy śledziła męża i wierciła dziurę w brzuchu, żeby dał jej rozwód albo w jakiś inny sposób się usunął, a gdy odmówił, w końcu zapłacił za tę odmowę ostateczną cenę. Jest jeszcze coś, o czym powinien pan pamiętać. Mówił pan, że ci intelektualiści mają wysoką sztukę i bardziej filozoficzne dramaty. Proszę jednak wziąć pod uwagę, czym jest wiele filozofii! Proszę pamiętać, jakie zachowania ci intelektualiści często przejawiają na szczytach! Całe to gadanie o Woli i Mocy, Prawie do Życia i Prawie do Doświadczenia – przekłete nonsensy, co do jednego – nonsensy, które mogą sprowadzić przekleństwo.

Ojciec Brown zmarszczył brwi, co robił bardzo rzadko, a gdy założył kapelusz i wyszedł w noc, twarz wciąż miał nachmurzoną.

[23] *The School for Scandal* – sztuka autorstwa Richarda Sheridan, po raz pierwszy wystawiona w roku 1777.

NAJGORSZA ZBRODNIĄ NA ŚWIECIE

Ojciec Brown krążył po galerii sztuki z miną, która świadczyła o tym, że nie przyszedł tu oglądać obrazy. W istocie nie chciał na nie patrzeć, choć malarstwo lubił. Nie, żeby w tych wysoce współczesnych płótnach było coś niestosownego czy niemoralnego. Należał do tych gorących natur, w których połamane spirale, odwrócone stożki i popsute cylindry, którymi sztuka przyszłości inspirowała ludzkość albo jej groziła, budziły dość pogański odzew. Prawda była taka, że ojciec Brown rozglądał się za młodą przyjaciółką, z którą miał się spotkać w tym cokolwiek dziwnym miejscu, jako że miała bardziej futurystyczne zapatrywania. Owa młoda przyjaciółka była również młodą krewną, jedną z niewielu, jakie miał. Nazywała się Elizabeth Fane, zdrobniale Betty, i była córką siostry, która poślubiła wyrafinowanego, ale zubożałego ziemianina. Jako że ów ziemianin był nie tylko zubożały, lecz także aktualnie zmarły, ojciec Brown przyjął rolę opiekuna i w pewnym sensie strażnika, a nie tylko księdza i wuja. W tej chwili jednak rozglądał się po ludziach zebranych w galerii, szukając znajomych brązowych włosów i jasnej twarzyczki

swojej siostrzenicy. Dostrzegł kilka osób, które znał, i mnóstwo osób, których nie znał, w tym również takich, których, jak uznał, niespecjalnie chciałby poznać.

Pośród ludzi, których ksiądz nie znał, a którzy wzbudzili jego zainteresowanie, znajdował się gibki i przejęty młody człowiek, przepięknie ubrany i wyglądający raczej na obcokrajowca, ponieważ o ile jego broda przystrzyżona była na starą, hiszpańską modłę, o tyle ciemne włosy miał ostrzyżone tak krótko, że wyglądały jak ciasna, czarna czapeczka. Między ludźmi, których ksiądz nieszczególnie miał ochotę poznać, była dama wyglądająca na bardzo dominującą, odziana w jaskrawy szkarłat, z grzywą żółtych włosów zbyt długich, aby nazwać tę fryzurę paziem, ale puszczonej zbyt swobodnie, by nazwać ją inaczej. Miała władcą, raczej ciężką twarz o bladej i dość niezdrowej cerze, a gdy na kogoś spoglądała, robiła to z zafascynowaniem bazyliuszka. Holowała za sobą niskiego mężczyznę z wielką brodą i bardzo szeroką twarzą z zaspanymi szparkami oczu. Minę miał rozpromienioną i życzliwą, nawet jeśli na poły spał, ale jego byczy kark, widziany od tyłu, sprawiał wrażenie nieco brutalnego.

Ojciec Brown przyglądał się owej damie, czując, że pojawienie się i przystępność jego siostrzenicy będą przyjemnym kontrastem. Z jakiegoś powodu obserwował dalej, póki nie doszedł do momentu, w którym pojawienie się kogokolwiek byłoby przyjemnym kontrastem. Stąd odczuł niejaką ulgę, choć drgnął lekko, jakby się obudził, gdy na dźwięk swojego nazwiska odwrócił się i ujrzał kolejną znaną twarz.

Była to ostra, ale przyjazna twarz prawnika o nazwisku Granby. Siwiznę jego włosów można było niemal uznać za ślady pudru z peruki, tak bardzo bowiem gryzła się z młodzieńczą energią jego ruchów. Należał do tych mężczyzn w City, którzy ganiali po swoich biurach jak uczniacy. Nie mógł w taki sposób biegać po modnej galerii sztuki, choć sprawiał wrażenie, jakby chciał – i gryzł się, popatrując na prawo i lewo w poszukiwaniu kogoś, kogo znał.

– Nie miałem pojęcia – z uśmiechem powiedział ojciec Brown – że jest pan mecenasem sztuki współczesnej.

– Nie wiedziałem, że ksiądz tu będzie – odparł tamten. – Muszę tu kogoś złapać.

– Mam nadzieję, że się panu uda – odpowiedział ksiądz. – Jestem tu z grubsza z tego samego powodu.

– Mówił, że podróżuje po kontynencie – prychnął prawnik – i że możemy się spotkać w tym dziwnym miejscu. – Rozmyślał przez chwilę, po czym powiedział gwałtownie: – Proszę posłuchać, wiem, że ksiądz potrafi dochować tajemnicy. Zna ksiądz sir Johna Musgrave'a?

– Nie – odparł ksiądz – ale raczej nie uznałbym, że to taka tajemnica, skoro podobno ukrywa się w zamku. Czy to nie jest ten staruszek, o którym krąży tyle opowieści – że mieszka w wieży z kratownicą i prawdziwym mostem zwodzonym i generalnie odmawia uznania, że to nie średniowiecze? To pański klient?

– Nie – krótko powiedział Granby. – Chodzi o jego syna, kapitana Musgrave'a. Ale stary ma duże znaczenie w tej sprawie, a ja go nie znam, w tym rzecz. Proszę posłuchać, jak mówiłem, to poufna sprawa, ale księdzu mogę się zwierzyć.

Przerwał i poprowadził przyjaciela do bocznej sali, gdzie prezentowano różne prawdziwe obiekty, a która była relatywnie pusta.

– Ten młody Musgrave – powiedział – chce wziąć od nas dużą sumę pieniędzy pod spadkowy skrypt dłużny swojego starego ojca w Northumberland. Staruszek jest dobrze po siedemdziesiątce i pewnie prędzej czy później pojawi się jego nekrolog, ale co ze skrytem? Co się potem stanie z jego pieniędzmi, zamkami, mostami zwodzonymi i całą resztą? To bardzo piękna, stara posiadłość, nadal sporo warta, ale bez wyznaczonego spadkobiercy. Widzi ksiądz, w czym rzecz. Zatem pytanie brzmi, jak to było u Dickensa, czy staruszek jest przyjazny?

– Jeśli sprzyja synowi, to dobrze dla pana – zauważył ojciec

Brown. – Nie, obawiam się, że nie potrafię panu pomóc. Nigdy nie spotkałem sir Johna Musgrave'a, i rozumiem, że obecnie widuje go bardzo niewielu ludzi. Jednak wydaje się oczywiste, że ma pan prawo do poznania jego opinii w tej sprawie, zanim pożyczysz pan temu młodemu dżentelmenowi pieniądze pańskiej firmy. Czy możliwe, żeby został wydziedziczony?

– Cóż, powątpiewam – przyznał adwokat. – Jest bardzo popularny i błyskotliwy, i to ważna postać w towarzystwie, ale dużo czasu spędza za granicą i jest dziennikarzem.

– Cóż – mruknął ojciec Brown – to nie zbrodnia. Przynajmniej nie zawsze.

– Nonsens! – opryskliwie odparł Granby. – Wie ksiądz, co mam na myśli. Nosi go po świecie, bywa dziennikarzem, wykładowcą, aktorem i czym tam jeszcze. Muszę wiedzieć, na czym stoję... Cóż, oto on.

I adwokat, który tupał niecierpliwie w pustawej galerii, odwrócił się nagle i biegiem pognał do bardziej zatłoczonej sali. Biegł w stronę tego wysokiego, dobrze ubranego młodzieńca z krótkimi włosami i cudzoziemską brodą.

Odeszli razem pogrążeni w rozmowie, a ojciec Brown przez kilka chwil śledził ich zmrużonymi, krótkowzrocznymi oczami. Jednak obserwację przerwało mu żywiołowe przybycie jego siostrzenicy, Betty. Ku zaskoczeniu wuja poprowadziła go z powrotem do tego mniej zatłoczonego pomieszczenia i posadziła go na krześle, które było jak wyspa na tym oceanie podłogi.

– Muszę wujowi coś powiedzieć – oznajmiła. – To takie niemądre, że nikt inny tego nie zrozumie.

– Czuję się przytłoczony – powiedział ojciec Brown. – Chodzi o tę sprawę, o której zaczęła mi mówić twoja matka? Zaręczyny i tak dalej... Historycy wojskowości tak chyba nazywają ogólne zaangażowanie.

– Wie wuj – powiedziała – że ona chce mnie zaręczyć z kapitanem Musgrave'em?

– Nie wiedziałem. – Ojciec Brown westchnął z rezygnacją. –

Ale kapitan Musgrave to chyba modny temat.

– Oczywiście jesteśmy bardzo biedne – skrzywiła się – i nie ma co udawać, że to nie robi żadnej różnicy.

– A ty chcesz za niego wyjść? – spytał ojciec Brown, przyglądając się jej spod półprzymkniętych powiek.

Zmarszczyła brwi i spojrzała w podłogę.

– Myślałam, że tak – odpowiedziała ściszym tonem. – Przynajmniej wydaje mi się, że tak myślałam. Ale przeżyłam właśnie szok.

– No to opowiedz, co się stało.

– Słyszałam jego śmiech – powiedziała.

– To wspaniały talent towarzyski – dogryzł jej.

– Nie rozumie wuj – powiedziała dziewczyna. – To w ogóle nie było towarzyskie. W tym właśnie rzecz – to nie było towarzyskie.

Zamilkła na chwilę, po czym zaczęła opowiadać pewnym tonem:

– Przyszłam tutaj dosyć wcześnie i zobaczyłam, że siedzi sam na środku tej galerii z nowymi obrazami, wówczas raczej pustej. Nie wiedział, że jestem w pobliżu. Siedział sam i się roześmiał.

– Cóż, nic dziwnego – mruknął ojciec Brown. – Nie jestem krytykiem sztuki, ale generalny ogląd tych obrazów traktowanych jako całość...

– Och, nie rozumie wuj! – powiedziała niemal z gniewem. – To wcale nie o to chodziło. Nie patrzył na obrazy. Gapił się w sufit, ale wzrok miał skierowany jakby do wewnątrz i zaśmiał się w taki sposób, że zmroziło mi to krew w żyłach.

Ksiądz wstał i zaczął chodzić po pomieszczeniu z rękami splecionymi za plecami.

– Nie możesz pochopnie działać w takiej sprawie – zaczął. – Są dwa rodzaje mężczyzn... ale raczej nie możemy o nich teraz podyskutować, bo oto on.

Kapitan Musgrave wsunął się do sali i przeszedł przez nią z uśmiechem. Granby, prawnik, był tuż za nim, a na jego służbowej twarzy widać było nowy wyraz ulgi i satysfakcji.

– Muszę przeprosić za wszystko, co mówiłem o kapitanie –

powiedział do księdza, gdy razem zmierzali w stronę drzwi. – To ogromnie rozsądny człowiek i rozumiem mój punkt widzenia. Zaprosił mnie sam, abym pojechał na północ i spotkał się z jego starym ojcem, żebym sam od niego usłyszał, jakie ma plany odnośnie do spadku. Cóż, to chyba bardzo uczciwa propozycja, prawda? Ale tak mu spieszo, by to załatwić, że zaproponował, iż sam mnie zawiezie samochodem do Musgrave Moss. Taką nazwę nosi posiadłość. Zasugerowałem, że skoro jest tak uprzejmy, to moglibyśmy pojechać razem. Wyruszamy jutro rano.

Gdy rozmawiali, przez drzwi przeszli Betty wraz z kapitanem, w ich obramowaniu tworząc obrazek tak sentymentalny, że już lepsze były te stożki i cylindry. Jakie by nie były ich sympatie, oboje byli urodziwi. Prawnik właśnie zaczął o tym mówić, gdy obrazek gwałtownie się zmienił.

Kapitan James Musgrave zajrzał do głównej sali wystawowej, a jego roześmiane i triumfujące oczy utkwione były w coś, co wydawało się go odmieniać od stóp do głów. Ojciec Brown obejrzał się, jakby przeczuł zbliżający się cień, i ujrzał groźną, niemal siną twarz tej dużej kobiety w szkarłacie pod lwią, żółtą grzywą. Cały czas była lekko przygarbiona jak byk opuszczający rogi, a wyraz jej ziemistej twarzy był tak przytłaczający i hipnotyczny, że ledwie zauważyli niskiego mężczyznę z wielką brodą stojącego u jej boku.

Musgrave ruszył w jej stronę, do centrum pomieszczenia, niemal jak pięknie przyodziana figura woskowa, w którą ktoś tchnął życie. Powiedział do niej kilka słów, których nie usłyszeli. Nie odpowiedziała, ale zawrócili razem i poszli w dół długiej galerii jakby pogrążeni w dyskusji, a niski mężczyzna z byczym karkiem i brodą trzymał się z tyłu jak jakiś goblin pełniący rolę groteskowego pazia.

– Boże dopomóż! – mruknął ojciec Brown, marszcząc brwi. – Kim jest ta kobieta?

– Na pewno żadną moją znajomą – z ponurym lekceważeniem odpowiedział Granby. – Sprawia wrażenie, jakby sama malutka

próba flirtu mogła się fatalnie skończyć, co?

– Nie wydaje mi się, żeby on z nią flirtował – uznał ojciec Brown.

Gdy to powiedział, omawiana grupka zawróciła na końcu galerii i rozpadła się, a kapitan Musgrave wrócił do nich szybkim krokiem.

– Panie Granby – wykrzyknął dość naturalnym głosem, choć odnieśli wrażenie, że zmienił się na twarzy – jest mi niezmiernie przykro. Dowiedziałem się, że nie mogę jutro pojechać z panem na północ. Oczywiście proszę wziąć mój samochód. Bardzo proszę, nie będę go potrzebował. Muszę... muszę kilka dni zostać w Londynie. Proszę zabrać ze sobą przyjaciela, jeśli ma pan ochotę.

– Mój przyjaciel, ojciec Brown... – zaczął prawnik.

– Skoro pan kapitan jest tak miły – ponuro powiedział ojciec Brown – pozwolę sobie nadmienić, że dochodzenie pana Granby'ego w pewnym sensie dotyczy również mnie, więc byłoby mi wielką ulgą, gdybym mógł pojechać.

Tak więc bardzo elegancki samochód, z równie eleganckim szoferem, następnego dnia pognął na wrzosowiska Yorkshire, wioząc osobliwy ciężar księdza, który wyglądał trochę jak czarny tobołek, i prawnika, który miał zwyczaj poruszania się wszędzie na własnych nogach, a nie na cudzych czterech kółkach.

Przerwę w podróży spędzili bardzo przyjemnie w jednej z wielkich dolin West Riding, jedząc i śpiąc w wygodnym zajeździe, a wyruszywszy wczesnym rankiem następnego dnia, pojechali wzdłuż wybrzeża Northumbrian i dotarli do krainy pełnej piaszczystych wydm i łąk dochodzących do morskiego brzegu. Gdzieś w jej sercu leżał stary zamek Border, który był wyjątkowym i milczącym pomnikiem starych wojen granicznych. W końcu udało im się go znaleźć, gdy jechali dróżką wzdłuż długiego ramienia, którym morze sięgało w głąb lądu, i wreszcie skręcało w coś w rodzaju nieregularnego kanału kończącego się fosą zamkową. Był to zamek, co się

zowie, warowna budowla na planie prostokąta, jaką Normanowie budowali wszędzie, od Galilei do Grampianów^[24]. Naprawdę miał opuszczaną kratę i most zwodzony, co uświadomiło im, że przez przypadek opóźnili swoją wizytę.

Przebrnęli przez długą, szorstką trawę i osty do skraju fosy, która biegła czarną wstęgą pokrytą martwymi liśćmi i pianą, jak heban inkrustowany złotym wzorem. Ledwie o jard czy dwa za tą czarną wstążką znajdował się drugi zielony skraj i wielkie, kamienne słupy wrót. Wyglądało na to, że było to jedyne wejście do samotnej warowni, a gdy niecierpliwy Granby zawołał do niewyraźnych postaci za kratą, wydawało się, że mają spory problem, żeby opuścić wielki pordzewiały most. Ruszył w dół, wyglądając, jakby waliła się wielka wieża, i utknął w połowie pod niebezpiecznym kątem.

– Och, nie dzierżę takiej rozlazłości! Już łatwiej byłoby przeskoczyć.

I z typowym dla siebie impetem skoczył, bezpiecznie, acz nieco chwiejnie lądując na wewnętrznym brzegu. Krótkie nogi ojca Browna nie były przystosowane do skakania. Jednak lepiej niż inni był przystosowany do wpadania do bardzo mulistej wody. Dzięki sprawności towarzysza udało mu się doskoczyć prawie do samego brzegu. Gdy wciągnął się na zielony błotnisty stok, zatrzymał się z pochyloną głową i wpatrywał w konkretny punkt na trawiastym zboczu.

– Bawi się ojciec w botanika? – z irytacją zapytał Granby. – Nie mamy czasu na zbieranie rzadkich roślinek po tym, jak próbował ojciec nurkować pośród cudów głębin. Dalej, brudni czy nie, musimy się stawić przed baronetem.

Gdy dotarli do zamku, stary służący, jedyne w zasięgu wzroku, przyjął ich uprzejmie, a po tym, jak wyłuszczyli, co ich sprowadza, poprowadził ich do długiego pokoju o ścianach wyłożonych dębową boazerią i okratowanych oknach o staroświeckim wzorze. Na ciemnych ścianach w dopasowanych grupach wisiała broń z różnych stuleci, a przy potężnym kominku jak strażnik stała kompletna zbroja

z czternastego wieku. W kolejnym długim pokoju, widocznym częściowo przez wpuł otwarte drzwi, mogli dojrzeć rzędy ciemnych portretów rodzinnych.

– Mam wrażenie, jakbym zamiast w domu znajdował się w jakieś powieści – mruknął prawnik. – Nie miałem pojęcia, że ktoś może tak mieszkać jakby w *Tajemnicy zamku Udolpho*^[25].

– Tak, starszy pan wyraźnie jest konsekwentny w swoich historycznych dziwactwach – odpowiedział ksiądz – a to nie są podróbki. Tego nie zaaranżował ktoś, komu się wydaje, że wszyscy ludzie średniowiecza żyli w jednym czasie. Czasami ludzie składają zbroje z różnych kawałków, ta jednak okrywała jednego człowieka i okrywała go bardzo dokładnie. Widzi pan, to późna zbroja turniejowa.

– W kwestii pogawędki sędzę, że nasz gospodarz się nie spieszy – burknął Granby. – Czekamy tutaj już piekielnie długo.

– Można się spodziewać, że w takich miejscach wszystko toczy się powoli – zauważył ojciec Brown. – Uważam, że to miłe z jego strony, że w ogóle chce się z nami spotkać: dwóch zupełnie obcych ludzi, którzy przyjechali, by zadawać mu osobiste pytania.

I faktycznie, gdy pojawił się pan domu, nie mieli żadnych powodów do niezadowolenia z tego, jak ich przyjął. Uświadomili sobie raczej coś szczerego w tradycji rodowodu i zachowania, które bez trudu w tym barbarzyńskim odosobnieniu mogą zachować wrodzoną godność, i to po wielu latach życia na wsi i pograżania się w czarnych myślach. Baronet nie wydawał się ani zaskoczony, ani zakłopotany ich niespodziewaną wizytą. Choć podejrzewali, że przez ćwierć życia nie podejmował w tym domu nikogo obcego, zachowywał się tak, jakby przed chwilą z ukłonem żegnał księżną. Gdy wyłuszczyli wielce prywatny charakter swojej sprawy, nie okazał ani nieśmiałości, ani zniecierpliwienia. Po chwili leniwego zastanowienia uznał ich ciekawość za uzasadnioną w tych okolicznościach. Był chudym, starym dżentelmenem, wyglądającym na silnego, z czarnymi brwiami i długim podbródkiem, a choć starannie ufryzowane

włosy z całą pewnością były peruką, był dostatecznie mądry, aby nosić szarą perukę starszego człowieka.

– Co do pytań, które panów zajmują – powiedział – odpowiedź jest prosta. Z pewnością przekażę całą moją własność swojemu synowi tak, jak mnie przekazał ją mój ojciec, i nic – mówię to z pełną świadomością – nic nie skłoni mnie do zmiany zdania.

– Jestem głęboko wdzięczny za tę informację – odpowiedział prawnik. – Jednak pańska uprzejmość sprawia, że odważę się zauważyć, iż stawia pan sprawę bardzo mocno. Nie zasugerowałbym, że pański syn mógłby dopuścić się czegoś, co kazałoby panu zwątpić w jego zdatność do przejęcia tych obowiązków. Wciąż jednak mógłby...

– Otóż to – sucho odrzekł sir John Musgrave. – Mógłby. To zresztą raczej niedopowiedzenie. Czy byliby panowie tak uprzejmi i przeszli ze mną na chwilę do drugiego pokoju?

Poprowadził ich do dalszej galerii, do której zdążyli wcześniej tylko zerknąć, i ponuro przystanął przed rzędem pociemniałych portretów.

– To jest sir Roger Musgrave – powiedział, wskazując na człowieka o wyciągniętej twarzy i z czarną barokową peruką na głowie. – Był jednym z najbardziej nikczemnych kłamców i kanalii w paskudnych czasach Wilhelma Orańskiego, zdrajcy dwóch królów i przypuszczalnie mordercy dwóch żon. To jego ojciec, sir Robert, absolutnie uczciwy, stary rycerz. To jego syn, sir James, jeden z najszlachetniejszych męczenników jakobińskich i jeden z pierwszych ludzi próbujących jakoś zadośćuczynić kościołowi i biedocie. Czy to ma znaczenie, że siła, honor, władza rodu Musgrave'ów przechodziły z jednego dobrego człowieka na drugiego z zachowaniem interwału na złego? Edward I dobrze rządził Anglią. Edward III okrył Anglię chwałą. A jednak drugi okres chwały przyszedł po czasach hańby i głupoty Edwarda II, który płaszczył się przed Gavestone'em i uciekł przed Bruce'em. Proszę mi wierzyć, panie Granby, wielkość wielkiego rodu i historia to coś więcej niż te przypadkowe jednostki, które się w nim pojawiają, nawet jeśli

nie przynoszą mu zaszczytu. Nasze dziedzictwo przechodzi z ojca na syna i nic tego nie zmieni. Mogę panów zapewnić, a panowie mogą zapewnić mojego syna, że nie zostawię moich pieniędzy schronisku dla kotów. Musgrave przekazywać je będzie Musgrave'owi aż do końca świata.

– Tak – z zadumą powiedział ojciec Brown. – Rozumiem, co ma pan na myśli.

– I będziemy wielce uradowani – odezwał się prawnik – mogąc przekazać pańskiemu synowi tak szczęśliwe wieści.

– Ależ proszę przekazywać – ponuro powiedział ich gospodarz. – Z całą pewnością dostanie ten zamek, tytuł, ziemię i pieniądze. Do tych ustaleń jest tylko mały i prywatny dodatek. W żadnych okolicznościach, póki żyję, nie będę z nim rozmawiał.

Prawnika nadal miał postawę pełną szacunku, teraz jednak z szacunkiem się gapił.

– Jak to, na Boga, co on takiego...

– Jestem szlachcicem – powiedział Musgrave – jak również strażnikiem wielkiego dziedzictwa. A mój syn zrobił coś tak okropnego, że przestał być – nie użyję słowa dżentelmen – nawet istotą ludzką. To najgorsza zbrodnia na świecie. Pamiętają panowie, co powiedział Douglas, gdy jego gość, Marmion^[26], chciał uścisnąć jego dłoń?

– Tak – odpowiedział ojciec Brown.

– „Moje zamki od wież po kamień węgielny należą do mojego króla” – zacytował Musgrave. – „Zaś dłoń Douglasa należy do niego”.

Zawrócił do pierwszego pokoju i wskazał swoim nieco oszołomionym gościom drzwi.

– Mam nadzieję, że zechcą się panowie odświeżyć – powiedział tym samym spokojnym tonem. – Jeśli mają panowie jakiegokolwiek wątpliwości co do swoich dalszych poczynań, z wielką przyjemnością zaproponuję panom nocleg w zamku.

– Dziękujemy panu, sir – zduszonym głosem odpowiedział ksiądz – ale chyba lepiej będzie, jeśli już pójdziemy.

– Zaraz każę opuścić most – powiedział ich gospodarz.

Po kilku chwilach zamek wypełniło skrzywienie tego wielkiego i absurdalnie przestarzałego urządzenia, jakby tkwili we wnętrzu młyna. Zardzewiały mechanizm tym razem zadziałał jak należy i raz jeszcze znaleźli się na trawiastym zboczu za fosą.

Granbym nagle wstrząsnął dreszcz.

– Co do diabła wywinął ten jego synalek? – wykrzyknął.

Ojciec Brown nie miał odpowiedzi. Ale gdy znowu siedzieli w samochodzie i ruszyli w stronę nieodległej wioski o nazwie Graystones, gdzie zatrzymali się w zajeździe, prawnik z lekkim zaskoczeniem stwierdził, że ksiądz nie nalega na dalszą podróż – innymi słowy, najwyraźniej chciał zostać w okolicy.

– Nie mogę się zmusić, żeby tak to zostawić – powiedział ponuro. – Odeślę samochód, a pan oczywiście może nim wrócić. Uzyskał pan odpowiedź na swoje pytanie: czy może pan sobie pozwolić, by pańska firma pożyczyła pieniądze młodemu Musgrave'owi. Moje pytanie jednak zostało bez odpowiedzi: czy to odpowiedni małżonek dla Betty? Muszę spróbować odkryć, czy naprawdę zrobił coś strasznego, czy to tylko urojenia starego wariata.

– Ależ... – zaprotestował prawnik – jeśli chce się ksiądz tego dowiedzieć, to dlaczego ksiądz nie wróci? Po co miałby ksiądz tkwić w tej dziurze, do której praktycznie nikt nigdy nie przyjeżdża?

– A po co miałbym za nim ganiać? – spytał ojciec Brown. – Przecież nie podejść na Bond Street do sztywnego młodego mężczyzny i nie powiem: „Przepraszam, ale czy popełnił pan zbrodnię zbyt straszną jak dla człowieka?”. Jeśli istotnie byłby tak zły, by ją popełnić, to z pewnością byłby dość zły, aby temu zaprzeczyć. A my nawet nie wiemy, o co chodzi. Nie, to wie tylko jeden człowiek i w jakimś dalszym przybliżeniu godnej ekscentryczności może o tym opowiedzieć. Na razie zamierzam trzymać się blisko niego.

Ojciec Brown naprawdę trzymał się w pobliżu

ekscentrycznego baroneta i faktycznie spotkał się z nim kilkukrotnie. Obaj traktowali się z wielką uprzejmością. Jako że baronet, pomimo swego wieku, był bardzo dziarskim i zapalonym spacerowiczem, często był widywany, jak maszeruje przez wioskę i po łąkach. Już w dzień po przyjeździe ojciec Brown, wychodząc z zajazdu na brukowany rynek, ujrzał ciemną i wyróżniającą się postać kroczącą w stronę urzędu pocztowego. Był ubrany w dyskretną czerń, ale jego mocna twarz w świetle słonecznym była jeszcze bardziej frapująca; ze srebrzystymi włosami, ciemnymi brwiami i długim podbródkiem przywodził na myśl Harry'ego Irvinga czy innego słynnego aktora. Pomimo siwych włosów jego sylwetka, podobnie jak twarz, świadczyła o sile, a laskę nosił bardziej jakby to była pałka, a nie podpora. Pozdrowił księdza i przemówił, równie zdecydowanie zmierzając do sedna, co wczorajszego dnia.

– Jeżeli nadal się ksiądz interesuje moim synem – słowo to wypowiedział z lodowatą obojętnością – to raczej go ksiądz nie spotka. Właśnie wyjechał z kraju. Tak między nami, można by raczej powiedzieć, że z niego uciekł.

– Istotnie – przyznał ojciec Brown z ponurą miną.

– Jacyś ludzie, o których nigdy nie słyszałem, zwani Grunov, ciągle mnie nagabują o jego miejsce pobytu – powiedział sir John. – Właśnie przyszedłem nadać telegram z informacją, że o ile wiem, to zamieszkuje *poste restante*^[27] w Rydze. Już nawet to jest utrapieniem. Przyszedłem w tym celu wczoraj, ale spóźniłem się pięć minut i poczta była zamknięta. Na długo ksiądz zostaje? Mam nadzieję, że jeszcze mnie ksiądz odwiedzi.

Gdy ojciec Brown opowiadał prawnikowi o swojej krótkiej rozmowie ze starym Musgrave'em, adwokat był zarówno zdziwiony, jak i zaciekawiony.

– Dlaczego kapitan wyjechał? – zapytał. – Kim są ci inni ludzie, którzy go szukają? I kim, na Boga, są ci Grunovowie?

– Co do pierwszego, nie mam pojęcia – odpowiedział ojciec Brown. – Być może ten jego tajemniczy grzech wyszedł na

światło dzienne. Byłbym skłonny przypuszczać, że ci inni ludzie go szantażują. Co do trzeciego, chyba wiem. Ta okropna, gruba baba z żółtymi włosami to madame Grunov, a ten mały człowieczek to jej mąż.

Następnego dnia ojciec Brown wszedł ze znużeniem i odłożył swój czarny parasol gestem pielgrzyma odkładającego swój bagaż. Wydawał się nieco przybity. To jednak często zdarzało się podczas dochodzeń w sprawach kryminalnych. Nie był przybity ze względu na porażkę, tylko ze względu na sukces.

– W sumie to szok – powiedział zduszonym głosem – ale powinienem był się domyślić. Powinienem był się domyślić, gdy tylko tam wszedłem i to zobaczyłem.

– Zobaczył ksiądz co? – niecierpliwie zapytał Granby.

– Gdy zobaczyłem, że stoi tam tylko jedna zbroja – odparł ojciec Brown.

Zapadła cisza. Prawnik gapił się na przyjaciela.

– Ledwie przedwczoraj zacząłem mówić mojej siostrzenicy, że tylko dwa typy mężczyzn mogą się śmiać w samotności – podjął po chwili. – Można by powiedzieć, że są to ludzie albo bardzo dobrzy, albo bardzo źli. Rozumie pan, albo opowiadają dowcip Bogu, albo diabłu. Ale tak czy inaczej, mają jakieś życie wewnętrzne. Cóż, naprawdę zdarzają się ludzie, którzy opowiadają dowcipy diabłu. Nie przejmują się, jeśli nikt nie dostrzeże żartu, ani jeśli nikogo nie można dopuścić nawet do tego, by bezpiecznie poznał te żarty. Sam żart wystarcza, o ile jest dostatecznie ponury i złośliwy.

– Ale o czym ksiądz mówi? – zirytował się Granby. – O którym ksiądz mówi? To znaczy, o którym z nich? Kto sobie złośliwie żartuje z jego szatańską wysokością?

Ojciec Brown uśmiechnął się upiornie.

– Ach – powiedział – i to właśnie cały dowcip.

Znowu zapadła cisza, tym razem jednak wydawała się raczej ciężka i przytłaczająca niż po prostu pusta. Zdawała się na nich osiadać jak zmrok, który stopniowo przechodził z szarówki do ciemności. Ojciec Brown odezwał się półgłosem, siedząc

spokojnie z łokciami na stole.

– Badałem rodzinę Musgrave'ów – powiedział. – To żywotni i długowieczni ludzie, i nawet w normalnych okolicznościach powiedziałbym panu, że długo poczekacie na swoje pieniądze.

– Na to jesteśmy przygotowani – odrzekł prawnik – ale tak czy inaczej, to nie potrwa wiecznie. Staruszek ma blisko osiemdziesiąt lat, choć ciągle jest żwawy, a ludzie w zajeździe śmieją się i mówią, że on nigdy nie umrze.

Ojciec Brown podskoczył w jednym ze swoich rzadkich, gwałtownych poruszeń, ale został z rękami na stole, pochylił się i patrzył przyjacielowi w twarz.

– Otóż to – wykrzyknął cichym, ale podnieconym głosem. – To jest jedyny problem. To jedyna prawdziwa trudność. W jaki sposób umrze? Na niebiosy, w jaki sposób umrze?

– Co ksiądz chce powiedzieć? – zapytał Granby.

– Chcę powiedzieć – w ciemniejącym pomieszczeniu rozległ się głos księdza – że wiem, jaką zbrodnię popełnił James Musgrave.

Głos miał tak przejmujący, że Granby ledwie stłumił wzdrygnięcie.

– To naprawdę była najgorsza zbrodnia na świecie – powiedział ojciec Brown. – Tak przynajmniej uważa wiele społeczności i cywilizacji. Od zarania dziejów zawsze powodowała napiętnowanie i spotykała się z najcięższą karą. W każdym razie wiem już, co naprawdę zrobił młody Musgrave i dlaczego to zrobił.

– A co zrobił? – spytał prawnik.

– Zabił swojego ojca – odparł ksiądz.

Tym razem to prawnik uniósł się ze swojego krzesła i ze zmarszczonymi brwiami popatrzył ponad stołem.

– Ale jego ojciec jest w zamku – zauważył ostrym tonem.

– Jego ojciec jest w fosie – odparł ksiądz – a ja byłem durniem, że nie skojarzyłem tego od razu, gdy coś zaniepokoiło mnie w tej zbroi. Nie pamięta pan, jak wyglądał ten pokój? Jak starannie został urządzone i udekorowane? Po obu stronach kominka wisiały dwa skrzyżowane topory bojowe. Na obu

ścianach okrągłe, szkockie tarcze. Po jednej stronie paleniska stojak ze zbroją, a po drugiej stronie puste miejsce. W żaden sposób nie uwierzę, że człowiek, który z taką symetrią urządził to pomieszczenie, tę jedną rzecz pozbawił pary. Prawie na pewno była tam jeszcze jedna zbroja. I co się z nią stało?

Zamilkł na chwilę, po czym kontynuował spokojnie:

– Gdy się nad tym zastanowić, to bardzo dobry plan morderstwa, i napotyka stały problem pozbycia się ciała. Ciało mogło stać w tej pełnej zbroi całe godziny albo nawet dni, podczas gdy służący wchodzili i wychodzili, aż morderca zwyczajnie wytargał je w środku nocy i wrzucił do fosy, nawet nie opuszczając mostu. Jakiż to świetny pomysł! Gdy tylko ciało rozłoży się w stojącej wodzie, to prędzej czy później będzie tylko szkieletem w czternastowiecznej zbroi, czymś, co z dużym prawdopodobieństwem można znaleźć w fosie starego zamku Border. Nikt raczej niczego tam nie będzie szukał, a jeśli nawet, to wkrótce nie znajdzie niczego poza tym. I mam tego potwierdzenie. To było wtedy, gdy powiedział pan, że szukam rzadkich roślinek. Chodziło o roślinę w wielu znaczeniach, jeśli wybaczy mi pan taki żarcik. Zobaczyłem ślady dwóch stóp tak głęboko odcisniętych w solidnym zboczu, że byłem pewien, iż człowiek, który je zostawił, albo sam był bardzo ciężki, albo niósł coś bardzo ciężkiego. A przy okazji, z tego małego incydentu, gdy wykonałem ów wielce zgrabny, iście koci skok, płynie jeszcze jeden morał.

– W głowie mi się kręci – powiedział Granby – ale zaczynam mieć niejakie pojęcie, o co chodzi w tym całym koszmarze. No więc co z księdzem i tym kocim skokiem?

– Dzisiaj na poczcie – powiedział ojciec Brown – potwierdziłem to, co mi wczoraj powiedział baronet, że dzień wcześniej przyszedł tam tuż po zamknięciu – nie tylko był to dzień naszego przyjazdu, lecz także godzina. Nie rozumie pan, co to znaczy? To znaczy, że nie było go, gdy zostaliśmy wpuszczeni, i wrócił, gdy czekaliśmy – i dlatego właśnie musieliśmy czekać tak długo. A gdy to do mnie dotarło, nagle zrozumiałem całą tę

historię.

– No – z niecierpliwością ponaglił pan Granby – i o co tu chodzi?

– Stary człowiek może chodzić – powiedział ojciec Brown. – Stary człowiek może nawet chodzić bardzo daleko, przemierzając łąki i pola. Ale stary człowiek nie potrafi skakać. Skakałby pewnie jeszcze bardziej niezgrabnie niż ja. Jednak jeśli baronet wrócił, gdy my czekaliśmy, musiał dostać się na teren posiadłości tak jak my – przeskakując fosę – bo most nie był opuszczony. Sądząc z szybkości, z jaką został naprawiony, podejrzewam, że sam go zatrzymał, żeby opóźnić niechcianych gości. Ale to nie ma znaczenia. Gdy zobaczyłem ten szalony obrazek czarnej postaci z szarymi włosami skaczącej przez fosę, od razu wiedziałem, że to był młody człowiek przebrany za starca. I oto cała historia.

– Ma ksiądz na myśli – powoli powiedział Granby – że ten uroczy młodzieniec zabił swojego ojca, ukrył jego ciało w zbroi, którą następnie wrzucił do fosy, przebrał się i tak dalej?

– Prawie dokładnie tak – zgodził się ksiądz. – Po portretach widać, jakie silne jest rodzinne podobieństwo. A potem wspomniał pan o przebraniu. Jednak w pewnym sensie każde ubranie jest przebraniem. Staruszek przebierał się w perukę, a młody miał brodę. Gdy się ogolił i na ostrzyżoną krótko głowę założył perukę, to z niewielką pomocą makijażu wyglądał jak swój ojciec. Oczywiście rozumie pan teraz, dlaczego nalegał, aby przyjechał pan następnego dnia samochodem. Dlatego, że sam w nocy przyjechał pociągiem. Zdążył przed panem, popełnił swoją zbrodnię, przebrał się i był gotów do negocjacji prawnych.

– Ach – z zadumą powiedział Granby – te negocjacje! Oczywiście chce ksiądz powiedzieć, że stary baronet miałby zupełnie inne zdanie.

– Powiedziałyby panu wprost, że kapitan nie dostanie ani pensa – przytaknął ojciec Brown. – Cała ta intryga, choć dziwnie to brzmi, była jedynie sposobem, żeby panu tego nie powiedział. Proszę jednak docenić przebiegłość tego, co ten

młodzian panu powiedział. Jeden plan służył kilku celom jednocześnie. Za jakąś niegodziwość był szantażowany przez tych Rosjan – przypuszczam, że chodzi o zdradę podczas wojny. Uciekł im rzutem na taśmę i przypuszczalnie w pościgu za sobą posłał ich do Rygi. Ale najdoskonalszą rzeczą była ta teoria, że uznaje syna jako dziedzica, choć nie uważa go za istotę ludzką. Nie rozumie pan, że gdy już zabezpieczył skrypt dłużny, udzielił również swego rodzaju odpowiedzi na pytanie, które wkrótce będzie stanowiło największą trudność?

– Widzę tu kilka trudności – zauważył Granby. – O której ksiądz mówi?

– O tym, że jeśli nawet syn nie został wydziedziczony, to wyglądałoby dosyć dziwnie, gdyby ojciec i syn nigdy się nie widywali. Rozwiązaniem była teoria o prywatnym wyrzeczeniu się. Zatem, jak mówiłem, została tylko jedna trudność, która teraz zapewne zaprzęta tego dżentelmena. W jaki sposób staruszek umrze?

– Wiem, w jaki sposób powinien umrzeć – mruknął Granby.

Ojciec Brown wydawał się być nieco skonsternowany i ciągnął w sposób bardziej oderwany:

– A jednak jest w tym coś więcej – powiedział. – Było coś w tej teorii, którą lubił w sposób... cóż, bardziej teoretyczny. To, że jako jedna osoba powiedział panu, że popełnił zbrodnię jako inna osoba, sprawiło mu obłąkaną, intelektualną przyjemność. To właśnie uważam za diabelską ironię, za żart dzielony z diabłem. Mam panu powiedzieć coś, co brzmi jak paradoks? Czasami powiedzenie prawdy to szczerza przyjemność. A tym bardziej powiedzenie jej w taki sposób, by wszystkich zwieść. Dlatego właśnie lubił udawać kogoś innego, a potem odmalować się w czarnych barwach – zresztą zgodnie z prawdą. I dlatego moja siostrzenica usłyszała go, jak w galerii obrazów śmieje się do siebie.

Granby drgnął lekko jak osoba klepinięciem przywrócona do rzeczywistości.

– Księżda siostrzenica! – wykrzyknął. – Czy jej matka nie

chciała jej wydać za Musgrave'a? Ze względu na pozycję społeczną i majątek, jak sądzę.

– Owszem – sucho potwierdził ojciec Brown. – Jej matka bardzo ceni koncepcję małżeństwa z rozsądku.

[\[24\]](#) Grampiany – pasmo górskie w Szkocji.

[\[25\]](#) *Tajemnica zamku Udolpho* – powieść Ann Radcliffe, wydana po raz pierwszy w 1794 r. Uważana za prekursorską w dziedzinie literatury grozy.

[\[26\]](#) *Marmion and Douglas* – poemat narracyjny autorstwa sir Waltera Scotta.

[\[27\]](#) *Poste restante* – fr. poczta pozostająca – sposób wysyłki polegający na dostarczeniu przesyłki na adres dowolnego urzędu pocztowego wskazanego przez odbiorcę zamiast na jego adres zamieszkania.

SKANDAL OJCA BROWNA

JEDEN SZYBKI

Wzdłuż tego wycinka wybrzeża Sussex, gdzie z własnych ogrodów spogląda na morze duży i cichy hotel Maypol and Garland, wciąż żywa jest pamięć o dziwnej historii osobliwych obcych. Dwie oryginalne postaci w istocie pewnego słonecznego popołudnia weszły do tego cichego hotelu; jedna rzucająca się w oczy i widoczna z daleka, na głowie bowiem miała błyszczący, zielony turban, wieńczący brązową twarz i czarną brodę, druga sprawiała wrażenie jeszcze nawet dzikszej i dziwniejszej, jako że nosiła miękki, czarny kapelusz księdza, a do tego żółte wąsy i żółtą, lwią grzywę włosów. Tego przynajmniej widywano często, gdy wygłaszał kazania na piasku albo nauczał o szkodliwości alkoholu i narkotyków – z całą pewnością nigdy nie widziano jednak, aby wchodził do baru hotelowego. Przybycie tych osobliwych towarzyszy było ukoronowaniem tej historii, choć nie jej początkiem, aby zaś przedstawić tę dość tajemniczą sprawę możliwie zrozumiale, lepiej jest zacząć do początku.

Pół godziny przed tym, jak te osobliwe postaci weszły do hotelu i dały się zauważyć wszystkim, weszło do niego również dwóch najzupełniej przeciętnych ludzi, na których uwagi nie zwrócił nikt. Jeden był wielkim mężczyzną, przystojnym

w nieco ciężki sposób, miał jednak dar zajmowania bardzo niewielkiej przestrzeni jakby tła. Tylko niemal niezdrowo szczegółowe oględziny jego butów mogłyby ujawnić, że był to inspektor policji w zwykłym ubraniu – w bardzo zwykłym ubraniu. Drugi był bezbarwnym, niewielkim człowieczkiem pozbawionym cech charakterystycznych, również w zwykłym ubraniu, tyle tylko, że był to strój księdza – jednak nikt nigdy nie widział, żeby wygłaszał kazania na piasku.

Podróźni ci udali się do swego rodzaju dużej palarni z barem z powodu, który zdeterminował wszystkie wydarzenia tego tragicznego popołudnia. Prawda była taka, iż szacowny hotel Maypole and Garland był w stanie rozsypki. Ci, którzy bywali tam w przeszłości, mawiali, że się sypie, albo może już się posypał. Taka była opinia miejscowego malkontenta, pana Raggleya, ekscentrycznego starego dżentelmena, który w kącie pił cherry i przeklinał. W każdym razie hotel starannie pozbawiono wszystkich przypadkowych wskazówek, że niegdyś był on angielskim zajazdem, i że pracowicie go przemieniono, jard po jardzie i pokój po pokoju, w coś przypominającego fikcyjny pałac lewantyńskiego lichwiarza z amerykańskiego filmu. W skrócie, był „udekorowany”, ale jedyną jego częścią, w której dekoracje były kompletne i gdzie klientom było wygodnie, było duże pomieszczenie odchodzące od holu. Niegdyś nosiło szlachetną nazwę Salonu Barowego, teraz zaś Baru Saloon, i było świeżo „urządzone” w stylu azjatyckiej palarni. Orientalne ozdoby były wszędzie – tam, gdzie kiedyś znajdowała się broń wisząca na haczykach, sztychy przedstawiające sceny sportowe i wypchana ryba w szklanej kasetce, teraz były festony wschodnich draperii oraz bułaty, talwary i jatagany^[28], jakby czekające na przybycie owego dżentelmena w turbanie. Saloon miał jednak wymiar praktyczny, tych bowiem paru gości, którzy się tam pojawili, musiało pójść do tego baru, zamiecionego teraz i przyozdobionego, ponieważ normalne i bardziej wytworne części hotelu były wciąż w przebudowie. Być może było to

przyczyną, dla której nieco zaniedbano nawet tych nielicznych gości, ponieważ dyrektor i pozostali pracownicy zajęci byli wyjaśnieniami i wydawaniem poleceń gdzie indziej. Tak czy inaczej, pierwsi dwaj podróżni przez jakiś czas samotnie czekali na obsługę. Bar był w tej chwili zupełnie pusty, więc zniecierpliwiony inspektor uderzał w dzwonek i stukał w kontuar, mały kapłan jednak umościł się już w fotelu i nie sprawiał wrażenia, żeby mu się spieszyło do czegokolwiek. Jego przyjaciel policjant wreszcie odwrócił głowę i zobaczył, że okrągła twarz małego księdza pozbawiona jest wyrazu, jak się to czasem zdarzało. Wydawało się, jakby przez swoje duże okulary wpatrywał się w świeżo udekorowaną ścianę.

– Grosik za twoje myśli – powiedział inspektor Greenwood, z westchnieniem odwracając się od baru – skoro najwyraźniej nikt inny nie chce moich pieniędzy. To chyba jedyne pomieszczenie w tym budynku, które nie jest pełne drabin i wapna – i tak puste, że nie ma tu nawet barmana, który podałyby mi szklanekę piwa.

– Och... moje myśli nie są warte grosza, nie mówiąc już o szklance piwa – odparł ksiądz, przecierając okulary. – Nie wiem dlaczego... ale myślałam, jak łatwo by było popełnić morderstwo.

– Tobie to dobrze – wesoło powiedział inspektor. – Masz znacznie więcej morderstw, niż ci się należy, a my, biedni policjanci, siedzimy i przez całe życie czekamy na chociaż jedno. Ale dlaczego tak mówisz...? Och, rozumiem, patrzysz na te wszystkie tureckie sztylety na ścianie. Mnóstwo tu rzeczy, którymi można by kogoś zamordować, jeśli to właśnie masz na myśli. Ale nie więcej niż w przeciętnej kuchni: noże, pogrzebacze i co tam jeszcze. To nie jest kwestia skrupułów.

Ojciec Brown jakby ze zdziwieniem wrócił do swoich chaotycznych myśli i powiedział, że pewnie nie.

– Morderstwo zawsze jest łatwe – stwierdził inspektor Greenwood. – Chyba nie ma nic łatwiejszego. Sam mógłbym cię zamordować w tej sekundzie – prędzej, niż dostałbym drinka

w tym cholernym barze. Jedyna trudność jest taka, żeby popełnić morderstwo, nie ujawniając się jako morderca. To taka nieśmiałość przyznania się do zabójstwa. Ta głupia skromność morderców w odniesieniu do ich własnych dzieł przysparza kłopotów. Przywiązani są do tej pokręconej idei zabijania ludzi tak, by ich nikt nie znalazł, i to ich ogranicza, nawet w pokoju pełnym sztyletów. Inaczej w każdym sklepie z nożami piętrzyłyby się sterty trupów. A to, przy okazji, tłumaczy jeden rodzaj morderstwa, któremu naprawdę nie da się zapobiec. I dlatego właśnie my, biedni policjanci, zawsze jesteśmy obwiniani o to, że mu nie zapobiegliśmy. Gdy jakiś szaleniec zabija króla czy prezydenta, to temu nie zaradzisz. Nie można wymagać, żeby król mieszkał w lochu albo zamknąć prezydenta w stalowym sejfie. Może go zamordować każdy, kto nie ma nic przeciwko byciu mordercą. W tym właśnie punkcie morderca przypomina męczennika – jest jakby poza światem. Prawdziwy fanatyk zabije, kogo tylko będzie chciał.

Zanim ksiądz odpowiedział, do pomieszczenia, jak stado morświnów, wlała się radosna grupa komiwojażerów. Potężny głos dużego rozpromienionego mężczyzny z równie dużą i błyszczącą szpilką do krawata ściągnął ochoczego i uniżonego kierownika, który przybiegł jak pies na gwizdanie z prędkością, której ubrany zwyczajnie policjant nie zdołał wywołać.

– Jest mi ogromnie przykro, panie Jukes – powiedział kierownik, który przybrał nieco zaniepokojony uśmiech i odsunął z czoła pukiel bardzo nabłyszczonych włosów. – Obecnie mamy nieco za mało pracowników, a ja musiałem zająć się czymś w hotelu.

Pan Jukes był wspaniałomyślny, ale w hałaśliwy sposób. Zamówił drinki dla wszystkich, łącznie z niemal wijącym się kierownikiem. Pan Jukes był przedstawicielem bardzo znanej i modnej firmy produkującej wina i spirytualia, i w takim miejscu można go było wziąć za faktycznego kierownika. W każdym razie rozpoczął żywiołowy monolog, poniekąd wskazując kierownikowi, w jaki sposób zarządzać jego hotelem,

a pozostali wydawali się akceptować go jako przywódcę. Policjant i ksiądz przenieśli się na niską ławę przy małym stolczku na tyłach, skąd obserwowali, co się dzieje, aż do raczej znaczącej chwili, gdy policjant bardzo stanowczo interweniował.

Następną rzeczą, jaka zdarzyła się zgodnie z narracją, było pojawienie się olśniewającego, brązowego Azjaty w zielonym turbanie, któremu towarzyszył jeszcze bardziej (o ile to możliwe) porażający pastor nonkonformistyczny^[29]. W istocie był to omen zwiastujący zagładę. W tym przypadku nie było wątpliwości co do jasności tej wróżby. Małomówny, ale spostrzegawczy chłopak, który przez ostatnią godzinę mył schody (był z niego leniwy pracownik), ciemny, gruby, zwalisty barman, i nawet dyplomatyczny, choć rozkojarzony kierownik – wszyscy byli świadkami cudu.

Objawienia, jak mówią sceptycy, to skutek działania sił całkowicie naturalnych. Człowiek z grzywą żółtych włosów i w księżym ubraniu we współczesnym świecie znany był nie tylko jako kaznodzieja z plaż, lecz także jako propagandysta. Był to nikt inny jak wielbny David Pryce-Jones, którego wielce nośnymi hasłami były Prohibicja i Czystość Naszej Ziemi i Brytyjskich Terytoriów Zamorskich. Był wspaniałym mówcą i organizatorem, i przyszło mu na myśl, że już dawno należało przystać do Prohibicjonistów. Przyświecała mu prosta myśl, że skoro prohibicja jest dobra, to byłoby to uhonorowaniem Proroka, który przypuszczalnie był pierwszym Prohibicjonistą. Wymieniał korespondencję z przywódcami religii mahometańskich i wreszcie nakłonił pewnego wybitnego muzułmanina (którego jedno z imion brzmiało Akbar, a reszta była nieprzetłumaczalnym zawrodożeniem do Allaha wraz z jego atrybutami), by przyjechał do Anglii z wykładami dotyczącymi niezgody starodawnych muzułmanów na spożywanie wina. Żaden z nich nigdy nie był w barze, przyszli tu jednak w wyniku działania wcześniej opisanego procesu – skoro brak było eleganckiej herbaciarni, trafili do świeżo

wyremontowanego baru. Przymuszczałnie wszystko byłoby w porządku, gdyby wielki prohibicjonista nie podszedł do baru i w swojej niewinności nie poprosił o szklanekę mleka.

Komiwojażerowie, choć to życzliwi ludzie, wydali mimowolne bolesne jęki. Słysząc było stłumione żarciki jak „żeby tylko nie zabrakło” czy „lepiej przyprowadzić krowę”. Ale wielki pan Jukes, na mocy swojej zamożności i szpilki do krawata czując się w obowiązku wykazania bardziej wyrafinowanego humoru, zachwiał się, jakby miał zemdleć.

– Wiedzą, że można mnie powalić piórkami – oświadczył patetycznie. – Wiedzą, że zdmuchnie mnie byle powiew. Wiedzą, że mój doktor powiada, że powinienem unikać takich szoków. A oni z zimną krwią przychodzą i na moich oczach piją mleko.

Wielebny David Pryce-Jones, przyzwyczajony do radzenia sobie z krzykaczami podczas publicznych wystąpień, był na tyle nierozsądny, aby w tej zupełnie odmiennej i dużo swobodniejszej atmosferze zaryzykować protest i rzucanie oskarżeń. Orientalny całkowity abstynent powstrzymał się od wypowiedzi tak samo jak od trunków, i z całą pewnością dzięki temu zachował godność. W gruncie rzeczy, jeśli chodzi o niego, to kultura muzułmańska z pewnością osiągnęła ciche zwycięstwo – wyraźnie, w przeciwieństwie do panów handlowców, był dżentelmenem, a na jego arystokratycznie wyniosłej twarzy pojawił się tylko lekki niesmak. Gdy pan Pryce-Jones zaczął pogrążyć się w sprzeczce, napięcie stało się bardzo wyraźne.

– Pytam was, przyjaciele – powiedział pan Pryce-Jones, pomagając sobie zamaszystymi, scenicznymi gestami – dlaczego nasz obecny tutaj przyjaciel stanowi dla nas, chrześcijan, przykład prawdziwie chrześcijańskiej samokontroli i braterstwa? Dlaczego staje tutaj jako model prawdziwego chrześcijaństwa, prawdziwej doskonałości, prawdziwie dżentelmeńskiego zachowania pośród kłótni i swarów typowych dla tego rodzaju miejsc? Ponieważ jakie by nas nie dzieliły różnice doktrynalne, to przynajmniej na jego ziemi nie rosną złe

rośliny, przeklęty chmiel ani winorośl, i nigdy...

W tym kluczowym momencie sporu John Raggley, weteran setek kłótni, z poczerwieniałą twarzą, białymi włosami i z cylindrem zsuniętym na tył głowy, wymachując laską niczym pałką, jak nacierająca armia wpadł do baru.

John Raggley był powszechnie uważany za dziwaka. Był to tego rodzaju człowiek, który wypisuje listy do gazet, które generalnie ich nie drukują, ale które pojawiają się później w formie ulotek drukowanych na jego własny koszt i trafiają do setek koszy na śmieci. Wyklócał się zarówno z torysowskimi ziemianami, jak i z radykałami; nienawidził Żydów i nie miał zaufania prawie do niczego, co można było dostać w sklepach czy nawet w hotelach. Jego kaprysy jednak miały rzetelne podłoże – znał każdy zakątek hrabstwa i każdy ciekawy szczegół, był także bardzo bystrym obserwatorem. Nawet kierownik, pan Wills, żywił dla pana Raggleya niejasny szacunek, wyczuwając w nim ten rodzaj obłędu, na jaki przyzwalała się szlachcicom – nie tego rodzaju prostacki respekt, jaki miał wobec jowialnej wielkości pana Jukesa, który był naprawdę dobrym partnerem w interesach, ale przynajmniej miał dość rozsądku, aby unikać awantur ze starym zrzędą, częściowo ze względu na strach przed jego ostrym językiem.

– Dla pana to, co zawsze, sir – powiedział pan Wills, pochylając się i łypiąc ponad kontuarem.

– To jedyna porządna rzecz, jaką tu macie – prychnął pan Raggley, odkładając swój dziwaczny i staroświecki kapelusz. – Niech to szlag, czasami mi się wydaje, że jedyną angielską rzeczą, która została w Anglii, jest cherry. Cherry naprawdę smakuje wiśniami. Niech mi pan znajdzie jakieś piwo, które smakuje chmielem, albo cydr, który smakuje jabłkami, czy jakiegokolwiek wino, które choćby odlegle przywoździ na myśl, że zostało zrobione z winogron. To przeklęte kantowanie, które odchodzi obecnie w każdym zajeździe w tym kraju, w każdym innym państwie doprowadziłoby do rewolucji. Coś niecoś o tym wiem, powiadam wam. Poczekajcie tylko, aż mi to wydrukują,

a ludzie się obudzą. Gdybym mógł spowodować, by nasi rodacy nie byli truci wszystkimi tymi paskudnymi napitkami...

W tym momencie wielebny David Pryce-Jones ponownie nie wykazał się wyczuciem sytuacji, choć takt był cechą, którą niemalże cenił. Był na tyle niemądry, by starać się szukać sprzymierzeńca w panu Raggleyu, myląc ideę złych napitków i ideę, że napitki są złem. Raz jeszcze próbował wciągnąć w kłótnię swojego sztywnego i majestatycznego wschodniego przyjaciela jako wyrafinowanego cudzoziemca górującego nad naszymi prostackimi, angielskimi poczynaniami. Był nawet tak głupi, by przywoływać szeroki kontekst teologiczny i wreszcie wspomnieć imię Mahometa, co wywołało istną eksplozję.

– Zaraza na twoją duszę! – ryknął pan Raggley ze zdecydowanie węższym światopoglądem teologicznym. – Chcesz pan powiedzieć, że Anglikowi nie wolno pić angielskiego piwa, ponieważ ten brudny, stary szarlatan Mahomet na jakiejś parszywej pustyni zakazał wina?

Inspektor policji w jednej chwili znalazł się na środku pomieszczenia. Ponieważ tuż przed tym w postawie orientального dżentelmena, który dotąd zachowywał całkowity spokój, słuchając z nieruchomymi i błyszczącymi oczyma, zaszła znacząca zmiana. Przejawił teraz, jak powiedział jego przyjaciel, prawdziwie chrześcijańską samokontrolę i poczucie braterstwa, doskakując do ściany jak tygrys i zrywając z niej jeden z ciężkich noży, którym cisnął jak kamieniem z procy, tak że drżąc, wbił się w ścianę o pół cala od ucha pana Raggleya. Gdyby inspektor Greenwood nie zdążył na czas podbić ramienia mahometanina, bez wątpienia nóż wbiłby się w pana Raggleya. Ojciec Brown siedział na swoim miejscu, zmrużonymi oczami przyglądając się całemu temu zajściu. W kącikach ust niemal czał mu się uśmiech, jakby zobaczył coś, co wykraczało poza zwykłą, przejściową brutalność kłótni.

A potem awantura przybrała niespodziewany obrót. Może się zdarzyć, że nie wszyscy go pojną, póki ludzie pokroju pana Raggleya nie zostaną zrozumiani lepiej. Stary fanatyk

o czerwonej twarzy stał, zanosząc się chrapliwym śmiechem, jakby usłyszał najlepszy dowcip w swoim życiu. To było tak, jakby wyparowała z niego cała zjadłość i gorycz. Patrzył na drugiego fanatyka, który właśnie próbował go zamordować, ze swego rodzaju burzliwą życzliwością.

– A niech mnie – powiedział. – Jesteś pan pierwszym mężczyzną, jakiego spotkałem od dwudziestu lat!

– Sir, chce pan wnieść oskarżenie przeciwko temu człowiekowi? – spytał inspektor z powątpiewaniem na twarzy.

– Wnieść oskarżenie? Oczywiście, że nie – odparł Raggley. – Postawię mu drinka, jeśli w ogóle dopuszcza jakieś drinki. Nie miałem najmniejszego zamiaru obrażać jego religii i bardzo bym chciał, żebyście wy, kanalie, mieli jaja, aby zabić człowieka, nie mówię, że w obronie swojej religii, bo żadnej nie macie, ale w obronie czegokolwiek – choćby waszego piwa.

– Proszę, nazwał nas kanalami – powiedział ojciec Brown do Greenwooda – i wróciły spokój i harmonia. Szkoda, że to nasz niepijący kaznodzieja nie nadział się na nóż swojego przyjaciela – to on wywołał całą tę aferę.

Gdy mówił, dziwne grupki w lokalu zaczęły się rozpadać. Pomieszczenie handlowe udało się posprzątać dla przedstawicieli handlowych. Przenieśli się tam, a kelner zaniósł im nową rundę drinków na tacy. Ojciec Brown stał przez chwilę, wpatrując się w szklanki na barze. Od razu zauważył złowrobną szklankę mleka i drugą, z której unosiła się woń whisky, a potem odwrócił się w samą porę, aby ujrzyć pożegnanie tych oryginalnych postaci, fanatyków ze Wschodu i z Zachodu. Raggley nadal był wielce wesół, w muzulmaninie wciąż było coś nieco mrocznego i złowieszczonego, co być może było naturalne. Niemniej ukłonił się on z poważnym gestem godnego pojednania. Wszystko wskazywało na to, że konflikt został zażegnany.

Jednak przynajmniej w umyśle ojca Browna wspomnienie i interpretacja tych dwornych pozdrowień kombatantów wciąż miały raczej istotne znaczenie. Ponieważ, co ciekawe, gdy

następnego dnia bardzo wczesnym rankiem ojciec Brown zszedł na dół, by spełnić swoje obowiązki religijne w okolicy, stwierdził, że długie pomieszczenie barowe z tymi obłądnymi, azjatyckimi dekoracjami wypełnione jest białym światłem poranka, w którym widać było wyraźnie każdy szczegół, a jednym z tych szczegółów było ciało Johna Raggleya zwinięte i wciśnięte w róg, z zakrzywionym nożem o ciężkiej rękojeści wbitym w serce.

Ojciec Brown bardzo cicho wszedł z powrotem na piętro i wezwał swojego przyjaciela inspektora. Teraz obaj stali nad ciałem w budynku, w którym nikt jeszcze się nie obudził.

– Nie możemy ani zakładać, ani unikać oczywistości – po chwili ciszy odezwał się Greenwood. – Chyba jednak dobrze będzie pamiętać, co ci mówiłem wczoraj po południu. Przy okazji to trochę dziwne, że to powiedziałem.

– Wiem – mruknął ksiądz, patrząc jak sowa.

– Powiedziałem – zauważył Greenwood – że jedynym rodzajem morderstwa, któremu nie jesteśmy w stanie zapobiec, jest takie, które popełnia ktoś pokroju fanatyka religijnego. Ten brązowy koleżka pewnie uważa, że jeśli zostanie powieszony, to za obronę honoru Proroka trafi prosto do raju.

– To jedno, oczywiście – odparł ojciec Brown. – Można powiedzieć, że to uzasadnione uznać, że zabił go nasz mużułmański przyjaciel. I można powiedzieć, że na razie nie znamy nikogo innego, kto miałby powody, żeby to zrobić. Ale... ale tak sobie myślę... – Na jego okrągłej twarzy znów zagościła pustka i słowa zamarły mu na wargach.

– No więc w czym rzecz? – zniecierpliwił się inspektor.

– Wiem, że to zabrzmiało dziwnie – zboliałym tonem powiedział ojciec Brown – ale tak sobie myślałem... Myślałem, że w pewien sposób to, kto go zabił, nie ma wielkiego znaczenia.

– To ta Nowa Moralność? – spytał jego przyjaciel. – Albo może stara kazuistyka^[30]. Czy jezuici naprawdę popełniają morderstwa?

– Nie powiedziałem, że to nieważne, kto go zamordował –

doprecyzował ojciec Brown. – Oczywiście, że człowiek, który dźgnął go nożem, może być tym samym, który go zamordował. Ale może to być też ktoś zupełnie inny. W każdym razie chodzi o różny czas. Pewnie będziesz chciał zdjąć odciski palców z rękojści, ale nie skupiaj się na nich przesadnie. Jestem w stanie sobie wyobrazić, że różni ludzie chętnie sami wbiliby nóż w tego biednego staruszka. Oczywiście niezbyt to budujące, ale dość odległe od morderstwa. Będziesz musiał sprawić przykrość różnym ludziom, zanim się o tym przekonasz.

– Masz na myśli... – zaczął inspektor, obserwując go uważnie.

– Mam na myśli sekcję – odparł ksiądz – żeby ustalić faktyczną przyczynę zgonu.

– Sądzę, że masz rację – przyznał inspektor. – W każdym razie co do noża. Musimy poczekać na lekarza. Ale jestem praktycznie pewien, że potwierdzi twoją opinię. Tu jest za mało krwi. Ktoś wpakował nóż w ciało, gdy było już od dawna zimne. Ale dlaczego?

– Pewnie po to, żeby zrzucić winę na tego mahometanina – odpowiedział ojciec Brown. – Całkiem to sprytne, przyznaję, ale żeby zaraz mordować... Sądzę, że są tutaj ludzie, którzy starają się dochować tajemnic, ale niekoniecznie są mordercami.

– Nad tym się jeszcze nie zastanawiałem – przyznał inspektor.
– Dlaczego tak sądzisz?

– Pamiętasz, co powiedziałem wczoraj, gdy weszliśmy do tego okropnego pomieszczenia? Powiedziałem, że łatwo by było popełnić tutaj morderstwo. Ale nie myślałem o tej całej idiotycznej broni, choć ty tak sądziłeś. Myślałem o czymś zupełnie innym.

Przez następnych kilka godzin inspektor wraz z przyjacielem prowadził wyteżone i szczegółowe dochodzenie w sprawie przemieszczania się wszystkich ludzi w hotelu podczas ostatnich dwudziestu czterech godzin, czy sposobu, w jaki roznosi się drinki. Sprawdzał, czy szkło zostało umyte czy też nie, oraz każdy szczegół, który mógł wskazywać na czyjeś zaangażowanie bądź też jego brak. Można by sądzić, że uznali,

iż to trzydziestu ludzi zostało otrutych, a nie tylko jeden.

Było raczej pewne, że nikt nie wszedł do budynku innym drzwiami niż wielkie wejście przylegające do baru. Wszystkie pozostałe były w jakiś sposób niedostępne ze względu na prace remontowe. Chłopak, który mył schody na zewnątrz, nie miał nic konkretnego do powiedzenia. Aż do zdumiewającego przybycia Turka w turbanie i jego abstynenckiego przyjaciela – kaznodziei, nie miewali tam zbyt wielu jakichkolwiek klientów, poza komiwojażerami, którzy wpadali na tak zwanego „szybkiego” i najwyraźniej przemieszczały się razem jak stado. Pojawiła się lekka rozbieżność opinii pomiędzy chłopakiem na zewnątrz a panami w środku, czy któryś z nich nie spieszył się za bardzo do szybkiego i nie wyszedł na schody, ale kierownik ani barman nikogo takiego nie pamiętali. Kierownik i barman znali wszystkich handlowców całkiem nieźle i nie mieli wątpliwości co do ich poczynań jako grupy. Stali przy barze, przekomarzając się i pijąc. Za pośrednictwem swojego królewskiego lidera, pana Jukesa, zaangażowani zostali w niezbyt poważną sprzeczkę z panem Prycem-Jonesem i byli świadkami nagłego i bardzo poważnego nieporozumienia między panem Akbarem a panem Raggleyem. Powiedziano im, że mogą przejść do pokoju handlowego i tak zrobili, a ich drinki zostały tam przeniesione jak trofea.

– Niewiele tego mamy – westchnął inspektor Greenwood. – Oczywiście wielu pracowników musi jak zwykle zajmować się swoimi obowiązkami, więc zebrali całe szkło, łącznie ze szklanką starego Raggleya. Gdyby nie skuteczna praca wszystkich innych, my, detektywi, bylibyśmy bardziej skuteczni.

– Wiem – powiedział ojciec Brown i raz jeszcze się uśmiechnął.
– Czasami myślę, że to kryminaliści wynaleźli higienę. A może to reformatorzy higieniczni wynaleźli zbrodnię? Wszyscy mówią o cuchnących norach i brudnych slumsach, w których zbrodnia może doprowadzić do zamieszek, ale jest dokładnie odwrotnie. Nazywa się je cuchnącymi nie dlatego, że popełniane

są przestępstwa, lecz dlatego że przestępstwa wychodzą na jaw. A to w miejscach schludnych, nieskalanych, czystych i uporządkowanych można popaść w obłąd – nie ma błota, w którym zostałyby odciski stóp, żadnych fusów zawierających truciznę, są za to uprzejmi służący zmywający wszystkie ślady morderstwa i morderca, który zabija i spopiela sześć żon, a wszystko z braku odrobiny chrześcijańskiego brudu. Być może wyrażam się ze zbyt dużym ciepłem, ale proszę tylko popatrzeć. Tak się składa, że pamiętam jedną szklanę, która bez wątplenia została już umyta, chciałbym jednak dowiedzieć się o niej trochę więcej.

– Mówisz o szklance Raggleya? – zapytał Greenwood.

– Nie, mówię o Niczyjej szklance – odparł ksiądz. – Stała obok szklanki mleka i nadal był w niej cal czy dwa whisky. Cóż, ani ty, ani ja nie piliśmy whisky. Pamiętam przypadkiem, że kierownik na zaproszenie tego jowialnego Jukesa poprosił o „kropelkę ginu”. Mam nadzieję, że nie sugerujesz, że nasz mużułmanin pod osłoną tego zielonego turbanu pija whisky, albo że wielebny David Pryce-Jones zdołał wypić whisky z mlekiem i nie zauważył tego.

– Większość tych przedstawicieli handlowych wzięła whisky – zauważył inspektor. – Piją ją z reguły.

– Tak, i z reguły nalewa im się ją na ich oczach – odpowiedział ojciec Brown. – W tym przypadku wszystkie ich drinki przeniesiono ostrożnie do drugiego pomieszczenia. Ale jedna szklanka została.

– Pewnie przez przypadek – z powątpiewaniem powiedział Greenwood. – Ktoś, kto z niej pił, bez problemu mógł potem dostać drugą w pokoju handlowym.

Ojciec Brown pokręcił głową.

– Musisz widzieć ludzi takimi, jacy są. Ludzie tego rodzaju – cóż, pewnie można by ich określić jako wulgarnych i pospolitych, ale to już osobnicze sympatie i antypatie. Zadowolę się stwierdzeniem, że zasadniczo są to ludzie prości. Wielu z nich to ludzie bardzo dobrzy, cieszący się, że wracają do

swoich żon i dzieci. Niektórzy mogą być łajdakami, mogą mieć kilka żon, czy nawet kilka żon zamordować. Ale większość z nich to ludzie prości i, proszę zauważyć, co najmniej odrobinę wstawieni. Nie za bardzo – pije niejedną książkę czy wykładowca z Oksfordu, ale gdy ludzie tego rodzaju osiągną pewien poziom biesiady, po prostu nie mogą się powstrzymać od komentowania różnych rzeczy, i to bardzo głośno. Nie zauważył pan, że byle co przerywa ich wypowiedzi: jeśli piwo się spieni, oni muszą wygłosić jakąś uwagę na ten temat, coś w stylu „hola, hola” albo „no pięknie”. Powiem, że to absolutnie niemożliwe, żeby pięciu tych rozrywkowych ludzi zasiadło przy stole w pokoju handlowym i miało przed sobą tylko cztery szklanki, a ten piąty nie narobiłby przez to krzyku. Przypuszczalnie wszyscy narobili by krzyku. Nie zaczekałby jak Anglik z innej klasy, aż dostanie kolejną szklaneczkę. W powietrzu unosiłyby się okrzyki w stylu „a co ze mną?” albo „George, co jest, czy ja dołączyłem do prohibicjonistów?”, albo „George, czy ja mam na głowie turban?”. Ale barman nie słyszał takiego wyrzekania. Przyjmuję za pewnik, że z tej szklanki whisky, która została na barze, pił ktoś inny, ktoś, o kim dotychczas nie pomyśleliśmy.

– A masz jakiś pomysł, kto to mógł być? – spytał Greenwood.

– Ponieważ kierownik i barman nie słyszeli takiej osoby, przeoczyłeś jeden naprawdę niezależny dowód: świadectwo chłopaka, który był na zewnątrz i mył schody. Mówi, że mężczyzna, który mógł być komiwojażerem, ale który nie dołączył do pozostałych, wszedł i niemal zaraz potem wyszedł. Kierownik i barman go nie widzieli, czy też mówią, że go nie widzieli. Jednak w jakiś sposób dostał szklaneczkę whisky w barze. Na potrzeby tej argumentacji nazwijmy go Szybkim. Wiesz, że rzadko mieszam się do twojej pracy, bo wiem, że wykonasz ją lepiej, niż ja bym to zrobił czy nawet chciał zrobić. Nigdy nie miałem nic wspólnego z pracą policji, ściganiem przestępców i tego rodzaju rzeczami. Ale po raz pierwszy w życiu chcę to zrobić. Chcę, żebyś znalazł Szybkiego, byś go

ścigał po krańce świata, żebyś wprawił w ruch całą tę piekielną, oficjalną maszynę, by przeczesła wszystkie kraje i ujęła Szybkiego. Bo to właśnie jego szukamy.

Greenwood z desperacją machnął ręką.

– A ma on jakąś twarz, ciało albo widoczne cechy, poza szybkością? – spytał.

– Miał na sobie swego rodzaju płaszcz przeciwdeszczowy – powiedział ojciec Brown – a chłopakowi na schodach powiedział, że do następnego ranka musi być w Edynburgu. To wszystko, co chłopiec pamięta. Wiem jednak, że twoja organizacja znajduje ludzi, nawet gdy ma mniej wskazówek.

– Ta sprawa chyba bardzo cię interesuje – z lekkim zaskoczeniem powiedział inspektor.

Ksiądz także wyglądał, jakby był zaskoczony własnymi myślami. Usiadł ze zmarszczonymi brwiami, a potem odezwał się znienacka:

– Wiesz, bardzo łatwo jest zostać źle zrozumianym. Wszyscy ludzie mają znaczenie. Ty masz znaczenie. Ja mam znaczenie. W całej teologii właśnie w to jest najtrudniej uwierzyć.

Inspektor przypatrywał mu się bez zrozumienia, ale ksiądz mówił dalej:

– Mamy znaczenie dla Boga – Bóg jeden wie, dlaczego. Ale to jedyne możliwe usprawiedliwienie dla istnienia policjantów. – Policjant nie wydawał się doznać oświecenia co do własnego kosmicznego usprawiedliwienia. – Nie rozumiesz, prawo jest właściwe tylko w pewien sposób. Jeśli wszyscy ludzie mają znaczenie, znaczenie mają wszystkie morderstwa. To, co On stworzył w swej nieprzeniknionej mądrości, nie może zostać tak po prostu zniszczone. Ale...

Ostatnie słowo wypowiedział ostro, jakby podejmował decyzję.

– Ale skoro już porzuciłem ten tajemniczy poziom równości, nie rozumiem, dlaczego większość waszych ważnych morderstw jest takich ważnych. Zawsze mi mówisz, że taka i taka sprawa są ważne. Jako człowiek nieskomplikowany i praktyczny muszę zdawać sobie sprawę, że zamordowano premiera. Biorąc pod

uwagę ważność człowieka, powiedziałbym, że on ledwie w ogóle istniał. Jak sądzisz, czy jeśli on i inni urzędnicy publiczni zostaną jutro zastrzeleni, to czy nie znajdą się ludzie, którzy staną i oświadczą, że przeszukano każdą ulicę, albo że w tych ponurych okolicznościach rząd jest najważniejszy? Panowie współczesnego świata się nie liczą. Nawet prawdziwi panowie nie mają wielkiego znaczenia. Praktycznie nikt, o kim kiedykolwiek czytałeś w gazetach, nie ma znaczenia.

Wstał, postukując palcami po stole – jeden z jego rzadkich gestów. Głos znowu mu się zmienił.

– Ale Raggley miał znaczenie. Należał do wielkiej linii jakiegoś półtuzina ludzi, którzy mogli ocalić Anglię. Stoją nieugięte jak lekceważone drogowskazy w dole tej gładkiej, opadającej drogi, która kończy się w tym bagnie czysto handlowego upadku. Dean Swift, doktor Johnson i stary William Cobbett – wszyscy oni bez wyjątku nazywani byli opryskliwymi albo barbarzyńskimi i wszyscy byli kochani przez przyjaciół, i wszyscy na to zasługiwali. Nie widziałeś, jak ten stary człowiek o sercu lwa wstał i wybaczył swojemu wrogowi tak, jak potrafią wybaczać tylko wojownicy? Zrobił właśnie to, o czym mówił ten antyalkoholowy kaznodzieja: dał przykład nam, chrześcijanom, prawdziwie chrześcijańskiej cnoty. A kiedy przydarza się okropne i potajemne morderstwo takiego człowieka – wtedy uważam, że to ma znaczenie, że liczy się tak bardzo, że każdy szanujący się człowiek skorzystałby z nowoczesnego wsparcia policji... Och, nie ma o czym mówić. Dlatego właśnie tym razem naprawdę mi zależy na twojej pomocy.

I w ten sposób, dzięki jakby rozciągnięciu tych dziwnych nocy i dni, moglibyśmy powiedzieć niemal, że mała postać ojca Browna poderwała do działania całe armie i maszyny sił policyjnych Korony, tak jak mała postać Napoleona prowadziła baterie i linie bitew w wielkiej strategii, która obejmowała Europę. Posterunki policji i urzędy pocztowe pracowały przez całą noc, wstrzymano ruch drogowy, przechwycono korespondencję, w setkach miejsc prowadzone były

przesłuchania, a wszystko to w celu wyśledzenia słabego tropu tajemniczego człowieka w płaszczu przeciwdeszczowym i z biletem do Edynburga.

Tymczasem oczywiście nie zanedbywano innych linii poszukiwań. Pełen raport z autopsji jeszcze nie przyszedł, wszyscy jednak wydawali się pewni, że to kwestia otrucia. To oczywiście skierowało pierwsze podejrzenia na cherry i, co za tym idzie – na hotel.

– A już na pewno na kierownika hotelu – szorstko powiedział Greenwood. – On mi wygląda na wstrętne, małego robaka. Oczywiście może mieć z tym coś wspólnego któryś służący, na przykład barman – wydaje się być raczej ponurym osobnikiem, a Raggley miał ognisty temperament i mógł mu naurągać, choć po wszystkim z reguły bywał hojny. Ale mimo wszystko, jak mówiłem, główny ciężar odpowiedzialności, a więc i wstępne podejrzenia spoczywają na kierowniku.

– Och, wiedziałem, że wstępne podejrzenia spadną na kierownika – przyznał ojciec Brown. – Właśnie dlatego go nie podejrzewałem. Rozumiesz, pomyślałem, że ktoś musiał wiedzieć, że przede wszystkim będziemy podejrzewać kierownika albo służących hotelowych. Dlatego właśnie powiedziałem, że łatwo by było zabić kogoś w hotelu... Ale lepiej idź i się z nim rozmów.

Inspektor wyszedł, ale wrócił po zaskakująco krótkim wywiadzie i zastał swojego duchownego przyjaciela przeglądającego jakieś papiery, które wyglądały na swego rodzaju dossier burzliwej kariery Johna Raggleya.

– To jakaś podejrzana sprawa – powiedział inspektor. – Sądziłem, że stracę masę czasu na przepytывanie tej małej, śliskiej ropuchy, bo technicznie rzecz ujmując nic na niego nie mamy. A tymczasem od razu się rozsypał i naprawdę uważam, że powiedział mi wszystko, co wie, z czystego przerażenia.

– Wiem – mruknął ojciec Brown. – Rozleciał się, gdy odkrył ciało Raggleya, którego ewidentnie ktoś otruł w jego hotelu. Dlatego stracił głowę i zrobił coś tak obrzydliwego, jak

ozdobienie ciała tureckim kindżałem, żeby zrzucić winę na czarnucha, jak powiedział. Jedyne, co mu dolega, to strach. Jest ostatnim człowiekiem na świecie, który przebiłby kogoś nożem. Założę się, że ledwie wystarczyło mu odwagi, żeby wbić go w zwłoki. Ale on pierwszy powinien się bać oskarżenia o coś, czego nie zrobił, i że wyjdzie na durnia, tak jak to się stało.

– Pewnie muszę też pogadać z barmanem – westchnął Greenwood.

– Pewnie tak – przyznał ksiądz. – Osobiście nie wierzę, żeby to była sprawka któregoś z pracowników hotelu... Ale popatrz tutaj, czytałeś coś z tych materiałów, które przygotowali na temat Raggleya? Miał szalenie interesujące życie. Ciekawe, czy ktoś pokusi się o napisanie jego biografii.

– Zebrałem wszystko, co może się wiązać z tą sprawą – odpowiedział policjant. – Był wdowcem. Kiedyś wdał się w awanturę z pewnym człowiekiem, poszło o jego żonę; facet był Szkotem, tutaj pośrednikiem w handlu ziemią, a Raggley, zdaje się, wykazał się sporą brutalnością. Mówią, że nienawidził Szkotów, może właśnie z tego powodu... Och, już widzę ten twój uśmieszek. Szkot... Może człowiek z Edynburga.

– Może – zgodził się ojciec Brown. – Całkiem możliwe, że nie lubił Szkotów niezależnie od powodów natury prywatnej. To dziwne, ale całe to plemię torysowskich radykałów, czy jak tam nazwać tych, którzy sprzeciwiali się merkantylnemu ruchowi wigów, nie lubi Szkotów. Nie trawił ich Cobbett, nie lubił doktor Johnson, Swift opisał ich akcent w jednym ze swoich najbardziej zjadliwych pism, nawet Szekspirowi zarzucano uprzedzenia. Ale uprzedzenia wielkich ludzi generalnie mają związek z zasadami. A sądzę, że tu był jakiś powód. Ten Szkot przybył z biednych terenów rolniczych, które stały się bogatymi terenami przemysłowymi. Był zdolny i energiczny, uważał, że jest wysłannikiem cywilizacji przemysłowej z północy. Zwyczajnie nie wiedział, że na południu przez całe stulecia kwitła cywilizacja rolnicza. Ziemia jego własnego dziada była wysoce rolnicza, ale nie cywilizowana... Cóż, przypuszczam, że

po prostu musimy czekać na dalsze informacje.

– Nie wydaje mi się, żebyś się doczekał najnowszych wieści od Szekspira czy doktora Johnsona – uśmiechnął się inspektor. – Opinia Szekspira o Szkotach nie do końca jest dowodem.

Ojciec Brown uniósł brew, jakby zaskoczyła go jakaś nowa myśl.

– Cóż, teraz, gdy o tym myślę – powiedział – może być lepszy dowód, nawet bez mieszania w to Szekspira. On raczej nieczęsto wspominał o Szkotach. Dość chętnie jednak naśmiewał się z Walijczyków.

Inspektor uważnie spojrział na przyjaciela. Miał wrażenie, że prostota jego wypowiedzi skrywa czujność.

– Na Jowisza – mruknął. – W każdym razie nikt nie wpadł na to, żeby w taki sposób odwrócić podejrzenia.

– Cóż – powiedział ojciec Brown ze spokojem – zacząłeś mówić o fanatykach i o tym, że fanatyk może zrobić wszystko. Mieliśmy wczoraj zaszczyt spędzać czas w tym barze w towarzystwie największego, najbardziej hałaśliwego i tępogłowego fanatyka na świecie. Jeżeli bycie idiotą, który z uporem trzyma się jednej idei, prowadzi do morderstwa, to stawiam na mojego walebnego brata prohibicjonistę zamiast na wszystkich azjatyckich fakirów, i tak, jak ci powiedziałem, to absolutna prawda, że ta jego okropna szklanka mleka stała na ladzie tuż przy tej tajemniczej szklaneczce whisky.

– I sądzisz, że miało to coś wspólnego z morderstwem – z zadumą powiedział Greenwood. – Naprawdę czasem nie wiem, czy mówisz poważnie, czy nie.

Gdy tak przyglądał się twarzy przyjaciela w poszukiwaniu jakiejś wskazówki, za barem ostro rozdzwonił się telefon. Inspektor szybko wszedł za kontuar, zdjął słuchawkę z widełek, słuchał przez chwilę, a potem wydał okrzyk. Nie był on skierowany do jego rozmówcy, ale ogólnie do wszechświata. Potem słuchał z wytężoną uwagą i wtrącał raz po raz: „Tak, tak... Zaraz przyjeżdżajcie. Jeśli to możliwe, przywieźcie go ze sobą... Dobra robota... Gratuluję”.

Następnie inspektor Greenwood wrócił na poprzednie miejsce jak człowiek, który odzyskał młodość, usiadł prosto z rękami złożonymi na kolanach i zagapił się na przyjaciela.

– Ojciec Brown – powiedział – nie wiem, jak ty to robisz. Wygląda na to, że wiedziałeś, że to morderca, zanim ktokolwiek pomyślał o tym człowieku. Był nikim, był niczym, był niewielką nieścistością w dowodach. Nikt w hotelu go nie widział, chłopak na schodach ledwie był go w stanie opisać, był jedynie lekkim cieniem wątpliwości na brudnej szklance. Ale go mamy, i to właśnie ten człowiek, którego szukaliśmy.

Ojciec Brown podniósł się w przeczuciu kryzysu, mechanicznie wyrównując dokumenty, które mogłyby być tak cenne dla biografy pana Raggleya. Stał, patrząc na przyjaciela. Być może ten ruch pobudził go do dalszych zapewnień.

– Tak, mamy pana Szybkiego. Był naprawdę szybki jak rtęć, oddalając się. Zatrzymaliśmy go po drodze na wyprawę wędkarską na Orkady, jak powiedział. Ale to właśnie ten człowiek – ten szkocki pośrednik w handlu ziemią, który zakochał się w żonie Raggleya. To właśnie on w tym barze wypił szkocką whisky, a potem wsiadł w pociąg do Edynburga. I tylko ty jeden na to wpadłeś.

– Cóż, miałem na myśli... – zaczął ojciec Brown dość oszołomionym głosem. W tej chwili na zewnątrz rozległy się dźwięki silników samochodowych. Do baru weszło dwóch czy trzech kolejnych policjantów. Jeden z nich, któremu zwierzchnik polecił usiąść, zrobił to z rozmachem jak ktoś jednocześnie szczęśliwy i zmęczony. On również spojrzał z podziwem na ojca Browna.

– Mamy tego mordercę, sir, oj mamy – powiedział. – Wiem, że to morderca, bo mało mnie nie zabił. Zdarzało mi się już zatrzymywać różnych twardzieli, ale nigdy takiego – walnął mnie w żołądek, jakby koń kopnął, i niemal zdołał się wyrwać pięciu ludziom. Inspektorze, tym razem dopadł pan prawdziwego zabójcę.

– Gdzie on jest? – spytał niespokojnie ojciec Brown.

– W wozie, skuty – odparł policjant – i radziłbym go tam zostawić, przynajmniej na razie.

Ojciec Brown opadł na krzesło, jakby nogi się pod nim ugięły. Papiery, które układał nerwowo, rozsypały się wokół niego, opadając i prześlizgując się po podłodze jak płatki śniegu. Nie tylko jego twarz, lecz także całe ciało przywodziło na myśl przekłuty balon.

– Och... Och – powtórzył, jak gdyby wszelkie przekleństwa były nieadekwatne. – Och... Znowu to zrobiłem.

– Jeśli chcesz powiedzieć, że znowu schwytałeś przestępcę... – zaczął Greenwood.

Ale przyjaciel przerwał mu słabym wybuchem, jakby przelewała się woda sodowa.

– Chcę powiedzieć – oświadczył ojciec Brown – że zawsze tak jest, i naprawdę nie wiem, dlaczego. Zawsze staram się mówić to, co mam na myśli. Ale wszyscy inni dopatrują się znacznie większego znaczenia w tym, co powiedziałem.

– Na litość boską, o co ci chodzi? – z nagłą irytacją wykrzyknął Greenwood.

– Cóż, mówię różne rzeczy – ojciec Brown odparł słabym głosem, który sam w sobie wyrażał słabość słów. – Mówię różne rzeczy, ale wszyscy inni widzą w nich więcej, niż jest. Kiedyś zobaczyłem stłuczone lustro i powiedziałem: „Coś się stało”, a wszyscy odpowiedzieli: „Tak, tak, dokładnie jak powiedziałeś, dwóch ludzi się mocowało i jeden uciekł do ogrodu” i tak dalej. Nie rozumiem tego, „Coś się stało” i „mocowało się dwóch ludzi” dla mnie nie oznacza tego samego, ale przyznaję, że nie zgłębiałem podręczników logiki. I tu jest tak samo. Wszyscy wydajecie się przekonani, że ten człowiek jest mordercą. Ale ja nigdy tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że ten właśnie człowiek jest nam potrzebny. Bo jest. Mnie jest potrzebny bardzo. Rozpaczliwie go potrzebuję. Potrzebuję go tak jak tej jednej rzeczy, której nie mamy w całej tej okropnej sprawie – świadka!

Wszyscy gapili się na niego, ale z namysłem, jak ludzie

próbujący nadażyć za ostrym zwrotem w dyskusji, i to on ją podsumował.

– Od pierwszej chwili, gdy wszedłem do tego wielkiego, pustego baru czy salonu, wiedziałem, że problemem całego tego interesu była pustka, samotność, za wiele sposobności, żeby być samemu. Innymi słowy, nieobecność świadków. Wszyscy wiemy, że gdy tu weszliśmy, w barze nie było ani barmana, ani kierownika. Ale kiedy w nim byli? Jaki był sens przygotowywania jakichś harmonogramów, skoro nikogo tu nie było? Cała ta sprawa była trudna ze względu na brak świadków. Sądzę, że barman czy ktoś był w barze tuż przed naszym przyjściem, i tak właśnie Szkot dostał szkocką whisky. Z pewnością nie wyszedł po naszym przybyciu. Ale nie możemy wypytywać, czy ktoś w tym hotelu zatruł cherry nieszczęsnego Raggleya, póki nie dowiemy się na pewno, kto i kiedy przebywał w barze. Teraz chciałbym was prosić o kolejną przysługę, pomimo tego głupiego zamieszania, które przypuszczalnie jest wyłącznie moją winą. Chciałbym, byście zebrali tu wszystkich ludzi, którzy mieli z tym coś wspólnego – chyba uda się sprowadzić wszystkich, chyba że pan Azjata wrócił do Azji – a potem zdejmijcie kajdanki temu biednemu Szkotowi i przyprowadźcie go tutaj, i pozwólcie mu powiedzieć, kto mu podał whisky, kto był w barze, kto jeszcze przebywał w tym pomieszczeniu i całą resztę. To jest jedyny człowiek, którego zeznania mogą pokrywać się z czasem popełnienia tej zbrodni. Nie widzę żadnego powodu, żeby podawać jego słowa w wątpliwość.

– Ale posłuchaj – powiedział Greenwood – to wszystko sprowadza się do zarządu hotelu, a sądziłem, że się zgodziłeś, że kierownik nie jest mordercą. To barman czy co?

– Nie wiem – bezradnie odpowiedział ksiądz. – Nie mam pewności nawet co do kierownika. Nic nie wiem o barmanie. Sądzę, że kierownik może coś ukrywać, nawet jeśli nie jest mordercą. Wiem jednak, że na świecie jest jeden, jedyny świadek, który może coś widział, i dlatego właśnie puściłem

jego śladem policyjne psy.

Tajemniczy Szkot, kiedy wreszcie pojawił się przed zgromadzonymi, był postacią robiącą spore wrażenie: wysoki, o ciężkim kroku i pociągłej, sardonicznej twarzy z kępkami rudego zarostu. Miał na sobie nie tylko płaszcz przeciwdeszczowy, lecz także szkocki beret, wobec czego można mu było wybaczyć cokolwiek niechętnie nastawienie, każdy jednak widział, że należał do ludzi, którzy będą się bronić przed aresztowaniem, nawet z użyciem przemocy. Nic dziwnego, że wdał się w bójkę z takim bojowym kogutem, jakim był Raggley. Nie dziwiło nawet, że policjanci, tylko na podstawie szczegółów zatrzymania, przekonani byli, że to twardy, typowy zabójca. Twierdził jednak, że jest szanowanym farmerem w Aberdeenshire, a nazywał się James Grant. Wkrótce nie tylko ojciec Brown, lecz także inspektor Greenwood, bystry człowiek o ogromnym doświadczeniu, pewien był, że zajadłość Szkota wynikała z furii niewinności, a nie z winy.

– Panie Grant – powiedział ponuro inspektor Greenwood, bez dalszych wahań przyjmując uprzejmy ton – chciałbym uzyskać od pana zeznanie dotyczące pewnego bardzo ważnego faktu. Ogromnie żałuję tego nieporozumienia, w wyniku którego pan ucierpiał, ale jestem pewien, że chętnie się pan przysłuży sprawiedliwości. Wiem, że wszedł pan do tego baru tuż po jego otwarciu, o wpół do szóstej, i zamówił szklaneczkę whisky. Nie jesteśmy pewni, który z pracowników hotelu, barman, kierownik czy ktoś inny, wówczas obsługiwał bar. Czy mógłby się pan rozejrzeć i powiedzieć mi, czy osoba, która pana obsłużyła, jest tutaj obecna?

– Pewno, że jest – z ponurym uśmiechem powiedział pan Grant, bystrym spojrzeniem omiatając grupę. – Wszędy bym go poznał. Sami się zgodzicie, że jest tak duży, że rzuca się w oczy. Wszyscy wasi pracownicy są tacy okazali jak un?

Wzrok inspektora był twardy i spokojny, a głos wyprany z emocji. Twarz ojca Browna była pusta, ale na wielu innych twarzach gościł niepokój. Barman nie był szczególnie duży

i niespecjalnie okazały, a kierownik był zdecydowanie drobny.

– Chcemy tylko zidentyfikować barmana – spokojnie powiedział inspektor. – Oczywiście, że go znamy, ale chcielibyśmy, żeby zweryfikował pan to niezależnie. Chce pan powiedzieć...? – i zamilkł nagle.

– No, przeca tu stoi – ze znużeniem powiedział Szkot i gestem wskazał gigantycznego Jukesa, księcia komiwojażerów, który nadał się niczym trąbiący słoń. W tejże chwili trzech policjantów rzuciło się na niego jak psy na dziką bestię.

– No, to w sumie proste – już po wszystkim powiedział ojciec Brown do przyjaciela. – Jak ci powiedziałem, w chwili gdy wszedłem do pustego baru, pomyślałem sobie, że jeśli barman zostawił bar bez dozoru, to każdy mógł wejść za kontuar i nalać truciznę do którejkolwiek butelki. Oczywiście truciciel praktyczny zrobiłby to pewnie tak jak Jukes, zamieniając butelkę zatrutą na zwykłą – to można zrobić w mgnieniu oka. Dla niego nie było to trudne, skoro zajmował się dystrybucją alkoholu, przygotować sobie butelkę takiej samej cherry. Rzecz jasna wymaga to spełnienia pewnego warunku, ale to dość trywialny warunek. Nie ma sensu zatruwać piwa czy whisky, które pija wielu ludzi – to spowodowałby masakrę. Ale gdy wiadomo, że jakiś człowiek pija tylko jedną, określoną rzecz jak cherry, która nie jest szczególnie popularnym alkoholem, to jak otruć go w jego własnym domu. Tyle że to znacznie bezpieczniejsze, bo praktycznie wszystkie podejrzenia natychmiast spadają na hotel albo na kogoś związanego z hotelem, i nie ma żadnego sposobu, by wykazać, że zrobił to ktoś z setki gości, którzy przewinęli się przez bar, nawet jeśli ludzie sobie uświadomią, że mógł to zrobić właśnie klient. To najbardziej anonimowe i nieobliczalne morderstwo, jakie może popełnić człowiek.

– Ale dlaczego konkretnie morderca je popełnił? – spytał inspektor.

Ojciec Brown wstał i ponuro pozbierał papiery, które mu się rozsypały w chwili rozkojarzenia.

– Czy mogę zwrócić twoją uwagę – powiedział z uśmiechem – na materiały do przygotowywanej publikacji „Życie i listy Johna Raggleya”? Czy też, skoro już o tym mowa, jego własne słowa? Właśnie w tym barze powiedział, że obnaży skandale związane z zarządzaniem hotelami, a dość powszechnym skandalem w tym biznesie jest porozumienie korupcyjne pomiędzy właścicielami hotelu a pośrednikiem handlowym, który przyjmuje i wydaje niejawnie zlecenia, żeby jego firma miała monopol na wszystkie alkohole sprzedawane w tym miejscu. To nawet nie jest otwarte niewolnictwo jak w przypadku zwykłego pubu mającego umowę z jednym browarem; to był szwindel kosztem wszystkich, którym miał służyć kierownik. To było przestępstwo. Zatem zmyślny Jukes wykorzystał pierwszą chwilę, kiedy bar był pusty, jak to się często zdarzało, wszedł za ladę i zamienił butelki. Niefortunnie dokładnie w tej chwili wkroczył jakiś Szkot w płaszczu przeciwdeszczowym i szorstko zażądał whisky. Jediną szansą Jukesa było udawanie barmana i obsłużenie klienta. Ku jego dużej uldze był to klient, który wpadł na szybkiego.

– Myślałem, że to raczej ty sam jesteś z tych szybkich – zauważył Greenwood – skoro mówisz, że od razu coś wyczuwasz w samej atmosferze pustego baru. Od początku podejrzewałeś Jukesa?

– Cóż, sprawiał wrażenie bogacza – niejasno odpowiedział ojciec Brown. – To się czuje. I zadałem sobie pytanie, dlaczego wydawał się obrzydliwie bogaty, podczas gdy wszyscy uczciwi ludzie są dosyć biedni. Ale że jest oszustem, wiedziałem chyba od chwili, gdy zobaczyłem tę wielką, błyszczącą szpilkę do krawata.

– Dlatego, że była fałszywa? – z powątpiewaniem zapytał Greenwood.

– Och, nie. Ponieważ była prawdziwa – odparł ojciec Brown.

[\[28\]](#) Rodzaje szabli azjatyckich.

[\[29\]](#) Nonkonformistyczny – tutaj: przedstawiciel protestantów angielskich nienależących do państwowego Kościoła anglikańskiego.

[\[30\]](#) Kazuistyka (łac. *casus* – przypadek) – drobiazgowo rozważanie problemów, najczęściej moralnych lub prawnych, poprzez stosowanie do nich zasad ogólnych. W drugim znaczeniu pokrętna argumentacja, naciąganie argumentów i przykładów w celu uzasadnienia jakiejś tezy.

POŚCIG ZA PANEM BLUE

Wraz z tłumem, który w słoneczne popołudnie spacerował wzdłuż morskiego brzegu, ze stosownym marsem na czole przesuwał się osobnik o przygnębiającym nazwisku Muggleton. Liczne grupy artystów i pojedynczy wykonawcy stojący przy plaży zabiegali o jego zainteresowanie. Pierroci unosili swoje blade, księżycowe twarze jak białe brzuchy śniętych ryb, co nie poprawiało mu nastroju. Ci z twarzami pokrytymi sadzą również nie odnieśli sukcesu. Był smutnym i rozczarowanym człowiekiem. Jego rysy, poza przerzedzonymi, ściągniętymi brwiami, były niemal zapadnięte i świadczyły o wycofaniu, a przebijające przez nie pewne wyświechtane wyrafinowanie było tym bardziej absurdalne, że stanowiło jedyną wyraźną ozdobę jego twarzy. Chodziło o potężne, zjeżone wąsy wojskowego – wydawały się podejrzanie sztuczne. W sumie możliwe, że były sztuczne. Z drugiej strony niewykluczone, że jeśli nawet nie były sztuczne, to były wymuszone. Być może zapuścił je w pośpiechu, czystą siłą woli. Mogła to być część jego pracy, a nie osobowości.

Prawda była taka, że pan Muggleton był prywatnym detektywem na małą skalę, a zachmurzenie na jego twarzy spowodowane było dużym błędem, który popełnił w karierze

zawodowej; tym niemniej było spowodowane czymś bardziej mrocznym niż tylko posiadaniem takiego nazwiska^[31]. W jakiś niejasny sposób mógłby być niemal dumny ze swego nazwiska, jako że wywodził się z biednych, lecz porządnych nonkonformistów, którzy twierdzili, że powiązani są z założycielem muggletonianizmu^[32], jedynym człowiekiem, który jak dotąd miał odwagę, by nosząc takie nazwisko, pojawić się w historii ludzkości.

Bardziej uzasadnionym powodem jego irytacji (a przynajmniej tak sam sobie tłumaczył) było to, że właśnie był obecny przy krwawym morderstwie słynnego na cały świat milionera i nie zdołał mu zapobiec, choć zatrudniono go w tym celu za wynagrodzeniem pięciu funtów tygodniowo. To mogło tłumaczyć, dlaczego nawet leniwe wykonanie piosenki pod tytułem *Won't You Be My Loodah Doodah Day?* nie zdołało napełnić go radością życia.

Skoro już o tym mowa, na plaży znaleźliby się inni, którzy mogli mieć więcej sympatii dla tego morderczego tematu i muggletonskiej tradycji. Nadmorskie kurorty to miejsca wybierane nie tylko przez pierrotów odwołujących się do miłosnych emocji, lecz także przez kaznodziejów, którzy często wydają się specjalizować w kazaniach mrocznych i zalatujących siarką. Był tam taki jeden leciwy demagog, na którego nie dało się nie zwrócić uwagi, tak przenikliwie były jego krzyki, żeby nie powiedzieć wrzaski, o prorocत्वach religijnych, które wybrzmiewały ponad dźwiękami banjo i kastanietów. Był to wysoki, niechlujny, obszarpany starzec, ubrany w coś w rodzaju rybackiego swetra, ale niestosownie uzupełniony o bardzo długie i obwisłe bokobrody, których nie widywało się od czasów wyginięcia pewnego typu wesołych dandysów z czasów wiktoriańskich. Tak jak praktycznie wszyscy hochsztaplerzy na plaży korzystali z jakichś rekwizytów, jakby chcieli coś sprzedać, tak ten starzec posługiwał się dość przegniłą siecią rybacką, którą zapraszająco rozpościerał na piasku, jakby był to dywan rozłożony dla królowych. Czasami

jednak wymachiwał nią dziko nad głową gestem niemal tak wspaniałym, jak rzymski gladiator, gotów nadziewać ludzi na trójzab. W istocie, gdyby miał trójzab, mógłby nadziewać na niego ludzi. Jego słowa zawsze mówiły o karze, słuchacze słyszeli wyłącznie o potępieniu ciała albo duszy. Miał dokładnie taki sam nastrój, jak pan Muggleton, mógłby niemal być szalonym katem zwracającym się do tłumu morderców. Chłopcy mówili na niego Stary Brimstone. Niemniej nie miał innych dziwactw poza czysto teologicznymi. Jednym z nich było wspinanie się na płataninę żelaznych dźwigarów pod molo i zarzucanie sieci do wody wraz z deklaracjami, że utrzymuje się przy życiu dzięki łowieniu ryb, choć wątpliwe, czy kiedykolwiek widziano, żeby jakąś złapał. Zdarzało się też, że wycieczkowicze podskakiwali na głos grzmiący im do ucha z siłą gromu, grożący sądem ostatecznym, ale który w istocie dochodził z żerdzi pod żelaznym dachem, gdzie siedział stary monomaniak z bokobrodami wiszącymi jak szare wodorosty.

Detektyw jednak mógłby się zgodzić ze Starym Brimstone'em znacznie bardziej niż z innym pastorem, z którym miał się spotkać. By wyjaśnić to drugie i bardziej doniosłe spotkanie, trzeba wskazać, że Muggleton, po swoim znaczącym doświadczeniu ze sprawą morderstwa, wyłożył wszystkie karty na stół. Opowiedział swoją historię policji i jedyneemu osiągalnemu przedstawicielowi Grahama Bruce'a, zmarłego milionera, to jest jego wielce eleganckiemu sekretarzowi, panu Anthony'emu Taylorowi. Inspektor był bardziej życzliwy niż sekretarz, ale konsekwencje tej życzliwości były ostatnią rzeczą, jakiej Muggleton normalnie spodziewałby się po policji. Inspektor, po pewnym namyśle, ogromnie zaskoczył pana Muggletona, radząc mu, by skonsultował się z utalentowanym amatorem, o którym wiedział, że przebywa w miasteczku. Pan Muggleton czytał raporty i powieści o Wielkich Kryminologach, którzy siedzą w swoich bibliotekach jak intelektualne pająki i snują teoretyczne nitki sieci wielkich jak świat. Był przygotowany na to, że znajdzie się w samotnym zamku, gdzie

ekspert noszący bordowy tużurek poprowadzi go na poddasze, w którym żyje dzięki opium i akrostychom, do wielkiego laboratorium albo samotnej wieży. Ku jego wielkiemu zdziwieniu skierowano go na sam skraj zatłoczonej plaży przy molo na spotkanie z przysadzistym, małym księdzem w szerokim kapeluszu i z szerokim uśmiechem, który w tej konkretnej chwili skakał po piasku z gromadą biednych dzieci i podekscytowany wymachiwał bardzo małą drewnianą łopatką.

Gdy duchowny kryminolog, który nazywał się Brown, uwolnił się wreszcie od dzieci, ale nie od łopatki, Muggletonowi wydawał się coraz bardziej i bardziej nieciekawym. Kręcił się beznadziejnie pomiędzy idiotycznymi przedstawieniami na promenadzie, rozmawiał na przypadkowe tematy i ciągnęło go do rzędów automatów, które ustawiane są w takich miejscach. Z powagą tracił pensa po pensie, żeby zagrać w minigolfa, piłkę nożną, krykieta, których mecze rozgrywane były za pośrednictwem mechanicznych figurek, aż wreszcie stanął przy miniaturowym odwzorowaniu wyścigu, gdzie metalowa lalka biegła i skakała jedna za drugą. A jednak przez cały ten czas uważnie słuchał, co mówi pokonany detektyw. Na nerwy jedynie działało detektywowi to, jak nie pozwalał, by jego prawica wiedziała, co z pensami czyni lewica.

– Czy moglibyśmy gdzieś pójść i usiąść? – zapytał zniecierpliwiony Muggleton. – Mam list, który ksiądz powinien zobaczyć, jeśli ma się dowiedzieć czegoś o tej całej sprawie.

Ojciec Brown z westchnieniem odwrócił się od skaczących lalek, po czym poszedł ze swoim towarzyszem i usiadł na żeliwnej ławce na brzegu. Detektyw wyjął już list z koperty i podał mu go w milczeniu.

List był gwałtowny i dziwny w tonie. Ojciec Brown się zamyślił. Wiedział, że milionerzy nie zawsze charakteryzowali się dobrymi manierami, zwłaszcza kiedy układali się z podwładnymi takimi jak detektywi, ale w liście tym wydawało się tkwić coś więcej niż zwykła obcesowość.

DROGI MUGGLETONIE,

Nigdy nie sądziłem, że będę potrzebować pomocy tego rodzaju, ale sprawy stają się nie do zniesienia. Pogłębiało się to od ostatnich dwóch lat. Uważam, że to wszystko, co potrzebuje pan wiedzieć. Jest taki podły drań, mój kuzyn, do czego przyznaję się ze wstydem. Bywa obnośnym sprzedawcą, włóczęgą, konowałem, aktorem i czym jeszcze; ma nawet czelność używać naszego nazwiska i przedstawiać się jako Bertrand Bruce. Przypuszczam, że dostał jakąś podrzędną pracę w tutejszym teatrze, albo się o nią stara. Może mi pan jednak wierzyć, że praca ta to tylko przykrywka. Jego zasadniczym zajęciem jest dręczenie mnie i wyłączenie z gry na dobre, o ile mu się to uda. To stara historia i niczyja sprawa. Był czas, gdy w wyścigu ambicji szliśmy łeb w łeb – podobnie w tym, co ludzie nazywają miłością. Czy to moja wina, że on był kanalią, a ja odnosiłem sukcesy? Ale ten drań przysięga, że się jeszcze odegra: zastrzeli mnie i ucieknie z... – nieważne. Sądzę, że to swego rodzaju szaleniec, ale wkrótce spróbuje zostać swego rodzaju mordercą. Zapłacę panu pięć funtów tygodniowo, jeśli spotka się pan ze mną w wartowni na końcu moła, dzisiaj, tuż po jego zamknięciu – i podejmie pracę. To jedyne spokojne miejsce na spotkanie – o ile do tego czasu gdziekolwiek będzie bezpiecznie.

J. GRAHAM BRUCE

– A niech mnie – łagodnie powiedział ojciec Brown. – A niech mnie. Co za pośpiech w tym liście.

Muggleton pokiwał głową. Po dłuższej chwili rozpoczął własną opowieść. Mówił dziwnie eleganckim głosem kontrastującym z obszarpanym wyglądem. Książd dobrze znał hobby utajonej kultury ukrytej w wielu byle jakich ludziach z niższej i średniej klasy, ale nawet on był zaskoczony doskonałym doborem słów, nieco tylko może zbyt pedantycznym. Ten człowiek mówił jak

książka.

– Przybyłem do tej małej okrągłej stróżówki na końcu molo przed moim szacownym klientem. Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka, czując, że wolałby, bym podobnie jak on, zachowywał najwyższą dyskrecję. Nie żeby miało to bardzo duże znaczenie – molo było za długie, żeby ktokolwiek widział nas z plaży albo z deptaku, a spoglądając na zegarek, stwierdziłem, że do tej pory molo musi być już zamknięte. W pewien sposób mi to pochlebiało, że chciał nam zapewnić całkowitą prywatność podczas tego *randez-vous*, oraz że okazał, iż naprawdę polega na mojej pomocy czy ochronie. W każdym razie spotkanie na molo po zamknięciu było jego pomysłem, a ja się na to chętnie zgodziłem. W tym małym okrągłym pawilonie, czy jak go nazwać, znajdowały się dwa krzesła, zatem po prostu usiadłem na jednym z nich i czekałem. Nie musiałem czekać długo. Słyszał ze swojej punktualności i faktycznie, gdy spojrzałem przez małe okrągłe okno naprzeciwko, zobaczyłem, że zbliża się powoli, jakby robił wstępny obchód.

Znałem go wyłącznie z portretów, które widziałem dawno temu. Naturalnie był nieco starszy niż na nich, ale nie było wątpliwości co do podobieństwa. Profil, który ujrzałem przez okno, nazywany jest orlim, od wygięcia orlego dzioba – był to jednak szary i sędziwy orzeł, orzeł w stanie spoczynku, orzeł, który dawno złożył skrzydła. Nie można było jednak przeoczyć władczego spojrzenia czy cichej dumy w wydawanych poleceniach, jaka zawsze cechuje ludzi, którzy podobnie jak on tworzyli wielkie systemy i stosowali się do nich. Z tego, co mogłem dostrzec, był ubrany skromnie, zwłaszcza w porównaniu z tym tłumem turystów, który zajmuje mi większość dnia, zauważyłem jednak, że jego płaszcz był ogromnie elegancki, skrojony do figury, a klapy były podszyte jagnięcym runem. Wszystko to oczywiście objąłem jednym rzutem oka, zdążyłem się już bowiem podnieść i podejść do drzwi. Wyciągnąłem rękę i przeżyłem pierwszy wstrząs tamtego

okropnego wieczora. Drzwi były zamknięte na klucz. Ktoś zamknął mnie w środku.

Przez moment stałem oszołomiony, nadal wpatrując się w to okrągłe okno, z którego oczywiście zniknął już opisany przeze mnie profil, i wówczas nagle dostrzegłem wytłumaczenie. W polu widzenia pojawił się kolejny profil, wyciągnięty jak u gończego psa. W chwili gdy go ujrzałem, wiedziałem, do kogo należy. Był to Mściciel – morderca, czy też przyszły morderca, który śledził starego milionera przez lądy i morza, a teraz wyśledził go w tej ślepej uliczce żelaznego moła zawieszzonego między morzem a ziemią. I wiedziałem oczywiście, że to właśnie morderca zamknął drzwi.

Ten człowiek, którego zobaczyłem najpierw, był wysoki, ale jego prześladowca był jeszcze wyższy; wywierany przezeń efekt pomniejszały tylko bardzo wysoko uniesione ramiona i głowa wyciągnięta tak, jak u prawdziwego zwierza tropiącego. W rezultacie wyglądał jak gigantyczny garbus. Jednak w tych dwóch profilach, zbira i jego sławnego krewnego, przesuwających się za szklaną przesłoną, znać było pokrewieństwo. Napastnik również miał nos jak ptasi dziób, chociaż ogólne wrażenie obszarpanej degradacji sugerowało raczej sępa niż orła. Był nieogolony tak, że można go już było nazwać brodatym, a przygarbienie jego ramion było wzmocnione przez zwoje szorstkiego, wełnianego szala. Wszystko to są trywialne szczegóły i nie dają pojęcia o odrażającej energii tego szkicu czy odczucia mściwej zagłady emanującej z tej garbiącej się i wyciągniętej postaci. Widział ksiądz kiedyś rysunek Williama Blake'a, czasami nazywany beztrasko „Duchem Pchły”, ale również z nieco większą powagą, „Wizją krwawej winy” bądź podobnie? To był taki koszmarny obraz skradającego się giganta o wysokich ramionach, niosącego misę i nóż. Ten człowiek nie niósł niczego, lecz gdy po raz drugi przeszedł pod oknem, na własne oczy zobaczyłem, że z fałd szala wy dobył rewolwer i trzymał go w ręce, gotowy do strzału. Oczy błyszczały mu w świetle księżyca i rozglądał się

w bardzo nieprzyjemny sposób. Strzelał oczami na wszystkie strony, prawie jakby mógł je wyciągnąć na lśniących rogach, jak robią to ślimaki.

Trzy razy kolejno przeszli przed tym oknem, skradając się po tym wąskim okręgu, zanim ocknąłem się na tyle, żeby podjąć jakieś działanie, jakkolwiek rozpaczliwe. Gwałtownie zacząłem szarpać drzwi. Gdy znów ujrzałem twarz nieświadomej ofiary, z furją załomotałem w okno, następnie spróbowałem je wybić. Jednak była to podwójna szyba z wyjątkowo grubego szkła, osadzona tak głęboko, że powątpiewałem, bym zdołał w ogóle dosięgnąć okna zewnętrznego. W każdym razie mój szacowny klient nie zauważył moich sygnałów, a szare cienie pantomimy tych dwóch masek zagłady chodziły w koło i w koło, aż zrobiło mi się niedobrze. Wówczas nagle przestały się pojawiać. Czekałem, choć wiedziałem, że nie ukażą się ponownie. Wiedziałem, że nadciągnął kryzys.

Nie ma potrzeby, bym mówił księdzu więcej. Może sobie ksiądz wyobrazić resztę, nawet to, jak siedziałem tam bezsilnie. Dość powiedzieć, że w tej okropnej ciszy, w której rozplýwały się wszystkie kroki, poza pomrukiem morza dało się słyszeć tylko dwa inne dźwięki. Pierwszym był głośny huk wystrzału, a drugim bardziej stłumiony plusk.

Mój klient został zamordowany kilka jardów ode mnie, a ja nie mogłem nic zrobić. Nie będę księdza kłopotał tym, co czułem. Jednak nawet jeśli otrząsnę się po tym morderstwie, to nadal stoję w obliczu zagadki.

– Tak – łagodnie powiedział ojciec Brown. – Jakiej zagadki?

– Zagadki, w jaki sposób morderca zbiegł – odpowiedział detektyw. – Gdy tylko następnego ranka na molo pojawili się ludzie, zostałem uwolniony z mojego więzienia i pognałem do bramy wejściowej dowiedzieć się, kto zszedł z molo od chwili jego otwarcia. Bez zanudzania księdza szczegółami wyjaśnię, że jest to dość niezwykła, prawdziwa, pełnowymiarowa brama, która zatrzyma każdego, kto zechce przez nią wyjść (albo wejść), póki nie zostanie otwarta. Obsługa nie widziała nikogo,

kto choćby z grubsza przypominałby zabójcę. A była to raczej postać rzucająca się w oczy. Nawet gdyby jakoś się przebrał, nie zdołałby ukryć wzrostu czy pozbyć się tego rodzinnego nosa. Bardzo mało prawdopodobne, by spróbował przepłynąć na brzeg, bo morze było mocno wzburzone, lecz nie ma żadnych śladów zejścia na ląd. A jednak po tym, jak ujrzałem twarz tego łotra, i to sześciokrotnie, mam silne przekonanie, że nie utopił się tak prostu w chwili triumfu.

– Zasadniczo rozumiem, co ma pan na myśli – odpowiedział ojciec Brown. – Poza tym byłoby to bardzo niespójne z tonem jego listu z pogrózkami, w którym obiecywał sobie wszelkie korzyści po dokonaniu zbrodni... To kolejny punkt, który dobrze by było zweryfikować. A co ze spodnią konstrukcją molo? Mola często stawiane są na całej sieci żelaznych dźwigarów, na które człowiek byłby w stanie wspiąć się jak małpa na drzewo.

– Tak, pomyślałem o tym – odparł prywatny detektyw – ale niestety to molo skonstruowane jest dziwacznie pod każdym względem. Jest nietypowo długie i wspiera się na żelaznych kolumnach z całą siatką żelaznych podpór, tyle tylko, że są bardzo od siebie oddalone i nie wiem, jak człowiek zdołałby się przemieścić z jednej na drugą.

– Wspomniałem o tym tylko dlatego – z zadumą powiedział ojciec Brown – że ten dziwny osobnik z długimi bokobrodami, ten starzec, który wygłasza kazania na plaży, często wspina się na te kolumny. Mam wrażenie, że gdy rozpoczyna się przyptyw, to siedzi tam i łowi ryby. A bardzo dziwny z niego rybak.

– Co ksiądz ma na myśli?

– Cóż... – bardzo powoli odpowiedział ojciec Brown, kręcąc guzikiem i popatrując w zadumie na wielką, zieloną wodę połyskującą w ostatnim świetle wieczoru po zachodzie słońca. – Cóż... Próbowałem z nim porozmawiać na przyjacielskiej stopie – przyjaźnie i dość poważnie, o ile pan rozumie – o tym jego połączeniu starożytnych zajęć łowienia ryb i nauczania. Wydaje mi się, że zrobiłem oczywiste odniesienie do tekstu, który mówi

o poławianiu dusz żyjących. A on odpowiedział, dość dziwnie i szorstko, wskakując na tę swoją żelazną grzędę, „Cóż, przynajmniej ja poławiam martwych”.

– Dobry Boże! – wykrzyknął detektyw, spoglądając na niego.

– Tak – potwierdził ksiądz. – W moim odczuciu była to dziwna uwaga w pogawędce z obcym człowiekiem bawiącym się z dziećmi w piasku.

– Chyba nie chce ksiądz powiedzieć, że uważa, jakoby tamten miał coś wspólnego z tą śmiercią – po dłuższej chwili zawołał detektyw.

– Myślę – stwierdził ojciec Brown – że może rzucić na nią jakieś światło.

– Cóż, obecnie dla mnie to za dużo – powiedział detektyw. – Nie jestem w stanie uwierzyć, żeby ktokolwiek mógł rzucić na nią jakieś światło. To jak mętna woda w całkowitej ciemności; taka jak ta, do której on... do której wpadł. To po prostu kompletnie irracjonalne – wielki mężczyzna, który znika jak bańka mydlana! Nikt nie mógłby... Zaraz! – przerwał nagle, patrząc na księdza, który się poruszył, ale nadal bawił guzikiem i spoglądał na fale przyboju. – Co ksiądz ma na myśli? Czego tak wypatruje? Chyba nie chce ksiądz powiedzieć, że... że widzi ksiądz w tym jakiś sens?

– Byłoby lepiej, gdyby to pozostało nonsensem – cichym głosem odpowiedział ojciec Brown. – Cóż, skoro pyta mnie pan wprost – tak, wydaje mi się, że widzę w tym jakiś sens.

Milczeli długo, aż wreszcie gwałtownie odezwał się detektyw:

– O, z hotelu idzie sekretarz staruszka. Pójdę już. Chyba porozmawiam z tym szalonym rybakiem.

– *Post hoc, propter hoc*[\[33\]](#)? – z uśmiechem zapytał ksiądz.

– Cóż – z nagłą szczerością odparł tamten – sekretarz mnie nie lubi, a ja raczej nie lubię jego. Kręcił się i zadawał mnóstwo pytań, które według mnie nie prowadziły do niczego poza kłótnią. Może jest zazdrosny, bo staruszek zwrócił się do kogoś innego i nie był zadowolony z rad swojego eleganckiego sekretarza. Do zobaczenia.

Odwrócił się i szurając stopami w piasku, poszedł w stronę miejsca, gdzie ekscentryczny kaznodzieja ułożył już sobie gniazdo. W zielonkawym mroku wyglądał raczej jak jakiś wielki polip albo parząca meduza ciągnąca swoje trujące macki przez fluorescencyjne morze.

Tymczasem ksiądz spokojnie obserwował zbliżanie się sekretarza. Pośród tego rozbawionego tłumu wyróżniał się nawet z daleka kapłańską schludnością oraz powagą cylindra i fraka. Nie czując się w obowiązku, by mieszać się do waśni pomiędzy sekretarzem a detektywem, ojciec Brown miał niejasne poczucie irracjonalnego zrozumienia dla niechęci tego ostatniego. Pan Anthony Taylor, sekretarz, był wybitnie dobrze prezentującym się młodym człowiekiem. Twarz miał stanowczą i inteligentną, i po prostu przystojną. Był blady, z ciemnymi włosami opadającymi na ramiona, jakby wskazującymi miejsce, w którym mogłyby być bokobrody. Wargi zaciskał bardziej niż większość ludzi. Jedyną rzecz, jaką ojciec Brown mógł znaleźć na jego usprawiedliwienie, wyglądała na dziwniejszą, niż faktycznie była. Miał wrażenie, że człowiek ten rozmawia z własnymi nozdrzami. W każdym razie mocno zaciśnięte usta wywoływały odczucie, że jest coś anormalnie wrażliwego i elastycznego w poruszeniach skrzydełek nosa, aż wydawało się, że komunikuje się i prowadzi życie, wężąc i wachając z uniesioną głową jak pies. Pasowało to do jego innych cech, tak że kiedy mówił, to z gwałtownością i szybkością karabinu maszynowego, co wobec tak eleganckiej i szykownej postaci robiło niemal obrzydliwe wrażenie.

– Zakładam, że morze nie wyrzuciło żadnych ciał – powiedział bez wstępów.

– Z pewnością nic takiego nie ogłaszano – odparł ojciec Brown.

– Żadnego gigantycznego ciała mordercy w wełnianym szalu – doprecyzował pan Taylor.

– Nie – potwierdził ojciec Brown.

Usta pana Taylora przestały się poruszać, jego nozdrza jednak

przemawiały za niego z taką szybką i drżącą pogardą, że można by je niemal nazwać wymownymi.

Po kilku uprzejmych komunałach ze strony księdza odezwał się znowu:

– Idzie inspektor – stwierdził opryskliwie. – Pewnie przeszukują całą Anglię w poszukiwaniu szalika.

Inspektor Grinstead, człowiek o ogorzałej twarzy i szarej szpiczastej brodzie, pozdrowił ojca Browna z większym szacunkiem niż sekretarz.

– Pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć, sir – zwrócił się do sekretarza – że nie ma absolutnie żadnych śladów, iż z molo uciekł opisany człowiek.

– Bardziej nieopisany – odparł Taylor. – Pracownicy molo, jedyni ludzie, którzy mogliby go opisać, nie widzieli nikogo.

– Cóż – odparł inspektor – powiadomiliśmy telefonicznie wszystkie posterunki i obserwujemy wszystkie drogi, więc to prawie niemożliwe, żeby uciekł z Anglii. Według mnie on naprawdę nie mógł się wymknąć w taki sposób. Jakby się zapadł pod ziemię.

– Zapadł się pod ziemię – powtórzył sekretarz ostrym głosem, który na tym samotnym brzegu zabrzmiał jak wystrzał z pistoletu.

Inspektor nie odzywał się, ale na twarzy księdza stopniowo pojawiała się światłość.

– Chce pan powiedzieć, że ten człowiek to fikcja? Albo może kłamstwo? – zapytał z niemal ostentacyjną niepewnością.

– Ach – odpowiedział sekretarz, wzdychając przez swoje wyniosłe nozdrza – wreszcie ktoś o tym pomyślał.

– To była pierwsza rzecz, o której pomyślałem – odciął się ojciec Brown. – To pierwsza rzecz, o jakiej pomyśli każdy, słysząc niczym niepopartą opowieść obcego człowieka o dziwnym mordercy na pustym molo. Mówiąc wprost, chce pan powiedzieć, że ten Muggleton wcale nie słyszał, jak ktoś morduje tego milionera. Przypuszczalnie chce pan powiedzieć, że to właśnie Muggleton dokonał tego przestępstwa.

– Cóż – chrząknął sekretarz – ten cały Muggleton wygląda mi na przegranego obszarpańca. Tylko on ma jakąś historię tego, co wydarzyło się na molo, a jego historia mówi o gigancie, który zniknął. To jakaś bajeczka. Nie jest szczególnie wiarygodna, zwłaszcza biorąc pod uwagę, kto ją opowiada. Na własne życzenie schrzanił tę sprawę i pozwolił, by kilka jardów dalej zamordowano jego klienta. Zgodnie z jego własnymi słowami jest kompletnym durniem i nieudacznikiem.

– Tak – zgodził się ojciec Brown. – Ja w sumie lubię ludzi, którzy sami przyznają się do tego, że są durniami i nieudacznikami.

– Nie rozumiem, co ojciec ma na myśli – warknął tamten.

– Być może – z zadumą powiedział ojciec Brown – to dlatego, że tak wielu ludzi jest durniami i nieudacznikami, a się do tego nie przyznaje. Ale nawet jeśli jest durniem i nieudacznikiem – ciągnął – to nie dowodzi, że jest kłamcą i mordercą. I zapomina pan, że mamy pewien niezależny dowód, który w istocie potwierdza tę historię. Mam na myśli list od milionera, w którym opisał całą historię swojego kuzyna i jego vendetty. Jeśli nie może pan udowodnić, że ten dokument jest fałszywy, to musi pan przyznać, że istnieje niejaki prawdopodobieństwo, że Bruce faktycznie był prześladowany przez kogoś, kto miał realny motyw. Albo raczej, powinienem powiedzieć, jest to jedyny dowód, który faktycznie poświadcza istnienie takiego motywu.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem, co ojciec mówi o motywie – odezwał się inspektor.

– Mój drogi przyjacielu – powiedział ojciec Brown, którego po raz pierwszy zniecierpliwienie przywiodło do familiarności – każdy ma jakiś motyw. Biorąc pod uwagę, w jaki sposób Bruce dorobił się swoich pieniędzy, prawie każdy na świecie mógłby popełnić rzecz tak naturalną, jak zepchnąć go do morza. Mógł się znaleźć ktoś, kto zrobiłby to prawie bez namysłu. Prędzej czy później musiało do tego dojść. Mógł to zrobić pan Taylor.

– Co takiego? – obruszył się pan Taylor, a jego nozdrza

wyraźnie napuchły.

– Ja mogłem to zrobić – mówił dalej ojciec Brown. – *Nisi me constringeret ecclesiae auctoritas*^[34]. Każdy, poza człowiekiem o żelaznej moralności, mógł poczuć pokusę, aby pogodzić się z tak oczywistym, tak prostym społecznym rozwiązaniem. Ja mogłbym to zrobić, pan mógłby to zrobić, mógłby to zrobić burmistrz albo człowiek sprzedający babeczki. Mogę wskazać tylko jedną osobę na całym świecie, która prawdopodobnie by tego nie zrobiła, a jest nią prywatny detektyw, którego Bruce właśnie zatrudnił za pięć funtów tygodniowo, a który nie zobaczył z tego ani pensa.

Sekretarz milczał przez chwilę.

– Jeśli w liście była taka oferta – parsknął – to lepiej dobrze sprawdźmy, czy to nie oszustwo. Tak naprawdę nie wiemy, czy cała ta opowieść nie jest wyssana z palca. Facet sam przyznaje, że zniknięcie tego garbatego giganta jest głęboko niewiarygodne i niewytłumaczalne.

– Tak – mruknął ojciec Brown – I to właśnie podoba mi się w Muggletonie. Mówi, jak jest.

– Mimo wszystko – nalegał Taylor, a nozdrza wibrowały mu z ekscytacji. – Mimo wszystko, ogólnie rzecz ujmując, nie może udowodnić, czy ten jego wysoki mężczyzna w szalu w ogóle istnieje, a każdy fakt odkryty przez policję i świadków dowodzi, że nie istnieje. Nie, ojciec Brown. Tylko w jeden sposób może ojciec usprawiedliwić tego małego łobuza, do którego ma ojciec taką słabość. Znajdując tego jego wymyślonego człowieka. A właśnie tego ojciec nie jest w stanie zrobić.

– A tak przy okazji – powiedział ksiądz nieobecny tonem – panie Taylor, zakładam, że przyszedł pan z hotelu, w którym Bruce wynajął pokoje?

Taylor wyglądał na nieco zaskoczonego i prawie się zająknął.

– Cóż, zawsze brał te pokoje, zresztą praktycznie należą do niego. Tym razem właściwie go tam nie widziałem.

– Przyjechał pan z nim samochodem – upewnił się ojciec Brown – czy pociągiem?

– Ja przyjechałem pociągiem i przywiozłem bagaże – odparł zniecierpliwiony sekretarz. – Coś musiało go zatrzymać. Nie widziałem go, odkąd tydzień czy dwa temu na własną rękę nie wyjechał z Yorkshire.

– Zatem wygląda na to – bardzo łagodnie powiedział ksiądz – że jeśli to nie Muggleton nad morzem widział Bruce’a jako ostatni, to jako ostatni widział go pan, na bagnach Yorkshire.

Taylor pobladł, ale zmusił się, by jego irytujący głos nie zadrżał.

– Nigdy nie mówiłem, że Muggleton nie widział Bruce’a na molo.

– Ano nie. A dlaczego nie? – zapytał ojciec Brown. – Jeśli będąc na molo, pozbył się jednego człowieka, to dlaczego nie miałby pozbyć się dwóch? Oczywiście wiemy na pewno, że Bruce istniał, nie wiemy tylko, co się z nim działo przez kilka tygodni. Być może został w Yorkshire.

Przenikliwy głos sekretarza uniósł się niemal do krzyku. Wydawało się, że cała jego otoczka towarzyskiej ogłady zniknęła.

– Pan zwyczajnie wykręcasz kota ogonem! Pan się zwyczajnie wymigujesz! Próbujesz mi pan insynuować jakieś obłąkane rzeczy tylko dlatego, że nie potrafisz pan odpowiedzieć na moje pytanie!

– Niech no się zastanowię – z zadumą powiedział ojciec Brown. – A jakie było pańskie pytanie?

– Już pan dobrze wiesz, jakie, i wiesz pan, że pana załatwiło na cacy. Gdzie jest ten mężczyzna z szalikiem? Kto go widział? Ktoś o nim słyszał albo o nim rozmawiał poza tym pańskim zakichanym kłamcą? Jeśli chce nas pan przekonać, musi go pan znaleźć. O ile w ogóle istnieje, to może się ukrywać na Hebrydach albo płynie do Callao. Ale musisz go pan nam pokazać, chociaż wiem, że nikt taki nie istnieje. No dalej! Gdzie on jest?

– W sumie to sędzę, że tam – odpowiedział ojciec Brown, zerkając w stronę fal, które kłębiły się wokół żelaznych

dźwigarów molo, gdzie dwie postaci, detektywa i starego kaznodziei, czerniły się na tle zielonego połysku wody. – To znaczy w tej jakby sieci, która zarzucona jest do morza.

Inspektor Grinstead z niejakim zaskoczeniem uniósł rękę z latarką i poświecił w dół plaży.

– Chce ojciec powiedzieć – zawołał – że ciało mordercy jest w sieci tego staruszka?

Ojciec Brown, schodząc po ubitym zboczach, kiwnął głową. W tym czasie Muggleton odwrócił się i zaczął wspinać na tę samą wydmy, a cała jego postać wyrażała zdumienie.

– To wszystko prawda – wysapał. – Morderca faktycznie próbował przepłynąć na brzeg i utonął, nic dziwnego przy tej pogodzie. Albo inaczej, można uznać, że popełnił samobójstwo. Tak czy inaczej, ciało wpadło w sieć Starego Brimstone'a, i to właśnie miał na myśli ten stary wariat, mówiąc, że poławia martwych.

Inspektor zbiegł po zboczach ze zręcznością, która zaskoczyła ich wszystkich, i słychać było, jak wykrzykuje rozkazy. W kilka chwil rybacy i paru przechodniów w towarzystwie policjantów wciągnęli sieć na brzeg i wraz z zawartością przeturlali ją na mokry piasek, gdzie wciąż sięgały promienie zachodzącego słońca. Sekretarz spojrzał na to, co spoczywało na plaży, i słowa zamarły mu na ustach. Spoczywało bowiem na niej ciało ogromnego człowieka w łachmanach, z wielkimi, nieco zaokrąglonymi ramionami i kościstą, orlą twarzą. Długi, czerwony, obszarpany wełniany szal ciągnął się na piasku jak wielka smuga krwi. Jednak Taylor nie patrzył na krwawy szalik ani na imponujący wzrost, lecz na twarz, a na jego własnej twarzy walczyły o lepsze niedowierzanie i nieufność.

Inspektor niezwłocznie, z nową uprzejmością, odwrócił się do Muggletona.

– To z całą pewnością potwierdza pańską historię – powiedział.

Zaś Muggleton, póki nie usłyszał tonu tej wypowiedzi, nie wiedział nawet, że praktycznie nikt w tę historię nie wierzył.

Nikt nie wierzył jemu. Nikt z wyjątkiem ojca Browna.

Dlatego właśnie, widząc, że ojciec Brown odłącza się od grupy, ruszył, by odejść wraz z nim, ale nawet wówczas było dla niego niejakim zaskoczeniem, że ksiądz znowu dał się porwać atrakcjom zabawnych automatów. Zobaczył, jak wielebny dżentelmen grzebie w kieszeniach w poszukiwaniu jednopensówki. Jednakże zamarł z monetą między kciukiem a palcem wskazującym, gdy sekretarz po raz ostatni odezwał się tym swoim hałaśliwym, irytującym głosem:

– Przypuszczam również, że możemy dodać – powiedział – iż to odrażające i kretyńskie oskarżenie wobec mnie również uznajemy za niebyłe.

– Mój drogi panie – odparł ksiądz – nigdy pana o nic nie oskarżyłem. Nie jestem takim durniem, żeby przypuszczać, że zamordował pan w Yorkshire swojego pracodawcę, a potem przyjechał tutaj, żeby wygłupiać się z jego bagażami. Powiedziałem jedynie, że mógłbym wmieszać pana w gorszą sprawę niż ta, w którą z takim zapałem próbował pan wmieszać nieszczęsnego pana Muggletona. Niemniej jednak, jeżeli faktycznie chce się pan dowiedzieć prawdy o jego interesach (a zapewniam pana, że nie została jeszcze ujawniona), to mogę dać panu wskazówkę wiążącą się z pańskimi własnymi poczynaniami. To raczej dziwna i znacząca kwestia, że nie wiadomo, co pan Bruce, milioner, porabiał przez całe tygodnie przed tym, jak został zabity. Jako że wydaje się pan obiecującym detektywem amatorem sugeruję, żeby rozpracował pan ten wątek.

– Co ma ksiądz na myśli? – ostro zapytał Taylor.

Ale ojciec Brown nie udzielił mu żadnej odpowiedzi, ponieważ znowu całkowicie go pochłoneło manewrowanie małą dźwignią maszyny, która sprawiała, że lalki skakały jedna za drugą.

– Ojciec Brown – powiedział Muggleton, w którym z lekka odżyło wcześniejsze poirytowanie. – Powie mi ojciec, dlaczego tak się ojcu podoba ta głupia maszyna?

– Z jednego powodu – odpowiedział ksiądz, zerkając na

przedstawienie kukiełkowe za szkłem. – Ponieważ zawiera tajemnicę tej tragedii.

Potem nagle się wyprostował i z powagą popatrzył na swojego towarzysza.

– Od samego początku wiedziałem – powiedział – że mówi pan prawdę i przeciwieństwo prawdy.

Po usłyszeniu tej łamigłówki Muggleton tylko lekko wytrzeszczył oczy.

– To w sumie proste – dodał ksiądz, ścisząc głos. – To ciało z czerwonym szalem należy do Grahama Bruce’a, milionera. Żadnego innego nie będzie.

– Ale dwóch ludzi... – zaczął Muggleton, a potem szczeka mu opadła.

– Pański opis dwóch mężczyzn był wspaniale wyrazisty – powiedział ojciec Brown. – Zapewniam pana, że o nim nie zapomnę. Jeśli mogę tak powiedzieć, ma pan talent literacki – być może praca dziennikarza dałaby panu więcej satysfakcji niż obecne zajęcie. Wierzę, że zapamiętał pan praktycznie każdy szczegół dotyczący tych postaci. Tylko – rozumie pan – co dziwne, każdy szczegół panu mówił jedną rzecz, a mnie dokładnie przeciwną. Zaczniemy od pierwszego, o którym pan wspominał. Powiedział pan, że ten pierwszy człowiek, którego pan zobaczył, roztaczał trudną do opisanego aurę władzy i godności. I powiedział pan sam do siebie: „Oto magnat handlowy, wielki książę kupiectwa, władca rynków”. Ale gdy ja usłyszałem o tej aurze władzy i godności, powiedziałem sobie: „Oto jest aktor, wszystko to gra aktorska”. Takiego wyglądu nie zyskuje się, będąc prezesem the Chain Store Amalgamation Company. Taki wygląd zyskuje się, będąc duchem ojca Hamleta czy Juliuszem Cezarem, czy Królem Lirem, i nigdy do końca się go nie zatracą. Nie widział pan jego ubrania w całości i nie może powiedzieć, czy naprawdę było obszarpane, ale dostrzegł pan skrawek futra i dobry krój, a ja znowu pomyślałem sobie: „aktor”.

Następnie, zanim zagłębimy się w szczegóły dotyczące tego

drugiego człowieka, proszę zwrócić uwagę na jedną rzecz, której ewidentnie nie da się powiedzieć o tym pierwszym. Powiedział pan, że ten drugi był nie tylko obszarpany, lecz także nieogolony, niemal brodaty. Wszyscy widywaliśmy aktorów obszarpanych, aktorów brudnych, aktorów pijanych, aktorów mających złą reputację. Ale rzadko widuje się, żeby aktor, który ma pracę, czy choćby jej szuka, był wyraźnie nieogolony. Z drugiej strony dżentelmeni czy bogaci ekscentrycy, którzy stoczyli się na dno, często przede wszystkim przestają się golić. Mamy wszelkie powody by wierzyć, że pański przyjaciel milioner naprawdę się staczał. Jego list był listem człowieka, który już się stoczył. Lecz to nie tylko zaniedbanie nadało mu ten biedny i obszarpany wygląd. Nie rozumie pan, że ten człowiek praktycznie się ukrywał? Dlatego właśnie nie poszedł do swojego hotelu, a jego własny sekretarz nie widział go od tygodni. Był milionerem, ale jego celem było skutecznie to ukryć. Czytał pan kiedyś *Kobietę w bieli*? Pamięta pan, że modny i szykowny hrabia Fosco, który uciekał przed tajnym stowarzyszeniem, by uratować życie, został znaleziony ugodzony nożem w niebieskiej bluzie zwykłego, francuskiego robotnika? Wróćmy teraz na chwilę do zachowania tych ludzi. Zobaczył pan tego pierwszego mężczyznę, spokojnego i opanowanego, i pomyślał pan sobie: „oto niewinna ofiara”, choć list od tej niewinnej ofiary wcale nie był spokojny i opanowany. Usłyszałem, że był spokojny i opanowany i powiedziałem sobie: „to jest morderca”. Dlaczego nie miałyby być spokojny i opanowany? Wiedział, co robi. Już dawno się na to zdecydował. Jeżeli miał chwilę zawahania czy poczucia winy, to zanim przybył w to miejsce – w tym przypadku możemy powiedzieć, że na scenę – pozbył się ich. Na pewno nie miał jakiejś szczególnej tremy. Nie wyciągnął pistoletu i nim nie wymachiwał, bo i po co? Trzymał go w kieszeni, póki go nie potrzebował – bardzo możliwe, że wypalił, nawet go z niej nie wyjmując. Ten drugi wymachiwał pistoletem, ponieważ był nerwowo jak kot i przypuszczalnie nigdy wcześniej nie używał

pistoletu. Zrobił to z tego samego powodu, z którego rozglądał się na wszystkie strony. Zapamiętałem to, bo nawet w swojej opowieści podkreślał pan nieświadomie, że to robił. W gruncie rzeczy oglądał się za siebie. Nie ścigał bowiem, tylko był ścigany. Ale ponieważ tak się zdarzyło, że zobaczył pan jako pierwszego tego drugiego człowieka, to odruchowo uznał pan, że tamten przyszedł za nim. Zgodnie ze zwykłą matematyką i mechaniką jeden biegł za drugim – tak jak pozostali.

– Jacy pozostali? – zdziwił się detektyw.

– No przecież ci – wykrzyknął ojciec Brown, stukając automat małą, drewnianą łopatką, którą wciąż bezsensownie trzymał w dłoni podczas tych morderczych spraw. – Te małe mechaniczne lalki, które bez końca ścigają się po okręgu. Nazwijmy je panem Blue i panem Redem. Tak się złożyło, że wystartowałem od pana Blue, i dlatego dzieci powiedziały, że pan Red biegł za nim, ale byłoby zupełnie odwrotnie, gdybym wystartował panem Redem.

– Tak, zaczynam rozumieć – powiedział Muggleton – i reszta pewnie też pasuje. To rodzinne podobieństwo oczywiście to rzecz obosieczna i nikt nie widział, żeby morderca schodził z molo...

– W ogóle nie rozglądali się za mordercą – odparł ksiądz. – Nikt im nie powiedział, że mają wyglądać spokojnego, gładko ogolonego dżentelmena w płaszczu z runa jagniąt astrachańskich. Cała ta tajemnica związana z jego zniknięciem opierała się na pańskim opisie przygarbionego człowieka w czerwonym szaliku. Ale prosta prawda była taka, że aktor w eleganckim płaszczu zamordował milionera w czerwonej szmacie, i oto mamy ciało tego biedaka. To jak te czerwone i niebieskie lalki, ale przez to, że zobaczył je pan w określonej kolejności, założył pan, że czerwona jest mścicielem, a niebieska ofiarą.

W tej chwili dwoje czy troje dzieci zaczęło wyłazić na piasek, a ksiądz pomachał na nie drewnianą łopatką, teatralnie poklepując automat. Muggleton domyślił się, że było to po to,

aby oszczędzić im koszmarnego widoku zwłok na brzegu.

– Został nam już tylko jeden pens – powiedział ojciec Brown – a potem musimy wracać do domu na herbatę. Wiesz, bardziej podobają mi się te gry w wyścigi niż te, gdzie po prostu kręcisz się w kółko. Choć mimo wszystko Bóg tak stworzył wszystkie słońca i gwiazdy, że kręcą się w kółko. Ale te inne gry, gdzie jeden musi złapać drugiego, gdzie biegacze są rywalami, biegną łeb w łeb i próbują się wyprzedzać... Cóż – zdarzają się znacznie gorsze rzeczy. Lubię myśleć, że pan Red i pan Blue skaczą zawsze z niesłabnącym zapałem, wolni i równi, i nigdy nie robią sobie krzywdy. „Kochanku, nigdy-ć słodko nie oddźwiękną”. Szczęsny, szczęsny pan Red! On się nie zmieni, choć szczęścia ci nie da, Tobie wciąż skakać; a on wiecznym Blue.^[35]

Z uczuciem recytując te znaczące frazy Keatsa, ojciec Brown wsadził sobie łopatkę pod pachę, ujął za rękę jedno czy dwoje dzieci i stanowczo pomaszerował w górę plaży na herbatę.

^[31] *Muggle* – (ang.) laik, amator.

^[32] Muggletonianizm – mały ruch w kościele protestanckim, nazwany od nazwiska Ludwika Muggletona, który rozpoczął się w 1651 r. w Londynie za sprawą dwóch krawców, którzy ogłosili, że są ostatnimi prorokami zapowiedzianymi w biblijnej Księdze Objawień. Podstawową zasadą było przekonanie, że Bóg nie interesuje się ziemią i ludzkimi poczynaniami, póki nie zdecyduje o końcu świata. Wyznawcy unikali wszelkich form modlitwy i oddawania czci, spotykali się tylko w celu prowadzenia dyskusji i życia towarzyskiego. Był to ruch egalitarny, apolityczny i pacyfistyczny. Zaniął w połowie XIX wieku.

^[33] *post hoc, ergo propter hoc* – (łac. „po tym, a więc wskutek tego”) wyciąganie nieuzasadnionych wniosków z następstwa zjawisk w czasie, wnioskowanie polegające na tym, że zjawisko poprzedzające przyjmowane jest automatycznie za przyczynę innego zjawiska bezpośrednio po nim następującego.

^[34] *Nisi me constringeret ecclesiae auctoritas* – faktycznie: *Ego vero Evangelio non crederem, nisi me Catholicae Ecclesiae commoveret auctoritas* – (łac.) „Nie uwierzę w Ewangelię, póki władze kościoła katolickiego nie nakażą mi uwierzyć”; są to słowa św. Augustyna (Contra Ep. Fund., V, 6).

^[35] Parafraza *Ody do greckiej urny* Johna Keatsa: Ona nie zwiędnie, choć szczęścia ci nie da / Tobie — wciąż kochać, jej — wiecznie być piękną! (tłum. Zenon Przesmycki).

ZBRODNIA KOMUNISTY

Spod nisko sklepionego łuku w stylu Tudorów w pokrytej patyną czasu fasadzie Mandeville College wyszło trzech ludzi. Stanęli w silnym świetle letniego wieczoru, który wydawał się nie mieć końca, a w świetle tym dostrzegli coś – i był to dla nich prawdziwy szok.

Zanim w ogóle uświadomili sobie, że doszło do jakiejś katastrofy, zauważyli pewien kontrast. Oni sami w ciekawy, cichy sposób, byli zharmonizowani z otoczeniem. Chociaż tudorowskie łuki, które jak klasztorny krużganek otaczały ogrody college'u, zostały wybudowane czterysta lat temu, w chwili gdy z niebios spadł gotyk i wzniósł się, czy wręcz wystrzelił, nad kameralnymi komnatami Humanizmu i Odrodzenia Nauczania – choć przyodzianych we współczesne szaty (czyli w szaty tak paskudne, że zadziwiłoby to każde z tych czterech stuleci), to coś z ducha tego miejsca czyniło ich jednością. Ogrody były utrzymane z ogromną starannością, by osiągnąć efekt dzikości, same kwiaty wydawały się piękne przez przypadek jak eleganckie chwasty, a współczesne stroje były przynajmniej na tyle nieporządne, by wyglądać malowniczo. Pierwszy z mężczyzn, wysoki, łysy, tyczkowaty, wyglądał swojsko w birecie i todze – toga zsunęła mu się z jednego

z ostrych ramion. Drugi miał bardzo szerokie barki, był niski i nabity, z wesołym uśmiechem na twarzy, ubrany w zwyczajną marynarkę, z togą przewieszoną przez ramię. Trzeci był jeszcze niższy i znacznie bardziej obszarpany, w czarnym, księżym ubraniu. Wszyscy jednak wydawali się pasować do Mandeville College i do tej trudnej do opisanego atmosfery dwóch starych i wyjątkowych angielskich uniwersytetów. Pasowali do niej i rozpływali się w niej, co uważane jest za bardzo stosowne.

Przy małym stoliku na krzesłach ogrodowych usiadło dwóch mężczyzn, stanowiąc swego rodzaju wyraźną plamę na tle tego szarzielonego krajobrazu. Ubrani byli przede wszystkim na czarno, a jednak lśnili od stóp do głów, od wypolerowanych cylindrów po perfekcyjnie wyglansowane buty. Można było poczuć niejasne oburzenie, że ktokolwiek w dobrze wychowanej wolności Mandeville College był równie doskonale ubrany. Jedynym usprawiedliwieniem było to, że byli obcokrajowcami. Pierwszym z nich był amerykański milioner, niejaki Hake, ubrany w nieskazitelny styl wskazującym na bogatego dżentelmena z Nowego Jorku. Drugim, który dodatkowo miał na sobie olśniewający płaszcz z wełny jagniąt astrachańskich (nie mówiąc już o parze bujnych bokobrodów), był ogromnie majątny niemiecki hrabia, którego nazwisko można było skrócić do Von Zimmern. Znaleźli się tam z powodu, który często tłumaczy spotkanie niepasujących rzeczy: zaproponowali college'owi pieniądze. Przyjechali w sprawie planu popieranego przez finansistów i magnatów przemysłowych z wielu krajów, by w Mandeville College ufundować nową Katedrę Ekonomii. Obejrzeli college z niezmordowaną skrupulatnością, do której ze wszystkich ludzi zdolni są wyłącznie Amerykanie i Niemcy. Teraz zaś wypoczywali po wysiłku i rozglądali się poważnie po ogrodach uczelni. Jak dotąd wszystko szło dobrze.

Trzej pozostali, którzy już zdążyli się z nimi spotkać, minęli ich z nieznacznym ukłonem, jednak jeden z nich się zatrzymał – ten najniższy, w księżym stroju.

– Mówię wam – powiedział z miną przestraszonego królika – że

oni mi się nie podobają.

– Dobry Boże! A komu się podobają? – wykrzyknął ten wysoki, który, tak się składało, był rektorem Mandeville. – My przynajmniej mamy tu bogatych ludzi, którzy nie wyglądają jak manekiny krawieckie.

– Owszem – syknął mały duchowny. – To właśnie mam na myśli. Jak manekiny krawieckie.

– Zaraz, co ojciec chce przez to powiedzieć? – spytał ostro ten średni wzrostem.

– Chcę przez to powiedzieć, że wyglądają jak jakieś koszmarne figury woskowe – słabym głosem odparł ksiądz. – Nie ruszają się. Dlaczego się nie ruszają?

Nagle poderwał się, przebiegł przez ogród i dotknął łokcia niemieckiego arystokraty. Hrabia upadł razem z krzesłem, a obleczone w spodnie nogi sterczały w powietrzu równie sztywno, jak nogi krzesła.

Pan Gideon P. Hake nadal wpatrywał się szklistym wzrokiem w ogrody, lecz podobieństwo do figury woskowej potęgowało wrażenie, że oczy miał jak zrobione ze szkła. Ciepłe światło zachodzącego słońca i pełen kolorów ogród w jakiś sposób wzmacniały odczucie, że mają do czynienia ze sztywnymi lalkami, marionetkami na włoskiej scenie. Mały człowieczek w czerni, który był księdzem i nazywał się Brown, łagodnie dotknął ramienia milionera, a ten opadł na bok, ale okropnie, całym sobą, jakby był wystrugany z drewna.

– *Rigor mortis*^[36] – orzekł ojciec Brown. – I to szybko. Ale to bardzo dziwne.

Powód, dla którego pierwszych trzech ludzi dołączyło do tych dwóch tak późno (żeby nie powiedzieć zbyt późno) najłatwiej zrozumieć będzie, kiedy dowiemy się, co się wydarzyło wewnątrz budynku za tudorowskim łukiem, niedługo przed tym, jak spod niego wyszli. Wszyscy spożyli kolację w Hall, przy Wysokim Stole, ale dwóch zagranicznych filantropów, czując się w obowiązku, by obejrzeć absolutnie wszystko, uroczyście wróciło do kaplicy, w której nie zbadali jednego krużganka

i klatki schodowej. Obiecali, że dołączą do reszty w ogrodzie, by równie dokładnie zbadać cygara college'u. Pozostali, w duchu bardziej szacownym i stosownym, zgromadzili się jak zwykle przy długim wąskim dębowym stole, wokół którego po kolacji krążyło wino, co było znanym zwyczajem od czasów założenia uczelni w wiekach średnich przez sir Johna Mandeville'a, który to zwyczaj zachęcać miał do snucia opowieści. Rektor, z dużą jasną brodą i ledwie widocznymi brwiami, zasiadł u szczytu stołu, a ów przysadzisty mężczyzna w marynarce po jego lewej stronie, był on bowiem skarbnikiem tej instytucji. Obok niego, po tej samej stronie stołu, siedział dziwnie wyglądający człowiek o twarzy, którą nazwać można wyłącznie powykrzywianą. Kępki jego ciemnego zarostu tworzące wąsy oraz brwi, rosnące pod dziwnymi kątami, układały się w coś w rodzaju zygzaka, jakby połowę twarzy miał ściągniętą albo sparaliżowaną. Nazywał się Byles i był wykładowcą historii starożytnego Rzymu, a jego poglądy polityczne opierały się o Koriolana^[37], nie wspominając już o Tarkwiniuszu Pyszny^[38]. Ten zgryźliwy torys, wściekle reakcyjny wobec wszystkich aktualnych problemów, był całkiem znaną postacią pośród bardziej staroświeckich wykładowców, jednakże w przypadku Bylesa coś sugerowało, że był to raczej rezultat niż przyczyna jego zgorzknienia. Niejeden bystry obserwator odniósł wrażenie, że z Bylesem jest naprawdę źle, że przez jakąś tajemnicę czy wielkie niepowodzenie pełen jest goryczy, jakby ta na poły uschnięta twarz naprawdę została jak drzewo rażona piorunem. Za nim siedział ojciec Brown, a na końcu stołu profesor chemii, duży jasnowłosy i bezbarwny, z oczami zaspanymi, a jednocześnie z nieco przebiegłym spojrzeniem. Dobrze było wiadomo, że ten filozof naturalny postrzegał innych filozofów, wywodzących się z bardziej klasycznej tradycji, mniej więcej tak jak starych logików. Po drugiej stronie stołu, naprzeciwko ojca Browna, zasiadał bardzo smagły i milczący młody człowiek z czarną szpiczastą brodą, obecny, gdyż ktoś nalegał na powstanie katedry Persji. Naprzeciw ponurego

Bylesa był wyglądający na bardzo łagodnego Chaplain z jajowatą głową. Z kolei naprzeciwko skarbnika i po prawej ręce rektora stało puste krzesło i wielu było zadowolonych z tego stanu.

– Nie wiem, czy Craken przyjdzie – powiedział rektor, rzucając na puste krzesło nerwowe spojrzenie, które kontrastowało ze zwykłą ociężałą swobodą jego zachowania. – Wierzę w dawanie ludziom dużej wolności postępowania, muszę jednak wyznać, że doszedłem do punktu, w którym cieszę się, widząc, że tu jest, tylko dlatego że wówczas nie ma go gdzie indziej.

– Nigdy nie wiadomo, co znowu wymyśli – powiedział wesoło skarbnik – zwłaszcza gdy poucza młodych.

– Błyskotliwy gość, ale rzeczywiście temperamentny – przyznał rektor, nagle znów powściągliwy.

– Fajerwerki są błyskotliwe i tak samo ogniste – warknął stary Byles – ale nie chcę spłonąć we własnym łóżku, żeby Craken mógł zostać nowym Guyem Fawkesem^[39].

– Naprawdę pan uważa, że walczyłby fizycznie po stronie rewolucji, gdyby do niej doszło? – z uśmiechem zapytał skarbnik.

– Cóż, on tak uważa – ostro odparł Byles. – Przedwczoraj przed salą pełną studentów powiedział, że nic już nie powstrzyma wojny klas przed obróceniem się w prawdziwą wojnę z zabijaniem na ulicach miasta, i że nie ma to znaczenia, póki nie zwycięży komunizm i klasa robotnicza.

– Wojna klas – zadumał się rektor z lekkim niesmakiem. Dawno temu znał Williama Morrisa^[40] i przyjaźnił się z bardziej artystycznymi i leniwymi socjalistami. – Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, o co chodzi w całej tej walce klas. Gdy byłem młody, socjalizm oznaczał, że nie ma żadnych klas.

– Kolejny sposób na powiedzenie, że socjaliści nie mają żadnej klasy – z kwaśną przyjemnością powiedział Byles.

– Oczywiście będzie się pan mu sprzeciwiał bardziej niż ja – z namysłem powiedział rektor – ale przypuszczam, że mój socjalizm jest równie staroświecki jak pański toryzm.

Ciekawym, co naprawdę myślą nasi młodzi przyjaciele. Co pan myśli, Baker? – zwrócił się znienacka do skarbnika po swojej lewej.

– Och, ja nie myślę, jak mówi to wulgarnie powiedzonko – ze śmiechem odparł Bursar. – Musi pan pamiętać, że jestem bardzo wulgarnym człowiekiem. Nie jestem myślicielem. Jestem jedynie człowiekiem interesu, a jako taki uważam, że to wszystko brednie. Nie można sprawić, by ludzie byli równi, i to cholernie zły interes, żeby im po równo płacić, zwłaszcza że większość z nich nie jest warta tego, żeby w ogóle im płacić. Jak by nie było, należy brać pod uwagę względy praktyczne, bo to jedyny sposób. To nie nasza wina, że natura tak to pokrętnie urządziła.

– Tu się z panem zgadzam – odezwał się profesor chemii, sepleniąc nieco, co w przypadku tak wielkiego mężczyzny sprawiało dziecinne wrażenie. – Komunizm udaje, że jest taki nowoczesny, ale nie jest. To powrót do przesądów małych i plemion prymitywnych. Naukowy rząd, z prawdziwie etycznym poczuciem odpowiedzialności za przyszłe pokolenia, zawsze będzie szukał nadziei i postępu; nie wepchnie ich z powrotem na poziom błota. Socjalizm to sentymentalizm, a to bardziej niebezpieczne niż zaraza, bo w przypadku zarazy ocaleją przynajmniej najsilniejsi.

Rektor uśmiechnął się z lekkim smutkiem.

– Sami wiecie, że nigdy do końca się nie zgodzimy. „Niewielkie różnice, pomijając opinie”. Czyż nie jest to motto uniwersytetu? By mieć setki opinii i nie być upartym. Jeśli komuś zdarzy się tutaj polec, to przez to, kim jest, a nie przez to, co sądzi. Być może jestem reliktem osiemnastego wieku, ale mam słabość do pewnej starej, sentymentalnej herezji: „O formy wiary niech walczą fanatycy; nie może się mylić ten, który żyje dobrze^[41]”. Ojciec Brown, co ojciec o tym sądzi?

Nieco szelmowsko zerknął na księdza i poczuł łagodne zaskoczenie, ponieważ uważał go za bardzo wesołego, życzliwego i łatwego we współżyciu, a jego okrągła twarz niemal

zawsze miała pogodny wyraz. Z jakiegoś jednak powodu w tym momencie twarz księdza była ściągnięta w grymasie znacznie bardziej ponurym, niż kiedykolwiek zdarzyło się widzieć jego towarzyszom. W tej chwili jego pospolite rysy wyglądały bardziej posępnie i złowrogo niż wynędzniała twarz Bylesa. Zaraz potem wydawało się, jakby ta chmura przeszła, ale ojciec Brown nadal mówił z niejaką powagą i stanowczością.

– Ja w to nie wierzę – odparł krótko. – Jak życie może być dobre, jeśli cały życiowy pogląd jest zły? To jest współczesny bełkot, który podniósł się, bo ludzie nie wiedzą, jak bardzo mogą się różnić poglądy na życie. Baptyści i metodyści wiedzą, że nie różnią się znacząco co do moralności, ale nie różnią się nawet szczególnie w kwestiach religii czy filozofii. Już inaczej jest, jeśli przejść od baptystów do anabaptystów albo od teozofistów^[42] do thugów^[43]. Herezja zawsze wpływa na moralność, o ile jest wystarczająco heretycka. Przypuszczam, że człowiek może szczerze wierzyć, że kradzież nie jest niczym złym. Ale co dobrego przyjdzie z głoszenia, że szczerze wierzy w nieszczerłość?

– Diabło dobre – oświadczył Byles z dzikim grymasem, który przez wielu uznawany był za przyjazny uśmiech. – I właśnie dlatego sprzeciwiam się założeniu w tym college’u katedry złodziejstwa teoretycznego.

– Rzeczywiście jest ojciec bardzo cięty na komunizm – z westchnieniem powiedział rektor. – Ale czy naprawdę ojciec sądzi, że jest to tego warte? Czy którakolwiek z ojca herezji jest wystarczająco duża, żeby stanowić zagrożenie?

– Sądzę, że rozrosły się na tyle – ponuro odpowiedział ojciec Brown – że w pewnych kręgach traktowane są jako pewnik. Oczywiście to nieświadome. To znaczy pozbawione rozsądku.

– A jego koniec – wtrącił się Byles – będzie końcem naszego stulecia.

– Ten koniec będzie czymś gorszym – odparł ojciec Brown.

Na pokrytej boazerią ścianie naprzeciwko gwałtownie położył się cień, a za nim pojawiła się postać, która go rzuciła: wysoka,

acz przygarbiona, o profilu jakby drapieżnego ptaka, podkreślonym tym bardziej, że jej nagłe pojawienie się i płynne przejście przypominały ruch ptaka, który poderwał się do lotu. Była to postać należąca do mężczyzny o długich kończynach i wysokich ramionach, z długimi zwisającymi wąsami, którego znali wszyscy. Jednakże coś w półmroku i świetle świec, i tym lotnym, przemykającym cieniu dziwnie połączyło się z nieświadomymi, złowróżbnymi słowami księdza – omenem dla całego świata, jeśli te słowa faktycznie były prorocze. Być może pan Byles mógłby dać wykład odnośnie do takiego rzymskiego proroctwa, a szczególnie tego ptaka niosącego złą wróżbę.

Ów wysoki mężczyzna przemknął pod ścianą jak własny cień i opadł na wolne krzesło po prawej ręce rektora, po czym mrocznymi i nieprzenikniętymi oczami popatrzył na skarbnika. Jego długawe włosy i obwisłe wąsy były dość jasne, lecz oczy miał osadzone tak głęboko, że mogłyby być czarne. Wszyscy wiedzieli, albo mogli się domyślić, kim był nowoprzybyły, jednak pewien incydent natychmiast rozjaśnił sytuację. Profesor historii Rzymu podniósł się sztywno i wyszedł z pomieszczenia, bez finezji zaznaczając swoje odczucia co do zasiadania przy jednym stole z profesorem kradzieży teoretycznej, inaczej komunistą, panem Crakenem.

Rektor Mandeville rozładował tę niezręczną sytuację z nerwowym wdziękiem.

– Mój drogi Crakenie, właśnie broniłem pana, czy też pewnych pańskich teorii – powiedział, uśmiechając się – choć pewien jestem, że uzna mnie pan za kiepskiego obrońcę. Mimo wszystko nie mogę zapomnieć, że przyjaciele socjaliści z czasów mojej młodości mieli bardzo wzniosłe ideały braterstwa i koleżeństwa. William Morris ujął je w jednym zdaniu: „Przyjaźń jest rajem; brak przyjaźni piekłem”.

– Wykładowcy jako demokraci; patrz nagłówek – raczej kłótniwie odpowiedział pan Craken. – Czy Zatwardziały Hake nową katedrę handlu nazwie imieniem Williama Morrisa?

– Cóż – odpowiedział rektor, wciąż okazując desperacką

pogodę – mam nadzieję, że możemy powiedzieć, że w jakimś sensie wszystkie nasze katedry są katedrami przyjaźni.

– Tak, to akademicka wersja maksymy Morrisa – warknął Craken. – „Przyjaźń jest rajem; brak przyjaźni piekłem”.

– Craken, niech się pan tak nie ciska – szybko zareagował skarbnik. – Napij się porto. Tenby, niech pan poda panu Crakenowi porto.

– Niech będzie, wypiję kieliszek – powiedział profesor komunista trochę bardziej ugodowo. – W zasadzie przyszedłem, żeby sobie zapalić w ogrodzie. Potem wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, jak kwitną tam ci wasi cenni milionerzy. Świeże, niewinne pączki. Może mimo wszystko warto, bym z nimi trochę porozmawiał.

Rektor wstał, osłaniając się resztkami swojej konwencjonalnej serdeczności, i był bardziej niż zadowolony, pozwalając, by to skarbnik poradził sobie z tym dzikusiem. Pozostali również się podnieśli i grupki zaczęły się rozpadać. Wreszcie skarbnik i pan Craken zostali sami przy końcu długiego stołu. Tylko ojciec Brown siedział nadal na krześle, z dość ponurą miną wpatrując się w pustkę.

– Och, a co do tego – powiedział skarbnik – prawdę mówiąc, sam już jestem nimi zmęczony. Spędziłem z nimi cały dzień, zagłębiając się w fakty, założenia i działanie tej nowej katedry. Ale proszę posłuchać, Craken – pochylił się nad stołem, by przemówić ze swojego rodzaju łagodnym naciskiem – naprawdę nie musi pan się tak rzucać o ten nowy wydział. Nie ma dużo wspólnego z pańskim tematem. Jest pan w Mandeville jedynym profesorem ekonomii politycznej i – choć nie udaję, że zgadzam się z pańskimi poglądami – wszyscy wiedzą, że cieszy się pan uznaniem w Europie. Tu chodzi o szczególny temat, który nazywają ekonomią stosowaną. Cóż, jak panu mówiłem, nawet obecnie mamy całą masę ekonomii stosowanych. Innymi słowy, musiałem omówić interesy z dwoma ludźmi interesu. Chciałby pan to robić? Zazdrości pan tego? Podołałby pan? Czy to nie dowód, że to osobny temat i tym samym może być osobną

katedrą?

– Dobry Boże – wykrzyknął Craken z żarliwością ateisty. – Sądzi pan, że nie chcę stosować ekonomii? Tylko że kiedy ją stosujemy, nazywa się ją czerwoną ruiną i anarchią, a skoro się ją stosuje, uważam, że mam prawo nazywać ją wykorzystywaniem. Gdybyście tylko wy, panowie, stosowali ekonomię, to możliwe, że ludzie mieliby co jeść. My jesteśmy ludźmi praktycznymi i właśnie dlatego się nas obawiacie. Właśnie dlatego, by założyć nową katedrę, potrzebujecie tych dwóch oślizgłych kapitalistów – tylko dlatego że wypuściłem kota z worka.

– To raczej dziki kot, prawda? – z uśmiechem zauważył skarbnik.

– A pan próbuje wsadzić go na powrót do worka ze złotem – odparł Craken.

– Cóż, przypuszczam, że w tej kwestii nigdy nie dojdziemy do porozumienia – stwierdził skarbnik. – Ale panowie właśnie wyszli z kaplicy do ogrodu. Jeżeli chce pan tam zapalić, to radzę się pospieszyć.

Z niejakim rozbawieniem obserwował, jak jego towarzysz klepie wszystkie kieszenie, aż znalazł fajkę, a następnie popatrzył na nią jakby ze zdziwieniem, przy czym wstał i wyglądało na to, że znowu był sobą. Skarbnik Baker zakończył tę kontrowersję szczęśliwym śmiechem pojednania.

– Jesteście praktycznymi ludźmi i wysadzicie to miasto w powietrze. Tyle że pewnie zapomnicie zabrać dynamit, tak jak założę się, że pan zapomniał o tytoniu. Proszę poczęstować się moim. Zapałki? – pchnął kapciuch i pozostałe akcesoria po blacie stołu. Pan Craken pochwycił je ze zręcznością gracza w krykieta, nawet jeśli wygłaszał opinie nieprzystające do tej gry. Obaj mężczyźni się podnieśli, Baker jednak nie mógł się powstrzymać od uwagi:

– Czy w istocie tylko wy jesteście ludźmi praktycznymi? Czy o ekonomii stosowanej nie można powiedzieć, że pamięta, by zabrać kapciuch i fajkę?

Craken spojrział na niego płonąącym wzrokiem.

– Powiedzmy, że to inny rodzaj praktyczności – powiedział wreszcie, gdy dopił wino. – Przyznaję, że zapominam o drobiazgach. Chciałbym choć, aby zrozumiał pan, że – automatycznie zwrócił kapciuch, jednak spojrzenie miał nieobecne, a oczy pełne ognia, prawie straszne – ponieważ wewnątrz naszego intelektu się zmienia, gdyż naprawdę mamy nową ideę dotyczącą tego, co jest właściwe, będziemy robić rzeczy, które uważacie za naprawdę złe. I będą to rzeczy ogromnie praktyczne.

– Tak – odezwał się ojciec Brown, nagle budząc się ze swojego transu. – Dokładnie to powiedziałem.

Spojrzął na Crakena z zimnym i cokolwiek upiornym uśmiechem.

– Pan Craken i ja w zupełności się zgadzamy – powiedział.

– Cóż – mruknął Baker – Craken idzie zapalić fajkę z tymi plutokratami. Wątpię jednak, że będzie to fajka pokoju.

Odwrócił się dość gwałtownie i wezwał wiekowego kelnera. Mandeville był ostatnim z bardzo staroświeckich college'ów – tak jak Craken był pierwszym komunistą wyprzedzającym dzisiejszy bolszewizm.

– To mi przypomina – mówił skarbnik – że skoro nie przekaże pan fajki pokoju, to musimy naszym szanownym gościom posłać na dwór cygara. Jeśli są palaczami, to muszą tęsknić za paleniem, w końcu węszyli po kaplicy od obiadu.

Craken wybuchnął dzikim i zgrzytliwym śmiechem.

– Och, zaniosę im te cygara – powiedział. – Jestem tylko proletariuszem.

Baker, Brown i kelner byli świadkami, jak komunista z wściekłością pognął do ogrodu, by skonfrontować się z milionerami, jednak nikt ich nie widział ani nie słyszał do chwili, jak już zostało powiedziane, gdy ojciec Brown znalazł ich martwych na krzesłach.

Wszyscy się zgodzili, że ksiądz i rektor powinni zostać na straży tego miejsca tragedii, podczas gdy skarbnik, młodszy

i bardziej energiczny w ruchach, pobiegł sprowadzić lekarzy i policję. Ojciec Brown podszedł do stolika, gdzie jedno z cygar wypaliło się niemal do końca, został jedynie cal czy dwa. Drugie wypadło z dłoni zmarłego i gasnącymi iskierkami rozsypało się po bruku. Rektor usiadł, cokolwiek roztrzęsiony, na stosownie oddalonym krześle i ukrył twarz w dłoniach. Następnie uniósł wzrok, początkowo dosyć ociężale, potem jednak na jego twarzy pojawił się szok i spokój ogrodu został zakłócony słowem przypominającym eksplozję przerażenia.

Ojciec Brown posiadał pewną cechę, którą można by czasem nazwać mrozącą krew w żyłach. Zawsze myślał o tym, co robi, lecz nigdy o tym, co było zrobione. Robił najbardziej odrażające czy straszne rzeczy, rzeczy obrzydliwe czy brudne ze spokojem chirurga. W jego prostym umyśle była pewna ślepa plamka pokrywająca wszystkie rzeczy, które powszechnie łączą się z byciem przesadnym czy sentymentalnym. Usiadł na krześle, z którego spadło ciało, podniósł cygaro, które zmarły częściowo wypalił, starannie strzepnął popiół, obejrzał końcówkę, po czym wsadził je do ust i przypalił. Wyglądało to tak, jakby jakiś obsceniczny i groteskowy błazen naśmiewał się ze zmarłych – a jemu wydało się to najzwyczajszym zdrowym rozsądkiem. W górę uniosła się chmura dymu jakby z jakiejś barbarzyńskiej ofiary i bałwochwalstwa, ale ojciec Brown uznał za doskonale oczywiste, że jest to jedyny sposób, by się przekonać, jak to jest palić cygaro. Rektor Mandeville, choć przerażony, zdołał zadać swojemu staremu przyjacielowi słabe pytanie, czy nie sądzi, że akurat w tym przypadku może ryzykować życie.

– Nie, myślę, że wszystko jest w porządku – odpowiedział ksiądz, odkładając niedopałek. – Całkiem niezłe cygara. Pańskie cygara. Nie amerykańskie ani niemieckie. Nie wydaje mi się, żeby coś było z nimi nie w porządku. Lepiej jednak, żeby sprawdzili popiół. Ci ludzie zostali otruci czymś, co powoduje szybkie zeszywnienie ciała... Przy okazji, właśnie nadchodzi ktoś, kto wie o tym wszystkim więcej niż my.

Rektor wyprostował się gwałtownie. Wielki cień, który przeciął

ścieżkę, poprzedzał postać, która jakkolwiek ciężka, stąpała niemal tak miękko jak swój cień. Profesor Wadham, wybitny kierownik katedry chemii, pomimo swoich rozmiarów zawsze poruszał się niezwykle cicho, a w jego pojawieniu się w ogrodzie nie było nic dziwnego, choć zaskakujące było to, że pojawił się dokładnie w chwili, gdy wspomniano o chemii.

Profesor Wadham szczyił się swoim spokojem – niektórzy nazwaliby to niewrażliwością. Nawet nie uniósł brwi, stał tylko, patrząc na zwłoki, jakby z brakiem zainteresowania na swojej dużej żabiej twarzy. Dopiero gdy spojrział na popiół z cygar, który zabezpieczył ksiądz, dotknął go jednym palcem, a potem stanął chyba jeszcze bardziej nieruchomo. Wydawało się, że z głębi jego twarzy oczy wysunęły się teleskopowo jak jeden z jego własnych mikroskopów. Z całą pewnością coś sobie uświadomił albo coś rozpoznał, nic jednak nie powiedział.

– Pojęcia nie mam, od czego zacząć badanie tej sprawy – powiedział rektor.

– Ja zacznę – odparł ojciec Brown – od pytania, gdzie ci nieszczęśni ludzie przebywali przez większą część dzisiejszego dnia.

– Dosyć długo kręcili się po moim laboratorium – po raz pierwszy odezwał się Wadham. – Baker często wpada na pogawędkę, a tym razem przyprowadził tych dwóch swoich gości, żeby obejrzeeli sobie mój wydział. Ale sądzę, że byli wszędzie; prawdziwi turyści. Wiem, że poszli do kaplicy i nawet do tego tunelu pod kryptą, gdzie trzeba chodzić ze świecami, zamiast zjeść obiad jak rozsądni ludzie. Baker zabrał ich chyba wszędzie.

– A na pańskim wydziale interesowali się czymś szczególnym? – zapytał ksiądz. – Czym się pan wtedy zajmował?

Profesor chemii wymamrotał jakąś formułę zaczynającą się od „siarczan” i kończącą czymś, co zabrzmiało jak „silenium”, żaden z jego słuchaczy nie usłyszał wyraźnie. Potem odszedł ze znużeniem i zasiadł w słońcu na oddalonej ławce, zamykając oczy, ale unosząc dużą twarz z ociężałą cierpliwością.

W tej chwili, co stanowiło ostry kontrast, trawnik przecięła energiczna postać gnająca tak szybko i prosto jak pocisk. Ojciec Brown rozpoznał schludne, czarne ubranie i bystrą, psią twarz lekarza policyjnego, którego poznał w biedniejszych częściach miasta. Przyjechał jako pierwszy przedstawiciel sił porządkowych.

– Proszę posłuchać – powiedział rektor do księdza, zanim lekarz znalazł się w zasięgu słuchu. – Muszę coś wiedzieć. Czy naprawdę mówił ojciec poważnie, że komunizm to prawdziwe niebezpieczeństwo i prowadzi do zbrodni?

– Tak – odparł ojciec Brown, uśmiechając się dość ponuro. – Zauważyłem rozprzestrzenianie się pewnych wpływów i sposobów działania komunizmu, a także w pewnym sensie zbrodni komunistów.

– Dziękuję – powiedział rektor. – Teraz muszę iść i rzucić na coś okiem. Proszę powiedzieć policji, że wrócę za dziesięć minut.

Rektor zniknął pod jednym z tudorowskich łuków w tej samej chwili, gdy lekarz policyjny dotarł do stolika i pogodnie przywitał się z ojcem Brownem. Na sugestię księdza, by usiedli przy tragicznym stole, doktor Blake rzucił ostre i powątpiewające spojrzenie na dużego, bezbarwnego i pozornie przysypiającego chemika, który zajmował bardziej odległe siedzisko. Ksiądz poinformował go, kim jest profesor, i co powiedział jak dotąd. Ojciec Brown opowiadał, podczas gdy on przeprowadzał wstępne oględziny ciała. Naturalnie bardziej koncentrował się na zwłokach niż na dowodach z drugiej ręki, póki od anatomii nie oderwał go jeden szczegół.

– Profesor powiedział, że nad czym pracował? – zapytał.

Ojciec Brown cierpliwie powtórzył chemiczną formułę, której nie zrozumiał.

– Co? – wykrzyknął doktor Blake, co zabrzmiało jak wystrzał z pistoletu. – Rany! To diablo straszne!

– Bo to trucizna? – spytał ojciec Brown.

– Bo to banialuki – odparł doktor Blake. – To zwyczajny

nonsens. Ten profesor to słynny chemik. Po co słynny chemik miałby z rozmysłem zajmować się takim nonsensem?

– Cóż, na to akurat chyba potrafię odpowiedzieć – łagodnie odparł ojciec Brown. – Gada bzdury, bo kłamie. Coś ukrywa, a już szczególnie chciał to ukryć przed tymi dwoma panami i ich przedstawicielami.

Doktor uniósł wzrok znad ciał i spojrzał na niemal nienaturalnie nieruchomą postać wielkiego chemika. Można by uznać, że zasnął. Przysiadł na nim motyl, przez co w swoim bezruchu zaczął przypominać kamienny posąg. Duże fałdy na jego żabiej twarzy przywodziły lekarzowi na myśl zwisającą skórę nosorożca.

– Tak – bardzo cichym głosem powiedział ojciec Brown. – To zły człowiek.

– A niech to szlag! – wykrzyknął doktor, nagle głęboko poruszony. – Chce ojciec powiedzieć, że taki wielki naukowiec jest zamieszany w morderstwo?

– Drobiazgowi krytycy narzekali na jego zainteresowanie morderstwem – bez emocji odpowiedział ksiądz. – Nie mówię, że sam lubię ludzi, którzy w taki sposób interesują się morderstwem. Ale co bardziej istotne – jestem pewien, że ci biedacy byli jego najbardziej zagorzałymi krytykami.

– Chce ojciec powiedzieć, że odkryli jego tajemnicę, a on ich uciszył? – powiedział Blake, marszcząc brwi. – Ale co to była za tajemnica, do diabła? Jak w takim miejscu można mordować na dużą skalę?

– Powiem panu, jaka jest jego tajemnica – odparł ksiądz. – To tajemnica duszy. To zły człowiek. Na litość boską, proszę tylko nie sądzić, że mówię tak dlatego, że wywodzimy się z odmiennych szkół czy tradycji. Mam mnóstwo przyjaciół wśród naukowców i większość z nich jest heroicznie bezinteresowna. Nawet o tych najbardziej sceptycznych mogę powiedzieć tylko tyle, że są wręcz irracjonalnie bezinteresowni. Ale od czasu do czasu trafia się człowiek, który jest materialistą, w rozumieniu zwierzęcia. Powtarzam, że to zły

człowiek. Znacznie gorszy od... – Ojciec Brown zawahał się wyraźnie przed tym słowem.

– Znacznie gorszy od komunisty? – podsunął tamten.

– Nie. Znacznie gorszy od mordercy – odparł ojciec Brown.

Wstał jakby nieco bezwiednie i ledwie zdawał sobie sprawę, że jego towarzysz się na niego gapi.

– Ale czy nie chciał ojciec powiedzieć – zapytał wreszcie Blake – że ten Wadham jest mordercą?

– Ależ nie – bardziej pogodnie odpowiedział ojciec Brown. – Morderca to osoba znacznie bardziej życzliwa i łatwiejsza do zrozumienia. On przynajmniej był desperatem i miał wytłumaczenie dla nagłej wściekłości i desperacji.

– Jak to – wykrzyknął doktor – czyli mimo wszystko chce ojciec powiedzieć, że to był komunista?

Dokładnie w tym momencie, wielce stosownym, pojawili się przedstawiciele policji z obwieszczeniem, które wydawało się kończyć sprawę w sposób zdecydowany i wielce zadowolający. Jadąc na miejsce zbrodni, nieco się spóźnili, a to przez prosty fakt, że już schwytali przestępcę. W istocie schwytali go niemal u bram ich własnej oficjalnej siedziby. Mieli już powody, aby w przypadkach rozmaitych niepokojów w mieście podejrzewać działanie komunisty Crakena; gdy dowiedzieli się o tym akcie przemocy, uznali, że jego aresztowanie jest uzasadnione, i okazało się ono całkowicie usprawiedliwione. Jak radośnie wyjaśnił wykładowcom i doktorom zgromadzonym na trawniku ogrodów Mandeville inspektor Cook, gdy tylko przeszukano tego zdeklarowanego komunistę, znaleziono przy nim paczkę zatrutych zapalek.

W chwili gdy ojciec Brown usłyszał słowo „zapałki”, jak oparzony poderwał się ze swojego krzesła.

– Ach! – wykrzyknął ze swego rodzaju uniwersalnym blaskiem – teraz wszystko jasne.

– Co konkretnie jest jasne? – indagował rektor Mandeville, który wrócił z całą oficjalną pompą swojego urzędu, by dołączyć do oficjalnej pompy policjantów, okupujących college jak

zwycięska armia. – Że teraz ojciec jest przekonany, że sprawa przeciwko Crakenowi jest jasna?

– Że Craken jest czysty – stanowczo oświadczył ojciec Brown – a sprawa przeciwko Crakenowi wyjaśniona. Naprawdę wierzy pan, że człowiek taki jak Craken bawiłby się w trucie ludzi zapalkami?

– To wszystko bardzo ładnie – odpowiedział rektor z zatroskaną miną, która nie schodziła mu z twarzy od chwili znalezienia zwłok – ale sam ojciec powiedział, że fanatycy wyznający fałszywe zasady mogą posuwać się do strasznych rzeczy. Skoro już o tym mowa, to właśnie ojciec powiedział, że komunizm rozpełza wszędzie, a komunistyczne obyczaje się rozprzestrzeniają.

Ojciec Brown roześmiał się z niejakim zażenowaniem.

– Co do tego ostatniego punktu – powiedział – chyba jestem panu winien przeprosiny. Przez moje niemądre żarty chyba zawsze robi się zamieszanie.

– Żarty! – powtórzył rektor, patrząc na księdza z oburzeniem.

– Cóż – mruknął ksiądz, pocierając głowę. – Gdy mówiłem o rozprzestrzenianiu się komunistycznych zwyczajów, miałem na myśli tylko zwyczaj, który choćby dziś zauważyłem dwa albo trzy razy. To zwyczaj komunistów, który bynajmniej nie ogranicza się tylko do nich. Chodzi mi o nawyk bardzo wielu ludzi, zwłaszcza Anglików, którzy chowają do kieszeni pudełko zapalek pożyczone od innych i zapominają je zwrócić. Oczywiście to taki drobiazg, że aż głupio o tym mówić. Ale tak się zdarzyło, że przez to doszło do przestępstwa.

– Dla mnie to brzmi jak jakieś wariactwo – stwierdził doktor.

– Cóż, skoro praktycznie każdemu może się zdarzyć zapomnieć o zwrocie zapalek, to można założyć, że Craken też o tym zapomniał. Zatem truciciel, który je przyszykował, przekazał je Crakenowi, zwyczajnie mu je pożyczając i nie zabrał z powrotem. Naprawdę wspaniały sposób na pozbycie się odpowiedzialności, ponieważ sam Craken w żaden sposób nie byłby w stanie przypomnieć sobie, skąd je ma. Jednak gdy użył

ich, by niewinnie przypalić cygara, które zaproponował naszym dwóm gościom, wpadł w pewną pułapkę – jedną z tych aż nazbyt oczywistych pułapek. Został tym złym rewolucjonistą, który zamordował dwóch milionerów.

– Cóż, a kto inny chciałby ich zamordować? – warknął doktor.

– Ach, w istocie, kto taki? – powtórzył ksiądz, a jego głos stał się znacznie bardziej dobitny. – I tu dochodzimy do drugiej rzeczy, którą powiedziałem – a to już na pewno nie był żart. Powiedziałem panom, że herezje i fałszywe doktryny stały się powszechne i są tematem pogawędek, że wszyscy do nich przywykli, że nikt ich tak naprawdę nie zauważa. Sądzą panowie, że gdy to mówiłem, myślałem o komunizmie? Gdy przychodzi do komunizmu, wszyscy biegacie jak kot z pęcherzem, a na Crakena patrzycie wilkiem. Oczywiście, komunizm jest herezją, ale to nie jest herezja, którą wy, ludzie, bierzecie za pewnik. Za pewnik bierzecie kapitalizm, a raczej wady kapitalizmu w przebraniu martwego darwinizmu. Czy przypominają sobie panowie, co mówili w jadalni o życiu, które jest tylko szamotaniną, i naturze, która promuje przetrwanie najsilniejszych jednostek, i że to bez znaczenia, czy biedota otrzymuje sprawiedliwą płacę czy też nie? A to właśnie jest herezja, do której przywykliście, dorastając, moi przyjaciele; a to w każdym calu taka sama herezja jak komunizm. To antychrześcijańska moralność, czy też niemoralność, którą przyjmujecie zupełnie naturalnie. I to właśnie ta niemoralność dziś popchnęła pewnego człowieka do morderstwa.

– Jakiego człowieka? – jęknął rektor, a jego głos załamał się z nagłą słabością.

– Wyrażę to inaczej – spokojnie powiedział ksiądz. – Wszyscy panowie rozmawiają tak, jakby Craken uciekł, ale on tego nie zrobił. Gdy tych dwóch ludzi się przewróciło, pobiegł w dół ulicy, wezwał doktora, po prostu krzycząc przez okno, a zaraz potem próbował wezwać policję. Tak właśnie został aresztowany. Ale czy panów nie uderzyło, czy nikt się nie zastanawiał, że pana Bakera, skarbnika, policja jakoś długo nie

może znaleźć?

– Wobec tego co takiego robi? – ostrym tonem zapytał rektor.

– Zgaduję, że niszczy dokumenty albo przeszukuje pokoje tych ludzi, by sprawdzić, czy nie zostawili jakiegoś listu. Albo może mieć coś wspólnego z naszym przyjacielem Wadhamem. Czymże się on zajmuje? To akurat bardzo proste i w sumie też można to uznać za swego rodzaju żart. Pan Wadham eksperymentuje z truciznami na następną wojnę i ma coś wspólnego z tym ogienkiem, który doprowadził do stężenia zwłok. Oczywiście nie miał z ich zabójstwem nic wspólnego, ale z bardzo prostego powodu ukrył swoją chemiczną tajemnicę. Jednym z nich był purytański jankes, a drugim kosmopolityczny Żyd, a te dwa typy często są fanatycznymi pacyfistami. Nazwaliby to planowaniem morderstwa i przypuszczalnie odmówili pomocy college'owi. Baker był jednak przyjacielem Wadhama i łatwo mu było zamoczyć zapalki w tym nowym materiale.

Kolejną osobliwością w małym księdzu było to, że jego umysł był jednotorowy i był nieświadom wielu niespójności. Zmieniał ton swojej wypowiedzi od publicznego do raczej prywatnego, bez szczególnego zażenowania. Przy tej okazji większość zgromadzonych patrzyła na niego ze zdumieniem, gdy zwracał się do jednej osoby, podczas gdy ledwo co mówił do dziesięciu, całkiem obojętny na fakt, że tylko ta jedna mogła mieć jakiegokolwiek pojęcie, o czym mówił.

– Przykro mi, doktorze, że wprowadziłem pana w błąd, zagłębiając się w metafizyczne dygresje w kwestii grzesznego człowieka – powiedział przepraszająco. – To oczywiście nie ma nic wspólnego z tym morderstwem. Jednak prawda jest taka, że na chwilę zupełnie o nim zapomniałem. Zapomniałem o wszystkim, wie pan, poza wizją tego osobnika z nieludzką twarzą, kulącego się pośród kwiatów jak jakiś ślepy potwór epoki kamiennej. I myślałem, że niektórzy ludzie są naprawdę potworni jak ludzie z kamienia, ale to nie ma związku z tematem. Bycie złym wewnątrznie nie ma wiele wspólnego

z popełnianiem zbrodni na zewnątrz. Dlaczego skarbnik Bursar chciał zabić tych ludzi? Teraz tylko to nas interesuje. Odpowiedź jest odpowiedzią na pytanie, które zadałem dwukrotnie. Gdzie byli ci ludzie przez większość czasu, pomijając kręcenie się po kaplicach czy laboratoriach? Zgodnie z tym, co powiedział sam skarbnik, omawiali z nim interesy.

Teraz, z całym szacunkiem dla zmarłych, raczej nie mam wysokiego mniemania o intelekcie tych dwóch finansistów. Ich poglądy na ekonomię i etykę były bezbożne i pozbawione serca. Poglądy na pokój bzdurne. Opinia o porto jeszcze bardziej żałosna. Ale jedną rzecz rozumieli – interesy. A to bardzo szybko pozwoliło im się zorientować, że człowiek, który zarządza funduszami college'u, to oszust. Czy też raczej powinienem powiedzieć: prawdziwy wyznawca doktryny o bezlitosnej walce o życie i przetrwaniu najlepiej przystosowanych.

– Chce ojciec powiedzieć, że zamierzali go wydać, a on zabił ich, zanim do tego doszło – powiedział doktor, marszcząc brwi.

– Mnóstwo tutaj szczegółów, których nie rozumiem.

– Są tu szczegóły, których ja sam nie rozumiem – szczerze odpowiedział ksiądz. – Podejrzewam, że wszystkie te wygłupy ze świecami pod ziemią miały na celu podmianę zapalek tych dwóch milionerów albo przynajmniej upewnienie się, że ich w ogóle nie mają. Jestem jednak pewien zasadniczego gestu, pogodnego i beztroskiego gestu, którym Baker rzucił zapaliki niefrasobliwemu Crakenowi. Ten gest właśnie był atakiem mordercy.

– Jest jedna rzecz, której nie rozumiem – odezwał się inspektor. – Skąd Baker mógł wiedzieć, że Craken sam nie skorzysta z tych zapalek i przy stole nie znajdą się nadprogramowe zwłoki?

Twarz ojca Browna zrobiła się niemal ciężka od wyrzutu, a w głosie miał żałobne, choć wspaniałomyślne ciepło.

– Cóż, kto by się nim przejmował – powiedział. – Był tylko ateistą.

– Obawiam się, że nie rozumiem, co ma ojciec na myśli – grzecznie powiedział inspektor.

– Chciał jedynie usunąć Boga – wyjaśnił ojciec Brown spokojnym i rozsądnym głosem. – Chciał tylko obalić dziesięcioro przykazań i wykorzenić całą religię oraz cywilizację, która go stworzyła, i rozmyć normalne pojmowanie własności i uczciwości, a także pozwolić, aby jego kultura i jego kraj zostały zrównane z ziemią przez dzikusów z końca świata. Tylko tego chciał. Nie macie prawa go oskarżyć o nic ponadto. A niech to, każdy ma swoje granice! A wy przychodzicie tutaj i sugerujecie, że człowiek Mandeville starej daty (a Craken był starej daty, jakich by nie głosił poglądów) miałby zacząć palić, czy nawet potrzebować zapałkę, gdy wciąż jeszcze pił porto college'u z rocznika '08 – nie, nie! Ludzie nie są aż tak dogłębnie pozbawieni zasad, żeby zrobić coś takiego! Byłem tam, widziałem go. Nie dokończył wina, a wy mnie pytacie, dlaczego nie palił! Nigdy tak anarchistyczne pytanie nie wstrząsnęło murami Mandeville College. Zabawne miejsce ten Oksford. Zabawne miejsce ta Anglia.

– A ojciec nie ma nic wspólnego z Oksfordem? – z ciekawością zapytał doktor.

– Mam coś wspólnego z Anglią – odparł ojciec Brown. – Pochodzę stamtąd. Ale najzabawniejsze jest to, że nawet jeśli się ją kocha i należy do niej, to nadal nie można jej zrozumieć.

[36] *Rigor mortis* – (łac.) stężenie pośmiertne.

[37] Gnejusz Marcjusz Koriolan – legendarna postać z wczesnych dziejów Rzymu, przeciwnik praw politycznych dla plebejuszy.

[38] Tarkwiniusz Pyszny, Lucius Tarquinius Superbus (żył na przełomie VI i V wieku p.n.e.) – według przyjętej tradycji siódmy i ostatni król rzymski pochodzenia etruskiego. Był władcą despotycznym. Podobno szykował swojego syna na swojego następcę – tym samym zrywając z tradycją, że kolejnych królów wybierają sami Rzymianie. Ostatecznie został wygnany z Rzymu, a monarchię obalono na rzecz republiki.

[39] Guy Fawkes (1570–1606) – należał do grupy lokalnych angielskich katolików, którzy zaplanowali zakończony fiaskiem spisek prochowy z 1605 roku. Grupa

planowała dokonać zamachu na protestanckiego króla Jakuba I i zastąpić go jego córką, księżniczką Elżbietą Stuart. Spiskowcy zostali skazani na śmierć.

[40] William Morris (1834–1896) – angielski malarz, rysownik, architekt, projektant, pisarz i poeta. Członek drugiego bractwa prerafaelitów. Współtwórca Socialist League oraz Arts and Crafts Movement. Wierzył w nastanie złotego wieku, gdy przemysłowców zastąpią artyści, którzy wszystkim pracującym ofiarują szczęście i miłość Piękna.

[41] Z *An Essay on Man* autorstwa Alexandra Pope'a, osiemnastowiecznego angielskiego poety i satyryka.

[42] Teozofia (gr. *theos* – bóg i *sophia* – mądrość) – światopogląd religijno-filozoficzny, głoszący możliwość uzyskania bezpośredniego kontaktu człowieka ze światem nadprzyrodzonym i poznania jego tajemnic przede wszystkim przez mistyczne objawienie, w węższym znaczeniu jeden z przejawów tendencji połączenia różnych religii (synkretyzm) głoszony przez Towarzystwo Teozoficzne, założone w 1875 roku przez Helenę Bławatską w Nowym Jorku.

[43] Thugowie – tajna organizacja o charakterze religijnym, stanowiąca rodzaj bractwa zajmującego się rytualnym mordowaniem podróżnych, a także okradaniem zabitych, działająca w Indiach prawdopodobnie od XVII w. (aczkolwiek istnieją przesłanki do przypuszczeń, że działali już wcześniej, nawet w XIII stuleciu), aż do wieku XIX. Zasadniczo thugowie zabijali na cześć bogini Kali.

SPIS TREŚCI

NIEWINNOŚĆ OJCA BROWNA

Błękitny krzyż

Tajemniczy ogród

Niewidzialny człowiek

MĄDROŚĆ OJCA BROWNA

Nieobecność pana Glassa

Głowa Cezara

Purpurowa peruka

NIEDOWIARSTWO OJCA BROWNA

Psie proroctwo .

Cud Moon Crescent

Klątwa złotego krzyża

Duch Gideona Wise'a

TAJEMNICA OJCA BROWNA

Człowiek z dwiema brodami

Aktor i alibi

Najgorsza zbrodnia na świecie

SKANDAL OJCA BROWNA

Jeden szybki

Pościg za panem Blue

Zbrodnia komunisty